

Michael Grant

Zniknęli Faza trzecia: Kłamstwa

Tytuł oryginału: Lies. A Gone Novel

Przełożył Jacek Drewnowski

Wydanie: 1

ISBN: 978-83-7686-021-3

Wydawnictwo: Jaguar 2010



Dla Katherine, Jake'a i Julii.

Rozdział 1

66 godzin, 52 minuty

Nieprzyzwoite graffiti. Potrząskane okna. Znaki Ekipy Ludzi – ich symbol w połączeniu z ostrzeżeniami kierowanymi do odmieńców, by się wynosili.

W oddali, na ulicy, zbyt daleko, by Samowi chciało się gonić, kilkoro dzieciaków, może dziesięcioletnich, a może nawet młodszych. W świetle fałszywego księżyca widział tylko ich sylwetki. Dzieciaki podawały sobie butelkę, pociągały z niej, chwiały się na nogach.

Okolicę zarastała trawa. Chwasty przeciskały się przez szczeliny w asfalcie. Śmieci: paczki po chipsach, kółka od sześciopaków, plastikowe torebki z supermarketu, różne kartki, ubrania, pojedyncze buty, papierki po hamburgerach, połamane zabawki, potłuczone butelki i zgniecione puszki – tak naprawdę wszystko, czego nie dało się zjeść – tworzyły wielobarwną mieszaninę. Dobitną pamiątkę po lepszych czasach.

Panowała głęboka ciemność, dawniej można było doświadczyć czegoś podobnego jedynie na całkowitym odludziu.

Żadnych latarń czy lamp na ganku. Brak prądu może na zawsze.

Nikt nie marnował baterii, już nie. Ich także zaczynało brakować.

Niewielu próbowało palić świece czy ogniska ze śmieci. Zaniechali tego od czasu pożaru, w którym spłonęły trzy domy, a jeden chłopiec tak się poparzył, że Lana, Uzdrowicielka, potrzebowała pół dnia, by go uratować.

Brakowało ciśnienia w rurach wodociągowych. Z hydrantów nic nie leciało. Podczas pożaru nie dało się zrobić nic, można było tylko patrzeć na ogień i zachować bezpieczną odległość.

Perdido Beach, Kalifornia. Przynajmniej kiedyś Kalifornia. Teraz już Perdido Beach, ETAP. Cokolwiek to naprawdę oznaczało.

Sam miał moc wytwarzania światła. Potrafił strzelać z dłoni jego śmiercionośnymi promieniami. Umiał też stworzyć kule utrzymującego się blasku, które wisiały w powietrzu jak lampy. Jak pioruny w butelce.

Ale niewiele osób chciało światła Sama, nazywanych przez dzieciaki Słoneczkami Sammy'ego. Zil Sperry, przywódca Ekipy Ludzi, zabronił swoim korzystania ze światła. Zastosowała się do tego większość normalnych. Niektórzy odmieńcy nie chcieli tak jasnego sygnału, kim i czym są.

Rozprzestrzeniał się strach. Choroba. Przenosił się z jednej osoby na drugą.

Ludzie siedzieli w ciemnościach, przerażeni. Nieustannie przerażeni.

Sam przebywał w dzielnicy wschodniej, w niebezpiecznej części miasta, którą Zil ogłosił strefą zakazaną, przeznaczoną dla odmieńców. Musiał pokazać, że ciągle rządzi. Dowieść, że nie da się zastraszyć prowadzoną przez Zila kampanią lęku.

Dzieciaki tego potrzebowały. Potrzebowały kogoś, kto im pokaże, że ciągle ich chroni. Tym kimś był on.

Buntował się przeciw tej roli, ale chyba była mu przeznaczona. I starał się za wszelką cenę jej sprostać. Kiedy tylko tracił z oczu cel, próbował prowadzić inne życie – działo się coś okropnego.

Wędrował zatem ulicami o drugiej nad ranem. W gotowości. Na wszelki wypadek.

Szedł blisko wybrzeża. Nie było fal, ma się rozumieć. Już nie. Nie było zmian pogody. Żadne bałwany nie sunęły Pacyfikiem, by rozbić się w cudownych rozbryzgach na plażach Perdido.

Morze wydawało teraz tylko cichy szum. Szuuu. Szuuu. Szuuu. Lepsze to niż nic. Ale niewiele lepsze.

Zmierzał w stronę Clifftop, hotelu, obecnego domu Lany. Zil zostawił ją w spokoju. Nikt nie dręczył Uzdrowicielki, nieważne, czy była odmieńcem, czy nie.

Clifftop stał tuż przy murze ETAP-u, granicy strefy odpowiedzialności Sama, ostatnim przystanku na trasie codziennego obchodu.

Ktoś się zbliżał. Sam w uwagę, obawiając się najgorszego. Zil bez wątpienia pragnął jego śmierci. Gdzieś jeszcze czaił się Caine, jego przyrodni brat. Pomógł w zniszczeniu gaiaphage i psychopaty Drake'a Merwina, jednak Sam nie chciał się oszukiwać i wierzyć, że Caine się zmienił. Jeśli nadal żył, z pewnością jeszcze się spotkają.

I Bóg jeden wiedział, jakie inne zagrożenia czały się wśród blaknącej nocy – ludzkie i nieludzkie. W ciemnych górach, w czarnych jaskiniach, na pustyni, w lesie na północy. W zbyt spokojnym oceanie.

ETAP nigdy nie dawał im spokoju.

Postać jednak wyglądała po prostu na dziewczynę.

– To tylko ja, Sinder – rozległ się głos i Sam się odprężył.

– Co tam, Sinder? Trochę późno, nie?

Była uroczą, gotycką dziewczyną, której na ogół udawało się trzymać z dala od różnych wojen i podziałów w ETAP-ie.

– Cieszę się, że cię spotkałam – stwierdziła. W ręce trzymała stalową rurkę z uchwytem oplecionym srebrną taśmą klejącą. Nikt nie chodził bez broni, zwłaszcza nocą.

– U ciebie w porządku? Masz co jeść?

Te słowa stały się standardowym powitaniem. Nie: „Jak się masz?“, tylko: „Masz co jeść?“.

– Tak, jakoś sobie radzimy – odparła. Ze swoją bladą cerą wydawała się bardzo młoda i bezbronna. Oczywiście rurka, czarne paznokcie i kuchenny nóż, zatknięty za pasek, nie wywoływały już tak łagodnego wrażenia.

– Słuchaj, Sam. Nie jestem kimś, kto, wiesz, chce donosić na innych i w ogóle... – powiedziała. Czuła się nieswojo.

– Wiem – potwierdził. Czekał.

– Chodzi o Orsay – oznajmiła i obejrzała się przez ramię z poczuciem winy. – Wiesz, czasami z nią rozmawiam. Jest dość fajna, na ogół. Oryginalna...

– Rozumiem.

– Na ogół...

– Aha.

– Ale, widzisz, może też trochę dziwna... – Wyszczrzyła się w krzywym uśmiechu. – I kto to mówi.

Sam czekał. Gdzieś zza jego pleców dobiegł odgłos tłuczonego szkła i piskliwy chichot. Dzieciaki wyrzuciły opróżnioną butelkę. Jakiś czas temu chłopaka zwanego K.B. znaleziono martwego z flaszką wódki w ręce.

– W każdym razie Orsay jest przy murze.

– Przy murze?

– Na plaży. Ona jakby... myśli... Słuchaj, pogadaj z nią, dobra? Tylko nie mów, że ci powiedziałam. Okej?

– Teraz tam poszła? Jest druga w nocy.

– Wtedy to robią. Nie chcą, żeby ktoś... Zil albo... ty... naprzykrzał się im. Wiesz, gdzie mur dochodzi od Clifftop na plażę? Kojarzysz te skały? Tam jest. Nie sama. Są z nią inne dzieciaki.

Sam poczuł niemiłe mrowienie na plecach. Przez ostatnie kilka miesięcy nauczył się dość dobrze przeczuwać kłopoty. A tu najwyraźniej szykowały się kłopoty.

– Dobra, sprawdzę to.

– Super.

– Dobranoc, Sinder. Uważaj na siebie.

Zostawił ją i ruszył dalej, zastanawiając się, jakie nowe szaleństwo lub zagrożenie go czeka. Wspiął się drogą, mijając Clifftop. Zerknął w górę, na balkon Lany.

Patrick, labrador Lany, musiał go usłyszeć, bo wydał z siebie krótkie i ostre, ostrzegawcze szczeknięcie.

– To tylko ja, Patrick – powiedział Sam.

W ETAP-ie pozostało przy życiu niewiele psów czy kotów. Patrick nie skończył jako gulasz tylko z jednego powodu: należał do Uzdrowicielki.

Ze szczytu klifu Sam popatrzył w dół i zdało mu się, że na skałach, przy samych falach, które nie były właściwie falami, dostrzega sylwetki kilku osób.

Nie potrzebował światła, by zejść w dół klifu. Mógłby to zrobić po omacku. Dawniej schodził tam, targając cały swój sprzęt, gdy szli z Quinem czekać na dobra falę.

Gdy ześlizgnął się wreszcie na piasek, dobiegły go ciche głosy. Jeden mówił. Drugi krzyczał.

Nieprzebyta, nieprzenikniona, bijąca w oczy bariera, która wyznaczała granice ETAP-u, jaśniała niemal niezauważalnie. Tak naprawdę nie był to nawet blask, a jedynie sugestia przejrzystości. Szara i nijaka.

Na plaży płonęło małe ognisko, rzucając słabe, pomarańczowe światło na niewielki krąg piasku, skał i wody.

Nikt nie zauważył nadchodzącego Sama. Miał więc czas rozpoznać większość ze zgromadzonych tam dzieciaków. Francis, Cigar, D-Con, kilkoro innych i sama Orsay.

– Coś widziałam... – zaczęła Orsay.

– Opowiedz mi o mojej mamie! – zawołał ktoś ze słuchających.

Orsay podniosła rękę w uspokajającym geście.

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby dotrzeć do waszych bliskich.

– Ona nie jest komórką – warknęła ciemnowłosa dziewczyna obok Orsay. – Kontakt z barierą sprawia Prorokini wielki ból. Dajcie jej spokój. I słuchajcie tego, co mówi.

Sam zmrużył oczy, nie potrafiąc rozpoznać mówiącej w rozmigotanym blasku ognia. Jakaś przyjaciółka Orsay? Sądził, że zna wszystkich mieszkańców ETAP-u.

– Zaczynj jeszcze raz, Prorokini – powiedziała ciemnowłosa.

– Dziękuję ci, Nerezzo – odrzekła Orsay.

Sam ze zdumieniem pokręcił głową. Nie miał pojęcia ani o tym, że Orsay zajmuje się czymś takim, ani, że zatrudniła nową osobistą menedżerkę. Nie kogoś, kogo znał, lecz dziewczynę o imieniu Nerezza.

– Coś widziałam... – zaczęła znowu Orsay i zawiesiła głos, jakby się spodziewała, że ktoś jej przerwie. – Miałam wizję.

Te słowa wywołały pomruk. A może był to jedynie szum wody przy brzegu.

– Widziałam wszystkie dzieciaki z ETAP-u, starsze i młodsze. Stały na szczycie urwiska.

Wszystkie głowy podniosły się, by spojrzeć na klif. Sam schylił się. Zrobiło mu się głupio. Żadne z nich go nie widziało.

– Dzieci ETAP-u, więźniowie ETAP-u, wpatrywali się w zachodzące słońce. To był taki piękny zachód. Czerwieńszy i żywszy niż wszystko, co widzieliście. – Wydawała się zahipnotyzowana tą wizją. – Taki czerwony zachód słońca.

Cała uwaga była teraz skupiona na Orsay. Z niewielkiego tłumu nie dobywał się żaden dźwięk.

– Czerwony zachód słońca. Wszystkie dzieci wpatrzone w to czerwone słońce. Ale za nimi... diabeł. Demon. – Dziewczyna skrzywiła się, jakby nie mogła patrzeć na tego stwora. – Potem dzieci zrozumiały, że w tym słońcu czekają ich bliscy, stojąc z wyciągniętymi rękami. Matki i ojcowie. Wszyscy razem, pełni tęsknoty i miłości. Czekają niecierpliwie, by powitać swoje dzieci w domu.

– Dzięki, Prorokini – powiedziała Nerezza.

– Czekają... – ciągnęła Orsay. Podniosła jedną rękę, machnęła w stronę bariery, zatrzepotała dłonią. – Tuż za murem. Tuż za zachodem słońca.

Opadła ciężko na ziemię, niczym marionetka, której ucięto sznurki. Przez chwilę siedziała skulona, z otwartymi dłońmi wspartymi na udach i pochyloną głową.

Potem jednak podniosła się z drżącym uśmiechem.

– Jestem gotowa – oznajmiła.

Przyłożyła dłoń do muru ETAP-u. Sam wzdrygnął się. Wiedział z doświadczenia, jakie to może być bolesne. Zupełnie jak dotknięcie nieizolowanego drutu elektrycznego. Nie robiło krzywdy, choć wrażenie było wręcz przeciwne.

Szczupła twarz Orsay była teraz wykrzywiona z bólu. Gdy jednak przemówiła, głos miała wyraźny i spokojny. Jakby czytała wiersz.

– Myśli o tobie, Bradley... – powiedziała.

Bradley – tak brzmiało prawdziwe imię Cigara.

– Myśli o tobie... jesteś na Knott's Berry Farm. Boisz się iść na karuzelę... Pamięta, jaki próbowałeś być dzielny... Matka za tobą tęskni...

Cigar pociągnął nosem. Nosił zmajstrowaną własnym sumptem broń – zabawkowy, plastikowy miecz świetlny z wbitymi w końcówkę żyłkami. Włosy miał związane w koński ogon spięty gumką.

– Ona... wie, że tu jesteś... wie... chce, żebyś do niej przyszedł...

– Nie mogę – jęknął Cigar, a pomocnica Orsay, kimkolwiek była, objęła go pocieszająco ramieniem.

– ... gdy nadejdzie czas... – mówiła Orsay.

– Kiedy? – załkał Cigar.

– Marzy, żebyś wkrótce był przy niej... Marzy... tylko trzy dni... wie to, jest pewna... – Głos Orsay przybrał niemal ekstatyczne tony. Chyba kręciło jej się w głowie. – Widziała, jak inni to robią...

– Co? – spytał Francis.

– ... inni, którzy pojawili się z powrotem – odparła Orsay sennym głosem, jakby zapadała w sen. – Widziała ich w telewizji. Bliźniaczki, te dwie dziewczyny, Annę i Emmę... widziała je... Udzielały wywiadów i opowiadały...

Gwałtownie cofnęła dłoń od muru ETAP-u; zdawało się, że dopiero teraz poczuła ból.

Sam wciąż pozostawał niezauważony. Zawahał się. Powinien sprawdzić, o co tu chodzi. Czuł się jednak dziwnie, jakby naruszał czyjąś intymność. Jakby pchał się nieproszony do kościoła na mszę.

Cofnął się w najgłębsze cienie klifu, uważając, by nie usłyszano go ponad cichym szuuu... szuuu... szuuu...

– To wszystko na dzisiaj – oświadczyła Orsay i zwiesiła głowę.

– Ale chcę się czegoś dowiedzieć o swoim tacie – naciskał D-Con. – Mówiłaś, że dziś wieczorem możesz się mną zająć. Teraz moja kolej!

– Jest zmęczona – odparła z mocą pomocnica Orsay.

– Nie wiesz, jakie to dla niej trudne?

– Mój tata pewnie tam jest i próbuje ze mną rozmawiać – jęknął D-Con, wskazując jakieś miejsce w barierze, jakby wyobrażał sobie, że widzi tam swojego ojca, próbującego zajrzeć przez matową szybę. – Pewnie jest tuż za murem. Pewnie... – Ścisnęło go w gardle i nie mógł mówić dalej. Nerezza przytuliła go do siebie, tak jak wcześniej Cigara, by go pocieszyć.

– Oni czekają – powiedziała Orsay. – Wszyscy tam są. Tuż za murem. Tak wielu... tak wielu...

– Jutro Prorokini spróbuje znowu – oznajmiła druga dziewczyna. Podniosła D-Cona na nogi. – Idźcie już, wszyscy. No, idźcie!

Grupa z ociąganiem podniosła się na nogi i Sam zdał sobie sprawę, że wkrótce ruszą prosto w jego stronę. Ognisko zapadło się, posyłając w górę snop iskier.

Cofnął się w skalną rozpadlinę. Na tej plaży i na klifie nie było centymetra, którego by

nie znał. Czekał i patrzył, jak Francis, Cigar, D-Con i inni wspinają się ścieżką, po czym znikają pośród nocy.

Wyraźnie wyczerpana Orsay zeszła ze skały. Opierała się na ciemnowłosej dziewczynie i gdy go mijały, przystanęła. Popatrzyła prosto na Sama, chociaż wiedział, że go nie widać.

– Śniłam o niej, Sam – powiedziała. – Śniłam o niej.

Poczuł suchość w ustach. Głośno przełknął ślinę. Nie chciał pytać. Ale nie mógł się powstrzymać.

– Moją mamę?

– Myśli o tobie... i mówi... mówi... – Orsay osunęła się, niemal opadła na kolana, lecz pomocnica ją podtrzymała.

– Mówi... wypuść ich, Sam. Wypuść, gdy nadejdzie ich czas.

– Co?

– Sam, przychodzi czas, gdy świat nie potrzebuje już bohaterów. A prawdziwy bohater wie, kiedy odejść.

Rozdział 2

66 godzin, 47 minut

*Csss, dziecino, nie płacz już
idź, maleństwo, spać.
Gdy się zbudzisz, będziesz mieć
koniki śliczne te.*

To pewnie zawsze była piękna kołysanka, pomyślał Derek. Może była piękna nawet wtedy, gdy śpiewały ją normalne osoby. Może wzruszała do łez.

Ale jego siostra, Jill, nie była normalną osobą. Piękne piosenki potrafią przenieść w magiczne miejsce. Gdy jednak śpiewała Jill, tak naprawdę nie chodziło o piosenkę. Mogłaby zaśpiewać książkę telefoniczną. Albo listę zakupów. Cokolwiek śpiewała, jakiekolwiek słowa czy melodię, było to tak piękne, tak przejmująco cudowne, że nikt nie mógł słuchając nie odczuć wzruszenia. Chciał iść spać.

Chciał mieć wszystkie śliczne koniki. Gdy śpiewała, było to wszystko, czego pragnął. Wszystko, czego kiedykolwiek pragnął.

Derek sprawdził, czy okna są zamknięte. Bo gdy Jill śpiewała, każdy, kto usłyszał, przychodził posłuchać. Nie mogli się powstrzymać.

Z początku żadne z nich nie rozumiało, co się dzieje. Jill miała tylko dziewięć lat i nie uczyła się nigdy śpiewu. Pewnego jednak dnia, mniej więcej przed tygodniem, zaczęła śpiewać. Coś głupiego, o ile pamiętał. Motyw muzyczny z serialu *The Fairly Odd Parents*.

Derek stanął jak wryty. Nie mógł się ruszyć. Nie mógł przestać słuchać. Uśmiechał się, słysząc listę życzeń Timmy'ego i pragnąc każdej z tych rzeczy dla siebie. Chciał mieć własnych bajkowych rodziców chrzestnych. Gdy Jill wreszcie umilkła, miał wrażenie, że budzi się z najwspanialszego snu, by znaleźć się w okropnej, szarej rzeczywistości.

Minął cały dzień, nim zorientował się, że to nie jest zwykły talent. Musiał pogodzić się z faktem, że jego siostrzyczka jest odmieńcem.

Było to przerażające odkrycie. Derek był normalny. Odmieńcy, tacy jak Dekka, Brianna, Orc, a zwłaszcza Sam Temple, budzili w nim lęk. Ich moce sprawiały, że mogli robić, co chcieli. Nikt nie potrafił ich powstrzymać.

Odmieńcy na ogół nie wyrządzali nikomu krzywdy. Zwykle używali mocy do robienia

rzeczy, które należało zrobić. Ale Derek widział Sama podczas walki przeciwko temu drugiemu megadziwakowi, Caine'owi Sorenowi. Zniszczyli znaczną część miejskiego placu, usiłując się nawzajem zabić. Gdy szalała bitwa, Derek skulił się i ukrył najlepiej, jak potrafił.

Wszyscy wiedzieli, że odmieńcy uważają się za niezwykłych. Że mają najlepszą żywność. Nie widywano, by znizali się do jedzenia szurzego mięsa albo owadów. Ledwie parę tygodni wcześniej, podczas najgorszej fali głodu, Derek i Jill musieli to robić. Złapali i zjedli kilka koników polnych.

A odmieńcy? Nigdy nie upadli tak nisko. Wszyscy o tym wiedzieli. Tak przynajmniej mówił Zil. Dlaczego miałby kłamać?

A teraz młodsza siostra Dereka była jednym z nich. Mutantem. Dziwolągiem.

Gdy jednak śpiewała... gdy śpiewała, Derek nie znajdował się już w mrocznym, strasznym ETAP-ie. Słońce świeciło jasno, trawa była zielona i wiała chłodna bryza. Matka i ojciec byli przy nim, razem ze wszystkimi innymi, którzy zniknęli.

Gdy śpiewała, koszmarna rzeczywistość życia w ETAP-ie znikła, zastępowana śpiewem, śpiewem, śpiewem.

Derek przebywał teraz w tym miejscu, szybując na magicznych skrzydłach w stronę Niebios.

When I die, hallelujah by and by... [kiedy umrę alleluja, do widzenia]

Derek wiedział, że to piosenka o śmierci. A jednak tak piękna, gdy śpiewała ją Jill. Aż rozdzierała mu serce.

Oh how glad and happy when we meet...[O, jaka radość i szczęście, gdy się spotkamy.

Fragment piosenki *I'll Fly away* Gillian Welch]

O, jaka radość, chociaż siedzieli w ciemności, w domu pełnym smutnych wspomnień.

Snop światła oszałamiał.

Nagle Jill przestała śpiewać. Zapadła druzgocąca cisza.

Blask przeświecał przez cienkie zasłony. Zatańczył w pomieszczeniu. Odnalazł twarz Dereka. Potem obrócił się, aż w końcu oświetlił piegowate oblicze Jill i nadał jej oczom szklisty wygląd.

Drzwi wejściowe domu otworzyły się z trzaskiem na oścież. Część framugi pękła.

Intruzy, wpadając do środka, nie powiedzieli ani słowa. Pięciu chłopaków z kijami bejsbolowymi i łyżkami do opon. Na twarzach mieli różne maski halloweenowe albo pończochy.

Ale Derek wiedział, co to za jedni.

– Nie! Nie! – krzyknął.

Cała piątka nosiła masywne, strzeleckie nauszniki. Nie mogli go słyszeć. I co ważniejsze, nie mogli słyszeć Jill.

Jeden z chłopaków stanął w drzwiach. To on tu rządził. Drobnny dzieciak o imieniu Hank. Pończocha na twarzy nadawała jego rysom wygląd plasteliny, ale to musiał być on.

Jeden z chłopaków, gruby, ale szybki, w masce zająca wielkanocnego, podszedł do Dereka i uderzył go w brzuch aluminiowym kijem bejsbolowym.

Derek opadł na kolana.

Inny chłopak złapał Jill. Zakrył jej twarz dłonią. Ktoś podał mu rolkę taśmy klejącej.

Dziewczynka krzyknęła. Derek spróbował ustać, ale kolejny cios w brzuch pozbawił go tchu. Znowu spróbował, lecz grubas pchnął go z powrotem na podłogę.

– Nie bądź głupi, Derek. Nie chodzi nam o ciebie.

Usta Jill zostały kilkakrotnie zaklejone taśmą. Pracowali przy świetle latarki. Derek widział oczy siostry oszalałe ze strachu. Bezgłośnie błagały, by starszy brat ją ocalił.

Zakleiwszy jej usta, napastnicy ściągnęli nauszniki. Hank wystąpił naprzód.

– Derek, Derek, Derek – powiedział z zalem, kręcąc głową. – Powinieneś zrozumieć.

– Zostaw ją w spokoju – zdołał wydyszeć Derek, łapiąc się za brzuch i opanowując mdłości.

– To odmieniec – stwierdził Hank.

– Jest moją siostrą. A to nasz dom.

– To odmieniec – powtórzył Hank. – A ten dom leży na wschód od Pierwszej Alei. W strefie bez odmieńców.

– Stary, daj spokój – poprosił Derek. – Nikomu nie robi krzywdy.

– Nie w tym rzecz – odezwał się chłopak o imieniu Turk. Miał chorą nogę i utykał, przez co nie sposób było go nie rozpoznać. – Odmieńcy z odmieńcami, normalni z normalnymi. Tak musi być.

– Ale ona tylko...

Policzek, wymierzony przez Hanka, zapiekł.

– Zamknij się. Zdrajca! Normalny, który staje po stronie odmieńca, jest traktowany tak jak oni. Tego chcesz?

– Poza tym – powiedział z chichotem ten gruby – postępujemy z nią łagodnie. Możemy wyleczyć ją tak, żeby już nigdy nie mogła śpiewać. Ani mówić. O ile wiesz, co mam na myśli.

Wyciągnął nóż z pochwy umocowanej w okolicach krzyża.

– No, Derek? Łapiesz?

Opór Dereka osłabł.

– Przywódca okazał litość – stwierdził Turk. – Ale przywódca nie jest słaby. Ten odmieniec może albo natychmiast odejść na zachód, za granicę... albo... – Tu zawiesił groźbę.

Łzy Jill popłynęły ciurkiem. Ledwie mogła oddychać, bo ciekło jej z nosa. Derek widział, że wciąga taśmę w usta, próbując zassać powietrze. Udusi się, jeśli szybko jej nie uwolnią.

– Pozwólcie mi przynajmniej wziąć jej lalkę.

– Chodzi o Pandę.

Caine wznosił się ponad warstwy snów i koszmarów, jakby przedzierał się przez grube kotary, które zaczepiały o jego ręce i nogi, sprawiając, że każdy ruch bardzo go męczył.

Zamrugnął powiekami. Nadal ciemno. Noc.

Głos nie dobiegł z żadnego wyraźnego źródła, lecz i tak go rozpoznał. Nawet gdyby było światło, mógłby nie zobaczyć chłopaka, dysponującego mocą blaknięcia i niemal zupełnego znikania.

– Robal... Czemu mnie męczysz?

– Panda. Zdaje się, że nie żyje.

– Sprawdziłeś jego oddech? Posłuchałeś serca? – Potem przyszła mu do głowy inna myśl. – Dlaczego mnie budzisz, żeby powiedzieć, że ktoś umarł?

Robal milczał. Caine czekał, ale tamten wciąż nie był w stanie wykrztusić nawet słowa.

– Zrób, co trzeba – polecił Caine.

– Nie możemy do niego dotrzeć. Nie umarł tak po prostu. Wsiadł do samochodu, nie? Tego zielonego.

Caine potrząsnął głową, próbując powrócić do pełnej świadomości, ale warstwy snu, koszmaru i wspomnień wciąż go szarpały, zamulały mu mózg.

– W tym samochodzie nie ma benzyny – zauważył.

– Popchnął go, aż zaczął się toczyć – wyjaśnił Robal. – Potem wskoczył do środka. Zjechał w dół drogi. Aż do zakrętu.

– Tam jest barierka – powiedział Caine.

– Przejechał przez nią. Trach. Bum, bum, bum, aż na sam dół. To długa droga. Ja i Penny zeszliliśmy tamtędy, więc wiem, że długa.

Caine chciał, żeby Robal zamilkł. Nie chciał słuchać dalszego ciągu. Panda nie był

okropny, jak niektórzy z nielicznych już zwolenników Caine'a.

Może właśnie dlatego zjechał samochodem z urwiska.

– Tak czy owak, jest zupełnie martwy – stwierdził Robal. – Ja i Penny wyciągnęliśmy go. Ale nie możemy wnieść go na szczyt klifu.

Caine podniósł się. Z drżącymi nogami, żołądkiem niczym czarna dziura, umysłem wypełnionym ciemnością.

– Prowadź – powiedział.

Wyszli w noc. Pod stopami chrzęścił im żwir, poprządkany teraz chwastami. Biedna Coates Academy, pomyślał Caine. W dawnych czasach zawsze tak o nią dbano. Dyrektor z pewnością nie pogodziłby się z wielką dziurą, która ziała we frontowej ścianie budynku albo ze śmieciami, rozrzuconymi tu i ówdzie w nazbyt bujnej trawie.

To nie był długi marsz. Caine nic nie mówił. Czasami wykorzystywał Robalą, bo bywał przydatny. Ale raczej nie uważał go za przyjaciela.

W perłowym blasku gwiazd dobrze było widać miejsce rozerwania barierki. Wyglądała jak stalowa taśma, przecięta, a potem na w pół zwinięta, dyndająca po jednej ze stron.

Caine wyteżył wzrok w ciemności. Widział samochód, przewrócony do góry kołami. Jedne drzwi były otwarte.

Znalezienie ciała zajęło mu parę minut.

Caine westchnął i wzniosł ręce. Panda leżał niemal na skraju jego zasięgu, więc nie poderwał się od razu w powietrze. Na początku sunął, powłócząc nogami. Jakby niewidzialny drapieżnik ciągnął go do swojej kryjówki.

Potem jednak Caine wzmocnił „uchwyt” i Panda wzbil się nad ziemię. Zawisł plecami do niej. Jego otwarte oczy utkwione były w nierzeczywistych gwiazdach.

Caine uniósł chłopaka ponad wrak samochodu, w górę, coraz wyżej, aż w końcu opuścił go najłagodniej, jak się dało. Panda leżał teraz na drodze.

Caine bez słowa ruszył w stronę Coates.

– Nie zabierzesz go z powrotem? – załkał Robal.

– Weź taczkę – odparł. – Trzeba samemu wozić swoje mięso.

Rozdział 3

63 godziny, 31 minut

Pejcz opadł.

Składał się z mięśni i był węzłem, wijącym się pytonem, który zrywał skórę z jego ramion, pleców i klatki piersiowej.

Ból był nie do zniesienia. Ale Sam Temple go znosił.

Błagał o śmierć. Naprawdę chciał umrzeć. Prosił tego psychopate, by go zabił, przynosząc mu jedyną możliwą ulgę.

Nie umarł jednak. Wytrzymał.

Ból. Nie, to zbyt małe słowo. Ból i straszne upokorzenie.

Bicz opadał znowu, raz po raz, a Drake Merwin śmiał się.

Sam obudził się w łóżku pełnym splątanych, przepoconych prześcieradeł.

Koszmar go nie opuścił. Choć Drake już nie żył, pogrzebany pod górą kamieni, wciąż trzymał Sama w szachu swoją przekształconą w pejcz ręką.

– Wszystko w porządku?

Astrid. Ledwo widoczna w ciemności. Słabe światło gwiazd sączyło się przez okno, okalając ją, gdy tak stała w drzwiach.

Wiedział, jak Astrid wygląda. Była piękna. Pełne współczucia, inteligentne, niebieskie oczy. Jasne włosy, miękkie i potargane, bo sama dopiero wstała z łóżka.

Potrafił ją sobie wyobrazić aż nazbyt łatwo. Obraz bardziej szczegółowy niż rzeczywistość. Często ją sobie wyobrażał, leżąc samemu w łóżku. O wiele za często i za długo. Zbyt wiele nocy.

– Nic mi nie jest – skłamał.

– Śnił ci się koszmar. – To nie było pytanie.

Weszła do środka. Usłyszał szelest jej koszuli nocnej.

Poczuł jej ciepło, gdy usiadła na skraju łóżka.

– Ten sam? – spytała.

– Tak. To się już robi nudne – zażartował. – Wiem, jak się kończy.

– Kończy się tak, że jesteś cały i zdrowy – przypomniała.

Nic nie odpowiedział. Taki był końcowy wynik: przeżył. Tak, był cały. Ale czy zdrowy?

– Idź spać, Astrid – rzucił.

Wyciągnęła do niego rękę, po omacku przesuwała dłoń, nie mogąc znaleźć jego twarzy. W końcu jednak palce natrafiły na policzek. Odwrócił się. Nie chciał, by odkryła tam wilgoć. Astrid nie pozwoliła jednak, by odsunął jej rękę.

– Przestań – szepnął. – Jestem na to za miękki.

– To żart?

Roześmiał się. Napięcie zelzało.

– Niezamierzony.

– Nie chodzi o to, że nie chcę, Sam. – Nachyliła się i pocałowała go w usta.

Odsunął ją.

– Próbujesz mnie zdekoncentrować. Żebym myślał o czymś innym.

– To działa?

– Tak, nawet bardzo dobrze, Astrid.

– Czas na mnie. – Usłyszał, jak wstaje i rusza do wyjścia.

Stoczył się z łóżka. Jego stopy dotknęły zimnej podłogi.

– Muszę zrobić obchód.

Zatrzymała się w drzwiach.

– Sam, słyszałam, jak wróciłeś dwie godziny temu. Prawie nie spałeś. A świt już za parę godzin. Miasto przetrwa je bez ciebie. Dzieciaki Edilia pełnią służbę.

Sam włożył dzinsy i zapiął suwak. Zastanawiał się, czy mówić jej o Orsay, o tym ostatnim szaleństwie. Na to jednak przyjdzie czas później. Nie było pośpiechu.

– Są sprawy, nad którymi chłopaki Edilia nie potrafią zapanować – powiedział.

– Zil? – spytała. Z jej głosu szybko umykało ciepło. – Sam, gardzę Zilem nie mniej niż ty. Ale nie możesz z nim jeszcze walczyć. Musimy zbudować system. Zil to przestępca, ogólnie rzecz biorąc.

– To śmieć i łobuz. Dopóki nie wymyślisz tego swojego świetnego systemu, ktoś musi mieć go na oku – warknął. Zanim zdążyła obruszyć się na jego ton, dodał:

– Przepraszam. Nie chciałem wyładowywać się na tobie.

Astrid wróciła do pokoju. Miał nadzieję, że po prostu za bardzo go lubi, by wyjść, ale nie o to chodziło. Ledwie ją widział, ale słyszał i czuł, że jest bardzo blisko.

– Posłuchaj. Już nie wszystko spoczywa na twoich barkach.

– Wiesz, całkiem niedawno wszyscy chcieliście, żebym brał na siebie całą odpowiedzialność – przypomniał Sam. Wciągnął koszulkę przez głowę. Była sztywna od soli i pachniała jak przyptyw. Oto skutki prania w morskiej wodzie.

– Zgadza się – przyznała. – Jesteś bohaterem. Bez wątpienia największym bohaterem,

jakiego mamy. Ale w dłuższej perspektywie potrzebujemy czegoś więcej. Mianowicie prawa i ludzi, którzy będą pilnować jego przestrzegania. Nie potrzebujemy... – powstrzymała się w samą porę.

Zrobił kwaśną minę.

– Szefa? Trochę trudno się tak szybko przestawić. Jednego dnia jestem po prostu sobą, zajmuję się swoimi sprawami. Potem nadchodzi ETAP i nagle wszyscy mi każą dodać gazu. A teraz nagle chcecie, żebym się cofnął.

Wróciły do niego słowa Orsay, wynurzyły się z zaspanych zakątków świadomości. „Prawdziwy bohater wie, kiedy odejść”. Równie dobrze mogła to powiedzieć Astrid.

– Chcę tylko, żebyś się położył – stwierdziła.

– Wiem, jak możesz mnie do tego nakłonić – zażartował.

Beztróskim gestem pchnęła go dłonią.

– Niezły podstęp.

– I tak teraz nie zasnę – uznał. – Równie dobrze mogę się przejść.

– Spróbuj nikogo nie zabić – odparła.

To miał być żart, ale Sam przejął się nim. Właśnie tak o nim myślała? Nie, nie, to był żart.

– Kocham cię – powiedział, ruszając na schody.

– Ja ciebie też – odrzekła.

Dekka nigdy nie pamiętała snów. Była pewna, że je miewa, bo czasami budziła się z jakimś cieniem w umyśle. Nigdy jednak nie mogła sobie przypomnieć szczegółów. Sny albo koszmary musiały się pojawiać – słyszała, że każdemu coś się śni, nawet psom – ale pozostawały po nich jedynie złe przecucia.

W gruncie rzeczy jej codzienne życie wydawało się sennym koszmarem.

Rodzice Dekki pozbyli się jej. Odesłali ją do Coates Academy, szkoły z internatem dla młodzieży sprawiającej problemy. W przypadku Dekki problemem nie było złe zachowanie ani sporadyczne bójkę – zwykła stawać w obronie dziewcząt, które innych obrońców nie miały, a to czasem prowadziło do konfrontacji. W dziewięciu sytuacjach na dziesięć kończyło się na niczym. Dekka była duża, silna i odważna, więc tamte zwykle znajdowały jakiś pretekst, by się wycofać. Kilka jednak razy doszło do wymiany ciosów.

Czasem Dekka wygrywała, czasem przegrywała.

Jednak to nie bójkę stanowiły problem dla jej rodziców. Sami nauczyli ją walczyć o

swoje.

Problem wiązał się z pocałunkiem. Ktoś z nauczycieli zobaczył, jak całuje się z inną dziewczyną i zadzwonił do rodziców, mimo że nie miało to miejsca w szkole, a na parkingu przed restauracją Claim Jumper.

Dekka pamiętała każdy szczegół tego pocałunku. Pierwszy raz się całowała. Przestraszyła się nie na żarty. Później, gdy już złapała oddech, czuła się podniecona jak nigdy dotąd.

Rodzice, łagodnie mówiąc, zdenerwowali się. Zwłaszcza gdy pierwszy raz otwarcie użyła słowa na literę „l”. Ojciec nie chciał mieć córki lesbijki. Ujął to wtedy nieco ostrzej. Uderzył ją w twarz, mocno, dwa razy. Matka stała rozdygotana, zagubiona i milcząca.

Dekka pojechała więc do Coates, by znaleźć się wśród innych uczniów – przeróżnych, od porządnych dzieciaków, których rodzice z niejasnych względów chcieli się pozbyć, po inteligentnego, manipulującego innymi drania, Caine'a, oraz jego budzącego dreszcz sługusa, Drake'a.

Rodzice wyobrażali sobie, że będzie nieustannie dyscyplinowana. W końcu Coates miało opinię miejsca, w którym dzieciaki po przejściach wracają na dobrą drogę. A jakaś część Dekki chciała „wrócić na dobrą drogę”, bo wtedy jej życie stałoby się o wiele prostsze. Wcale jednak nie zdecydowała, że będzie taka, a nie inna, tak jak nie zdecydowała, że jest czarna. Nie dało się jej „wyprostować”.

W Coates poznała Briannę. I wszelkie myśli o zmianie, o tym, żeby być „normalną”, wyparowały.

Zakochała się w tamtej od pierwszego wejrzenia. Nawet wtedy, na długo przedtem zanim Brianna została „Bryzą”, miała sposób chodzenia i styl bycia, którym Dekka nie mogła się oprzeć. Nie podzieliła się z Brianną tym uczuciem. I sądziła, że pewnie nigdy to nie nastąpi.

Podczas gdy ona była ponura i zamknięta w sobie, Brianna zachowywała się głośno, zuchwale i beztrosko. Dekka szukała jakichś oznak, że Brianna również jest lesbijką. Gdy jednak była ze sobą szczerą, musiała przyznać, że wcale na to nie wygląda.

Ale miłość nie bywa racjonalna. Nie musi mieć sensu. Tak jak nadzieja. Dekka zatem podtrzymywała w sobie oba uczucia.

Czy śniła o Briannie? Nie wiedziała. Chyba nie chciała wiedzieć.

Wytoczyła się z łóżka i wstała. Panowała całkowita ciemność. Odnalazła drogę do okna i rozsunała zasłony. Do świtu pozostała jeszcze przynajmniej godzina. Nie miała zegara. Bo i po co?

Spojrzała w stronę plaży. Dostrzegła piasek i słaby poblask wody.

Znalazła książkę, którą czytała, *Nieznany brzeg* Patricka O'Briana. Należała ona do serii powieści marynistycznych, które znalazła w domu. Niezwykły wybór, ale codzienne, chwilowe przenosiny do innego świata w dziwny sposób dodawały Dekce otuchy.

Zeszła na dół do jedynego źródła światła w całym domu, małej kuli, unoszącej się w powietrzu w jej „salonie”. Dzieciaki nazywały takie kule Słoneczkami Sammy'ego. Sam zrobił ją dla niej, używając swojej dziwacznej mocy. Płonęła dzień i noc. Nie była gorąca w dotyku, nie miała też kabla ani żadnego innego źródła energii. Po prostu paliła się niczym pozbawiona ciężaru żarówka. Magia. Ale magia nie była w ETAP-ie nowością. Dekka też miała swoją magię.

Poszperała w szafce i znalazła zimnego gotowanego karczocha. W ETAP-ie nie brakowało karczochów. Nie były to może jajka na bekonie czy placki ziemniaczane, ale przynajmniej nie musiała głodować. Żywność w ETAP-ie – pełna sarkastyczna nazwa brzmiała Ekstremalne Terytorium Alei Promieniotwórczej – była kiepska, na ogół niesmaczna, a czasami wręcz obrzydliwa, ale przez wcześniejsze miesiące Dekka znosiła długotrwały głód, więc karczoch na śniadanie całkiem jej odpowiadał.

W każdym razie straciła trochę na wadze. Sądziła, że to chyba dobrze.

Bardziej poczuła ruch powietrza niż cokolwiek usłyszała. Trzasnęły drzwi. Dźwięk rozległ się w tej samej chwili, w której pojawiła się Brianna. Zatrzymała się, drgając lekko, pośrodku pokoju.

– Jack wypluwa sobie płuca! Potrzebuję lekarstwa na kaszel!

– Cześć, Brianno – powiedziała Dekka. – Jest środek nocy.

– Nieważne. Ładna piżama, swoją drogą. Kupiłaś ją w sklepie dla kierowców ciężarówek?

– Jest wygodna – odparła łagodnie Dekka.

– Tak. Dla ciebie i dwunastu najbliższych koleżanek. Masz zaokrąglone kształty, w przeciwieństwie do mnie, i powinnaś z dumą je pokazywać, tyle ci powiem.

– Jack choruje? – przypomniała jej Dekka, skrywając uśmiech.

– A tak. Kaszle. Jest cały obolały i marudzi.

Dekka stłumiła w sobie ukłucie zazdrości, że Brianna opiekuje się chorym chłopakiem. I to Komputerowym Jackiem. Był to techniczny geniusz, który w jej opinii w ogóle nie miał kręgosłupa moralnego. Wystarczyło mu pomachać przed nosem klawiaturą komputera, a gotów był zrobić wszystko.

– To pewnie grypa – zaopiniowała.

– No może – odparła Brianna. – Nie mówiłam, że ma wąglik, dzumę czy coś innego. Ale nie rozumiesz. Jak kaszle, to się zwija. Może wierzgnąć i rozwalić łóżko, nie?

– A! – Jack, ku własnej konsternacji, zyskał moc mutanta. Miał siłę dziesięciu dorosłych mężczyzn.

– Połamał mi łóżko!

– Jest w twoim łóżku?

– Nie chciał zniszczyć tych swoich głupich komputerów, dlatego przyszedł do mnie. I teraz demoluje mi mieszkanie. Więc mam taki plan: pójdziesz do mnie, dobra? I sprawisz, żeby lewitował. W powietrzu nie narobi szkód.

Dekka wbiła w nią spojrzenie.

– Masz świra, wiesz? Jeśli czegoś nam nie brakuje, to domów. Weź go gdzieś, gdzie nikt nie mieszka.

– Aha – mruknęła Brianna, jakby uszło z niej powietrze. – Tak.

– Chyba że chcesz, żebym przysłała i dotrzymała ci towarzystwa – powiedziała Dekka, wściekła z powodu nuty nadziei w swoim głosie.

– Nie, w porządku. Wracaj do łóżka.

– Chcesz sprawdzić, czy na górze nie ma czegoś na kaszel?

Brianna podniosła na wpół opróżnioną buteleczkę jakiejś czerwonej cieczy.

– Już to zrobiłam. Dzięki.

– Dobra – odrzekła Dekka, nie potrafiąc w pełni ukryć zawodu, że Brianna odrzuciła jej propozycję pomocy. Tamta jednak niczego nie zauważyła. – Grypa zazwyczaj sama przechodzi po jakimś tygodniu. Chyba że to jednodniówka. Tak czy owak, Jack raczej nie umrze.

– Tak, okej. Na razie – powiedziała Brianna. I już jej nie było. Trzasnęły drzwi.

– Oczywiście czasami grypa bywa śmiertelna – rzuciła Dekka w pustkę. – Zawsze można mieć nadzieję.

Rozdział 4

62 godziny, 33 minuty

Przynieśli mu nogę. Łydkę, ściśle rzecz biorąc. W końcu Caine wciąż był wodzem kurczącego się plemienia dzieciaków z Coates. Zostało ich już tylko piętnaścioro, skoro zabrakło Pandy.

Robal znalazł taczkę i przywiózł Pandę do szkoły. Wraz z kilkoma innymi rozpałił ognisko ze spadłych gałęzi i paru ławek.

Swąd przez resztę nocy nie dał nikomu spać.

A teraz, na godzinę przed świtem, z twarzami umazanymi tłuszczem, przynieśli mu nogę. Lewą. Znak respektu. I niewypowiedzianego pragnienia, by stał się współnikiem ich zbrodni.

Gdy tylko Robal wyszedł, Caine zaczął się trząść.

Głód miał wielką moc. Ale podobnie rzecz się miała z upokorzeniem i gniewem.

Na dole, w Perdido Beach, było jedzenie. Może niewiele, ale Caine wiedział, że widmo głodu oddaliło się od tamtych. Nie jedli może najlepiej, ale znacznie lepiej niż w Coates.

Wszyscy, którzy mogli zdezerterować z Coates, już to zrobili. Pozostali tylko ci, którzy mieli zbyt wiele problemów i zbyt wiele krwi na rękach...

Tak naprawdę zostali już tylko Caine i Diana. I jeszcze tuzin odrażających i zupełnie przegranych osób. Tylko jedna z nich mogła okazać się pomocna w wypadku kłopotów – Penny. Penny, która sprowadzała potwory.

Bywały dni, gdy Caine'owi niemal brakowało Drake'a Merwina. Był nieznównoważony umysłowo, ale przynajmniej przydawał się w walce. Nie wywoływał w ludziach wrażenia, że widzą potwory, tak jak Penny. Drake sam był potworem.

Drake nie wpatrywałby się w to... to coś na stole. W ten aż nazbyt rozpoznawalny kształt, zwęglony i poczerniały. Drake by się nie wahał.

Godzinę później Caine znalazł Dianę. Siedziała w fotelu w swoim pokoju, patrząc, jak pierwsze promienie słońca dotykają wierzchołków drzew. Usiadł na jej łóżku. Sprężyny zaskrzypiały. Była pogrążona w cieniu, niemal niewidoczna w nikłym blasku. Nic, tylko błysk w jej oczach i kontur zapadniętego policzka.

W ciemności mógł udawać, że wciąż jest taka jak dawniej. Piękna Diana. Wiedział jednak, że jej bujne czarne włosy stały się kruche i zmatowiały. Skórę miała ziemistą i

szorstką. Ręce patykowate. Nogi niczym rozdygotane kołki. Nie wyglądała już na czternaście lat. Raczej na czterdzieści.

– Musimy spróbować – powiedział bez wstępów.

– Wiesz, że on kłamie, Caine – szepnęła dziewczyna.

– Nigdy nie był na wyspie.

– Czytał o tym w jakimś czasopiśmie.

Z ust Diany dobyło się echo jej dawnego drwiącego śmiechu.

– Robał czytający czasopismo? Jasne. To znany miłośnik czytania.

Caine nic nie odpowiedział. Siedział nieruchomo, starając się nie myśleć, nie pamiętać. Nie marzyć o tym, by mieli więcej żywności.

– Musimy iść do Sama – przemówiła Diana. – Poddać się. Nie zabiją nas. Będą musieli nas nakarmić.

– Zabiją nas, jeśli się poddamy. Sam może nie, ale inni. To my odpowiadamy za wyłączenie światła. Sam nie zdoła ich powstrzymać. Jeśli nie odmieńcy, jak Dekka, Orc albo Brianna, to gnojki od Zila.

Jedynym, co jeszcze mieli w Coates, była orientacja w tym, co się dzieje w mieście. Robal potrafił stać się niewidzialny. Co parę dni wpadał do Perdido Beach, głównie po to, żeby ukraść coś do jedzenia dla siebie. Ale podsłuchiwał też, o czym mówią. I pewnie czytał podarte czasopisma, których nie chciało mu się przemycać z powrotem.

Diana zmlkła. Caine słuchał jej oddechu.

Czy to zrobiła? Czy popełniła ten grzech? Czy może właśnie go wahała i gardziła nim? Czy chciał wiedzieć? Czy potem mógłby zapomnieć, że jej usta jadły mięso?

– Czemu to ciągniemy, Caine? – spytała. – A gdyby tak się położyć i umrzeć? Albo ty... mógłbyś...

Jej spojrzenie przyprawiło go o mdłości.

– Nie, Diano. Nie. Nie zrobię tego.

– Wyświadczyłbyś mi przysługę – szepnęła.

– Nie możesz. Jeszcze nie zostaliśmy pokonani.

– Jasne. Nie mogę przepuścić takiej okazji – odparła.

– Nie możesz mnie zostawić.

– Wszyscy pójdziemy, Caine. Wszyscy. Żeby miastowi załatwili nas po kolei. Albo zostaniemy tutaj i będziemy głodować. Albo wypadniemy, jak tylko się da.

– Uratowałem cię – dodał i nienawidził siebie za to, że ją błaga. – Ja...

– Masz plan – rzuciła oschłym tonem. Szydziła. Jedną z cech, które w niej uwielbiał,

ta wredna nuta szyderstwa.

- Tak – odrzekł. – Tak. Mam plan.
- Oparty na jakiejś głupiej historyjce Robala.
- To wszystko, co mam. To... i jeszcze ciebie.

Sam wędrował cichymi ulicami.

Po spotkaniu z Orsay czuł niepokój. A także po rozmowie z Astrid w swoim pokoju.

Dlaczego nie powiedział jej o Orsay? Bo obie mówiły to samo?

Odpuść, Sam. Nie próbuj już być wszystkim dla wszystkich. Przestań zgrywać bohatera. Mamy to już za sobą.

Musiał powiedzieć Astrid. Choćby po to, by razem spróbowali zrozumieć, co się dzieje z Orsay. Astrid spokojnie by przeanalizowała sprawę.

Nie było to takie proste. Astrid nie była tylko jego dziewczyną. Przewodziła radzie miejskiej. Musiała składać oficjalne raporty o tym, czego się dowiedziała. Ciągłe się do tego przyzwyczajał. Astrid pragnęła praw, regulacji i logicznego porządku. Przez całe miesiące rządził Sam. Nie chciał tego, ale tak się złożyło, a on przyjął na siebie zobowiązania.

A teraz już nie rządził. To było wyzwolenie. Tak sobie powtarzał: wyzwolenie. Ale zarazem źródło frustracji. Podczas gdy Astrid z resztą zajmowali się zabawą w matki i ojców założycieli, Zil szalał i nikt mu się nie sprzeciwiał.

Sytuacja z Orsay na plaży wstrząsnęła nim. Czy działo się to naprawdę? Czy choćby w najmniejszym stopniu możliwe było, że Orsay ma kontakt z zewnętrznym światem?

Jej moc – zdolność wnikania w cudze sny – nie budziła wątpliwości. Sam raz widział ją, wędrującą przez jego własne sny. I wykorzystał ją do podglądania snów największego wroga, gaiaphage, zanim jeszcze ta potworna istota została zniszczona.

Ale to? Stwierdzenie, że potrafi widzieć sny tych spoza ETAP-u?

Przystanął pośrodku placu i rozejrzał się dookoła. Nie potrzebował perłowego światła, by wiedzieć, że chwasty zarosły schludne niegdyś zieleńce. Wszędzie walało się szkło. Szyby, które przetrwały bitwę, zostały stłuczone przez wandalów. Śmieci wypełniały fontannę. W tym miejscu zaatakowały kojoty. W tym również miejscu Zil próbował powiesić Huntera, bo ten był odmieńcem.

Kościół został w połowie zburzony. Kamienica spłonęła. Graffiti pokrywały wystawy sklepów i schody ratusza – niektóre nic nieznaczące, niektóre romantyczne, większość zaś o treści pełnej nienawiści i gniewu.

Wszystkie okna były ciemne. Wszystkie drzwi pogrążone w cieniu. McDonald's, jeszcze niedawno coś w rodzaju klubu, prowadzonego przez Alberta, został zamknięty. Nie było już prądu, żeby odtwarzać muzykę.

Czy to mogła być prawda? Czy Orsay śniła sny jego matki? Czy tamta przemówiła do Sama? Czy dostrzegła w nim coś, czego on sam nie widział?

Dlaczego ta myśl sprawiała mu tyle bólu?

Zdał sobie sprawę, że to niebezpieczne. Jeśli inne dzieciaki słyszały, jak Orsay mówi takie rzeczy, co się stanie? Bardzo go to dręczyło...

Zamierzał porozmawiać z Orsay. Powiedzieć jej, by przestała. A także jej pomocnicy. Gdyby jednak rozmawiał z Astrid, sprawa zrobiłaby się zbyt poważna. Teraz mógł po prostu wyrzucić lekki nacisk na Orsay, nakłonić ją, by dała spokój.

Wyobrażał sobie, co by zrobiła Astrid. Zaczęłyby mówić o wolności słowa lub czymś podobnym. A może nie, może też dostrzegłaby zagrożenie.

Tyle że jej domeną były teorie, a nie podchodzenie do ludzi i mówienie im prosto w oczy, by przestali.

W jednym z rogów placu znajdowały się groby. Prowizoryczne nagrobki: drewniane krzyże, jedna nieumiejętnie sklecona gwiazda Dawida, parę zwykłych desek wetkniętych pionowo w ziemię. Ktoś przewracał większość nagrobków i nikt nie miał jeszcze czasu, by ustawić je z powrotem.

Sam nie cierpiał tam chodzić. Każdy z tych grobów – a było ich wiele – stanowił jego osobistą porażkę. Skrywał kogoś, kogo nie utrzymał przy życiu.

Wszedł na miękki grunt. Zmarszczył brwi. Skąd się wzięły te grudy?

Uniósł nad głowę lewą rękę. W jego dłoni utworzyła się kula światła. Blask był zielonkawy i cienie jeszcze przy nim ciemniały. Widział jednak, że powierzchnia cmentarza została naruszona. Wszędzie wałała się ziemia, lecz nie w hałdach – raczej jakby ktoś porozrzucił ją byle jak łopatą.

Pośrodku zaś widniał dół. Sam rozjaśnił światło i przytrzymał rękę nad wykopem. Zajrzał do środka, gotów uderzyć, gdyby coś go zaatakowało. Serce waliło mu jak młotem.

Jakiś ruch!

Odskoczył i wystrzelił snopem światła do wykopu. Promień nie wydawał żadnego dźwięku, ale ziemia syczała i skwierczała, topiąc się na szkło.

– Nie! – krzyknął.

Potknął się i upadł na pośladki, wiedząc już, że popełnił błąd. Dostrzegł ruch, a gdy strzelił, w palącym blasku zobaczył, co to takiego.

Podpełzł z powrotem do krawędzi dołu. Zerknął tam, ostrożnie rozświetlając scenę dłonią.

Dziewczynka popatrzyła na niego z przerażeniem. Miała brudne włosy i ubłocone ubranie. Żyła jednak. Nie była poparzona. Żyła.

Usta zaklejono jej taśmą. Z trudem oddychała. Mocno tuliła lalkę. Jej niebieskie oczy patrzyły błagalnie.

Sam położył się, sięgnął w dół i złapał jej wyciągniętą rękę.

Nie była dość silna, by się wydostać. Musiał ciągnąć i szarpać, zmieniać pozycję, znowu ciągnąć. Gdy wreszcie wydobyła się z dołu, od stóp do głów pokrywała ją ziemia. Sam był niemal równie brudny i dyszał z wysiłku.

Zerwał taśmę z jej twarzy. Nie przyszło mu to łatwo. Ktoś owinął ją kilka razy. Dziewczynka krzyczała, gdy wyciągał przylepiec z jej włosów.

– Kim jesteś? – spytał.

Zauważył coś dziwnego. Zwiększył natężenie światła. Ktoś napisał jej coś na czole niezmywalnym flamastrem. Słowo brzmiało „odmieniec”.

Dłoń Sama pociemniała. Powoli, uważając, by jej nie przestraszyć, objął drżące ramiona dziewczynki.

– Wszystko będzie dobrze – skłamał.

– Oni... powiedzieli... dlaczego... – Nie mogła dokończyć. Oparła się na nim, płacząc mu w koszulkę.

– Jesteś Jill. Przepraszam, na początku cię nie poznałem.

– Jill – powtórzyła, pokiwała głową i znowu zaniósła się szlochem. – Nie chcieli, żebym śpiewała.

Zadanie pierwsze, powiedział sobie Sam: zająć się Zilem. Dosyć. Czy to się podobało Astrid i radzie miejskiej czy nie, nadszedł czas, by zająć się Zilem. Albo i nie.

Wbił spojrzenie w dół, z którego ją wyciągnął, widząc go tak naprawdę pierwszy raz. Dziura w ziemi w miejscu, gdzie żadnej dziury być nie powinno. Miała w sobie coś... coś bardzo złego.

Jęknął i gwałtownie wciągnął powietrze. Dreszcz przebiegł mu po plecach.

Grozę budził nie fakt, że dziewczynka wpadła do dołu. Grozę budził sam dół.

Rozdział 5

62 godziny, 06 minut

Sam zabrał Jill do prowadzącej przedszkole Mary Terrafino. Potem znalazł Edilia, obudził go i zaprowadził na plac, do dołu w ziemi.

Edilio spojrzał.

– Aha, dziewczynka tam wpadła, kiedy szła po ciemku – powiedział. Potarł zaspane oczy i energicznie pokręcił głową.

– Tak – potwierdził Sam. – Nie wykopała tej dziury. Ona tylko do niej wpadła.

– Więc skąd dziura? – spytał Edilio.

– Ty mi powiedz.

Tamten uważniej popatrzył na wykop. Z konieczności wziął na siebie ponury obowiązek kopania grobów. Znał każdy z nich, wiedział, kto gdzie spoczywa.

– *Madre de Dios* – szepnął. Przeżegnał się znakiem krzyża. Gdy odwrócił się do Sama oczy miał szeroko otwarte.

– Wiesz, jak to wygląda, prawda?

– A twoim zdaniem?

– Zbyt głęboka, żeby była aż tak wąska. Niemożliwe, żeby ktoś zrobił to łopatą. Stary, tej dziury nie wykopano z góry na dół... tylko od dołu.

Sam skinął głową.

– Owszem.

– Nie przejąłeś się – stwierdził Edilio drżącym głosem.

– Nieprawda – odparł Sam. – To była dziwna noc. Co... kogo tu pochowano?

– Brittney – powiedział Edilio.

– Czyli pogrzebaliśmy ją żywcem?

– Nie myślisz rozsądnie. Minął ponad miesiąc. Nic nie przeżyłoby w ziemi tak długo. Stali obok siebie i patrzyli w dół. W ten zbyt wąski i zbyt głęboki dół.

– Miała na sobie to coś – przypomniał Edilio. – Nie mogliśmy tego zdjąć. Uznaliśmy, że nie żyje, więc to nie miało znaczenia, nie?

– To coś – powtórzył ponuro Sam. – Nigdy się nie dowiedzieliśmy, co to takiego.

– Sam, obaj wiemy, co to było.

Sam zwiesił głowę.

– Musimy zachować to w tajemnicy. Jeśli się wyda, całe miasto oszaleje. Ludzie mają

dosyć zmartwień.

Edilio wydawał się trochę nieswój.

– Sam, już nie jest tak jak dawniej. Mamy teraz radę miejską. Powinni wiedzieć, co się dzieje.

– Jeśli oni się dowiedzą, to dowiedzą się wszyscy – stwierdził Sam.

Edilio nie odpowiedział. Wiedział, że Sam ma rację.

– Znasz Orsay? – spytał Sam.

– Pewnie, że znam – odparł Edilio. – Omal razem nie zginęliśmy.

– Zrób coś dla mnie i miej ją na oku.

– A co się dzieje?

Sam wzruszył ramionami.

– Chyba uważa się za jakiegoś proroka.

– Proroka? Znaczy, jak ci starcy z Biblii?

– Zachowuje się tak, jakby mogła kontaktować się z ludźmi po drugiej stronie. Z rodzicami i tak dalej.

– A naprawdę może? – spytał Edilio.

– Nie wiem, stary. Wątpię. To absurd.

– Pewnie trzeba by spytać Astrid. Zna się na takich rzeczach.

– Wiesz, wolałbym poczekać.

– Czekaj no. Prosisz, żebym o tym też jej nie mówił? Mam ukryć przed radą dwie ważne sprawy?

– Dla ich własnego dobra – odparł Sam. – I dla dobra wszystkich. – Złapał przyjaciela za ramię i przyciągnął bliżej. Cichym głosem dodał: – Edilio, jakie doświadczenie mają tak naprawdę Astrid i Albert? Albo John? Nie wspominając o Howardzie, który, jak obaj wiemy, jest cymbałem. Ty i ja mamy za sobą wszystkie walki od początku ETAP-u. Kocham Astrid, ale jest tak skupiona na swoich pomysłach organizowania wszystkiego, że nie pozwala mi robić tego, co powinienem.

– No tak, ale w sumie potrzebujemy jakichś zasad i tak dalej.

– Oczywiście, że tak – zgodził się Sam. – Potrzebujemy. Ale tymczasem Zil wyrzuca odmieńców z domów, a ktoś albo coś wykopało się z ziemi. Muszę jakoś sobie radzić i nie może być tak, że wszyscy patrzą mi ciągle przez ramię.

– Nie podoba mi się, że zwalasz to na mnie – stwierdził Edilio. Sam nie odpowiedział. Nie byłby w porządku, gdyby dalej naciskał. Kumpel miał rację: nie powinien go o to prosić.

– Wiem – przyznał. – Po prostu... Słuchaj, to tylko na jakiś czas. Dopóki rada nie

ułoży i nie ogłosi swoich praw, ktoś musi pilnować, żeby wszystko się nie rozleciało. Prawda?

W końcu Edilio westchnął.

– Prawda. Dobra, skombinuję nam łopaty. Trzeba to szybko zasypać, zanim ludzie zaczną wychodzić.

Jill była za duża na przedszkole. Sam o tym wiedział. Ale i tak zostawił ją na kolanach Mary.

Świetnie. Tylko tego brakowało Mary: jeszcze jednego dziecka do opieki.

Trudno jednak było odmówić. Zwłaszcza Samowi.

Omiotła pomieszczenie znużonym wzrokiem. Co za bałagan. Będzie musiała ściągnąć Francisa, Elizę i jeszcze kilka osób, żeby podjąć próbę zaprowadzenia tu jakiegoś porządku. Znowu.

Popatrzyła gorzko na mlecznobiałą, plastikową płachtę, zakrywającą zwaloną ścianę między przedszkolem a sklepem z narzędziami. Ile razy prosiła, żeby ktoś pomógł jej się z tym uporać? Sklep z narzędziami plądrowano już wiele razy, więc większość siekier, młotów i palników zniknęła, ale wciąż dookoła poniewierały się gwoździe, śruby i pinezki. Dzieci należało bezustannie pilnować, bo inaczej przeczłogałyby się pod płachtą, a potem dźgały się nawzajem śrubokrętami, co skończyłoby się płaczem i żądaniem opatrunków, które już dawno się skończyły i...

Mary wzięła głęboki wdech. Rada miała wiele pracy. Wiele problemów, którymi należało się zająć. Może ten nie znajdował się na szczycie listy priorytetów.

Posłała wymuszony uśmiech dziewczynce, która popatrzyła na nią z powagą i ścisnęła lalkę.

– Przepraszam, skarbie. Powiedz jeszcze raz, jak masz na imię.

– Jill.

– Miło cię poznać, Jill. Możesz tu zostać przez jakiś czas, dopóki nie znajdziemy czegoś innego.

– Chcę wrócić do domu – odrzekła Jill.

Mary chciała powiedzieć: „Tak, wszyscy tego chcemy, kochanie. Wszyscy chcemy wrócić do domu”. Wiedziała już jednak, że gorycz, ironia i sarkazm niczemu nie służyły w rozmowach z najmłodszymi.

– Co się stało? Czemu włóczyłaś się po ulicy? – spytała.

Mała wzruszyła ramionami.

– Powiedzieli, że mam sobie iść.

– Kto?

Jill znowu wzruszyła ramionami i Mary zacisnęła zęby. Miała dosyć swojej wyrozumiałości. Miała po uszy odpowiedzialności za każde porzucone dziecko w Perdido Beach.

– No dobrze, wiesz, dlaczego opuściłaś swój dom?

– Powiedzieli, że... zrobią mi krzywdę.

Mary nie miała pewności, czy chce dalej naciskać. Społeczność Perdido Beach żyła w stanie bezustannego strachu, niepokoju i zagubienia. Dzieciaki nie zawsze zachowywały się najlepiej. Starsi bracia i siostry nie zawsze radzili sobie z młodszym rodzeństwem.

Mary widziała różne rzeczy... takie, w które wcześniej nigdy by nie uwierzyła.

– No, możesz zostać z nami przez jakiś czas – powiedziała. Przytuliła dziewczynkę. – Francis powie ci, jakie mamy zasady, dobrze? To ten duży chłopak, tam, w rogu.

Jill odwróciła się z ociąganiem i zrobiła parę niepewnych kroków w stronę Francisca. Potem obejrzała się.

– Nie martw się. Nie będę śpiewać.

Mary niemal nie zareagowała. W sposobie, w jaki Jill to powiedziała, było jednak coś szczególnego.

– Oczywiście, że możesz śpiewać – odparła.

– Lepiej nie – powiedziała mała.

– Jaka jest twoja ulubiona piosenka?

Jill wydawała się zawstydzona.

– Nie wiem.

Mary nie ustępowała.

– Chcę posłuchać, jak śpiewasz.

Jill zaśpiewała. Kolędę.

W żłobie leży, któż pobieżny

Kolędować Małemu

Jezusowi Chrystusowi,

Dziś nam narodzonemu...

I świat zatrzymał się.

Później – Mary nie wiedziała, o ile później – Jill usiadła na wolnym łóżeczku, mocno przytuliła lalkę i zasnęła.

Gdy śpiewała, w pomieszczeniu zapadła cisza. Dzieci stały zupełnie nieruchomo, jakby ktoś je zaczarował. Wszystkie oczy płonęły jednak, a usta układały się w rozmarzone półuśmiechy.

Gdy zaś umilkła, Mary popatrzyła na Francisca.

– Czy ty...

Skinął głową. W oczach miał łzy.

– Mary, musisz się trochę przespać, skarbie. Eliza i ja zajmiemy się śniadaniem.

– Tylko posiedzę, żeby mi nogi odpoczęły – odparła. Ale i tak zmorzył ją sen.

Francis obudził ją, jak jej się zdawało, ledwie po paru minutach.

– Muszę iść – oznajmił.

– Już czas? – Potrząsnęła głową, by rozjaśnić umysł. Jej wzrok nie chciał się na niczym skupić.

– Niedługo. A najpierw muszę się pożegnać – powiedział. Położył jej rękę na ramieniu i dodał: – Jesteś wspaniałą osobą, Mary. A teraz przysła do ciebie inna wspaniała osoba.

Wstała, nie do końca rozumiejąc, co Francis do niej mówi. Wiedziała tylko tyle, że ktoś chciał się z nią widzieć.

Orsay. Była tak drobna i krucha, że Mary instynktownie ją lubiła. Sprawiała niemal wrażenie jednego z dzieci, jednego z małych podopiecznych.

Francis dotknął ręki Orsay i zdawało się, że na chwilę pochylił głowę, niemal jak w modlitwie.

– Prorokini – powiedział. – Mateczko Mary, oto Prorokini – dodał, dokonując nad wyraz oficjalnej prezentacji. Mary poczuła się tak, jakby przedstawiano ją prezydentowi.

– Mów mi Orsay, proszę – poprosiła Orsay cichym głosem. – A to moja przyjaciółka, Nerezza.

Nerezza bardzo się od niej różniła. Miała zielone oczy, oliwkową cerę i czarne, lśniące włosy, zebrane z jednej strony w coś na kształt fali. Mary nie przypominała sobie, by widziała ją kiedykolwiek wcześniej. Większą część dnia spędzała jednak w przedszkolu. Rzadko udzielała się towarzysko.

Francis uśmiechnął się, nieco nerwowo, jak jej się zdawało.

– Wszystkiego najlepszego z okazji odrodzin – powiedziała Nerezza.

– Tak. Dziękuję – odrzekł Francis. Skrzyżował ręce, skinął głową Nerezzy, po czym

zwrócił się do Orsay.

– Muszę się spotkać jeszcze z kilkoma osobami, a nie mam wiele czasu. Prorokini, dziękuję, że pokazałaś mi drogę. – Z tymi słowami odwrócił się na pięcie i odszedł.

Orsay wyglądała niemal tak, jakby było jej niedobrze. Jakby chciała coś wypluć. Krótko skinęła Francisowi głową i zacisnęła zęby.

Twarz Nerezzy zdawała się nieodgadniona. Mary pomyślała, że to celowe, że dziewczyna stara się ukryć emocje, które musiały być bardzo silne.

– Cześć... Orsay. – Mary nie miała pewności, jak się teraz do niej zwracać. Słyszała, jak mówiono, że to teraz ktoś w rodzaju proroka, ale nie zaprzętała sobie tym głowy. Ludzie wygadują najróżniejsze dziwne rzeczy. Wyraźnie jednak wywarło to głębokie wrażenie na Francisie.

Zdawało się, że Orsay nie wie, co teraz powiedzieć. Spojrzała na Nerezę, która szybko wypełniła powstałą pustkę.

– Prorokini pragnie ci pomóc, Mary.

– Pomóc mnie? – Mary parsknęła śmiechem. – Akurat wyjątkowo mam wystarczająco wielu ochotników.

– Nie o to chodzi. – Nerezza niecierpliwie machnęła ręką. – Prorokini chciałyby adoptować niedawno przybyłe dziecko.

– Słucham?

– Nazywa się Jill – odezwała się Orsay. – Miałam sen o... – Zawiesiła głos, jakby nie miała pewności, co jej się śniło. Zmarszczyła brwi.

– Jill? – powtórzyła Mary. – Ta mała, którą dręczył Zil? Była tu tylko parę godzin. Skąd w ogóle wiedziałaś, że tu jest?

Na to pytanie odpowiedziała Nerezza.

– Wygnano ją z domu jako odmieńca. Teraz jej brat jest zbyt przestraszony i słaby, by się nią opiekować. Ale jest za duża do przedszkola, Mary. Wiesz o tym.

– Tak – przyznała Mary. – Zdecydowanie za duża.

– Prorokini weźmie ją pod opiekę. Chce to zrobić.

Mary popatrzyła na Orsay, szukając potwierdzenia. Po kilku sekundach Orsay zorientowała się, że powinna coś powiedzieć.

– Tak, chciałabym.

Mary czuła, że coś jest nie w porządku. Nie wiedziała, co się dzieje z Orsay, ale Nerezza bez wątplenia była dziwna, naburmuszona, a nawet, jak jej się zdawało, dość surowa.

Przedszkole jednak nie przyjmowało starszych dzieci. Nie mogło. Zresztą nie

pierwszy raz Mary udzielała tymczasowego schronienia starszemu dziecku, zanim to znalazło inne miejsce, w którym je karmiono.

Francis zdawał się ręczyć za Orsay i Nerezzę. Pewnie to on powiedział im o Jill, gdy Mary spała.

Zmarszczyła brwi, zastanawiając się, czemu tak spieszyło mu się do wyjścia. „Odrodziny”? Co to miało znaczyć?

– Dobra – powiedziała. – Jeśli Jill się zgodzi, może z tobą mieszkać.

W nocy Justin zmoczył łóżko. Jak mały dzidzius. Miał pięć lat, nie był dzidziusiem.

Nie dało się jednak ukryć, że to zrobił.

Powiedział Mateczce Mary, a ona stwierdziła, że to nic takiego, że to się zdarza. Ale Justinowi zwykle się nie zdarzało, kiedy miał prawdziwą mamę. Minęło wiele czasu, odkąd nasiusiał w łóżko.

Płakał, gdy o tym mówił. Nie chciał jej powiedzieć, bo Mateczka Mary wyglądała, jakby miała się rozchorować. Nie była tak miła, jak zazwyczaj. Zwykle zwracał się do Francisa. Często nie siusiał, bo cały dzień prawie nie pił wody. Ale ostatniego wieczora zapomniał, żeby nie pić. I wypił, chociaż tylko trochę.

Miał teraz pięć lat, był starszy od większości dzieci z przedszkola. Nadal jednak moczył łóżko.

Przyszły dwie starsze dziewczyny i zabrały tę śpiewającą dziewczynkę. Justin nie miał nikogo, kto by go zabrał.

Wiedział jednak, gdzie jest jego dom, prawdziwy dom z jego starym łóżkiem. Tego łóżka nigdy nie moczył. Ale teraz miał jakieś głupie łóżko na podłodze, zwykły materac, po którym chodziły inne dzieci, i pewnie dlatego siusiał przez sen.

Jego dawny dom nie znajdował się daleko. Kiedyś tam poszedł. Po prostu żeby popatrzeć i sprawdzić, czy jest prawdziwy. Czasami bowiem nie wierzył, że jest.

Poszedł zajrzeć i sprawdzić, czy znajdzie tam mamę. Długo jej nie widział. A gdy otworzył drzwi i wszedł do środka, przestraszył się i biegiem wrócił do Mateczki Mary.

Teraz jednak był starszy. Wtedy miał tylko cztery i pół roku, a teraz był już pięciolatkiem. Pewnie by się nie przestraszył.

I pewnie nie siusiałby w łóżko, gdyby spał w swoim prawdziwym domu.

Rozdział 6

57 godzin, 17 minut

Światło dnia, jasne i czyste.

Sam i Astrid przeszli przez Market. Nie trwało to długo. Było tam stoisko rybne, teraz niemal już puste, z dwiema małymi ośmiornicami, tuzinem małży i paroma małymi rybkami, tak brzydkimi, że nikt nie odważył się ich kupić.

Za ladę służył długi rozkładany stół, zabrany ze szkolnej stołówki. Ustawiono na nim szare plastikowe pojemniki, używane do noszenia naczyń. Z przodu wisiała tabliczka z kartonu, przylepiona taśmą. Głosiła „Wyśmienite dary morza od Quinna”. Pod spodem, mniejszymi literami, dopisano: „Firma AlberCo”.

– Jak myślisz, co to za ryba? – zwrócił się Sam do Astrid.

Przyjrzała się bliżej wskazanemu okazowi.

– Zdaje się, że to *Pesce niejadalis* – orzekła.

– Tak? – Skrzywił się. – Myślisz, że da się zjeść?

Astrid westchnęła teatralnie.

– *Pesce niejadalis*? Niejadalna? To przecież dowcip. Spróbuj nadażać, to naprawdę było łatwe.

Uśmiechnął się.

– Prawdziwy geniusz wiedziałby, że nie załapię. Ergo, nie jesteś prawdziwym geniuszem. Ha. Widzisz, wtrąciłem „ergo”.

Posłała mu litościwe spojrzenie.

– Robi wrażenie, Sam. Zwłaszcza u chłopaka, który używa słowa „no” w dwudziestu dwóch różnych znaczeniach.

Sam przystanął, ujął ją za ramię, obrócił w swoją stronę i przyciągnął bliżej.

– No – szepnął jej do ucha.

– Dobra, dwudziestu trzech – poprawiła się. Odepchnęła go. – Muszę zrobić zakupy.

Chcesz jeść czy wolisz... no?

– No. Zawsze.

Popatrzyła na niego krytycznie.

– Powiesz mi, dlaczego rano byłeś cały ubrudzony błotem?

– Potknąłem się i upadłem. Kiedy zobaczyłem w ciemnościach tę dziewczynkę, Jill, przewróciłem się o własne nogi. – Nie do końca kłamał. Powiedział część prawdy. Powie

całą, gdy tylko będzie miał okazję poukładać sobie to wszystko. Była to dziwna, niepokojąca noc: potrzebował czasu, żeby się namyślić i opracować plan. Zawsze lepiej było iść do rady z gotowym planem. Wtedy mogli po prostu powiedzieć „okej” i pozwolić mu go realizować.

Market powstał na boisku szkolnym. Dzięki temu młodsze dzieci mogły się bawić, podczas gdy starsze robiły zakupy, plotkowały albo przyglądały się sobie nawzajem. Sam zauważył, że uważniej przypatruje się twarzom. Tak naprawdę nie spodziewał się, że zobaczy Brittney. To było szaleństwo. Musiało istnieć inne wyjaśnienie. Miał jednak oczy szeroko otwarte.

Co by zrobił, gdyby naprawdę zobaczył przechadzającą się martwą dziewczynę – nad tym musiał jeszcze pomyśleć. Choć życie w ETAP-ie bywało bardzo dziwne, z takim problemem dotąd nie musiał się zmierzyć.

W Markecie znajdowały się poukładane bez żadnego widocznego porządku: „Wyśmienite Dary Morza od Quinna”; stoisko z warzywami, nazwane „Prezentami Dżdżownicy”; stragan z książkami pod szyldem „Złamany Grzbiet”; pełne much stoisko „Tajemniczych Mięś”; „Totalne Słońce”, gdzie dwójka przedsiębiorczych dzieciaków zgromadziła kilka ogniw słonecznych i używała ich do ładowania baterii; „Wymiana Szmelcu”, gdzie dokonywano wymiany i sprzedaży zabawek, ubrań i różnych innych rzeczy.

W pewnej odległości ustawiono opalany drewnem grill. Można było zanieść tam swoje ryby, mięso czy jarzyny i upiec za drobną opłatą. Po pieczeniu nad żarem niemal wszystko – dziczyzna, mięso szopów, gołębi, szcurek, kojotów – miało mniej więcej ten sam smak dymu i spalenizny. Ale żadne piekarniki czy mikrofalówki już nie działały, nie było też oleju spożywczego, brakowało masła, więc nawet ci, którzy kucharzyli sami, powtarzali tę samą procedurę. Pozostawało jeszcze gotowanie. Dwie dziewczyny, które prowadziły ten interes, trzymały na ogniu duży garnek wrzątku. Wszyscy jednak się zgadzali, że szcurek z grilla smakuje lepiej niż gotowany.

„Restauracja” zmieniała nazwę co kilka dni. Był już „Grill u Sue”, „Nie wierzę, że to nie Pizza Kitchen”, „Jedź i Rzygaj”, „Bierz i Spadaj”, „Grill u Toma” i „Le Grand Barbecue”. Dzisiaj tabliczka głosiła „AZ”, a pod spodem, mniejszymi literami „Ale Żarcie”.

Dzieciaki przesiadywały przy dwóch z trzech rozchwianych stolików, na odchylonych krzesłach, trzymając nogi na blatach. Niektóre jadły, niektóre nie robiły nic. Sam pomyślał – nie pierwszy raz – że wyglądają jak w młodzieżowej wersji jakiegoś filmu o końcu świata. Uzbrojone, w dziwacznych strojach i nakryciach głowy, w męskich i damskich ubraniach, płaszczach z obrusów, bosa albo w niedopasowanych butach.

Wodę pitną należało teraz przywozić z na wpeł opróżnionego zbiornika na wzgórzach

pod miastem. Benzynę ściśle racjonowano, żeby ciężarówki z wodą mogły kursować jak najdłużej. Rada miała opracowany plan na wypadek, gdyby zabrakło benzyny: przenieść wszystkich w okolice zbiornika. O ile będzie tam jeszcze woda.

Obliczyli, że mają pół roku, zanim woda się skończy. Samowi zdawało się to bzdurą, podobnie jak większość decyzji rady. Rada przynajmniej połowę czasu poświęcała na układanie scenariuszy, o które potem się spierała, nie dochodząc nawet do żadnej konkluzji. Odkąd istniała, zajmowała się rzekomo opracowywaniem praw. Sam ze wszystkich sił starał się być cierpliwy, ale podczas gdy tamci guzdrali się i debatowali, wciąż musiał utrzymywać pokój. Oni mieli swoje zasady, a on swoje. Jego zasady były tymi, według których żyła większość dzieciaków.

Market przylegał do zachodniej ściany szkolnej sali gimnastycznej. W ten sposób wykorzystywano cień. Gdy słońce wznosiło się wyżej, w stoiskach zaczynało brakować towaru, więc je zamykano. W niektóre dni żywności było bardzo, bardzo niewiele. Ale nikt nie umierał z głodu.

Wodę przywożono w dwudziestolitrowych plastikowych baniakach i rozdawano bezpłatnie – cztery litry dziennie na osobę. Na wodnej liście widniało 306 nazwisk.

Krażyła plotka, że kilka osób mieszka poza miastem na farmie. Sam jednak nigdy nie widział żadnych dowodów. A wymysłami się nie przejmował.

Pozostałych szesnaścioro mieszkańców ETAP-u, o których było wiadomo, żyło na wzgórzu, w Coates Academy.

Tylko tyle osób zostało z bandy Caine'a. Co jedli i pili – nie należało do zmartwień Sama.

W pewnej odległości od szkolnego ogrodzenia, w niewielkim cieniu „tymczasowego” budynku, działała inna grupa. Dziewczyna układała karty tarota za jednego berta. Berto to był skrót od Alberta. Albert stworzył walutę opartą na złotych pociskach i żetonach z McDonald'sa. Chciał nazwać ją jakąś inaczej, ale nikt nie pamiętał jak. Zostały zatem berty, nazwa ukuta oczywiście przez Howarda, który wymyślił także ETAP na określenie ich małego świata.

Sam uważał wcześniej Alberta za wariata z powodu tej obsesji na punkcie wprowadzenia pieniędzy. Ale fakty mówiły za siebie: system Alberta pozwalał wytwarzać dosyć żywności, by mogli przeżyć. I znacznie więcej dzieciaków pracowało. Mniej się objęło. Nakłonienie ich do ciężkiej pracy w polu nie było już niemożliwe. Pracowali za berty i wydawali berty. Przynajmniej na razie głód stał się tylko złym wspomnieniem.

Tarocistkę ignorowano. Nikt nie chciał marnować na to pieniędzy. Jakiś chłopak

brzdąkał na gitarze, a jego siostra grała na profesjonalnej perkusji, zabranej z czyjegoś domu. Nie szło im najlepiej, ale tworzyli muzykę, a w Perdido Beach – bez elektryczności, bez nagranych utworów, iPodów czy sprzętu stereo, gdzie dyski komputerowe tylko się kurzyły, a odtwarzaczy DVD nikt nie dotykał – nawet taka marna rozrywka była mile widziana.

Na oczach Sama jakaś dziewczyna położyła ćwiartkę melona na przeznaczony na datki tacy muzyków. Tamci natychmiast przestali grać, połamali owoc na kawałki i zjedli.

Wiedział, że jest jeszcze drugi rynek, ukryty, ale łatwy do znalezienia dla zainteresowanych. Na tym rynku sprzedawano alkohol, trawkę i różne inne nielegalne towary. Sam próbował powstrzymać handel alkoholem i narkotykami, ale niewiele osiągnął. Miał znacznie pilniejsze sprawy.

– Nowe graffiti – zauważyła Astrid, patrząc na ścianę za stoiskiem z mięsem.

Czarno-czerwone logo układały się w litery E i L. Ekipa Ludzi. Grupa nienawiści pod przewodnictwem Zila Sperry'ego.

– Tak, pełno tego w mieście – powiedział Sam. Wiedział, że nie powinien mówić dalej, ale i tak mówił. – Gdybym nie był na smyczy, poszedłbym na tak zwany teren Zila i raz na zawsze położył temu kres.

– Co masz na myśli? Zabiłbyś go? – spytała, udając głupią.

– Nie, Astrid. Zaciągnąłbym go do ratusza i zamknął, aż dorośnie.

– Innymi słowy, wsadziłbyś go do więzienia. Bo tak postanowiłeś. Na tak długo, jak sam zdecydujesz – podsumowała. – Jak na kogoś, kto nigdy nie chciał rządzić, aż się palisz, by zostać dyktatorem.

Westchnął.

– Dobra. Co mi tam. Nie chcę walczyć.

– I jak tam ta dziewczynka znaleziona w nocy? – spytała Astrid, zmieniając temat.

– Mary się nią opiekowała. – Zawahał się. Obejrzał się przez ramię, by się upewnić, czy nikt nie podsłuchuje. – Poprosiła ją, żeby zaśpiewała. Mówi, że kiedy mała śpiewa, świat jakby się zatrzymywał. Wiesz, nikt nic nie mówi, nikt się nie rusza, całe przedszkole właściwie zamarło. Mary twierdzi, że to tak, jakby śpiewał anioł. Tylko dla ciebie.

– Anioł? – powtórzyła z powątpiewaniem.

– No, myślałem, że wierzysz w anioły.

– Wierzę. Ale nie sądzę, żeby ta dziewczynka była jednym z nich. – Westchnęła. – To raczej syrena.

Popatrzył na nią tępo.

– Nie – powiedziała. – Nie taka syrena w radiowozie. Odyseusz. Ulisses. Syreny.

Kiedy śpiewały, żaden mężczyzna nie mógł im się oprzeć.

– Wiedziałem o tym.

– Mhm.

– Naprawdę. W *Simpsonach* była parodia.

Westchnęła.

– Czemu właściwie jestem z tobą?

– Bo jestem niewiarygodnie przystojny?

– Jesteś umiarkowanie przystojny, prawdę mówiąc – droczyła się.

– To może atrakcyjny ze mnie dyktator?

– Nie pamiętam, żebym użyła słowa „atrakcyjny”.

Uśmiechnął się.

– Nie musiałaś. Masz to w oczach.

Pocałowali się. Nie był to namiętny pocałunek, ale przyjemny, jak zawsze. Ktoś zagwizdał drwiąco. Ktoś inny zawołał:

– Znajdźcie sobie pokój!

Sam i Astrid nie zwrócili na to wszystko uwagi. Oboje wiedzieli, że są „pierwszą parą” w ETAP-ie, a ich związek stanowi dla innych symbol stabilizacji. Tak jakby dzieciaki zobaczyły całujących się rodziców: widok trochę żenujący, ale podnoszący na duchu.

– To co teraz zrobimy z Syreną? – spytała Astrid. – Jest za duża, żeby zostać u Mary.

– Orsay wzięła ją do siebie – oznajmił Sam. Czekał, czy wzmianka o Orsay wywoła ze strony Astrid jakąś reakcję. Ale nie. Najwyraźniej nie wiedziała.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Sam?

Odwrócił się i zobaczył Francis. Zirykowało go to. Przecież próbował właśnie omówić z Astrid kwestię swojej atrakcyjności.

– O co chodzi, Francis?

Francis najwyraźniej czuł się nieswojo. Wzruszył ramionami. Potem wyciągnął rękę. Sam zawahał się, po czym nieco zażenowany, uściskał mu dłoń.

– Czuję, że powinienem podziękować – stwierdził tamten.

– No, eee... w porządku...

– I nie uważam, że to twoja wina, dobra? – ciągnął.

– A... i nie gniewaj się na mnie. Próbowałem...

– O czym ty mówisz?

– Dziś moje urodziny – wyjaśnił Francis. – Wielka piętnastka.

Sam poczuł, że po plecach spływa mu strużka potu.

– Jesteś gotowy? Znaczący, przeczytałeś, co musisz zrobić?

– Przeczytałem – potwierdził Francis. Ton głosu zdradził go jednak. Sam złapał go za ramię.

– O, nie, Francis. Nie.

– Wszystko będzie dobrze – odparł tamten.

– Nie – zaprzeczyła z naciskiem Astrid. – Nie chcesz tego naprawdę.

Francis wzruszył ramionami. Potem uśmiechnął się nieśmiało.

– Moja mama mnie potrzebuje. Niedawno rozstali się z tatą. A zresztą, tęsknię za nią.

– Jak to: niedawno się rozstali?

– Myśleli o tym od dłuższego czasu. Ale w zeszłym tygodniu tata po prostu odszedł. A ona jest sama, więc...

– Francis, o czym ty mówisz? – spytała Astrid z irytacją.

– Jesteśmy w ETAP-ie od siedmiu miesięcy. Nie wiesz, co się dzieje z twoimi rodzicami.

– Prorokini mi powiedziała.

– Kto? – warknęła dziewczyna. – Piłeś coś?

Sam stał jak wryty, niezdolny do reakcji. Od razu wiedział, o co tu chodzi.

– Prorokini mi powiedziała – powtórzył tamten. – Widziała... Ona wie. – Ogarniały go coraz większe emocje. – Słuchajcie, nie chcę, żebyście się na mnie gniewali.

– To przestań się zachowywać jak idiota – odparł Sam, odzyskawszy wreszcie głos.

– Mama mnie potrzebuje – stwierdził Francis. – Bardziej niż wy. Muszę do niej iść.

– A skąd pomysł, że jak zrobisz „puf” to trafisz do swojej matki?

– To są drzwi – powiedział. Gdy mówił, oczy zaszyły mu mgłą. Nie patrzył już na Sama. Głos miał taki, jakby powtarzał coś, co usłyszał. – Drzwi, przejście, droga do szczęścia. Nie urodziny, tylko odrodzenie.

– Nie wiem, kto ci to mówił, ale to nieprawda – odrzekła Astrid. – Nikt nie wie, co się dzieje, kiedy wypadniesz.

– Ona wie – powiedział Francis. – Wytłumaczyła mi.

– Mówię ci, żebyś tego nie robił – odparł Sam z naciskiem. – Słuchaj, wiem o Orsay. Jasne? Może ona myśli, że to prawda, ale nie możesz ryzykować.

Poczuł przeszywające spojrzenie Astrid. Zignorował niewypowiedziane pytanie.

– Stary, ty tu rządzisz – stwierdził Francis z łagodnym uśmiechem. – Ale nawet ty nie możesz tego kontrolować.

Odwrócił się i oddalił szybko. Zatrzymał się cztery kroki dalej. Mary Terrafino biegła

w jego stronę. Wymachiwała patykowatymi rękami i krzyczała.

– Francis! Nie!

Podniósł rękę i spojrział na zegarek. Na jego twarzy malował się pogodny uśmiech.

Mary dopadła do niego, złapała go za koszulkę.

– Nie zostawiaj tych dzieci. Nie waż się ich zostawiać! Zbyt wiele straciły. Kochają cię.

Zsunął z ręki zegarek i wyciągnął w jej stronę.

– Tylko to mogę ci dać.

– Francis, nie!

Krzyczała jednak w powietrze i próbowała chwycić powietrze.

Zegarek leżał w trawie. Francis zniknął.

Rozdział 7

56 godzin, 30 minut

– Czego jeszcze nam nie mówiłeś, Sam?

Astrid zwołała zebranie rady miejskiej. Nie krzyczała na niego, gdy byli sami. Przygwoździła go tylko jadowitym spojrzeniem i oznajmiła:

– Zwołuję zebranie.

Teraz siedzieli w dawnej sali konferencyjnej burmistrza. Panował półmrok, a jedyne światło sączyło się z okna, które samo było pogrążone w cieniu. Stał tu ciężki, drewniany stół oraz wygodne, luksusowe krzesła. Ściany przyozdobiono dużymi, oprawionymi w ramy fotografiami byłych burmistrzów Perdido Beach.

Sam zawsze czuł się w tym pomieszczeniu jak głupek. Siedział na zbyt dużym krześle na końcu stołu. Astrid zajęła miejsce naprzeciwko. Dłonie oparła o stół, szczupłe palce leżały płasko na powierzchni blatu.

Dekka siedziała skrzywiona, rozdrażniona, choć Sam nie był pewien, czym lub kim. Z jednego z warkoczyków sterczało coś niebieskiego, lecz nikt nie był na tyle głupi, żeby to zauważyć albo się roześmiać.

Dekka była odmieńcem, oprócz Sama jedynym w tej sali. Jej moc polegała na umiejętności chwilowego przerywania działania siły ciężenia na małym obszarze. Sam zaliczał ją do sojuszników. Nie przepadała za niekończącą się, jałową gadaniną i beczynnością.

Z nich wszystkich najlepiej ubrany był Albert. Nosił nadzwyczaj czystą i na oko nieprześniętą solą koszulkę polo, a także stosunkowo niepomięte luźne spodnie. Wyglądał jak młody biznesmen, który zahaczył o zebranie w drodze na partyjkę golfa.

Był normalny, choć zdawał się mieć niemal nadnaturalną zdolność organizowania, działania, prowadzenia interesów. Patrząc na całą grupę spod półprzymkniętych powiek, Sam wiedział, że to zapewne najbardziej wpływowa osoba w tym pomieszczeniu. Albert, w większym stopniu niż ktokolwiek inny, zapobiegł głodowi w Perdido Beach.

Edilio skulił się, podpierając głowę obiema rękami i unikając kontaktu wzrokowego z kimkolwiek. O krzesło oparł pistolet maszynowy. Widok, który stał się aż zbyt zwyczajny.

Edilio pełnił oficjalnie funkcję komendanta żandarmerii. Choć był zapewne najłagodniejszym, najskromniejszym i najmniej aroganckim członkiem rady, właśnie on miał pilnować przestrzegania wprowadzonych przez nią przepisów. O ile rada w końcu jakies

przepisy wprowadzi.

Howard był w tej talii istnym jokerem. Sam wciąż nie wiedział, w jaki sposób namówił go do uczestnictwa w radzie. Nikt nie miał wątpliwości, że to mądry chłopak. Ale nikt nie podejrzewał go o kręgosłup moralny. Howard podlizywał się Orkowi, ponuremu, zapijaczonemu chłopakowi, który zmienił się w potwora i parę razy walczył po właściwej stronie, gdy naprawdę się to liczyło.

Najmłodszym członkiem rady był chłopiec o miłej twarzy i nazwisku John Terrafino. Młodszy brat Mary. I on nie dysponował żadną mocą. Rzadko miał coś do powiedzenia, na ogół tylko słuchał. Wszyscy przypuszczali, że głośuje tak, jak powie mu siostra. W radzie mogłaby zatem zasiadać Mary, była jednak po pierwsze niezastąpiona gdzie indziej, po drugie bardzo delikatna.

Siedmioro członków rady. Astrid jako przewodnicząca. Pięcioro normalnych, dwoje odmieńców.

– Ostatniej nocy stało się parę innych rzeczy – powiedział Sam najspokojniej, jak umiał. Nie chciał sporu. A już zwłaszcza sporu z Astrid. Kochał ją. Rozpaczliwie. Była przecież wszystkim, co w jego życiu dobre.

A teraz aż roznosiła ją wściekłość.

– Wiemy o Jill – stwierdziła.

– I o łobuzach Zila. Którzy nie robiliby już takich rzeczy, gdybyśmy zlikwidowali tę bandę – mruknęła Dekka.

– Głosowaliśmy nad tym – przypomniała Astrid.

– Tak, wiem. Cztery osoby za tym, żeby pozwoić choremu gnojkwowi i jego chorym koleżkom terroryzować całe miasto – warknęła Dekka.

– Za tym, żeby mieć jakiś system prawny, a nie tylko odpowiadać złem na zło – odparła Astrid.

– Nie możemy po prostu aresztować ludzi bez żadnych reguł – dodał Albert.

– Tak, Sammy – odezwał się z uśmiechem Howard. – Nie możesz chodzić ze swoimi laserowymi rękami, kiedy tylko uznasz, że kogoś nie lubisz.

Dekka przekręciła się na krześle, pochylając naprzód silne ramiona.

– Racja, lepiej pozwoić, żeby straszono i wyrzucano z domu małe dziewczynki.

– Słuchajcie, powiedzmy to sobie raz na zawsze, wykluczony jest system, w którym Sam pełni funkcję prokuratora, sędziego i kata – powiedziała Astrid. Nieco złagodziła swoją wypowiedź, dodając: – Chociaż jeśli komuś ufam, to właśnie jemu. Sam jest bohaterem. Ale trzeba, żeby wszyscy w ETAP-ie wiedzieli, co jest w porządku, a co nie. Potrzebujemy reguł.

Jedna osoba nie może decydować, kto łamie zasady, a kto nie.

– Dobrze pracował – szepnął John. – Francis. Naprawdę dobrze. Maluchy będą za nim na maksa tęsknić. Kochały go.

– Dowiedziałem się o tym dopiero w nocy. A właściwie dzisiaj wczesnie rano – oznajmił Sam. Pokrótce opisał to, co słyszał i widział na zgromadzeniu u Orsay.

– Czy to może być prawda? – spytał Albert. Wydawał się zaniepokojony. Sam rozumiał jego sprzeczne uczucia. W dawnych czasach Albert był zwykłym dzieciakiem, którego nikt tak naprawdę nie zauważał, a teraz w wielu kwestiach decydował o losach Perdido Beach.

– Myślę, że w żaden sposób się tego nie dowiemy – powiedziała Astrid.

Wszyscy zamilkli. Myśl o możliwości kontaktu z rodzicami, przyjaciółmi i rodziną spoza ETAP-u mąciła w głowie. Myśl, że ci z zewnątrz mogą wiedzieć, co się tutaj dzieje...

Nawet teraz Sam, choć miał już trochę czasu, by wszystko przetrwać, odczuwał silne i niekoniecznie miłe emocje. Długo prześladował go lęk, że jeśli pewnego dnia mur ETAP-u runie, on zostanie pociągnięty do odpowiedzialności. Za tych, którym odebrał życie. Za tych, których nie ocalił od śmierci. Myśl, że cały świat może patrzeć, analizować jego działania, kwestionować każdy wywołany paniką ruch, każdą chwilę rozpacz, budziła co najmniej niepokój.

O tak wielu rzeczach chciałby nigdy nie rozmawiać. Tak wiele rzeczy dałoby się przedstawić w jak najgorszym świetle.

Panie Temple, może pan wyjaśnić, czemu siedział pan z założonymi rękami, gdy dzieci marnowały większość zapasów żywności, co w konsekwencji doprowadziło do głodu?

Chce pan nam powiedzieć, panie Temple, że dzieci gotowały i jadły własne zwierzęta domowe?

Panie Temple, jak pan wytłumaczy te groby na placu?

Zacisnął pięści i zapanował nad oddechem.

– Francis tak naprawdę popełnił samobójstwo – odezwała się Dekka.

– To chyba trochę za mocne stwierdzenie – odparł Howard. Odchylił się na krześle, położył nogi na stole i zaplótł palce na chudym brzuchu. Wiedział, że swoim zachowaniem zirytuje Astrid. Właściwie, pomyślał Sam, zrobił to specjalnie. – Chciał szybko wrócić do domu, do mamusi. Oczywiście, trudno mi uwierzyć, że ktoś mógłby z własnej woli wypaść z ETAP-u. Znaczący, gdzie indziej można jeść szczury, używać podwórka jako toalety i żyć w ciągłym strachu przed kilkunastoma różnymi zagrożeniami?

Nikt się nie roześmiał.

– Nie możemy dzieciakom na to pozwolić – stwierdziła Astrid. Wydawała się pewna swego.

– A jak je powstrzymać? – spytał Edilio. Podniósł głowę i Sam zobaczył rozpacz na jego twarzy. – Jak twoim zdaniem to zrobić? Gdy nadchodzą twoje piętnaste urodziny, najłatwiej zrobić „puf”. By się temu przeciwstawić, trzeba walczyć. Wiemy o tym. Więc jak wszystkim powiedzieć, że ta cała akcja z Orsay to nieprawda?

– Po prostu im powiedzmy – odparła Astrid.

– Ale nie wiemy, czy to prawda, czy nie – upierał się Edilio.

Astrid wzruszyła ramionami. Patrzyła w pustkę, jej twarz zastygła w bezruchu.

– Powiemy im, że to wszystko wymyśli. Dzieciaki nie cierpią tego miejsca, ale nie chcą umierać.

– Jak możemy im powiedzieć, skoro nie wiemy? – Edilio wydawał się szczerze zdumiony.

Howard parsknął śmiechem.

– Dilio, Dilio, czasami taki z ciebie głupek. – Zestawił nogi na ziemię i nachylił się do Edilia, jakby zdradzał mu jakąś tajemnicę. – Ona chce powiedzieć, że skłamiemy. Astrid życzy sobie, żebyśmy wszystkich okłamali i powiedzieli, że mamy pewność.

Edilio popatrzył na Astrid, jakby się spodziewał, że zaprzeczy.

– To dla ich własnego dobra – powiedziała cichym głosem, wciąż patrząc w pustkę.

– Wiecie, co jest zabawne? – spytał z uśmiechem Howard. – Byłem pewien, że spotykamy się, żeby Astrid mogła ochrzanić publicznie Sama, że nie mówi nam całej prawdy. A teraz okazuje się, że tak naprawdę chce nas wszystkich namówić, żebyśmy zostali kłamcami.

– Zostali? – parsknęła Dekka i posłała mu cyniczne spojrzenie. – Dla ciebie to nie pierwszozna.

Odezwała się Astrid.

– Słuchajcie, jeśli pozwolimy Orsay ciągnąć to wariactwo, nie tylko będziemy mieli osoby wypadające w swoje piętnaste urodziny. Innym dzieciakom nie będzie się chciało czekać tak długo. Postanowię skończyć z tym od razu, sądząc, że obudzą się po drugiej stronie ze swoimi rodzicami.

Wszyscy siedzący przy stole natychmiast odchylił się w tył, chłonąc te słowa.

– Nie mogę kłamać – powiedział po prostu John. Pokręcił głową i jego rude loki się zatrzęsły.

– Jesteś członkiem rady – warknęła Astrid. – Musisz się podporządkować naszym

decyzjom. Taki jest układ. Inaczej to nie będzie działać. – A potem spokojniejszym głosem dodała: – John, czy Mary niedługo nie skończy piętnastu lat?

Zobaczyła, że cios trafił w cel. Mary była zapewne najbardziej niezbędną osobą w Perdido Beach. Już na samym początku zgłosiła się na ochotnika i zaczęła prowadzić przedszkole. Została opiekunką najmłodszych.

Mary miała jednak własne problemy. Cierpiała na anoreksję i bulimię. Łykała też leki przeciwdepresyjne całymi garściami, ale zapas szybko się kończył.

Dahra Baidoo, która zajmowała się dystrybucją leków, przyszła w tajemnicy do Sama i powiedziała, że Mary zgłasza się co kilka dni, prosząc o wszystko, co Dahra miała.

– Bierze prozac, zoloft i lexapro, a to nie są pierwsze lepsze leki, Sam. Trzeba zaczynać i kończyć ich przyjmowanie bardzo ostrożnie, zgodnie z zaleceniami. Nie można brać każdego jak leci i łączyć ze sobą.

Sam nie przekazał informacji nikomu z wyjątkiem Astrid. I uprzedził Dahrę, by zachowała to dla siebie. Zanotował sobie w pamięci, by porozmawiać z Mary, lecz potem zapomniał.

Teraz ze zdjętej grozą miny Johna wywnioskował, że ten wcale nie ma pewności, czy Mary nie skorzysta z okazji, by odejść.

Przeprowadzili głosowanie. Astrid, Albert i Howard natychmiast podnieśli ręce.

– Nie – odmówił Edilio, kręcąc głową. – Musiałbym okłamywać swoich ludzi, swoich żołnierzy. Dzieciaki, które mi ufają.

– Nie – zagłosował John. – Ja... jestem tylko dzieckiem i w ogóle... musiałbym kłamać przed Mary...

Dekka popatrzyła na Sama.

– Co ty na to, Sam?

Przerwała jej Astrid.

– Słuchajcie, możemy wprowadzić inne rozwiązania tylko tymczasowo. Dopóki się nie dowiemy, czy Orsay zmyśla. Gdyby potem przyszła i przyznała, że to było oszustwo, mielibyśmy odpowiedź.

– Może powinniśmy poddać ją torturom – odezwał się Howard, tylko częściowo żartując.

– Nie możemy siedzieć beczynnie, jeśli obawiamy się, że dzieciaki będą umierały – błagała Astrid. – Samobójstwo to grzech śmiertelny. Te osoby nie wyjdą z ETAP-u, tylko pójdą do piekła.

– No, no – powiedział Howard. – Do piekła? A skąd to dokładnie wiadomo? Nie

wiesz lepiej niż ktokolwiek z nas, co się dzieje po „puf”.

– Czyli o to w tym wszystkim chodzi? – spytała Dekka. – O twoją religię?

– Każda religia sprzeciwia się samobójstwu – warknęła Astrid.

– Też jestem mu przeciwna – odparła Dekka tonem usprawiedliwienia. – Nie chcę tylko, żeby wciągano mnie w jakieś sprawy religijne.

– Cokolwiek wyczynia Orsay, nie ma to nic wspólnego z religią – powiedziała Astrid lodowatym tonem.

Sam słyszał w głowie głos Orsay. „Wypuść ich, Sam. Wypuść, gdy nadejdzie ich czas”.

Słowa jego matki, o ile Orsay mówiła prawdę.

– Spróbujmy przez tydzień – przemówił.

Dekka wzięła głęboki wdech, po czym od razu wypuściła powietrze.

– Dobra. Zgodzę się z Samem. Kłamiemy przez tydzień.

Zebranie się skończyło. Sam pierwszy wyszedł z sali, łaknąc nagle świeżego powietrza. Edilio dogonił go.

– Hej. Hej! Nie powiedzieliśmy im, co widzieliśmy w nocy.

Sam zatrzymał się i popatrzył w stronę placu, w stronę dołu, który zasypali.

– Tak? A co widzieliśmy? Ja widziałem dziurę w ziemi.

Nie dał koledze szansy na odpowiedź. Nie chciał słuchać, co Edilio ma do powiedzenia. Oddalił się pospiesznie.

Rozdział 8

55 godzin, 17 minut

Caine nie cierpiał rozmów z Robalem. Ten chłopak przyprawiał go o dreszcze. Przede wszystkim stawał się coraz mniej widzialny. Kiedyś wykonywał swoją sztuczkę ze znikaniem jedynie w sytuacjach koniecznych. Potem zaczął to robić, gdy chciał kogoś śledzić, czyli dosyć często.

Teraz stawał się widzialny, tylko jeśli Caine mu kazał.

Caine postawił wszystko na opowieść Robala. Opowieść o magicznej wyspie. Było to, ma się rozumieć, szaleństwo. Ale kiedy rzeczywistość była beznadziejna, fantazja stawała się niemal niezbędna.

– Daleko do tego twojego gospodarstwa, Robalu?

– Niedaleko. Wyluzuj.

– Sam wyluzuj – mruknął Caine.

Robal szedł niewidzialny przez otwarte pola. Widać było tylko zagłębienia w ziemi tam, gdzie stawał nogi. Caine z kolei był aż nazbyt dobrze widoczny. Maszerował przez pyliste, zaorane pole pod jasnym, gorącym słońcem. Robal twierdził, że na tych polach nikogo nie było. Że nic tu nie rosło i nikt z ludzi Sama nie wiedział o gospodarstwie, trudnym do zauważenia, bo położonym w pewnej odległości od polnej drogi i na oko opustoszałym.

Pierwsze pytanie Caine'a brzmiało:

– Więc skąd ty o nich wiesz?

– Ja dużo wiem – odparł Robal. – Poza tym dawno temu kazałeś mi mieć na oku Zila.

– A skąd Zil wie o tym wiejskim domu?

Odpowiedział mu głos znad śladów niewidzialnych stóp.

– Zdaje się, że jeden z chłopaków Zila znał kiedyś te dzieciaki.

– Mają tam jedzenie?

– Tak, trochę. Ale mają też strzelby. I ta dziewczyna, Emily. To chyba jakiś odmieniec. Nie wiem, co umie, nie widziałem, żeby robiła coś niezwykłego, ale własny brat się jej boi. Tak samo Zil, tyle że po nim tego nie widać.

– Świetnie – mruknął Caine. Zauważył, że Zil nie pozwalał sobie na okazywanie strachu. Mógł być pożyteczny.

Oslonił oczy dłonią i rozejrzał się dookoła, szukając charakterystycznych tumanów pyłu, wzbijanych przez ciężarówkę czy samochód. Robal powiedział, że w Perdido Beach też

mają mało benzyny, ale nadal jeżdżą, kiedy muszą.

Był przekonany, że zdoła pokonać w walce każdego odmieńca z grupy Sama. Z jednym wyjątkiem: Sama we własnej osobie. Ale gdyby napotkał Briannę i Dekkę razem? Albo nawet tę głupią Taylor z kilkoma żołnierzami Edilia?

W tej jednak chwili prawdziwy kłopot polegał na tym, że Caine był po prostu słaby. Pokonanie drogi do gospodarstwa sprawiało mu trudność, zwłaszcza gdy znowu kłuło go w żołądku, a pępek zdawał się ocierać o kręgosłup. Nogi się pod nim trzęsły. Wzrok chwilami tracił ostrość.

Jeden dobry posiłek... właściwie kiepski... nie wystarczył, choć utrzymał go przy życiu. Caine trawił Pandę. Energia Pandy płynęła z żołądka, niesiona krwią.

Dom zasłaniała nieco kępa drzew, ale poza tym stał na otwartej przestrzeni. Wprawdzie z dala od drogi, ale Caine nie mógł uwierzyć, że ludzie Sama nigdy go nie znaleźli i nie przetrząsnęli w poszukiwaniu jedzenia.

Bardzo dziwne.

– Ani kroku dalej! – zawołał z ganku młody męski głos.

Robal i Caine zamarli.

– Coś za jeden? Czego chcesz?

Caine nie dostrzegał nikogo za brudną moskitierą.

Odezwał się Robal.

– My tylko...

– Nie ty – przerwał mu głos. – O tobie wiemy wszystko, niewidzialny. Chodzi nam o niego.

– Nazywam się Caine. Chcę poznać tych, którzy tu mieszkają.

– Tak? – powiedział niewidoczny chłopak. – Czemu miałbym ci na to pozwolić?

– Nie szukam kłopotów – odparł Caine. – Ale chyba wypada, żebym wam powiedział, że mogę rozwalić ten wasz domek w jakieś dziesięć sekund.

Klik-klik.

Coś zimnego dotknęło karku Caine'a.

– Możesz? To by dopiero było widowisko. – Głos należał do dziewczyny. Rozległ się najwyżej dwa kroki od niego.

Nie miał wątpliwości, że zimny przedmiot na jego karku to lufa. Jakim cudem dziewczyna podeszła tak blisko? Podkraśla się do nich?

– Jak mówiłem, nie szukam kłopotów – powiedział.

– To dobrze – odparła. – Nie chciałbyś takich kłopotów, jakie umiem sprowadzić.

– Chcemy tylko... – Nie potrafił wymyślić, co dokładnie chciał zrobić.

– Dobra, chodźcie do środka – rozkazała dziewczyna.

Nie było żadnego ruchu. Żadnego marszu, wspinaczki po schodach. Przez chwilę zdawało się, że dom się wykrzywia, a potem nagle jego ściany znalazły się wokół nich. Caine stanął w mrocznym salonie. Plastikowe narzuty leżały na zapadniętej kanapie i na sztruksowym fotelu La-Z-Boy.

Emily miała ze dwanaście lat. Nosiła dżinsowe szorty i różową bluzę z napisem „Las Vegas”. Tak jak spodziewał się Caine, trzymała wielką, dwulufową strzelbę.

Chłopak wszedł z zewnątrz. Nie wydawał się zaskoczony faktem, że Caine i Robal stoją w jego salonie. Jakby takie rzeczy zdarzały się bez przerwy.

Caine zastanawiał się, czy ma halucynacje.

– Usiądźcie – powiedziała Emily, wskazując kanapę.

Caine usiadł z wdzięcznością. Był wykończony.

– Całkiem niezła sztuczka – stwierdził.

– Przydatna – odparła. – Dzięki niej ludziom trudniej nas znaleźć, kiedy tego nie chcemy.

– Macie prąd? – zwrócił się do Caine'a jej brat.

– Co? – Caine wbił w niego spojrzenie. – W kieszeni? Jak mógłbym mieć prąd?

Chłopak wskazał z żalem na telewizor. Podłączone do niego były Wii i Xbox. Diody oczywiście się nie paliły. Obok piętrzyła się sterta gier.

– Dużo gier.

– Inni nam je przynoszą – powiedziała Emily – Brat lubi gry.

– Ale nie możemy grać – dodał chłopak.

Caine uważnie mu się przyjrzał. Nie wyglądał na geniusza. Z kolei Emily zdawała się przenikliwa i bystra. To ona tu rządziła.

– Jak się nazywasz? – zwrócił się do chłopaka.

– Brat. Nazywa się Brat – powiedziała Emily.

– Brat – powtórzył Caine. – Dobra. Bracie, te gry to żadna zabawa, kiedy nie ma prądu, prawda?

– Tamci powiedzieli, że to załatwią.

– Tak? Widzisz, tylko jedna osoba może sprowadzić prąd z powrotem – powiedział Caine.

– Ty?

– Nie. Komputerowy Jack.

– Poznaliśmy go – wtrącił Brat. – Naprawił mi Wii, dawno temu. Wtedy gry jeszcze działały.

– Jack pracuje dla mnie – oznajmił Caine. Rozparł się, czekając, aż wiadomość wywrze odpowiednie wrażenie. Skłamał, ma się rozumieć. Wątpił jednak, by Emily wiedziała, że Jack jest w Perdido Beach. Jeśli wierzyć Robalowi, siedział w zapuszczonym pokoju, czytał komiksy i nic nie robił.

– Możesz włączyć światło? – spytała Emily, zerkając na swojego niespokojnego brata.

– Mogę – gładko skłamał Caine. – To potrwa jakiś tydzień.

Parsknęła śmiechem.

– Chłopcze, wyglądasz, jakbyś nie umiał nawet zapewnić sobie jedzenia. Spójrz na siebie. Przypominasz stracha na wróble. Brudny, z wypadającymi włosami. I kłamiesz jak z nut. Co niby możesz zrobić?

– To – odparł. Uniósł jedną rękę i strzelba wyleciała jej z dłoni. Uderzyła w ścianę tak mocno, że lufa wbiła się w tynk niczym bełt z kuszy. Drewniana kolba drgała.

Brat zerwał się na nogi, ale w tej samej chwili Caine od niechcienia wyrzucił go za okno. Szyba rozpadła się na kawałki. Rozległ się głośny trzask, gdy chłopak wylądował na okolonym moskitierą ganku.

Emily podniosła się w mgnieniu oka i nagle dom wokół Caine'a zniknął. Wraz z Robalem znaleźli się na podwórzu.

– Naprawdę niezła sztuczka! – zawołał Caine. – Pokażę ci jeszcze lepszą. – Kolejnym ruchem ręki wyciągnął Brata przez moskitierę. Siateczka owinęła ciało chłopaka niczym całun. Brat zaczął wznosić się w powietrze, wierzgając i prosząc siostrę o ratunek.

Emily błyskawicznie znalazła się niecałe pół metra od Caine'a, twarzą w twarz.

– Tylko spróbuj – warknął. – Twój głupi brat spadnie z bardzo wysoka.

Podniosła wzrok. Patrząc w jej oczy, pojął, że ochota do walki jej minęła. Brat ciągle się wznosił, coraz wyżej i wyżej. Upadek mógł go zabić. W najlepszym razie zostanie kaleką.

– Widzisz, nie spędzałem dni i nocy w gospodarstwie – powiedział Caine. – Uczestniczyłem w paru walkach. Doświadczenie. Przydaje się.

– Czego chcesz? – spytała.

– Kiedy przyjdą tu inni, wpuścisz ich. Porozmawiam sobie z nimi. Z twoją strzelbą już się uporałem. A sztuczki nie uratują ani ciebie, ani jego.

– Zdaje się, że bardzo chcesz pogadać z tymi chłopakami.

– Tak. Na to wygląda.

Lana usłyszała pukanie do drzwi. Westchnęła. Czytała właśnie książkę. Meg Cabot. O dziewczynie, która została prawdziwą księżniczką.

Dużo teraz czytała. W ETAP-ie wciąż było wiele książek. Brakowało muzyki, telewizji ani filmów. Książek – mnóstwo. Czytała wszystko, od lekkiej literatury dla dziewcząt do ciężkich, nudnych powieści.

Najważniejsze, żeby czytać. W świecie Lany istniał czas czuwania. Istniał też czas koszmarów. I tylko lektury utrzymywały ją przy zdrowych zmysłach. Chociaż nie miała pewności, czy jeszcze w ogóle je zachowała. Najmniejszej.

Patrick też usłyszał pukanie i głośno zaszczekał.

Lana pomyślała, że ktoś potrzebuje leczenia. Tylko z tego powodu w ogóle do niej przychodzili. Z przyzwyczajenia i głęboko zakorzenionego strachu podniosła z biurka ciężki pistolet i ruszyła do drzwi.

Wiedziała, jak posługiwać się bronią. Nawykła do jej ciężaru w dłoni.

– Kto tam?

– Sam.

Nachyliła się, by spojrzeć przez judasza. Może to była twarz Sama, a może nie. W korytarzu za drzwiami nie było okien, nie było też zatem światła. Odemknęła rygiel i otworzyła.

– Nie strzelaj – powiedział Sam. – Musiałabyś mnie potem leczyć.

– Wejdz – odrzekła. – Weź sobie krzesło. W lodówce jest coś do picia, a ja przyniosę chipsy.

– Nadal masz poczucie humoru – zauważył.

Wybrał fotel w kącie. Lana usiadła w drugim, obróconym przodem do okna. Zajmowała jeden z najlepszych pokoiów w hotelu. W minionych czasach dzień z tak wspaniałym widokiem na ocean musiał kosztować kilkaset dolarów.

– No, co się dzieje? – spytała Lana. – Nie przyszedłbyś, gdyby nie pojawił się jakiś problem.

Wzruszył ramionami.

– Może przyszedłem się tylko przywitać.

Minęło trochę czasu, odkąd go widziała. Przypomniała sobie okropne obrażenia, które zadał mu Drake. Aż za dobrze pamiętała, jak przykładła dłonie do jego zmasakrowanej skóry.

Uleczyła jego ciało. Nie umysł. Nie był zdrowszy od niej. Widziała to w jego oczach. Powinna się między nimi wytworzyć jakaś sympatia, ale Lana nie cierpiała tego wiszącego

nad nim cienia. Skoro Sam nie umiał się od niego uwolnić, jak ona miała to zrobić?

– Nikt nie przychodzi tylko się przywitać – stwierdziła. Wyciągnęła z kieszeni szlafroka paczkę papierosów i zapaliła jednego z dużą wprawą. Zaciągnęła się głęboko.

Zauważyła jego pełne dezaprobaty spojrzenie.

– Jakby ktokolwiek z nas miał pożyć na tyle długo, żeby dostać raka – rzuciła.

Sam nic nie odpowiedział, ale dezaprobata zniknęła.

Popatrzyła na niego przez kłęb dymu.

– Wyglądasz na zmęczonego, Sam. Wystarczy ci jedzenia?

– Wiesz, gotowanych tajemniczych ryb i pieczonych szopów nigdy za wiele – odparł.

Roześmiała się. Po chwili spoważniała.

– W zeszłym tygodniu jadłam trochę dziczyzny. Hunter mi przyniósł. Pytał, czy mogę go wyleczyć.

– I co?

– Próbowałam. Chyba niewiele mu pomogłam. Uszkodzenie mózgu. To poważniejsze niż złamana ręka albo postrzał.

– Dobrze sobie radzisz? – spytał.

Lana zaczęła się wiercić, a potem głaskać kark Patricka.

– Szczerze? A nie powiesz o tym Astrid, żeby tu przyleciała i próbowała mi pomóc?

– Wszystko zostanie między nami.

– No to nie, raczej nie radzę sobie dobrze. Koszmary. Wspomnienia. Tak naprawdę trudno je od siebie odróżnić.

– Może powinnaś więcej wychodzić – podsunął.

– Ale tobie się to nie zdarza, prawda? Te koszmary i w ogóle?

Nie odpowiedział, tylko spuścił głowę i wbił wzrok w podłogę.

– Mnie też – przyznał.

Wstała gwałtownie i podeszła do drzwi balkonowych. Stała tam, z rękami skrzyżowanymi na piersi i tłącym się papierosem w dłoni.

– Jakoś nie mogę znieść towarzystwa innych. Coraz bardziej się wkurzam. Nic mi nie robią, ale im więcej gadają, patrzą na mnie albo po prostu stoją obok, tym bardziej się denerwuję.

– Znam to – odparł. – Też tak mam.

– Ty jesteś inny.

– Nie denerwuję cię?

Roześmiała się krótkim, gorzkim śmiechem.

– Tak, właściwie denerwujesz. Stoję tu w tej chwili i jakaś część mnie chce złapać co popadnie i walnąć cię tym w głowę.

Podniósł się i podszedł. Stał tuż za nią.

– Możesz mnie uderzyć, jeśli ci to pomoże.

– Quinn mnie odwiedzał – powiedziała, jakby go nie usłyszała. – Któregoś razu upuścił szklankę, a ja... a ja omal go nie zabiłam. Mówił ci? Złapałam pistolet i wycelowałam mu prosto w twarz. I naprawdę bardzo, bardzo chciałam nacisnąć spust.

– Ale nie nacisnęłaś.

– Postrzeliłam Edilia – przypomniała, wciąż patrząc w stronę wody.

– To nie byłeś ty – odparł.

Nic nie powiedziała, a Sam pozwolił, by milczenie się przeciągnęło. W końcu się odezwała.

– Myślałam, że może Quinn i ja... Ale pewnie miał już dosyć.

– Quinn dużo pracuje – powiedział, lecz zabrzmiało to nieprzekonująco. – Codziennie zaczyna mniej więcej o czwartej rano.

Odsunęła drzwi balkonowe i pstryknęła niedopałek nad poręczą.

– Po co przyszedłeś, Sam?

– Muszę cię o coś spytać. Coś się dzieje z Orsay.

– Tak. – Wskazała plażę poniżej. – Widziałam ją tam. Parę razy. Razem z innymi dziećmi. Nie słyszę, co mówią. Ale patrzą na nią jak na zbawienie.

– Mówi, że widzi to, co się dzieje za murem ETAP-u. Że wyczuwa sny ludzi na zewnątrz.

Lana wzruszyła ramionami.

– Musimy się jakoś dowiedzieć, czy jest w tym choć trochę prawdy.

– Skąd mam wiedzieć? – spytała.

– Jedna z możliwości... To znaczy, zastanawiałem się... Jeśli to nie kłamstwo i Orsay naprawdę w to wierzy...

– Śmiało, Sam – szepnęła. – Chcesz coś powiedzieć.

– Muszę wiedzieć, Lano: czy Ciemność, gaiaphage, na pewno odeszła? Czy nadal słyszysz ten głos w swojej głowie?

Zmroziło ją. Skrzyżowała ręce na piersi i ścisnęła mocno. Czowała własne ciało, było prawdziwe, było nią. Czowała bicie własnego serca. Była tutaj, żywa, była sobą. Nie w kopalni. Nie jako część gaiaphage.

– Nie pytaj mnie o to – powiedziała.

– Nie pytałbym, gdyby...

– Nie – ostrzegła. – Nie.

– Ja...

Poczuła, że jej wargi się wykrzywiają i odsłaniają zęby. Wezbrała w niej dzika wściekłość. Odwróciła się do niego. Niemal przytknęła swoją twarz do jego twarzy.

– Nie!

Nie cofnął się.

– Nigdy, przenigdy więcej mnie o to nie pytaj!

– Lano...

– Wyjdź! – krzyknęła. – Wyjdź!

Wycofał się szybko. Gdy znalazł się na korytarzu, zamknął za sobą drzwi.

Lana padła na pokrytą wykładziną podłogę. Wsunęła sobie palce we włosy i ciągnęła za nie. Potrzebowała bólu, musiała wiedzieć, że jest prawdziwa, tutaj i teraz.

Czy gaiaphage już nie było? Nigdy nie odejdzie. Nie od niej.

Leżała na boku i szlochała. Patrick podszedł i polizał ją po twarzy.

Rozdział 9

54 godziny, 42 minuty

Zil Sperry czuł się bardzo dobrze. Cały dzień czekał, aż spadnie cios. Aż Sam i Edilio zjawią się na jego terenie. Gdyby się tak stało, mógłby doprowadzić do walki, ale nie był na tyle szalony, by sądzić, że wygra. Żołnierze Edilia mieli pistolety maszynowe, ekipa Ludzi Zila – kije bejsbolowe.

Dysponował też poważniejszą bronią, ale nie na terenie. W końcu ta pokręcona Taylor mogła pojawić się wszędzie i w każdej chwili, by zobaczyć, co tylko chciała.

A byli jeszcze inni odmieńcy: ta wściekła bandytka i lesbijka Dekka, ta rozbastwiona Brianna. No i Sam we własnej osobie.

Zawsze Sam.

Teren składał się z czterech domów na końcu Czwartej Alei, za Golding. Ulica kończyła się tam ślepo. Cztery niezbyt duże i niezbyt piękne domy. Ustawili blokadę z samochodów w poprzek Czwartej Alei. Samochody trzeba było przepchnąć – we wszystkich wysiadły akumulatory, z wyjątkiem tych nielicznych pojazdów, które ludzie Sama utrzymywali na chodzie.

Pośrodku blokady znajdowała się wąska przerwa. Kanciasta, prosta, niegdyś biała Toyota Scion stała po jej jednej stronie. Była na tyle lekka, że czworo dzieciaków było w stanie ją przepchnąć i zastawić prowizoryczną bramę.

Dekka mogła oczywiście po prostu podnieść go w powietrze, tak jak i pozostałe zabezpieczenia Zila.

Tamci nie przyszli jednak po niego. I Zil wiedział dlaczego. Rada miejska nie miała charakteru. Sam z pewnością by przyszedł. Dekka? Zrobiłaby to z rozkoszą. Brianna już kilka razy przemknęła przez jego teren, używając swojej nadzwyczajnej prędkości, by niezauważenie minąć strażników.

Później Zil rozwiesił druty. Niech Brianna przeleci tędy znowu, a spotka ją niespodzianka życia.

Sam stanowił klucz. Gdyby Zil zabił Sama, mógłby dać sobie radę z resztą.

W południe, gdy wszyscy pochłaniali drugie śniadanie, Zil wyprowadził Hanka, Turka, Antoine'a i Lance'a poza teren, przez autostradę, a potem na północ, do podnóża wzgórz.

Gospodarstwo. Ta popaprana Emily i jej brat kretyn. Na początku Turk mówił o tym

domu jako o miejscu, które znał z przeszłości. Uczestniczył tam w przyjęciu urodzinowym chłopaka nazywanego Bratem. Brat i Emily uczyli się w domu, a Turk znał ich z kościoła.

Turk zdziwił się, że Brat i Emily wciąż tam mieszkają. A wszystkich zdumiało, że Emily to obdarzony wielką mocą odmieniec.

Pozwolili jednak Ekipie Ludzi schować tu swoje rzeczy.

Zil starał się więc ich znosić, składał im obietnice, dawał gry, w które i tak nie mogli zagrać – wszystko po to, by mieć w gospodarstwie swój magazyn. Gdy jednak nadejdzie czas... cóż, odmieniec to zawsze odmieniec, nawet jeśli użyteczny.

Aby dotrzeć do gospodarstwa, należało przedtem minąć pilnie strzeżoną stację benzynową. Na szczęście znajdował się tam głęboki rów, otwarty kanał burzowy, biegnący równolegle do autostrady i za stacją. Nie zdarzały się już burze, kanał był więc suchy i zarosnięty chwastami. Biegła jednak tamtędy ścieżka i dopóki zachowywali ciszę, żołnierze Edilia, obsadzający stację, nie mogli ich usłyszeć.

Gdy już minęli miasto, przez jakiś czas szli autostradą. Wszyscy zbieracze przebywali na polach i jedli drugie śniadanie. O tej porze nikt nie transportował płodów rolnych do miasta.

Autostrada była dziwnie opustoszała. Na poboczu rosły wysokie chwasty. Samochody, które rozbiły się w ciągu pierwszych kilku sekund istnienia ETAP-u, wciąż stały puste, zakurzone, bezużyteczne. Relikty minionej epoki. Drzwi otwarte na oścież, uniesione maski, okna często stłuczone. Każdy schowek i bagażnik został przetrząśnięty przez ludzi Sama i innych w poszukiwaniu jedzenia, broni, narkotyków...

Jeden z tych samochodów stał się źródłem niewielkiego arsenału Zila. Znaleźli w nim pistolety wraz z dwiema kostkami sprasowanej marihuany i kilkoma pękatymi woreczkami z metamfetaminą. Antoine zapewne wciągnął już połowę proszku, głupi ćpun.

Zil uświadomił sobie, że ten chłopak stanowi problem. Pijacy i narkomani zawsze stanowili problem. Z drugiej strony można było liczyć, że Antoine robi, co mu się każe. Jeśli zaś pewnego dnia zupełnie straci zdrowy rozsądek, Zil znajdzie kogoś na jego miejsce.

– Mieście oczy szeroko otwarte – polecił Hank. – Nie chcemy, żeby nas zobaczyli.

Hank pełnił funkcję ochroniarza. Dziwne jak na takiego konusa. Miał jednak w sobie zawziętość. I nie istniało nic, czego nie zrobiłby dla Zila. Nic.

Lance jak zwykle szedł w pewnej odległości od pozostałych. Zil ciągle był zdumiony, że Lance stanowi część jego podstawowego zespołu. Reprezentował wszystko, czego innym brakowało: mądry, przystojny, dobrze zbudowany, lubiany.

A Turk? Turk kuśtykał na swojej chorej nodze i gadał.

– W końcu musimy do końca pozbyć się odmieńców – mówił. – Tych najważniejszych, najgroźniejszych trzeba będzie zdjąć. Z najwyższą bezwzględnością.

Tak się mówiło zamiast „zabić”. Zdjąć z najwyższą bezwzględnością.

Czasami Zil pragnął, żeby tamten się po prostu zamknął. W jakiś sposób przypominał mu jego własnego starszego brata, Zane'a, który miał zdanie na każdy temat. Wiedział wszystko, a przynajmniej tak mu się zdawało.

Przez całe życie Zil niemal nie wypowiadał własnego zdania w obecności Zane'a. Gdy natomiast udało mu się już wziąć udział w niekończących się rodzinnych dyskusjach, zwykle patrzono na niego z wyższością, a nawet z politowaniem.

Jego rodzice zapewne nie chcieli tak go traktować. Ale co tak naprawdę mogli zrobić? Zane był gwiazdą. Taki mądry, taki fajny, taki przystojny. Równie przystojny jak Lance.

Zil bardzo wczesnie zdał sobie sprawę, że nigdy, przenigdy nie zostanie gwiazdą. Ta rola należała do Zane'a, który był uroczy. I taki miły dla małego Zila.

– Trzeba ci pomóc z tym zadaniem z matmy, Zilly?

Zilly. Rymuje się z „silly” – głupi. Głupi Zilly. I Mądry Zane.

No i gdzie teraz jesteś, Zane? – pomyślał Zil. Nie tutaj, z całą pewnością. Zane miał szesnaście lat. Zniknął natychmiast, jako jeden z pierwszych.

I bardzo dobrze, starszy bracie, pomyślał Zil.

– No to załatwimy niebezpiecznych odmieńców – paplał Turk. – Załatwimy ich. Niektórych sobie zostawimy, jako takich niewolników. Na przykład Lanę. Tak, zostawimy Lanę. Tylko może ją przywiążemy albo coś, żeby nie związała. No a pozostali, bracie, muszą sobie znaleźć jakieś inne miejsce. Z dala od Sperry Beach.

Zil westchnął. To był najnowszy pomysł Turka: przemianować miasto na Sperry Beach. Żeby wszyscy zrozumieli, że Perdido należy teraz do Ekipy Ludzi.

– Tylko dla ludzi. Odmieńcy won – powiedział Turk. – Będziemy rządzić. Uwierzysz, że Sam do nas nie przyszedł? Oni się wszyscy boją.

Turk mógł tak bez końca gadać do siebie. Zdawało się, że wszystko musi powtórzyć dziesięć razy. Jakby kłócił się z kimś, kto mu nie odpowiadał.

Ostatnim etapem wędrówki był mozolny marsz przez wyboiste pola. Gdy dotrą na miejsce, dostaną czystą, przejrzystą wodę. Emily i Brat mieli swoją studnię. Za mało w niej było wody, by wziąć prysznic. Pompa nie miała zasilania, więc wszystko należało pompować ręcznie. Ale pić można było do woli. Rzadkość w wysuszonym i głodnym Perdido Beach.

Sperry Beach. Może. Czemu nie?

Zil poprowadził resztę w górę schodów.

– Emily! – zawołał. – To my.

Zapukał do drzwi. Był zdziwiony, bo wcześniej za każdym razem, gdy przychodzili, dziewczyna wykonywała swoją zwykłą sztuczkę z pojawianiem się za plecami. Czasami się z nimi bawiła, sprawiając, że dom zniknął, a oni jak głupi chodzili w kółko.

Odmieniec. W końcu dostanie za swoje, kiedy Zil z nią skończy.

Emily otworzyła drzwi. Instykt ostrzegł Zila przed niebezpieczeństwem. Cofnął się, ale coś go zatrzymało. Jakby pochwycił go jakiś niewidzialny olbrzym.

Niewidoczna ręka poderwała go lekko nad ziemię, na tyle, że palcami stóp szorował po podłodze, gdy lewitował do środka, mijając Emily, która odstała w bok z ponurym spojrzeniem.

– Puść mnie! – krzyknął Zil. Ale teraz zobaczył, kto go złapał. Umilkł. Na kanapie siedział Caine i od niechcenia ruszał ręką, kontrolując tym sposobem pozycję Zila.

Serce Zila waliło jak młotem. Jeśli istniał jakiś odmieniec równie groźny jak Sam, to właśnie Caine. Był nawet groźniejszy. Pewnych rzeczy Sam by nie zrobił. Caine nie cofnąłby się przed niczym.

– Puść!

Caine opuścił go delikatnie.

– Przestań krzyczeć, dobra? – odezwał się znużonym tonem. – Boli mnie głowa i nie przyszedłem, żeby zrobić ci krzywdę.

– Odmieniec! – warknął Zil.

– Zgadza się. Jestem odmieńcem – odrzekł Caine. – Takim, który może walić tobą o sufit, aż staniesz się jedynie skórzastym workiem pełnym brei.

Zil wbił w niego nienawistne spojrzenie. Paskudny, zmutowany odmieniec.

– Powiedz swoim chłopakom, żeby weszli – powiedział Caine.

– Czego chcesz, odmieńcu?

– Porozmawiać – odparł tamten. Rozłożył ręce w błagalnym geście. – Słuchaj, gnojku, gdybym chciał, żebyś nie żył, to byś nie żył. Ty i ta twoja banda frajerów.

Caine zmienił się od czasu, gdy Zil widział go ostatnim razem. Zniknął elegancki blezer z Coates, podobnie jak kosztowna fryzura, opalenizna i sylwetka bywalca siłowni. Caine wyglądał jak strach na wróble.

– Hank. Turk. Lance. 'Toinę! – zawołał Zil. – Wejdźcie.

– Usiądź. – Caine wskazał fotel La-Z-Boy.

Zil usiadł.

– No – zagadnął tamten – słyszałem, że jesteś wielkim fanem mojego brata Sama.

– ETAP jest dla ludzi – mruknął Zil. – Nie dla odmieńców.

– Co mi tam – mruknął Caine. Przez chwilę zdawało się, że zapada w sobie. Osłabł z głodu. Albo z innego powodu. Potem jednak pozbiierał się i z widocznym wysiłkiem przybrał swoją zarozumiałą maskę. – Mam plan – oznajmił. – Dotyczy ciebie.

Turk, z większą bezczelnością, niż Zil by się spodziewał, wtrącił:

– Plany ustala przywódca.

– Mhm. No, przywódco – ciągnął Caine z minimalną tylko ironią. – Spodoba ci się ten plan. Jego realizacja da ci pełną władzę w Perdido Beach.

Zil poprawił się w fotelu. Starał się odzyskać część swojej godności.

– W porządku. Słucham.

– Dobrze – powiedział Caine. – Potrzebuję kilku łodzi.

– Łodzi? – powtórzył ostrożnie Zil. – Po co?

– Jakoś mam ochotę na rejs po morzu – odparł tamten.

Sam poszedł do domu na obiad. To znaczy do domu Astrid. Ciągle tak o nim myślał – że to jej dom, a nie jego.

Jej własny dom, ściśle rzecz biorąc, został do szczętu spalony przez Drake'a Merwina. Wydawało się jednak, że przejmuje panowanie nad każdym domem, do którego się wprowadza. W tym mieszkała wraz ze swoim braciszkiem, małym Petem, Mary oraz jej bratem, Johnem Terrafino, no i Samem. A jednak w powszechnej opinii był to dom Astrid.

Gdy dotarł na miejsce, Astrid stała na podwórku. Mały Pete siedział na schodach tarasu, bawiąc się niedziałającą kieszonkową konsolą do gier. Brakowało baterii. Z początku Astrid i Sam, którzy oboje znali prawdę o chłopcu, przestraszyli się. Nikt nie widział, co mógł zrobić, gdyby się zupełnie rozkleił, a jedną z niewielu rzeczy, które go uspokajały, było granie.

Ku zaskoczeniu Sama, dziwny chłopczyk przystosował się jednak do sytuacji w zupełnie niesamowity sposób: po prostu grał dalej. Sam zajrzał mu przez ramię i zobaczył pusty, czarny ekran. Nie sposób było stwierdzić, co malec tam widzi.

Mały Pete cierpiał na głęboki autyzm. Żył w świecie własnej wyobraźni, nie reagował na innych, bardzo rzadko coś mówił.

Był też zdecydowanie najpotężniejszym mieszkańcem ETAP-u. Ten fakt pozostawał w mniejszym lub większym stopniu tajemnicą. Niektórzy po części podejrzewali prawdę, ale tylko niektórzy – Sam, Astrid, Edilio – zdawali sobie sprawę, że mały Pete w jakiejś mierze

stworzył ETAP.

Astrid rozpałała właśnie ogień w małym japońskim piecyku hibachi, ustawionym na stole piknikowym. W pobliżu znajdowała się gaśnica. Jedna z nielicznych, które przetrwały – w początkowych tygodniach ETAP-u dzieciaki miały z nimi przednią zabawę.

Po zapachu Sam poznał, że dziewczyna szykuje rybę. Usłyszała go, ale nie podniosła wzroku, gdy się zbliżył.

– Nie chcę się kłócić – powiedziała.

– Ja też nie – odparł.

Dźgnęła rybę widelcem. Pachniała cudownie, chociaż nie wyglądała zbyt dobrze.

– Weź sobie talerz – poleciła. – Zjedz rybę.

– W porządku, ja...

– Nie mogę uwierzyć, że mnie okłamałeś – warknęła, wciąż dźgając rybę.

– Myślałem, że nie chcesz się kłócić.

Zgarnęła lepiej upieczoną rybę na półmisek, który odstawiła na bok.

– Nie zamierzałeś powiedzieć nam o Orsay?

– Nie mówiłem, że...

– Nie decydujesz o tym, Sam. Nie rządzisz już jako jedyny. Dobra?

Gniew Astrid był lodowaty. Zimna złość, widoczna w zaciśniętych wargach, rozpalonych oczach i krótkich, dobitnie wypowiedzianych zdaniach.

– Ale byłoby w porządku, gdybyśmy okłamywali wszystkich w Perdido Beach? – odparował.

– Próbujemy powstrzymać dzieciaki, żeby nie pozabijały się nawzajem – powiedziała.

– To trochę co innego. Ty postanowiłeś nie mówić radzie o stukniętej dziewczynie, która namawia ludzi do samobójstwa.

– Czyli niemówienie czegoś tobie to wielki grzech, ale okłamywanie kilkuset ludzi i jednoczesne spuszczenie lania Orsay jest już w porządku?

– Nie sądzę, żebyś naprawdę chciał prowadzić ze mną tę dyskusję – ostrzegła.

– Tak, bo jestem tylko głupim surferem, który nie powinien nawet zadawać pytań Genialnej Astrid.

– Wiesz co, Sam? Stworzyliśmy radę, żeby zdjąć z ciebie presję. Bo się rozsypywałeś.

Patrzył na nią oniemiały. Nie do końca wierzył, że to powiedziała. Ona też wydawała się zdumiona. Zdumiona jadem, który krył się w jej własnych słowach.

– Nie chciałam... – zaczęła nieporadnie, ale potem nie potrafiła odpowiednio wyjaśnić, czego właściwie nie chciała.

Pokręcił głową.

– Wiesz, nawet teraz, choć już tak długo jesteśmy razem, nadal mnie zaskakuje, że potrafisz być taka bezwzględna.

– Bezwzględna? Ja?

– Wykorzystasz każdego, żeby dostać to, czego chcesz. Powiesz wszystko, byle wyszło na twoje. Dlaczego w ogóle rządziłem? – Wyciągnął w jej stronę oskarżycielski palec.

– Z twojego powodu! Bo mnie w to wmanewrowałaś. Po co? Żebym chronił ciebie i małego Pete'a. Tylko to cię obchodziło.

– To nieprawda! – wykrzyknęła z żarem w głosie.

– Wiesz, że tak jest. A teraz nie musisz już mną manipulować, możesz wydawać mi polecenia. Zawstydzac mnie. Podkopywać mój autorytet. Ale gdy tylko pojawi się problem, wiesz, co będzie? Och, proszę, Sam, ratuj nas.

– Wszystko, co robię, robię dla wspólnego dobra – odparła.

– Tak, więc jesteś nie tylko genialna, ale i święta.

– Zachowujesz się nieracjonalnie – powiedziała chłodnym tonem.

– No jasne, zwariowałem – warknął. – Oto ja, stuknięty Sam. Strzelano do mnie, bito mnie, biczowano, a jestem wariatem, bo nie podoba mi się, że rozkazujesz mi jak swojemu służącemu.

– Naprawdę głupek z ciebie, wiesz?

– Głupek? – jęknął. – Tylko tyle? Byłem pewien, że stać cię na więcej sylab.

– Znalazłoby się dosyć – odparła – ale staram się nie używać słów, których nie powinnam.

W teatralny sposób uspokoiła emocje.

– Posłuchaj mnie przez chwilę i nie przerywaj. Dobrze? Jesteś bohaterem. To oczywiste. Wierzę w to. Ale próbujemy stworzyć normalne społeczeństwo. Prawa, przepisy, sądy, policję. Gdzie jedna osoba nie podejmuje wszystkich ważnych decyzji, by potem narzucać swoją wolę, strzelając śmiertelnościami promieniami w każdego, kto da mu się we znaki.

Sam miał coś odpowiedzieć, ale nie ufał sobie. Nie miał pewności, że nie powie czegoś, czego nie powinien, czegoś, czego nie zdoła cofnąć.

– Zabiorę swoje rzeczy – rzucił i pognął ku schodom.

– Nie musisz się wyprowadzać – zawołała za nim.

Zatrzymał się w połowie schodów.

– Och, wybacz. Czy to głos rady mówi mi, dokąd mogę iść?

– Rada miejska nie ma racji bytu, jeśli uważasz, że nie musisz jej słuchać – stwierdziła. Używała cierpliwego tonu, starając się załagodzić sytuację. – Sam, jeśli ty postanowisz nas ignorować, nikt nie będzie zwracał na nas uwagi.

– Wiesz co, Astrid, już was ignorują. Jeśli ktokolwiek w ogóle się z wami liczy, to tylko z jednego powodu. Boją się żołnierzy Edilia. – Uderzył się pięścią w pierś. – A jeszcze bardziej boją się mnie.

Popędził w górę schodów z ponurą satysfakcją, którą dało mu jej milczenie.

Justin zablądził kiedyś w drodze do domu. Trafił jednak do szkoły, więc wszystko skończyło się dobrze, bo stamtąd znał już drogę.

Sherman 301. Już dawno nauczył się adresu na pamięć. Kiedyś znał też swój numer telefonu. Zapomniał go jednak. Ale nie zapomniał „Sherman 301”.

Jego dom wyglądał trochę dziwnie, gdy teraz go zobaczył. Trawa wyrosła zbyt wysoko. Na chodniku leżał rozwalony czarny worek. Stare kartony po mleku, puszki i butelki. To wszystko miało iść do recyklingu. Bez wątplenia nie powinno trafić na chodnik. Jego tata dostałby szału, gdyby coś takiego zobaczył.

Powiedziałby tak: „Przepraszam? Czy ktoś mi ŁASKAWIE wyjaśni, skąd się wzięły ŚMIECI na chodniku? W jakim kraju pozwala się na coś takiego?”.

Tak właśnie mówił tata, kiedy się denerwował.

Justin obszedł śmieci i omal się nie potknął o swój stary trójkołowy rowerek. Zostawił go na chodniku przed domem już dawno temu. Nawet nie odstawił go jak należy.

W górę po schodach, do drzwi. Do jego drzwi. Tak naprawdę nie sprawiały już wrażenia jego.

Nacisnął ciężką, mosiężną klamkę. Nie poruszyła się. Nie mógł sobie poradzić. Ale potem rozległo się kliknięcie i drzwi się otworzyły.

Pchnął je i szybko wszedł do środka z poczuciem winy, jakby robił coś zakazanego.

Korytarz był pogrążony w ciemności, ale do tego już przywykł. Teraz cały czas panowała ciemność. Jeśli ktoś chciał światła, musiał wyjść i bawić się na placu. Tam właśnie miał iść. Mateczka Mary będzie się zastanawiała, gdzie się podział.

Poszedł do kuchni. Zwykle w kuchni był tata. To on najczęściej gotował. Mama zajmowała się sprzątaniami i praniem, a tata przygotowywał posiłki. Pieczony kurczak. Chili. Zapiekanka. Polędwica na bekonie, którą nazywali „polędwicą na bekanie”, odkąd Justin podczas jedzenia beknął wyjątkowo głośno.

Na to wspomnienie uśmiechnął się i posmutniał w tej samej chwili.

W kuchni nikogo nie znalazł. Drzwi lodówki były otwarte. W środku nie leżało nic z wyjątkiem pomarańczowego pudełka z jakimś białym proszkiem. Skosztował szczyptę i wypluł. Smakowało jak sól lub coś podobnego.

Poszedł na górę. Chciał się upewnić, czy jego pokój jest ciągle na swoim miejscu. Jego kroki rozbrzmiewały na schodach naprawdę głośno, więc zaczął poruszać się wolniej, jakby się skradał.

Jego pokój znajdował się po prawej stronie. Pokój rodziców – po lewej. Ale Justin nie poszedł ani tu, ani tu, bo właśnie wtedy zauważył, że nie tylko on przebywa w domu. Jakiś starszy dzieciak był w pokoju gościnnym, w którym spała babcia, gdy przychodziła z wizytą na Boże Narodzenie.

To chłopak, pomyślał Justin, chociaż tamten miał bardzo długie włosy i był odwrócony plecami. Siedział w fotelu i czytał książkę, opierając nogi na łóżku.

Ściany pokoju pokrywały rysunki i kolorowanki, które ktoś przykleił taśmą.

Justin zamarł w drzwiach. Potem cofnął się, odwrócił i poszedł do swojego pokoju. Ten duży go nie zauważył.

Pokój nie wyglądał tak jak kiedyś. Po pierwsze, na łóżku nie było żadnej pościeli. Ktoś zabrał jego ulubiony koc. Ten szorstki, niebieski.

– Hej.

Justin podskoczył. Odwrócił się na pięcie, zarumieniony i speszony. Duży chłopak patrzył na niego z wyrazem zdziwienia na twarzy.

– Ej, mały, spokojnie.

Justin patrzył na niego. Nie wyglądał na złego. Było wiele złych starszych dzieciaków, ale ten wydawał się w porządku.

– Zgubiłeś się? – spytał duży.

Justin pokręcił głową.

– A! Rozumiem. To twój dom?

Chłopczyk przytaknął.

– Wybacz, mały, potrzebowałem dachu nad głową, a tu nikt nie mieszkał. – Duży rozejrzał się dookoła. – To ładny dom, wiesz? Człowiek miło się w nim czuje.

Justin pokiwał głową i z jakiegoś powodu zaczął płakać.

– Spoko, spoko, nie płacz. Mogę się wyprowadzić. Jeśli czegoś mamy dużo, to domów, nie?

Justin przestał płakać.

- To mój pokój.
- Dobra. Nie ma sprawy.
- Nie wiem, gdzie jest mój koc.
- Okej, znajdziemy ci koc.

Patrzyli na siebie przez chwilę. W końcu duży znowu się odezwał.

– A właśnie, nazywam się Roger.

– A ja Justin.

– Super. Nazywają mnie Artful Roger. Bo lubię rysować i malować. Wiesz, jak Artful Dodger [w polskim przekładzie postać zwana Cwaniakiem] z „Olivera Twista”.

Justin wbił w niego spojrzenie.

– To taka książka. O chłopcu, który jest sierotą. – Czekał, jakby się spodziewał, że Justin coś powie. – Rozumiem, niewiele czytasz.

– Czasami.

– Może ja ci ją przeczytam. W ten sposób zrewanżuję ci się za mieszkanie w twoim domu.

Justin nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Nie odpowiedział więc nic.

– Dobra – mówił dalej Roger. – Okej. Ja... eee, pójdę z powrotem do swojego pokoju.

Chłopczyk energicznie pokiwał głową.

– Znaczący, jeśli tobie to pasuje.

– W porządku.

Rozdział 10

51 godzin, 50 minut

– To resztką benzyny – oznajmił ponuro Virtue. – Generator może działać jeszcze góra dwa, trzy dni. Potem koniec z elektrycznością.

Sanjit westchnął.

– No to chyba dobrze, że w zeszłym roku zjedliśmy wszystkie lody. Inaczej by się stopiły.

– Słuchaj, Wisdom, już czas.

– Tyle razy ci mówiłem: nie nazywaj mnie Wisdom. To moje niewolnicze imię.

W taki sposób zwykli się droczyć ze sobą. Virtue nazywał go Wisdom tylko po to, by go sprowokować, gdy uważał, że Sanjit nie zachowuje się poważnie.

Przez część swojego życia Sanjit Brattle-Chance był nazywany Wisdom przez niemal wszystkich. Ale ta część jego życia skończyła się siedem miesięcy temu.

Sanjit Brattle-Chance miał czternaście lat. Był wysoki, szczupły, nieco przygarbiony, czarne włosy sięgały mu do ramion. Miał roześmiane czarne oczy i skórę barwy karmelu.

Jego bardzo sławni, bardzo bogaci i bardzo piękni rodzice – Jennifer Brattle i Todd Chance – porwali go jako ośmiolatka, sierotę hinduskiego pochodzenia, włączającego się po Bangkoku.

Nazywali to adopcją.

Nadali mu imię Wisdom. Ale zarówno oni, jak i wszyscy inni dorośli na wyspie San Francisco de Sales, zniknęli. Irlandzka niania? Zniknęła. Stary japoński ogrodnik i trzech meksykańscy dozorczy? Zniknęli. Szkocki lokaj i sześć polskich pokojówek? Zniknęli. Kataloński kucharz i jego dwaj baskijski pomocnicy? Zniknęli. Facet od basenu i konserwator z Arizony, cieśla z Florydy, który pracował nad ozdobną balustradą, a także rezydujący tu artysta z Nowego Meksyku, który malował na powyginanych stalowych płytach? Zniknęli, zniknęli, zniknęli.

Kto został? Dzieci.

W sumie było ich pięcioro. Oprócz „Wisdoma”, byli jeszcze: Virtue, którego Sanjit przezywał „Choo”, Peace, Bowie i Pixie. Żadne z nich nie nosiło nadanego mu imienia od narodzin. Wszystkie były sierotami. Pochodziły odpowiednio z Konga, Sri Lanki, Ukrainy i Chin.

Ale tylko Sanjit uparł się, by walczyć o imię, które nosił od urodzenia. Sanjit znaczy w

hindi „niezwycięzony”. Uznał, że bliżej mu do tego niż do mądrości, a takie znaczenie miało jego nowe imię.

Przez parę ostatnich miesięcy musiał jednak przynajmniej starać się podejmować mądre decyzje. Na szczęście miał Virtue, który był wprawdzie tylko dwunastolatkiem, ale sprytnym i odpowiedzialnym na swój wiek. Obaj byli „duzi”, nie to, co Peace, Bowie i Pixie w wieku siedmiu, pięciu i trzech lat, przejęci głównie oglądaniem DVD, wykradaniem słodczy ze spiżarni i bawieniem się zbyt blisko krawędzi urwiska.

Sanjit i Virtue sami stali teraz nad skrajem klifu, patrząc na zniszczony, na wpół zatopiony jacht spoczywający trzydzieści metrów niżej.

– Tam są setki litrów paliwa – zauważył Sanjit. – Całe tony.

– Omawialiśmy to z milion razy. Nawet gdybyśmy zdołali wyciągnąć to paliwo na górę i nie wysadzić się przy tym w powietrze, tylko byśmy opóźniali to co nieuniknione.

– Jeśli się nad tym zastanowić, Choo, czy całe życie nie jest opóźnianiem tego, co nieuniknione?

Virtue wydał z siebie przeciągłe, pełne bólu westchnienie.

Był niski i okrągły, podczas gdy Sanjit miał kanciastą sylwetkę. Virtue był czarny. Nie po afroamerykańsku, lecz po afrykańsku. Głowę miał ogoloną na łyso; wcześniej tak nie wyglądał, ale nie podobał mu się wygląd jego włosów po trzech miesiącach bez fryzjera, a Sanjit potrafił jedynie ogolić go maszynką. Virtue miał wiecznie ponurą minę, jakby podążał przez życie, wciąż spodziewając się najgorszego. Jakby nie wierzył w dobre wiadomości i odczuwał posępną satysfakcję ze złych. Było to zresztą prawdą.

Sanjit i Virtue doskonale się uzupełniali: wysoki i niski, chudy i pulchny, beztroski i pełen pesymizmu, charyzmatyczny i pracowity, nieco szalony i zupełnie poważny.

– Stracimy elektryczność. Nie będzie DVD. Mamy dosyć żywności, ale nawet ona nie wystarczy na zawsze. Musimy się wydostać z tej wyspy – stwierdził z naciskiem Virtue.

Zdawało się, że pewność siebie opuściła Sanjita.

– Nie wiem, bracie, jak to zrobić. Nie umiem pilotować śmigłowca. Zabiłbym nas wszystkich.

Przez jakiś czas Virtue nie odpowiadał. Zaprzeczanie prawdzie nie miało sensu. Mały śmigłowiec o baniastej osłonie kabiny, przycupnięty na rufie jachtu, wyglądał delikatnie niczym roztrzęsiona ważka. Mógł zabrać całą piątkę z wyspy i dolecieć na stały ląd. Mógł też jednak rozbić się o klif i splanąć. Albo runąć do wody i utopić ich. Albo zacząć wirować w niekontrolowany sposób i poszatkować ich jak ogromny robot kuchenny.

– Sanjit, Bowie nie czuje się lepiej. Potrzebuje lekarza.

Sanjit wskazał podbródkiem ląd.

– A czemu myślisz, że tam są lekarze? Wszyscy dorośli zniknęli z tej wyspy i z jachtu. Telefony, telewizja satelitarna i wszystko inne przestało działać. Na niebie nigdy nie widać samolotu i nikt się tu nie pojawia, żeby sprawdzić, co się dzieje.

– Tak, zauważyłem to wszystko – odparł oschle Virtue.

– Widzieliśmy łodzie od strony miasta.

– Może po prostu dryfują, tak jak jacht. I jeśli tam też nie ma dorosłych? Albo jeśli... sam nie wiem. – Sanjit uśmiechnął się nagle. – Może nie ma tam nic oprócz dinozaurów, które pożerają ludzi.

– Dinozaury? Wyjeżdżasz z dinozaurami?

Peace szła przez doskonale niegdyś przystrzyżony trawnik, teraz przypominający już niemal dżunglę. Chodziła w charakterystyczny sposób, trzymając złączone kolana i drobiać stopami. Miała lśniące, czarne włosy i pełne troski, piwne oczy.

Sanjit naprężył się. Peace zajmowała się Bowiem.

– Mogę dać Bowiemu jeszcze jeden tylenol? Gorączka znowu mu rośnie – powiedziała.

– Ile stopni? – odezwał się Virtue.

– Trzydzieści dziewięć. I jeden.

– Trzydzieści dziewięć czy trzydzieści dziewięć i jeden? – spytał trochę niecierpliwie Virtue.

– To drugie.

Virtue zerknął na Sanjita, który spuścił wzrok na trawę.

– Za wcześnie na następną tabletkę – powiedział. – Połóż mu mokrą ścierkę na czole. Któryś z nas zaraz przyjdzie.

– Już dwa tygodnie – zauważył Sanjit. – To nie grypa, prawda?

– Nie mam pojęcia, co to takiego – odparł Virtue.

– W książce piszą, że grypa nie trwa tak długo. To może być... no, nie wiem, milion różnych rzeczy.

– Na przykład?

– Sam przeczytaj tę głupią książkę – warknął Virtue.

– Gorączka? Dreszcze? Pięćdziesiąt możliwych chorób. Jak dla mnie, nawet trąd. Albo białaczka.

Sanjit zauważył, że jego brat skrzywił się przy ostatnim słowie.

– Rany, Choo. Białaczka? To poważne, nie?

– Słuchaj, mam tylko tę książkę. Nawet nie umiem wymówić większości z tych nazw. I ciągle tak tam jest: to może być to albo tamto. Nie wiem, jak ktoś może się w tym połapać.

– Białaczka – powtórzył Sanjit.

– Ej, nie zachowuj się, jakbym twierdził, że tak jest, dobra? To tylko jedna z możliwości. Pewnie przyszła mi do głowy, bo tę akurat nazwę pamiętam. To wszystko.

Obaj zamilkli. Sanjit patrzył w dół, na jacht, a ściśle rzecz biorąc, na śmigłowiec.

– Możemy spróbować naprawić szalupę – odezwał się Sanjit, chociaż i tak znał odpowiedź. Już próbowali zwodować łódź. Lina się zaczepiła i łódź wylądowała na ostrym kamieniu. W drewnianym kadłubie zrobiła się dziura, łódź zatonęła i teraz kołysała się między dwiema skałami, które stopniowo zwiększały rozmiary uszkodzeń. Szalupa zmieniła się w stertę desek.

– Śmigłowiec albo nic – powiedział Virtue. Zwykle powstrzymywał się przed dotykiem innych, lecz teraz ścisnął szczupły biceps tamtego i powiedział: – Stary, wiem, że cię to przeraża. Mnie też. Ale jesteś Sanjit, niezwyciężony, prawda? Nie jesteś zbyt mądry, ale masz nieprawdopodobne szczęście.

– Ja nie jestem zbyt mądry? – spytał Sanjit. – A pomysł, żebyśmy latali, jest niby mądry?

Astrid usadowiła małego Pete'a w kącie swojego gabinetu w ratuszu. Chłopczyk wciąż skupiał wzrok na od dawna nieczynnej konsolce i wciąż naciskał guziki, jakby gra jeszcze działała. Może zresztą działała w jego głowie.

W dawnych czasach, przed ETAP-em, mieścił się tu gabinet burmistrza. Przez pewien czas korzystał z niego Sam.

Astrid wciąż była zła po kłótni z Samem. Spierali się już wcześniej. Oboje mieli silną wolę. Kłótnie wydawały się nieuniknione.

Poza tym byli w sobie ponoć zakochani, co czasami wywoływało specyficzne konflikty.

W dodatku mieszkali razem, co też powodowało problemy.

Jednak nigdy jeszcze nie pokłócili się aż tak.

Sam zabrał parę rzeczy i się wyprowadził. Przypuszczała, że znajdzie opuszczony dom – było ich na pęczki.

– Mogłam mu to powiedzieć – mruknęła pod nosem, przeglądając sążnistą listę zadań do wykonania. Rzeczy niezbędnych, by Perdido Beach nadal funkcjonowało.

Drzwi się otworzyły. Astrid podniosła wzrok, z nadzieją i obawą, że to Sam.

Ale nie. To była Taylor.

– Nie sądziłam, że korzystasz z drzwi, Taylor – powiedziała Astrid. Natychmiast pożałowała nuty irytacji w swoim głosie. Wieść o wyprowadzce Sama z pewnością obiegła już miasto. W Perdido Beach pikantne plotki rozchodziły się z prędkością światła. A trudno było o większą plotkę niż rozpad pierwszej pary w ETAP-ie.

– Wiem, jaka się robisz nerwowa, kiedy wpadam – stwierdziła Taylor.

– To trochę denerwujące – przyznała Astrid.

Taylor rozłożyła ręce.

– Dlatego weszłam normalnie.

– Następnym razem mogłabyś zapukać.

Nie przepadały za sobą. Taylor była jednak nadzwyczaj cenną osobą, jeśli miało się ją u boku. Potrafiła błyskawicznie przenosić się z miejsca na miejsce. Przeskakiwać, jak sama to określała.

Niechęć między nimi brała się z przekonania Astrid, że Taylor durzy się w Samie. Bez wątpienia Taylor uzna teraz, że zyskuje niepowtarzalną okazję.

Nie jest w typie Sama, powiedziała sobie Astrid. Taylor była ładna, ale nieco młodsza i zdecydowanie zbyt miękka dla Sama, który, wbrew temu, co mógł w tej chwili myśleć, lubił silne, niezależne dziewczyny.

Brianna zapewne bardziej by mu odpowiadała. Albo może Dekka, gdyby była hetero.

Astrid z irytacją usunęła listę imion ze swojego umysłu. Po co tak się dręczyła? Sam zgłupiał, ale dojdzie do siebie. Prędzej czy później zda sobie sprawę, że miała rację. Przeprosi. I wprowadzi się z powrotem.

– Czego chcesz, Taylor?

– Jest Sam?

– Jestem przewodniczącą rady, a ty właśnie tu wpadłaś i przeszkadzasz mi w pracy, więc jeśli masz coś do powiedzenia, czemu po prostu nie powiesz tego mnie?

– Miaaaau – zadrwiła tamta. – Coś taka wkurzona?

– Taylor!

– Ktoś mówi, że widział Biczorękiego.

Oczy Astrid zwęziły się.

– Co?

– Kojarzysz Frankiego?

– Który?

– Taki chłopak. Twierdzi, że widział Drake'a Merwina idącego plażą.

Astrid wbiła w nią wzrok. Sama wzmianka o Drake'u Merwinie przyprawiała ją o dreszcze. Drake był – był – chłopakiem, który udowodnił, że człowiek nie musi być dorosły, by reprezentować sobą czyste zło. Pełnił funkcję pierwszego pomocnika Caine'a. Porwał Astrid. Groźbami i strachem zmusił ją do ośmieszenia własnego brata. Spalił jej dom. Wybatożył też Sama tak okrutnie, że ten omal nie umarł.

Astrid nie wierzyła w nienawiść. Wierzyła w przebaczenie. Drake'owi jednak nie przebaczyła. Nawet gdy już nie żył. Miała nadzieję, że istnieje piekło. Prawdziwe piekło, nie jakieś metaforyczne. By Drake mógł się w nim znaleźć i smażyć przez całą wieczność.

– Drake nie żyje – powiedziała spokojnie.

– Wiem – zgodziła się Taylor. – Powtarzam ci tylko, co mówi Frankie. Mówi, że go widział, z tym pejczem zamiast ręki i w ogóle, idącego plażą, ubłoconego i uwalanego ziemią, w niedopasowanym ubraniu.

Astrid westchnęła.

– Takie są skutki, kiedy dzieci sięgają po alkohol.

– Wyglądał na trzeźwego – odparła Taylor. Wzruszyła ramionami. – Nie wiem, czy był pijany, czy zwariował, czy tylko robił aferę, więc mnie nie obwiniaj. To ma być moje zadanie, prawda? Mam oczy otwarte, przychodzę i mówię Samowi... albo tobie... co się dzieje.

– Dzięki – powiedziała Astrid.

– Powiem Samowi, jak go spotkam – dodała tamta.

Astrid świetnie wiedziała, że Taylor próbuje ją sprowokować, a jednak poskutkowało: została sprowokowana.

– Mów mu, co chcesz, to ciągle wolny... – Chciała powiedzieć „kraj”. – Możesz mówić Samowi, co ci się podoba.

Taylor już jednak dokonała skoku i Astrid ostatnie słowa mówiła w powietrze.

Rozdział 11

47 godzin, 53 minuty

Anomalia Perdido Beach, tak nazywali to w wiadomościach. Anomalia albo Kopała.

Nie ETAP, chociaż wiedzieli, że taką nazwę stosują dzieci pod Kopałą.

Rodzice, krewni, ciekawscy wszelkiej maści, którzy gromadzili się w specjalnej „strefie obserwacyjnej” na południowym krańcu Kopały, często mówili „akwarium”. Tym właśnie było owo zjawisko dla ludzi, którzy biwakowali tam w namiotach oraz śpiworach i „śnili” o dzieciach po drugiej stronie bariery. Wiedzieli trochę o tym, co się dzieje w środku, ale „rybki”, czyli ich dzieci, nie miały pojęcia o wielkim świecie za szybą.

W okolicy trwały prace budowlane. Stan Kalifornia pospiesznie budował objazd, pętlę autostrady. Stara droga znikwała w kuli i pojawiała się po drugiej stronie, dwadzieścia mil (32 km) dalej. Bardzo utrudniało to prowadzenie interesów na szlaku wzdłuż wybrzeża.

A od południowej strony kuli kwitły inne interesy. Turystów trzeba było w końcu karmić. Firma Carl's Jr. stawiała restaurację. Podobnie Del Taco. W błyskawicznym tempie powstawał również hotel Courtyard by Marriott. Obok ruszyły prace nad Holiday Inn Express.

W chwilach szczególnie cynicznego nastroju Connie Temple myślała, że wszystkie firmy budowlane w Kalifornii widzą w kuli jedynie ogromną okazję do zarobku.

Także politycy wydawali się aż nazbyt cieszyć całą sytuacją. Kilka razy przyjeżdżał gubernator w towarzystwie setek reporterów. Wozy transmisyjne stłoczone były wzdłuż całej plaży niczym sardynki w puszcze.

Codziennie jednak Connie zauważała, że liczba reporterów i wozów była nieco mniejsza niż poprzedniego dnia. Świat przeszedł kilka etapów: od oszołomienia, przez szaleńczą eksploatację, po przemianę tragedii w atrakcję turystyczną.

Connie Temple – Siostra Temple, jak oczywiście nazywały ją media – została jedną z dwóch rzeczniczek prasowych rodzin.

Tak skrótowo określano wszystkich, których dzieci uwięziono wewnątrz kuli: rodziny.

Connie Temple i Abana Baidoo.

Wcześniej, gdy nie wiedzieli, co się dzieje w środku, było łatwiej. Początkowo oczywiste było tylko, że stało się coś strasznego. Nieprzebyte pole energii wytworzyło kopułę o średnicy dwudziestu mil. Bardzo szybko zorientowano się, że w epicentrum zjawiska stała elektrownia jądrowa.

Pojawiło się dziesiątki teorii o tym, czym właściwie jest kopuła. Zdawało się, że wszyscy naukowcy świata odbyli pielgrzymkę na miejsce. Przeprowadzono badania, wykonano pomiary.

Próbowano przewiercić się przez barierę. Pod nią. Przeleciało nad nią. Robiono wykopy. Podpłynięto łodzią podwodną.

Nic nie zdało egzaminu.

Kasandryczni prorocy wszelkiej maści, od luddystów po szalonych wieszczów końca świata, mieli coś do powiedzenia. To była kara. Za technologiczną obsesję Ameryki albo za jej upadek moralny. Albo za coś jeszcze innego.

Potem pojawiły się bliźniaczki. Tak po prostu. Najpierw Emma, a kilka minut później Anna. Żywe, dokładnie w momencie swoich piętnastych urodzin.

Opowiadały o życiu we wnętrzu kuli. Nazywały je ETAP-em.

Serce Connie Temple napęczniało z dumy po tym, czego się dowiedziała o swoim synu, Samie. I pogrążyło w rozpacz wywołanej opowieściami o jej drugim synu, nieuznanym dziecku o imieniu Caine.

A potem nic. Przez jakiś czas nie pojawiały się żadne inne dzieci.

Czarna rozpacz ogarnęła rodziny, które uświadomiły sobie, że skończy się na tej dwójce. Mijały miesiące. Wielu traciło nadzieję. Jak dzieci miały przeżyć same?

Później jednak Prorokini dotarła do ich snów.

Pewnej nocy Connie Temple miała barwny, niewiarygodny sen. Nigdy nie przyśniło jej się nic równie bogatego w szczegóły. To było przerażające. Moc tego snu zaparła jej dech. Występowała w nim dziewczynka.

Przemawiała do niej. *To sen*, powiedziała.

Tak, to tylko sen, odparła Connie.

Nie „tylko” sen. Nigdy nie mów, że to „tylko” sen, poprawiła dziewczynka. *Sen to okno do innej rzeczywistości.*

Kim jesteś? – spytała kobieta.

Nazywam się Orsay. Znam twojego syna.

Connie już chciała spytać: *Którego?* Ale jakiś instynkt ją powstrzymał. Dziewczynka nie wydawała się groźna. Robiła tylko wrażenie głodnej.

Masz jakąś wiadomość dla Sama? – spytała.

Tak, odrzekła Connie. *Powiedz mu: wypuść ich.*

Wypuść ich, by poszli w czerwony zachód słońca.

Orsay przebudziła się gwałtownie. Nie otwierała oczu, bo wyczuwała bliską obecność

innej osoby. Chciała spać, w spokoju i samotności, jeszcze przez chwilę. Ale ta druga osoba, ta dziewczyna, nie pozwoliła jej.

– Wiem, że nie śpisz, Prorokini – odezwała się.

Orsay otworzyła oczy. Nerezza była blisko, bardzo blisko.

Orsay czuła jej oddech na swojej twarzy.

Popatrzyła jej w oczy.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Miałam już ten sen. Sen o śniącej kobiecie. – Zmarszczyła brwi, usiłując sobie przypomnieć. Wszystko było takie dziwne, ulotne i nierzeczywiste. Jak chwywanie mgły.

– To musi być bardzo ważny sen – stwierdziła Nerezza.

– Za pierwszym razem widziałam to przy murze ETAP-u. Teraz identyczna wizja pojawiła się w moich snach. Ale już przekazałam Samowi wiadomość. Czemu znowu widzę to samo?

– Czym innym jest przekazanie wiadomości, a czym innym odebranie jej przez Sama, Prorokini.

Orsay usiadła. Nerezza ją męczyła. Coraz częściej o niej rozmyślała. Ale uzależniła się od tej dziewczyny, która opiekowała się nią.

– Myślisz, że muszę powtórzyć wiadomość Samowi?

Nerezza wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się skromnie.

– Nie jestem Prorokinią. Ty musisz postanowić.

– Powiedziała, żeby wypuścić dzieciaki. W czerwony zachód słońca.

– Twoja wizja wielkiej ucieczki z ETAP-u – powiedziała tamta. – Czerwony zachód słońca.

Orsay pokręciła głową.

– To nie był sen, po który sięgnęłam. Nie stałam przy murze. Byłam tutaj i spałam.

– Twoja moc rośnie – zasugerowała Nerezza.

– Nie podoba mi się to. Jakby... sama zresztą nie wiem... Jakby skądś przychodziły. Jakby coś wymuszano, manipulowano mną.

– Nikt nie może wymuszać ani kontrolować twoich snów – powiedziała Nerezza. – Ale...

– Ale?

– Może to bardzo ważne, żeby Sam cię wysłuchał i nie stawał na drodze prawdy.

– Nie jestem prorokinią – stwierdziła Orsay ze znużeniem.

– Ja tylko śnię. Nie wiem, czy te sny ukazują coś prawdziwego. Czasami wydaje się,

że tak, a czasami są zupełnie pokręcone.

Nerezza złapała jej dłoń. Orsay poczuła silny, chłodny dotyk, który wprawił jej rękę w drżenie.

– Oni wszyscy rozpowiadają o tobie kłamstwa, Prorokini – powiedziała Nerezza. – Nie możesz mieć wątpliwości, bo nawet w tej chwili nie próżnują i oczerniają cię.

– O czym ty mówisz?

– Boją się ciebie. Boją się prawdy, którą niesiesz. Rozpowszechniają kłamstwa, że jesteś fałszywą prorokinią.

– Ja nie... Co ty... Ja...

Nerezza uciszyła ją, kładąc jej palec na ustach.

– Nie. Musisz mieć pewność. Musisz wierzyć. Musisz być dla nich Prorokinią. W przeciwnym razie ich kłamstwa będą cię prześladować.

Orsay zastygła przerażona.

– Losem fałszywych proroków jest śmierć – ciągnęła tamta. – Ale ty jesteś prawdziwą Prorokinią. I twoja wiara będzie cię chroniła. Miej wiarę, a będziesz bezpieczna. Spraw, by inni uwierzyli, a będziesz żyła.

Orsay patrzyła z przerażeniem. O co Nerezcie chodziło? Co ona wygadywała? Kim byli ludzie, którzy kłamali na jej temat? I kto jej zagrażał? Nie robiła nic złego.

Prawda?

Nerezza zawołała donośnym głosem z nutką niecierpliwości.

– Jill! Jill! Chodź tutaj.

Dziewczynka zjawiała się po kilku sekundach. Wciąż trzymała swoją lalkę, ścisła ją z całej siły.

– Zaśpiewaj dla Prorokini – nakazała Nerezza.

– Ale jaką piosenkę?

– To właściwie bez znaczenia, prawda?

Syrena zaśpiewała więc:

Słoneczne dni...

I Orsay przestała myśleć o czymkolwiek z wyjątkiem pięknych, słonecznych dni.

Rozdział 12

45 godzin, 36 minut

Hunter stał się nocnym stworzeniem. Inny tryb życia nie wchodził w grę. Zwierzęta ukrywały się za dnia, a wychodziły nocą. Oposy, króliki, szopy, myszy i największa możliwa zdobycz: sarny i jelenie. Hunter wziął przykład z kojotów, polujących właśnie po zmroku.

Wiewiórki i ptaki należało łowić w dzień. Ale to nocą zachowanie Huntera dowodziło, że jego imię nieprzypadkowo oznacza łowcę.

Działął na rozległym terytorium, od skraju miasta, gdzie przychodziły szopy i sarny, by szukać dróg wejścia do przydomowych ogródków, po suche obszary, gdzie można było znaleźć węże, myszy oraz inne gryzonie. Wzdłuż wybrzeża zabijał ptaki, głównie mewy i rybitwy. Raz udało mu się upolować zbląkanego lwa morskiego.

Jego imię zobowiązywało. Nazywał się Hunter i rzeczywiście był łowcą.

Nie umiał już jednak wymówić tego słowa.

Jego umysł nie funkcjonował jak dawniej. Wiedział o tym. Czuł to. Po poprzednim życiu zostały jedynie mgliste wspomnienia. Pamiętał, jak w klasie podnosił rękę, by odpowiedzieć na jakieś trudne pytanie. Teraz nie znałby tych odpowiedzi. Tego, co wiedział, nie potrafiłby z kolei ubrać w słowa. A umiał, na przykład, rozpoznać, czy królik zacznie uciekać, czy też stanie w miejscu. Czy sarna wyczuwa go i słyszy, czy nie.

Ale kiedy próbował to wyjaśnić... nie potrafił.

Z jedną stroną jego twarzy nie wszystko było w porządku. Zupełnie nie miał w niej czucia, jakby była tylko kawałkiem martwego mięsa. A czasami odnosił wrażenie, że to samo martwe mięso rozprzestrzenia się na jego mózg. Pozostała mu jednak niezwykła moc mutanta, zdolność kierowania fali zabójczego gorąca, gdzie tylko chciał.

Nie potrafił zbyt dobrze mówić ani myśleć, ani się uśmiechnąć. Umiał za to polować. Nauczył się chodzić bezszelestnie i ustawiać tak, by bryza wiała mu w twarz. Wiedział, że nocą, podczas największych ciemności, sarny ruszają na pole kapusty, skuszone jej wonią pomimo śmiertelnie groźnych dżdżownic, zębaków, zabijających wszystko, co bez zezwolenia postawiło nogę na jednym z ich pól.

Sarny nie były takie mądre. Nie były nawet tak mądre, jak Hunter.

Szedł ostrożnie, wyczuwając stopami, czy na drodze nie leży gałązka albo kamień, który by go zdradził. Poruszał się cicho niczym kojot.

Łania znajdowała się przed nim. Szła przez cierniste krzaki, nie zważając na kolce,

zdecydowana poprowadzić swoje młode w stronę zapachu warzyw.

Blisko. Blżej. Bryza wiała od strony zwierząt w kierunku Huntera, nie mogły go więc wyczuć. Jeszcze parę kroków i znajdzie się wystarczająco blisko. Najpierw łania. Zabije ją jako pierwszą. Młode nie będzie wiedziało, jak zareagować. Zawaha się. I wtedy zginie.

Tyle mięsa. Albert byłby zachwycony. Ostatnio nieczęsto trafiała się dziczyzna.

Wtem chłopak usłyszał hałas i zwierzęta się zerwały. Zniknęły, zanim zdążył choćby podnieść rękę, a co dopiero posłać niewidzialną, zabójczą falę gorąca. Cała noc tropienia i podchodzenia na nic. Ledwie kilka sekund dzieliła go od zdobyczy, która teraz uciekała przez zarośla.

Źródłem hałasu byli ludzie. Ludzie, którzy rozmawiali, żartowali, potykali się, narzekali.

Rozgniewał się, jednak spróbował podejść do tego filozoficznie. Polowania takie właśnie były: bardzo często traciło się czas. Ale...

Zmarszczył brwi. Ten głos.

Ukucnął za krzewem i uciszył swój oddech. Wytężył słuch. Więcej niż jedna osoba. Chłopcy. Szli w jego stronę, mijając skraj pola zębaków. Cztery ciemne sylwetki. Widział ich przez żdźbła traw i płataninę jeżyn. Hałasowali, bo nie umieli poruszać się tak jak Hunter. Potykali się, dźwigając ciężkie pakunki.

I ten głos...

– ... czego chce. Na tym polega problem z takimi zmutowanymi dziwakami jak on. Nigdy nie można wierzyć w ani jedno ich słowo.

Ten głos...

Hunter już go kiedyś słyszał. Ten głos krzyczał do żadnego krwi tłumu.

Ten mutant, ten nędzny nieczłowiek, ten popapraniec Hunter. Ten troll umyślnie zabił mojego najlepszego przyjaciela Harry'ego.

To morderca!

Brać go! Brać go, tego mutantą, mordercę i drania!

Ten głos...

Hunter dotknął swojej szyi, znowu czując drapanie szorstkiego sznura.

Tak bardzo go wtedy bolało. Ciosy w głowę. Krew płynąca do oczu. I słowa, których nikt nie słuchał...

Mózg...

Zamieszanie w umyśle... Taki strach...

Łapcie za sznur!

Głos ponaglał, coraz wyższy, ryczący, tłum dzieciaków krzychał w podnieceniu, a sznur naprężał się, zaciskał się na jego szyi i Hunter nie mógł oddychać, o Boże, starał się chwycić ustami powietrze, ale bez powodzenia...

Łapcie za sznur!

Złapali. Pociągnęli i sznur zacisnął się na szyi Huntera, a jego stopy oderwały się od ziemi, kopiąc w powietrzu. Wierzgał i chciał krzyczeć, w głowie mu pulsowało i robiło się ciemno przed oczami...

Zil! Zil i jego kumple. Byli tutaj. I nie wiedzieli o obecności Huntera. Po prostu go nie widzieli. Nie byli łowcami.

Podkraść się bliżej. Starał się przeciąć im drogę. Jego moc nie sięgała zwykle dalej niż na jakieś piętnaście kroków. Musiał zmniejszyć dystans.

– ... myślę, że masz rację, Przywódco – mówił jeden z pozostałych.

– Możemy odpocząć? – jęknął trzeci głos. – To waży chyba tonę.

– Trzeba było wrócić, zanim jeszcze zrobiło się ciemno. Żebyśmy coś widzieli... – wystękał Antoine.

– Idiota. Nie bez powodu czekaliśmy na zmrok – warknął Zil. – Chcesz, żeby Sam albo Brianna nas złapali?

– Teraz mamy broń.

– Której użyjemy, kiedy nadejdzie właściwy czas – odparł Zil. – Nie w otwartej walce z Samem, Dekką i Brianną, bo by nas załatwili.

– Kiedy nadejdzie właściwy czas – powtórzył jeden jak echo.

Mają broń, pomyślał Hunter. Przekradają się z bronią.

– Przywódco podejmie decyzję – dodał inny głos.

– Tak, ale... – ktoś zaczął. A potem syknął: – Cśśś! Hej! Chyba właśnie widziałem kojota. A może sarnę.

– Lepiej, żeby nie był to kojot. PAF! PAF!

Hunter rzucił się twarzą na ziemię.

– Do czego strzelałeś? – spytał Zil.

– Zdaje się, że to był kojot!

– Turk, głupku! – wściekł się Zil. – Zaczynasz strzelać jak jakiś kretyn!

– Dźwięk się niesie, Turk – odezwał się Hank.

– Oddaj broń Hankowi – warknął Zil. – Idiota.

– Przepraszam. Myślałem... Wyglądało to jak kojot.

Nie był to kojot, tylko łania Huntera.

Ruszyli teraz naprzód. Wciąż się na siebie złości. Wciąż narzekali.

Hunter wiedział, że może iść szybciej i ciszej niż oni. Mógł podkraść się wystarczająco blisko...

Mógł wyciągnąć ręce i zaatakować mózg Zila zabójczym gorącym. Usmażyć go. Tak jak zrobił z Harrym...

– Wypadek – jęknął cicho do siebie. – Nie chciałem... Ale tak się stało. Łzy napłynęły mu do oczu. Otarł je, ale nie przestawały płynąć.

Bronił się przecież przed Zilem. Mieszkali wtedy razem. Zil, Harry i Hunter. Jakaś głupia kłótnia. Nie pamiętał już, od czego się zaczęło. Pamiętał tylko, że Zil groził mu pogrzebaczem z kominka. Hunter się przestraszył. Zareagował. Harry wkroczył między nich, próbował rozdzielić, przerwać bójkę.

A potem krzyknął. Złapał się za głowę. Hunter pamiętał jego oczy... to, jak się wywróciły... ich gasnący blask...

Od tamtej pory widział taki sam gasnący blask u wielu zwierząt. Był Hunterem łowcą. Zwierząt. Nie chłopców. Nawet takich złych, jak Zil.

Taylor skoczyła.

Dom Sama. Noc. Astrid śpi, mały Pete też, Mary w przedszkolu na nocnej zmianie, John śpi.

Pokój Sama pusty.

W raju ciągle kłopoty, pomyślała Taylor nie bez satysfakcji. Sam i Astrid dotąd się nie pogodzili.

Zastanawiała się, czy to już na zawsze. Sam był bardzo atrakcyjny. Jeśli zerwał z Astrid na dobre, to... może istniała jakaś szansa.

Mogła obudzić Astrid. Zapewne tak właśnie należało postąpić. Ale jej instynkt mówił „nie”, zwłaszcza po tym, jak tamta ją wcześniej potraktowała.

Rany, ale się Astrid wścieknie, gdy się dowie, że Taylor poszła najpierw do Sama. Była to jednak sprawa, o której należało mu jak najszybciej powiedzieć. Zbyt poważna dla Astrid.

Właściwie zbyt poważna dla każdego.

Taylor pomyślała o remizie. Kiedyś Sam w niej nocował. Ale teraz zastała tam jedynie śpiącą Ellen, szefową straży pożarnej. Straży pożarnej, która nie miała wody do sikawek. Usłyszała, jak Ellen mruczy przez sen.

Nie pierwszy raz Taylor pomyślała, że mogłaby zostać najlepszą złodziejką świata. Wystarczyło, że pomyślała o jakimś miejscu i... puf! Już tam była. Żadnego dźwięku – chyba że akurat wpadła na coś w chwili, gdy się materializowała. Wchodziła i wychodziła – bez hałasu, bez śladu – i nawet jeśli ktoś był w środku, mogła bez trudu uciec z powrotem, zanim ta osoba choćby zaczerpnęła tchu.

Tak, byłaby świetną złodziejką. Gdyby było co kraść. I gdyby to coś było małe. Podczas skoku nie mogła przenieść niczego oprócz ubrania, które miała na sobie.

Z remizy przeniosła się do domu Edilia. Edilio prowadził teraz coś w rodzaju koszar, czy jak to się nazywało. Zajmował wielki, siedmiopokojowy dom. Miał jeden pokój dla siebie, a w sześciu pozostałych spało po dwóch ludzi. Stanowili oni oddział szybkiego reagowania. Połowa dziewczyn i chłopaków miała broń automatyczną w pobliżu łóżek. Jeden chłopak nie spał. Podskoczył, gdy zauważył Taylor.

– Śpij dalej, coś ci się przyśniło – powiedziała, puszczając do niego oko. – No i, stary... bokserki z uśmiechniętymi buźkami? Naprawdę?

Podczas przeskoków nie czuła, że się porusza, raczej jakby to świat poruszał się wokół niej. Przez to wydawał się nierzeczywisty. Jak hologram czy coś w tym rodzaju. Iluzja.

Myślała o jakimś miejscu i, zupełnie jak po naciśnięciu guzika na pilocie, nagle się tam znajdowała.

Przedszkole. Plaża. Clifftop – ale nie pokój Lany. Krążyła wieść, że stała się nadzwyczaj drażliwa, odkąd została niemal wessana przez gaiaphage. A nikt przy zdrowych zmysłach nie chciał denerwować Uzdrowicielki.

W końcu Taylor domyśliła się, gdzie Sam mógł znaleźć miejsce na kanapie, gdy kłócił się z Astrid.

Quinn nie spał, ubierał się po ciemku. Wydawał się dziwnie nieporuszony nagłą wizytą Taylor.

– Jest tutaj – powiedział bez wstępów. – W sypialni na górze.

– Wcześniej wstałeś – stwierdziła.

– O czwartej. Łowienie ryb to robota dla rannych ptaszków. A teraz stałem się rannym ptaszkiem.

– No to powodzenia. Złów tuńczyka czy coś takiego.

– Ej, a twoja rozmowa z Samem? To sprawa życia i śmierci? Chcę wiedzieć, czy nie zginę po drodze do przystani – powiedział Quinn.

– Nie. – Machnęła ręką z lekceważeniem. – Nie życia i śmierci. Raczej śmierci i życia.

Skoczyła na samą górę schodów, po czym z niezwykłą dbałością o maniery,

zapukała do drzwi.

Bez odpowiedzi.

– No trudno.

Znowu skoczyła. Sam, śpiący, zawinięty w płataninę pościeli, twarzą w dół na poduszce, jakby próbował się przekopać przez łóżko i uciec z pomieszczenia.

Chwyliła odsłoniętą piętę i potrząsnęła za nogę.

– Uch?

Przekręcił się szybko na plecy, uniósł ręce, wyciągając dłonie, gotów na kłopoty.

Taylor zbyt szybko się nie przejęła. Budziła go już wiele razy. Przynajmniej w połowie wypadków Sam zrywał się przygotowany niemal na pożar.

– Wyluzuj, chłopie – powiedziała.

Westchnął i otarł twarz dłonią, próbując odegnać sen. Bez dwóch zdań śliczna klata i ramiona. I ręce. Trochę chudszy niż kiedyś i nie tak opalony, jak w czasach, gdy spędzał wiele czasu na plaży.

Ale Taylor pomyślała, że i tak może być.

– Co jest? – spytał.

– O, nic wielkiego – odparła. Zaczęła oglądać swoje paznokcie, bawiąc się tą chwilą. – Ja tylko przynoszę wieści. Wiesz, gadałam z dziećmi, które szły spotkać się z Orsay. Jest ciemna noc, wiesz?

– No i?

– A, pojawiło się coś, co wydaje mi się ważniejsze niż śledzenie Orsay dla Astrid.

– Mogłabyś mi powiedzieć, co się dzieje? – Sam zgrzytnął zębami.

Bardzo dużo, pomyślała. Baaardzo dużo. Ale nie było sensu komplikować spraw poprzez powtarzanie opowieści jakiegoś stukniętego dzieciaka na temat Drake'a. Mogło to tylko odebrać znaczenie najważniejszej wiadomości.

– Pamiętasz Brittney?

Poderwał głowę.

– Co z nią?

– Siedzi w salonie u Howarda i Orka.

Rozdział 13

45 godzin, 16 minut

Orc miażdżył swoim ciężarem wszystkie kanapy i łóżka, które znalazł dla niego Howard. Nie od razu, nie gdy tylko usiadł, ale w ciągu kilku dni.

To jednak nie powstrzymało Howarda. Po prostu próbował dalej. Obecny mebel bardziej przypominał łóżko niż kanapę czy fotel. Trzy materace w królewskim rozmiarze, ułożone jeden na drugim i wepchnięte w kąt, by Orc mógł usiąść, opierając się o ścianę. Na szczycie tej sterty rozłożona była brezentowa płachta. Orc lubił pić. Gdy miał wystarczająco dużo piwa, mógł zmoczyć łóżko. A czasami na nie wymiotował. Potem Howard zbierał razem rogi brezentu i ciągnął go do ogródka na tyłach domu, gdzie płachta dołączała do stosu podobnie zapaskudzonej pościeli, połamanych mebli, cuchnących wymiotami materaców.

Nikt nie miał pojęcia, ile waży Orc, ale lekki z pewnością nie był. Nie dało się jednak powiedzieć o nim, że jest gruby.

Orc przeszedł jedną z najdziwniejszych i najohydniejszych mutacji. Został zaatakowany i mocno poturbowany przez kojoty. Bardzo mocno. Wyglądnie bestie pożarły duże części jego ciała.

Nie umarł jednak. W miejsce poszarpanych, wygryzionych, zmasakrowanych fragmentów pojawiła się substancja, która wyglądała jak wilgotny żwir. Wydawała cichy szmer, gdy się poruszał.

Orkowi został tylko niewielki kawałek własnej skóry – wokół ust i na jednym policzku. Howardowi wydawał się nieznośnie delikatny. Ten strzęp różowego ciała w nienaturalnym zielonym świetle nabrał koloru gliny.

Orc zachował resztki przytomności. A i to jedynie dlatego, że Howard skłamał i powiedział mu, że nie ma już alkoholu.

Orc spoglądał złowrogo ze swojego miejsca w kącie na dziewczynę, która usiadła na krześle, przyciągniętym przez Howarda z kuchni.

– Chcesz trochę wody? – zwrócił się do niej Howard.

– Tak, poproszę – odparła.

Drżącymi dłońmi napełnił szklanekę z pękatego dzbana. Podał jej naczynie. Wzięła je w obie, pokryte warstwą brudu, dłonie i uniosła do opuchniętych warg.

Wypiła wszystko.

Normalka. Zupełna normalka, pomijając fakt, że nie było w tym nic normalnego.

– Chcesz więcej? – spytał Howard.

Brittney oddała szklankę.

– Nie, dziękuję.

Howard opanował oddech oraz drżenie palców, po czym odebrał od dziewczyny szklankę. Omal jej nie upuścił. Postawił ją, a wtedy przewróciła się i spadła ze stołu. Nie stłukła się jednak, tylko odbiła od drewna, lecz i tak rozległ się głośny brzęk. Howard skulił się nerwowo.

Pukanie do drzwi rozbrzmiało na tym tle niemal kojąco.

– Dzięki Bogu – mruknął i pobiegł otworzyć.

Sam, a z nim Taylor. Sam wydawał się ponury. Cóż, to akurat było raczej normalne. Biedny Sammy stracił znaczną część swojej wesołości surfującego luzaka.

– Howard – odezwał się głosem, którego używał, gdy próbował ukryć swoją pogardę.

Ale z Samem działo się coś jeszcze. Howard dostrzegł to, mimo że trząsł się ze strachu. Reakcje przybysza miały w sobie coś dziwnego.

– Dzięki, że wpadliście – powiedział Howard. – Zaproponowałbym wam herbatę i ciastka, ale mamy tylko gotowanego kreta i karczochy. A do tego w naszym salonie tak jakby siedzi nieżywa dziewczyna.

– Nieżywa? – powtórzył Sam. I znowu to samo. Niewłaściwa reakcja. Był zbyt spokojny i zbyt ponury.

Oczywiście Taylor mu powiedziała. Dlatego nie okazał zaskoczenia. Tyle że w jego reakcji i tak coś nie grało. Howard zachował swoją pozycję dzięki temu, że trafnie oceniał ludzi. Długo trzymał stronę Orka i zdołał jakoś wywalczyć miejsce w radzie miejskiej. Pomimo podejrzeń Sama, że to właśnie Howard sprzedaje większość substancji zakazanych w Perdido Beach.

Sam stał i patrzył na Brittney. Ona też na niego patrzyła. Jakby był nauczycielem, który zaraz miał jej zadać pytanie.

Brittney, czy mogłabyś wyjaśnić znaczenie Kompromisu Missouri?

Nie? No cóż, moja panno, w takim razie proszę jeszcze raz przeczytać odpowiedni rozdział.

A przy okazji: dlaczego nie jesteś martwa?

– Cześć, Brittney – powiedział chłopak.

– Cześć, Sam – odrzekła.

Howard zauważył, że nawet w aparacie ortodontycznym ma błoto. Woda zmyła je tylko częściowo. Dostrzegł drobinę żwiru, wciśniętą między chromowe druciki obok lewego

kła. Pomyślał, że to dziwne spostrzeżenie. Tak, właśnie to było dziwne. Nie fakt, że siedziała na krześle i rozmawiała.

– Jak się tu dostałaś? – spytał Sam.

Wzruszyła ramionami.

– Chyba przyszłam. Nie pamiętam.

Orc pierwszy raz włączył się do rozmowy, przemawiając niskim warkotem.

– Stała na ganku, kiedy wyszedłem się odlać.

Sam zerknął na Howarda, który skinął głową.

– Wiesz, gdzie jesteś? – znowu zwrócił się do niej.

– Pewnie. Jestem... – zaczęła. Zmarszczyła brwi. Potem rysy na powrót jej złagodniały. – Jestem tutaj.

– Znasz nas wszystkich?

Powoli pokiwała głową.

– Sam. Howard. Taylor. Tanner.

– Tanner? – wykrzyknęła Taylor.

Sam zerwał się na nogi. Howard był skonsternowany.

– Kto to jest Tanner?

– Jeden z malców, którzy... – zaczęła Taylor, po czym przygryzła wargę. – To jej młodszy brat. Był w przedszkolu, kiedy...

Wszystkie elementy układanki w głowie Howarda trafiły na swoje miejsca. Tanner, jeden z przedszkolaków zabitych podczas walki, którą nazywano bitwą w Święto Dziękczynienia albo bitwą o Perdido Beach. Kojoty oszalałe ze strachu. Bezlądny ostrzał. Drake, Caine i Sam używający wszystkich swoich mocy.

– Gdzie jest Tanner? – spytał cicho Sam.

Brittney uśmiechnęła się do pustej przestrzeni pomiędzy Howardem a Taylor.

– Tam, gdzie zawsze.

– Brittney, wiesz, co się stało? – Sam wyraźnie nie wiedział, jak zadać to pytanie. – Pamiętasz, jak byłeś w elektrowni? Przyszli Caine i Drake...

Krzyknęła tak, że wszyscy podskoczyli, nawet Orc. Dziki wrzask, wstrząsająco głośny dźwięk, pełen czegoś, co mogło być jedynie nienawiścią.

– Demon! – krzyknęła. Potem nastąpiło zwierzęce wycie, narastający hałas. Howardowi włosy zjeżyły się na karku i zdało mu się, że jego wnętrzności nabrały wodnistej konsystencji.

Nagle umilkła. Podniosła rękę. Wbiła w nią spojrzenie, jakby ta ręka nie stanowiła

części jej ciała, jakby po prostu tam była, a ona nie mogła pojąć dlaczego. Zmarszczyła czoło w zadziwieniu.

Wśród pełnej zdumienia ciszy odezwał się Sam.

– Brittney, możesz nam powiedzieć...

– Spać mi się chce – powiedziała dziewczyna, opuszczając rękę wzdłuż boku.

– Dobra – odrzekł. – Eee... Znajdziemy ci jakieś miejsce na nocleg. – Zerknął na Taylor. – Podskocz do Brianny. Powiedz jej, że idziemy.

Howard niemal parsknął śmiechem. Brianna nie będzie zachwycona. Ale Sam postanowił zwrócić się do kogoś, kto był wobec niego bezwzględnie lojalny.

– To musi zostać w tym pokoju – powiedział Sam.

– Kolejne sekrety, Sammy? – spytał Howard.

Sam się skrzywił. Zdania jednak nie zmienił.

– Ludzie wystarczająco się boją – stwierdził.

– O wiele prosisz, Sammy – ciągnął Howard. – W końcu należę do rady. Chcesz, żebym ukrył to przed innymi członkami. Nie chcę, żeby Astrid była na mnie zła.

– Wiem o twoich machlojkach z alkoholem i narkotykami – odparł Sam. – Mogę cię załatwić.

– Eee – powiedział spokojnie tamten.

– Potrzebuję trochę czasu, żeby się w tym wszystkim rozeznać – wyjaśnił Sam. – Nie chcę, żeby ludzie gadali o... o czymkolwiek.

Howard roześmiał się.

– Mówisz o...

– Nie – warknął Sam. – Nawet o tym nie wspominaj.

Howard parsknął i położył dłoń na sercu.

– Przysięgam. Nie użyję pierwszego słowa na „z”. – A potem teatralnym szeptem dodał: – Zoom... biiiee.

– Ona nie jest zombie, Howard. Nie rób z siebie idioty. Najwyraźniej ma jakąś moc, która pozwala jej na regenerację. Jeśli się zastanowić, nie różni się to tak bardzo od tego, co robi Lana. W końcu fizycznie znowu jest cała, a była zmasakrowana, kiedy ją grzebaliśmy.

Howard roześmiał się.

– Mhm. Tyle że jakoś nie pamiętam, żeby Lana wypełzła z grobu.

Sam ruszył w stronę domu Brianny. Brittney szła za nim. Absolutna normalka, pomyślał Howard, patrząc za nimi. Po prostu kolejny spacer z trupem.

Mały Pete obudził się.

Ciemność. Ciemność była dobra. Światło wypełniało mu umysł zbyt wieloma rzeczami.

Cisza. Dobrze. Od dźwięków bolała go głowa.

On też musiał być cicho, bo inaczej ktoś przyjdzie, przynosząc światło, hałas, dotyk, ból, panikę, i to wszystko spadnie na niego niczym fala tsunami wysoka na wiele metrów, obracając go, miażdżąc, dusząc.

Wtedy musiałby się wyłączyć. Schować się. Ponownie skupić na grze, bo w niej było ciemno i cicho.

Na razie jednak, bez światła, dźwięku czy dotyku, mógł się trzymać, przynajmniej przez jakiś czas, samego siebie.

Trzymać się... niczego.

Wiedział, gdzie leży gra. Tuż obok, na szafce nocnej. Czekala. Wołała go, cichutko, żeby się nie zdenerwował.

Nemesis – tak go nazywała.

Nemesis.

Lana nie spała. Czytała i czytała, próbując się zatracić w lekturze. Miała małą świecę – niby niewiele, ale w ETAP-ie była to rzadkość.

Zapaliła papierosa od świecy i wciągnęła dym do płuc. Nie do wiary, jak szybko się uzależniła.

Papierosy i wódka. Opróżniona do połowy flaszka stała na podłodze przy jej łóżku. Nie podziały jednak, nie pomogły jej zasnąć.

Szukała w swoim umyśle gaiaphage. Nie znalazła jednak. Pierwszy raz, odkąd wypełzła z kopalnianej sztolni.

Miała spokój, przynajmniej na razie.

Powinna odczuć ulgę, ale wiedziała, że gaiaphage powróci, gdy będzie jej potrzebował. Znow ją wykorzysta. Nigdy nie będzie wolna.

– Coś ty zrobił, stary, podły trollu? – spytała sennie. – Coś ty zrobił z moją mocą?

Powtarzała sobie, że ten potwór... Ciemność... może używać Uzdrowicielki tylko do uzdrawiania, a z tego nie zrodzi się żadne zło.

Wiedziała jednak lepiej. Gaiaphage nie bez powodu sięgnął poprzez tylne drzwi czasu i przestrzeni, by wyssać jej moc. Całymi dniami przebywał wewnątrz jej umysłu, używając jej do leczenia.

Leczenia kogo?

Sięgnęła po butelkę z wódką, następnie podniosła ją do ust i przełknęła płynny ogień.

Leczenia czego?

Rozdział 14

30 godzin, 25 minut

Pierwszego dnia od zniknięcia – czy też, jak Sanjit wołał o tym w tajemnicy myśleć, od wybawienia – wraz z braćmi i siostrami przeszukali całą posiadłość.

Nie znaleźli ani jednego dorosłego. Żadnej niani, kucharza, dozorców – to akurat stanowiło powód do ulgi, bo jeden z pomocników dozorczy wydawał się jakimś zbrojcem – ani pokojówek.

Trzymali się razem, w grupie, a Sanjit dowcipkował, żeby podtrzymać wszystkich na duchu.

– Na pewno chcemy kogoś znaleźć? – spytał wtedy.

– Potrzebujemy dorosłych – argumentował Virtue swoim charakterystycznym, mentorskim tonem.

– Do czego, Choo?

– Do... – Tutaj Virtue się zawahał.

– A jeśli ktoś zachoruje? – zapytała Peace.

– A jak się czujesz? – odpowiedział pytaniem Sanjit.

– Dobrze.

– Widzisz? Nic nam nie jest.

Mimo że sytuacja niewątpliwie budziła dreszcz, Sanjit czuł raczej ulgę niż niepokój. Nie podobało mu się, gdy musiał reagować na imię „Wisdom”. Nie lubił, gdy niemal w każdej minucie mówiono mu, co ma robić. Nie lubił zasad. I oto nagle zasady przestały istnieć.

Nie znał odpowiedzi na powtarzane przez pozostałych pytania, co się stało. Tylko jedno wydawało się jasne: wszyscy dorośli zniknęli. A radio, telefony i telewizja satelitarna przestały działać.

Doszedł do wniosku, że może z tym żyć.

Ale małe dzieci, Peace, Bowie i Pixie, były od samego początku przerażone. Nawet Choo, którego Sanjit nigdy nie widział zdenerwowanego, teraz się przeląkł.

Sama cisza panująca na opustoszałej wyspie była dojmująca. Ogromny dom, z pokojami, których dzieci nigdy nawet nie widziały, pokojami, których nigdy nie używano, wydawał się wielki i martwy niczym muzeum. A po przeszukaniu domku lokaja i mieszkania niani na piętrze, dzieciaki czuły się niczym włamywacze.

Wszystkim jednak poprawiły się humory, gdy wrócili do głównego budynku i otworzyli wielką zamrażarkę w poszukiwaniu kolacji, którą tego pierwszego wieczoru powinni zjeść już dużo wcześniej.

– Mają lody! – zawołał oskarżycielskim tonem Bowie. – Cały czas je mieli. Okłamywali nas. Mają tony lodów.

W środku znajdowało się dwanaście wielkich, osiemnastolitrowych pojemników z lodami. Dwieście szesnaście litrów lodów.

Sanjit poklepał Bowiego po ramieniu.

– Naprawdę się dziwisz, mały? Kucharz waży ze sto czterdzieści kilo, a Annette niewiele mu ustępuje. – Annette była pokojówką, która sprzątała pokoje dzieci.

– Możemy trochę zjeść?

Wtedy, za pierwszym razem, Sanjit poczuł się zaskoczony, że proszą go o pozwolenie. Był najstarszy, ale tak naprawdę nie przyszło mu do głowy, że to on tu teraz rządzi.

– Mnie pytasz?

Malec wzruszył ramionami.

– Chyba na razie ty jesteś dorosły.

Sanjit uśmiechnął się.

– A zatem, jako tymczasowy dorosły, zarządzam, że na kolację zjemy lody. Weźcie jeden z tych pojemników i pięć łyżek. Nie przestaniemy, dopóki nie dojdziemy do dna.

Dzięki temu wszyscy przez jakiś czas byli szczęśliwi. Ale w końcu Peace podniosła rękę, jakby była w szkole.

– Nie musisz podnosić ręki – powiedział Sanjit. – O co chodzi?

– Co teraz będzie?

Zastanawiał się nad tym przez kilka chwil. Zazwyczaj rzadko rozmyślał i wiedział o tym. Był żartownisiem. Nie błaznem, ale też nie kimś, kto traktowałby życie zbyt poważnie. Poważne podejście do życia – to była specjalność Virtue.

W czasach, gdy mieszkał na ulicach i w zaułkach Bangkoku, groziły mu niezliczone niebezpieczeństwa: szefowie fabryk mogli go porwać i zmusić do pracy po czternaście godzin na dobę, policjanci bili, sklepikarze odpędzali bambusowymi kijami od swoich straganów z owocami, a alfonsi chcieli oddać dziwnym mężczyznom z zagranicy dla własnego zarobku.

Sanjit jednak zawsze starał się śmiać, a nie płakać. Bez względu na to, jak bardzo był głodny, przerażony, chory, nigdy się nie poddał, w przeciwieństwie do niektórych dzieciaków, które widział. Nie stał się brutalny, choć bez wątplenia przeżył dzięki kradzieżom. A gdy dorastał na tych cudownie ekscytujących i jednocześnie przerażających

ulicach, pielęgnował w sobie pewną butę, postawę, która go wyróżniała. Nauczył się żyć z dnia na dzień, nie przejmować się zbytnio jutrem. Jeśli miał jedzenie i pudło do spania, a po szmatach na jego grzbiecie nie pełzało zbyt wiele wszy, był szczęśliwy.

– Mamy dużo jedzenia – powiedział, gdy cztery twarze zwróciły się na niego w poszukiwaniu przewodnictwa. – Myślę, że po prostu trochę tu pobędziemy. Nie?

I taka odpowiedź wystarczyła na pierwszy dzień. Wszyscy byli roztrzęsieni. Zawsze jednak dbali o siebie nawzajem, nie polegając przesadnie na obojętnych dorosłych wokół siebie. Pierwszego wieczoru umyli więc zęby i przytulili się przed pójściem spać. Sanjit ostatni poszedł do swojego pokoju.

Najpierw Pixie chciał spać z nim w pokoju. Potem zjawiała się Peace, trzymając koc i roniąc nań łzy. A wreszcie przyszedł i Bowie.

Gdy nastał ranek, obudzili się o zwykłej porze. Spotkali się na śniadaniu, które w znacznej mierze składało się z tostów z dużą ilością zakazanego masła, dżemu i grubą warstwą także zakazanej nutelli.

Wyszli na dwór i wtedy ich uwagę zwróciło dziwne szuranie.

Pognali na skraj klifu. Trzydzieści metrów niżej ujrzeli jacht. Piękna, lśniąca, biała łódź, tak wielka, że miała własny śmigłowiec, wpadła na mieliznę. Ostry jak nóż dziób był potrzaskany, wciśnięty między wielkie głazy. Każda lekka fala unosiła statek, po czym pozwalala mu opaść z hurkotem.

Jacht należał do ich rodziców. Nawet nie wiedzieli, że nadpływa, nie wiedzieli, że rodzice są w pobliżu.

– Co się stało? – spytała Peace drżącym głosem.

Odpowiedział jej Virtue.

– Wpadł na skały. Widocznie tu płynął... a potem... potem po prostu rozbił się.

– Dlaczego kapitan Rocky go nie zatrzymał?

– Bo go nie ma – odparł Sanjit. – Tak jak pozostałych dorosłych.

I w tamtej chwili fakty uderzyły go z całą mocą. Nigdy nie darzył szczególnym uczuciem dwojga aktorów, którzy nazywali siebie jego matką i ojcem, ale widok ich jachtu, rozbitego o skały, pobudził jego świadomość.

Zostali sami na wyspie. Może nawet sami na całym świecie.

– Ktoś po nas przybędzie – powiedział, nie mając pewności, czy sam w to wierzy.

A zatem czekali. Całymi dniami. A potem tygodniami.

Później zaczęli racjonować żywność. Nie brakowało jej. Wyspa była zaopatrzona i przygotowana na przyjęcia, w których nieraz uczestniczyło po stu gości, przybywających

śmigłowcami albo prywatnymi odrzutowcami.

Sanjit widział niektóre z tych przyjęć. Wszędzie światła, różni sławni ludzie w eleganckich strojach, którzy pili, jedli i śmiali się zbyt głośno, podczas gdy dzieciaki przebywały w swoich pokojach, od czasu do czasu wyciągane, by powiedzieć „dobry wieczór” i słuchać, jak goście mówią, że ich rodzice są wspaniali i wykazali się wielką szczodrością, ratując „te dzieci”.

Sanjit nigdy nie uważał się za uratowanego.

Ciągle mieli mnóstwo jedzenia. Ale paliwo, napędzające generator, kończyło się, pomimo wysiłków, by je oszczędzać.

A teraz jeszcze sprawa Bowiego. Sanjit potrafił zwykle uchylać się przed odpowiedzialnością. Ale nie mógł pozwolić, by Bowie umarł.

Dostać się na wyspę i wydostać z niej można było tylko na dwa sposoby. Łodzią, której nie mieli, albo śmigłowcem. Ten z kolei mieli. W pewnym sensie przynajmniej.

Nadszedł czas, by poważnie rozważyć trudniejsze z rozwiązań.

Sanjit i Virtue znaleźli linę w szopie ogrodnika. Sanjit przywiązał jeden jej koniec do niezbyt solidnego pnia młodego drzewa. Drugi koniec rzucił w dół.

– Pewnie ściągniemy sobie to drzewo na głowy, co? – Roześmiał się.

Zeszli na dół. Pozostałym kazali trzymać się z dala od urwiska i czekać.

Dwa razy Sanjit tracił podparcie pod nogami i ześlizgiwał się na zadku, dopóki nie udało mu się zatrzymać na krzewie czy występie skalnym. Lina okazała się zupełnie nieprzydatna przy schodzeniu.

Jacht o nazwie *Pilot Dwa* ciągle tam był, poobijany, rdzewiejący, pokryty oślizgami glonami na wysokości linii wodnej. Kołysał się na łagodnych falach i jego dziób zdawał się rozpaczliwie uczepony do skał, w które łódź uderzyła przed miesiącami.

– Jak się tam dostaniemy? – spytał Virtue, gdy zeszli na sam dół.

– Bardzo dobre pytanie, Choo.

– Myślałem, że jesteś niezwyciężony, Sanjit.

– Niezwyciężony, ale nie nieustraszony.

Virtue wykrzywił twarz w uśmiechu.

– Jeśli wdrapiemy się na tę skałę, może zdołamy złapać reling na rufie i podciągnąć się na pokład.

Stąd, z dołu, łódź wydawała się znacznie większa, a łagodne ruchy zniszczonej rufy – znacznie niebezpieczniejsze.

– Dobra, braciszku, ja to zrobię, okej? – powiedział Sanjit.

– Wspinam się lepiej od ciebie.

Sanjit położył mu rękę na ramieniu. – Choo, rzadko bywam odważny i gotowy do poświęceń. Ciesz się, bo mogę więcej się na to nie zdobyć.

By powstrzymać dalszy spór, Sanjit wgramolił się na skalny występ i bardzo powoli, ostrożnie doszedł do jego końca. Trampki ślizgały mu się po kamieniu pokrytym glonami i kroplami słonej wody. Nachylił się, opierając rękę o biały kadłub. Jego oczy znalazły się na poziomie pokładu.

Obiema rękami ujął kruchy z wyglądu reling z nierdzewnej stali i podciągnął się, aż jego łokcie zgięły się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Strefa zagrożenia znajdowała się tuż pod nim i gdyby się puścił, miałby szczęście, nie odnosząc podczas upadku obrażeń większych niż zmiażdżona stopa.

Jego wspinaczka na łódź nie wyglądała imponująco, ale skończyło się tylko na zadrapanym łokciu i posiniaczonym udzie. Kilka sekund leżał dysząc, z twarzą przy pokładzie z drewna tekowego.

– Widzisz coś? – zawołał Virtue.

– Całe życie przeleciało mi przed oczami. Czy to się liczy?

Sanjit wstał, uginając nogi w kolanach, by złapać równowagę na kołyszącym się pokładzie. Wyteżył słuch. Żaden dźwięk nie zdradzał ludzkiej aktywności. Ani śladu żywej duszy. Nie powinno go to zaskoczyć, ale w jakimś ciemnym zakątku umysłu Sanjit niemal spodziewał się zobaczyć zwłoki.

Położył dłonie na relingu, popatrzył w dół na niespokojną twarz brata i odezwał się:

– Ahoj, marynarzu.

– Idź się rozejrzeć – powiedział Virtue.

– Dla ciebie „idź się rozejrzeć, kapitanie”.

Z udawaną nonszalancją Sanjit podreptał do pierwszych drzwi, jakie zobaczył. Wcześniej dwa razy miał okazję znaleźć się na jachcie, gdy Todd i Jennifer byli jeszcze na wyspie, znał więc rozkład.

Doznał tego samego dziwnego uczucia, co pierwszego dnia po wielkim zniknięciu.

Cisza. Tylko kadłub co jakiś czas skrzypiał.

Groza. Statek widmo, taki jak w *Piratach z Karaibów*. Ale zarazem panowała tu elegancja. Śliczne kryształowe szklanki. Małe rzeźby, wciśnięte w alkowy. Plakaty filmowe w ramkach. Zdjęcia Todda i Jennifer z jakimiś znanymi, starymi aktorami.

– Halo? – zawołał i natychmiast poczuł się jak idiota.

Wrócił na rufę.

– Nikogo nie ma w domu, Choo.

– Minęły miesiące – powiedział Virtue. – Co myślałeś? Że wszyscy są na dole, grają w karty i zajadają chipsy?

Sanjit znalazł drabinkę i zwiesił ją przez burtę.

– Włóż na pokład – polecił.

Virtue wspiął się ostrożnie i Sanjit natychmiast poczuł się trochę lepiej. Osłoniwszy oczy, zobaczył na szczycie urwiska Peace, z niepokojem patrzącą w dół. Pomachał, by pokazać, że wszystko w porządku.

– Pewnie nie znalazłeś żadnej instrukcji obsługi śmigłowca?

– *Helikoptery dla opornych?* – zażartował Sanjit. – Nie.

– Powinniśmy poszukać.

– Przydałoby się – odparł, natychmiast tracąc swoje beztrioskie poczucie humoru, gdy popatrzył na Peace na szczycie urwiska. – Bo mówiąc między nami, Choo, pomyśl, żeby spróbować polecieć śmigłowcem tam, na górę, przeraża mnie tak, że chyba się posikam.

Sześć łodzi wiosłowych wypłynęło z przystani przy jasnym blasku gwiazd. Troje dzieciaków w każdej łodzi.

Dwoje przy wiosłach, jedno przy sterze. Wiosła burzyły fosforyzującą powierzchnię wody przy każdym ruchu.

Flota Quinna. Jego armada.

Quinn nie musiał siadać przy wiosłach. W końcu dowodził całą operacją rybacką, ale odkrył, że nawet to lubi.

Kiedyś po prostu wypływali z włączonym silnikiem, rzucali liny i ciągnęli sieci. Ale paliwa brakowało, jak wszystkiego innego w ETAP-ie. W przystani zostało im kilkaset litrów. Należało oszczędzać je na sytuacje wyjątkowe, a nie codzienne czynności takie jak połów.

Pozostały im zatem wiosła i... obolałe plecy. Długi, długi dzień, który zaczynał się jeszcze przed świtem. Rankiem przygotowanie wszystkiego zajmowało im godzinę. Trzeba było przecież załadować sieci po ich wysuszeniu, naszykować przynęty, haki, liny, drągi, same łodzie, zapas żywności na cały dzień, wodę, kamizelki ratunkowe. Potem kolejna godzina przy wiosłach, by dostatecznie oddalić się od brzegu.

Sześć łodzi, trzy uzbrojone w drągi i liny oraz trzy ciągnące sieci. Zmieniali się, bo wszyscy nie cierpieli sieci. Powolne ciągnięcie ich w tę i z powrotem przez wodę sprawiało, że trzeba było jeszcze więcej wiosłować. Potem należało wciągnąć sieci z powrotem do łodzi,

a następnie wybrać ze środka ryby, kraby i najróżniejsze śmieci. Ciężka praca.

Później, po południu, wyruszyła druga grupa łodzi, by łowić głównie niebieskie nietoperze wodne. Był to zmutowany gatunek, który nocą żył w jaskiniach, a przy świetle dziennym wylatywał nad wodę. Służył wyłącznie do karmienia zębaków, śmiercionośnych dżdżownic, które żyły na polach warzywnych. Nietoperze stanowiły daninę, płacaną zębakom.

Dzisiaj Quinn znalazł się w łodzi z siecią. Przez długi czas zaniedbywał się i w ciągu pierwszych miesięcy od nastania ETAP-u coraz bardziej tracił formę. Teraz cieszył się, że jego nogi i ręce, ramiona i plecy nabierały siły. Oczywiście pomagał mu fakt, że miał lepszy dostęp do białka niż większość mieszkańców Perdido Beach.

Quinn pracował przez cały poranek wraz z Tumanem oraz Katriną. Złowili wiele małych ryb i jedną dużą.

– Byłem prawie pewien, że rozerwie sieć – powiedział Tuman. Patrzył z radością na niemal półtorametrową rybę na dnie łodzi. – To chyba największa ryba, jaką kiedykolwiek złowiliśmy.

– Zdaje się, że tuńczyk – orzekła Katrina.

Żadne z nich nie umiało nazwać większości ryb. Wiedzieli tylko, że są jadalne lub nie, że mają dużo albo mało ości. Ten powoli dogorywający olbrzym wydawał się nadzwyczaj jadalny.

– Może i tak – odrzekł łagodnie Quinn. – W każdym razie jest duża.

– Musieliśmy wyciągać ją we trójkę – powiedziała Katrina, śmiejąc się radośnie na wspomnienie chwil, gdy wszyscy troje ślizgali się, potykali, przeklinali.

– Dobra robota – stwierdził Quinn. – No, moi drodzy. Myślicie, że pora na drugie śniadanie? – Był to już znany tekst. Przed południem wszyscy byli już bardzo głodni. Zaczęli nazywać ten czas drugim śniadaniem.

Quinn wyjął srebrny trenerski dzwonek, którego używał do komunikacji z całą flotą. Trzy razy przeciągle dmuchnął.

Pozostali zanurzyli wiosła i zaczęli kierować się ku łodzi Quinna. Wszyscy odnajdowali w sobie nowe siły, gdy nadchodziła pora, by zebrać się na drugie śniadanie.

Nie było fal ani tym bardziej wichru, nawet tutaj, o milę od brzegu. Czuli się jak na środku górskiego stawu. Z tej odległości można było uwierzyć, że Perdido Beach wygląda zwyczajnie. Stąd wyglądało jak urocze, nadmorskie miasteczko, połyskujące w słońcu.

Rozłożyli piecyk hibachi i drewno, które wcześniej wysuszyli. Potem Katrina, która miała w tym zakresie wyjątkowe zdolności, zaczęła rozpalać ogień. Jedna z dziewcząt w innej

łodzi odcięła kawał tuńczyka od strony ogona, oskrobała i pokroiła w fioletoworóżowe plastry.

Oprócz ryby mieli trzy główki kapusty i trochę zimnych gotowanych karczochów. Zapach przyrządzanej ryby był jak narkotyk. Nikt nie umiał myśleć o niczym innym, dopóki nie zjadł swojej porcji.

Potem usiedli w luźno związanych ze sobą łodziach i rozmawiali, robiąc sobie przerwę przed kolejną godziną łowienia ryb i długim wiosłowaniem do miasta.

– Założę się, że to był tuńczyk – odezwał się jakiś chłopak.

– Nie wiem, co to było, ale smakowało mi. Chętnie zjadłbym jeszcze parę kawałków.

– Ej, mamy mnóstwo ośmiornic – zażartował ktoś. Ośmiornice nie były czymś, co należało łowić. W pewnym sensie łowiły się same. I nikt za nimi nie przepadał. Ale każdy jadł je przynajmniej kilka razy.

– Wiesz, co możesz zrobić z ośmiornicą? – odparł ktoś, dodając do tego obrzydliwy gest.

Quinn przyłapał się na tym, że patrzy na północ. Perdido Beach leżało na południowym krańcu ETAP-u, tuż przy barierze. W pierwszych dniach ETAP-u Quinn wraz z Samem uciekli z miasteczka i ruszyli wybrzeżem, szukając wyjścia.

Plan Sama zakładał początkowo podążanie cały czas wzdłuż bariery. Krok za krokiem, łodem i wodą, by znaleźć jakieś przejście.

Wszystko skończyło się jednak zupełnie inaczej.

– Wiecie, co trzeba było zrobić? – odezwał się Quinn, niemal nie zdając sobie sprawy, że mówi na głos. – Zbadać tamten obszar. Jak jeszcze mieliśmy dużo paliwa.

Odpowiedział mu Tuman.

– Co zbadać? Znaczą, poszukać ryb?

Quinn wzruszył ramionami.

– Tutaj ryby jeszcze nam się nie skończyły. Ciągłe coś łowimy. Ale nigdy się nie zastanawiacie, czy dalej na północ nie czeka lepszy połów?

Tuman zastanowił się nad tą kwestią. Nie należał do najbystrzejszych. Był silny i miły, ale niezbyt bystry.

– To dużo wiosłowania.

– Tak, dużo – przyznał Quinn. – Ale przecież mówię: gdybyśmy mieli paliwo.

Opuścił rondo kapelusza, zastanawiając się, czy nie uciąć sobie króciutkiej drzemki. Ale nie, to zły pomysł. Sprawował władzę. Pierwszy raz w życiu za coś naprawdę odpowiadał. Nie zamierzał tego zepsuć.

– Tam są wyspy – stwierdziła Katrina.

– Taaa – ziewnął Quinn. – Szkoda, że nie możemy ich zbadać. Ale Tuman ma rację: to strasznie dużo wiosłowania.

Rozdział 15

29 godzin, 51 minut

Brianna przyjęła Brittney do siebie zgodnie z prośbą Sama, udostępniając jej pokój.

Sam polecił jej, by nikomu o tym nie mówiła. Zgodziła się.

Brianna szanowała Astrid, Alberta i innych członków rady, ale z Samem... cóż, wiele razy walczyli ramię w ramię. Uratował jej życie. A ona jemu.

Jack też mieszkał u Brianny, nie uważała jednak, że to sprawa Sama czy kogokolwiek innego. Stan jego zdrowia poprawił się. Najwyraźniej grypa była krótkotrwała, jak produkty żywnościowe, wytrzymujące na sklepowych półkach jedynie dobie. Chłopak przestał efektownie kaszleć. A co do Brittney... Do uroczych dziwactw Jacka należał fakt, że jeśli coś nie widniało na ekranie komputera, właściwie tego nie widział. Brianna wątpiła zatem, czy zauważy nową współlokatorkę, skoro ta nie miała w głowie portu USB.

Sam poprosił też Briannę, by ograniczyła się do karmienia Brittney, ewentualnie pomogła jej trochę się umyć, choć teraz najłatwiej było to zrobić w morskich falach.

– Nie zadawaj jej żadnych pytań – powiedział dość wyraźnie.

– Dlaczego?

– Bo może nie chcemy poznać odpowiedzi – mruknął. W końcu to przyznał. – Słuchaj, lepiej jej nie stresować, dobra? Stało się coś bardzo dziwnego. Nie wiemy, czy to jakaś mutacja, czy coś innego. Tak czy owak, wiele przeszła.

– Myślisz? – powiedziała. – A to, że była martwa, pochowana i w ogóle?

Westchnął, ale bez zniecierpliwienia.

– Jeśli ktoś ma ją przepytować, to raczej nie ja. I z pewnością nie ty.

Brianna wiedziała, o co mu chodzi. Pomimo że zdecydował się trzymać Brittney w ukryciu, Sam doszedł zapewne do wniosku, że wszystko prędzej czy później wyjdzie na jaw. I prawdopodobnie uznał, że jeśli ktoś ma przepytać Brittney, to Astrid. Cóż...

– No, Brittney, jak się masz? – spytała Brianna. Tamta wstała parę minut wcześniej, a dla Brianny było to dużo czasu. W ciągu paru minut mogła pognać nad morze, napełnić dzban słoną wodą i pobiec z powrotem do domu.

Brittney dotąd nie ruszyła się z pokoju. Ciągle leżała na łóżku z otwartymi oczami. Brianna zastanawiała się, czy w ogóle spała.

Czy zombie sypiają?

Brittney usiadła na łóżku. Brianna postawiła wodę na szafce nocnej.

– Chcesz się umyć?

Pościel była uwalana błotem, lecz nie wydawała się brudniejsza niż zwykle. Strasznie ciężko było coś doprać, płuczac to w morzu, nawet jeśli ktoś potrafił płukać tak sprawnie jak Brianna.

Po takim praniu rzeczy wciąż były brudne, sztywne od soli i szorstkie. Powodowały też wysypki.

– Dobra, pomogę ci. – Brianna podniosła z podłogi starą, brudną koszulkę i zamoczyła ją w wodzie. Potarła błoto na ramieniu Brittney.

Błoto się zmyło. Ale pod nim nie zajaśniała czysta skóra.

Spróbowała powtórnie. Zmyło się więcej błota. Spod spodu wciąż nie prześwitywała jednak czysta skóra.

Briannę przebiegł dreszcz. Niewiele rzeczy budziło jej lęk. Przywykła, że dzięki swojej niezwykłej prędkości jest nie do powstrzymania, niemal niepokonana. Stała oko w oko z Caine'em i oddaliła się ze śmiechem. Ale Brittney budziła niepokój.

Brianna przełknęła ślinę. Znowu potarła. Z tym samym skutkiem.

– Dobra – powiedziała cicho. – Brittney, myślę, że może pora wyjaśnić, no wiesz, co się z tobą dzieje. Bo chciałabym wiedzieć, czy nie myślisz o zjedzeniu mojego mózgu.

– Twojego mózgu? – spytała Brittney.

– Tak. Znaczący, no daj spokój. Jesteś zombie. Powiedzmy sobie szczerze. Nie wolno mi używać tego słowa, ale ktoś, kto powstaje z martwych, wylazi z grobu i chodzi między nami, to właśnie zombie.

– Nie jestem zombie – odparła spokojnie Brittney. – Jestem aniołem.

– Aha.

– W bóleści wezwałam Pana, a on mnie wysłuchał. Tanner poszedł do Niego i poprosił Go, by mnie ocalił.

Brianna zastanawiała się przez chwilę.

– No, to chyba lepsze, niż być zombie.

– Daj mi rękę – powiedziała Brittney.

Brianna zawahała się. Ale powiedziała sobie, że jeśli tamta spróbuje ją ugryźć, zdąży cofnąć dłoń, zanim Brittney zatopi zęby w jej skórze.

Wyciągnęła rękę. Brittney ją złapała i przyciągnęła do siebie, ale nie w kierunku ust. Zamiast tego przyłożyła ją sobie do piersi.

– Czujesz?

– Co? – spytała Brianna.

– Nic. Moje serce nie bije.

Briannę zmroziło. Lecz nadal nie była tak zimna jak tamta. Ręki nie cofnęła. Rzeczywiście nie czuła żadnych wibracji. Żadnego bicia serca.

– No i nie oddycham – dodała Brittney.

– Nie? – szepnęła Brianna.

– Bóg mnie ocalił – ciągnęła tamta z zapalem. – Wysłuchał moich modlitw i ocalił mnie zgodnie ze Swoją wolą.

– Brittney, jesteś... Leżałaś pod ziemią przez długi czas.

– Bardzo długi – potwierdziła Brittney. Zmarszczyła brwi. Od tego grymasu popękało błoto pokrywające jej twarz. Błoto, którego nie dało się zmyć.

– Pewnie jesteś głodna, co? – spytała Brianna, wracając do wcześniejszego tematu.

– Nie muszę jeść. Wcześniej napiłam się wody. Przełknęłam ją, ale nic nie poczułam. I zrozumiałam...

– Co?

– Że jej nie potrzebuję.

– Okej.

Brittney znowu uśmiechnęła się swoim sztywnym uśmiechem.

– No i nie chcę zjeść twojego mózgu.

– To dobrze – powiedziała Brianna. – Więc... co chcesz zrobić?

– Koniec się zbliża – odrzekła Brittney. – Dlatego moje modlitwy zostały wysłuchane. Dlatego Tanner i ja wróciliśmy.

– Ty i... dobra. Kiedy mówisz „koniec”, co to znaczy?

– Prorokini już jest wśród nas. Wyprowadzi nas z tego miejsca, z niewoli. Powiedzie nas do Pana.

– Dobrze – odparła Brianna oschłym tonem. – Mam tylko nadzieję, że jest tam lepsze jedzenie.

– O tak – zapewniła z entuzjazmem Brittney. – Ciasto, cheeseburgery i wszystko, czego tylko chcesz.

– Czyli jesteś prorokinią?

– Nie, nie – zaprzeczyła Brittney, skromnie spuszczać wzrok. – Nie jestem prorokinią. Jestem aniołem Pana. Jego mścicielką, która przybyła, by zniszczyć złego.

– Którego złego? Mamy ich kilku. Chodzi o takiego z widłami?

Brittney znowu się uśmiechnęła, ale tym razem nie było widać jej aparatu na zębach. Był to chłodny, zimowy, ukradkowy uśmiech. – Demon nie ma wideł. Zły przychodzi z

biczem.

Brianna rozważała jej słowa przez kilka chwil.

– Muszę dokądś pójść – powiedziała. Zniknęła tak szybko, jak tylko ona potrafiła.

– Co chcesz dostać na urodziny? – zwrócił się John do Mary.

Mary wytrząsnęła kupkę z serwetki, która pełniła funkcję pieluchy. Odchody wpadły do plastikowego kubła na śmieci. Wkrótce miały zostać wyniesione i wrzucone do rowu, wykopanego koparką Edilia.

– Chciałabym tego nie robić i wtedy miałabym wspaniałe urodziny – odparła Mary.

– Mówię poważnie – powiedział John z wyrzutem.

Dziewczyna uśmiechnęła się i nachyliła głowę do jego głowy, przytykając czoło do jego czoła. Tak wyglądał uścisk, pieśczośliwy gest używany w rodzinie Terrafino.

– Ja też mówię poważnie.

– Zdecydowanie powinnaś wziąć wolne – stwierdził John. – Wiesz, musisz przejść przez to całe „puf”. Mówią, że to dość gwałtowne.

– Na to wygląda – odparła ogólnikowo. Wrzuciła pieluchę do drugiego wiadra, do połowy napełnionego wodą. Woda pachniała wybielaczem. Wiadro stało na małym czerwonym wózku, by dało się je ciągnąć na plażę. Tam prace bez większego zaangażowania prali wszystko w oceanie i odsyłali, nadal poplamione, a dodatkowo szorstkie od piasku i soli.

– Jesteś na to gotowa, prawda? – spytał.

Mary zerknęła na zegarek. Zegarek Francisca. Zdjęła go przed zmywaniem. Ile godzin minęło? Ile jeszcze minut do wielkiej piętnastki?

Skinęła głową.

– Przeczytałam instrukcje. Rozmawiałam z osobą, która przez to przeszła. Zrobiłam wszystko, co powinnam.

– Dobra – odrzekł nieszczęśliwym tonem. Ni z tego, ni z owego dodał: – Wiesz, że Orsay kłamie, prawda?

– Wiem, że przez nią straciłam Francisca – warknęła. – Więcej nie muszę wiedzieć.

– Właśnie! Widzisz? Zobacz, co się stało, kiedy jej posłuchał.

– Ciekawe, jak Jill się u nich miewa – zastanawiała się głośno Mary. Zajęła się kolejną pieluchą. Bez Francisca i kogoś przeszkolonego, by zająć jego miejsce, miała jeszcze więcej pracy niż zwykle. I nie była to przyjemna praca.

– Pewnie w porządku – powiedział John.

– Tak, ale jeśli Orsay to kłamczucha, może nie powinnam pozwolić, żeby zabrała Jill – odparła siostra.

Wydawał się bezradny wobec tego stwierdzenia, niepewny, jak zareagować. Zaczerwienił się i spuścił wzrok.

– Na pewno jest jej dobrze – powiedziała szybko, interpretując jego mimikę jako troskę o Jill.

– Tak. To, że Orsay kłamie, nie oznacza jeszcze, że będzie zła dla Jill – stwierdził.

– Może pójde do niej zajrzeć – powiedziała. – W wolnym czasie. – Parsknęła śmiechem. Ten często powtarzany żart dawno przestał być zabawny.

– Chyba powinnaś się po prostu trzymać z dala od Orsay – zawyrokował John.

– Tak?

– Sam nie wiem. Wiem tylko, co mówi Astrid: że Orsay wszystko zmyśla.

– Skoro Astrid tak mówi, zapewne tak jest – odparła.

Nie odpowiedział, ale wydawał się dotknięty.

– Dobra – powiedziała Mary – te pieluchy mogą już jechać na plażę.

Wyraźnie mu ulżyło, że ma szansę się wyrwać. Mary słyszała, jak wychodzi, i jak skrzypią kółka wózka. Zajrzała do głównej sali. Było tam trzech pomocników, tylko jeden z nich tak naprawdę zmotywowany i wyszkolony. Mogli jednak przez parę minut wszystkim się zajmować.

Umyła ręce najstaranniej, jak mogła, po czym wytarła je w swoje luźne dżinsy.

Gdzie mogła być o tej porze Orsay?

Mary wyszła na zewnątrz i pełną piersią zaczerpnęła powietrza, które nie pachniało moczem ani ekskrementami. Zamknęła oczy, napawając się tym uczuciem. Gdy na powrót je otworzyła, zaskoczył ją widok Nerezzy, która szybko szła w jej stronę, jakby była spóźniona na umówione spotkanie.

– Jesteś... – zaczęła Mary.

– Nerezza – przypomniała jej dziewczyna.

– Tak. Właśnie. Dziwne, ale nie pamiętam, żebyś cię kiedyś spotkała, zanim tu przyszłaś i zabrałaś Jill.

– O, widywałaś mnie – odparła Nerezza. – Ale nie jestem nikim ważnym. Za to ciebie wszyscy znają. Mateczka Mary.

– Właśnie szłam poszukać Orsay – oznajmiła Mary.

– Po co?

– Chciałam sprawdzić, co u Jill.

– Nie po to – odparła Nerezza, niemal się uśmiechając.

Rysy Mary stężały.

– Dobra. Francis, o niego chodziło. Nie wiem, co Orsay mu powiedziała, ale powinnaś wiedzieć, co zrobił. Nie wierzę, żeby Orsay naprawdę tego chciała. Ale musisz to powstrzymać. Nie możesz pozwolić, żeby się powtórzyło.

– Żeby co się powtórzyło?

– Francis wypadł. Zabił się.

Ciemne brwi Nerezzi powędrowały w górę.

– Zabił się? Nie. Nie, Mary. Poszedł do swojej matki.

– Bzdura – odrzekła Mary. – Nikt nie wie, co się dzieje, kiedy wypadasz.

Nerezza położyła jej dłoń na ramieniu. Był to zaskakujący gest. Mary nie była pewna, czy jej się to podoba, ale nie zareagowała.

– Mary. Prorokini wie, co się dzieje. Widzi to. Każdej nocy.

– Tak? Bo ja słyszałam, że kłamie. Że wszystko zmyśla.

– Wiem, co słyszałaś – powiedziała tamta z litością w głosie. – Astrid mówi, że Prorokini kłamie. Ale musisz wiedzieć, że Astrid to osoba bardzo religijna i bardzo, bardzo dumna. Uważa, że wszystko wie. Nie może znieść myśli, że kto inny został wybrany, by ujawnić prawdę.

– Znam Astrid od bardzo dawna – stwierdziła Mary. Chciała zaprzeczyć temu, co powiedziała Nerezza. Ale przecież nie mogła odmówić jej racji. Astrid rzeczywiście była dumna. I miała bardzo jasno określone poglądy.

– Słuchaj słów Prorokini – powiedziała Nerezza, jakby zdradzała jakąś tajemnicę. – Prorokini widziała, że wszyscy przeżyjemy czas wielkiej udręki. Nadejdzie on już niedługo. A wtedy, Mary, wtedy nadejdzie demon i anioł. I w czerwonym zachodzie słońca znajdziemy wybawienie.

Mary wstrzymała oddech, jak zahipnotyzowana. Chciała powiedzieć coś złośliwego, lekceważącego. Ale Nerezza mówiła z absolutnym przekonaniem.

– Przyjdź dziś w nocy, Mary, przed świtem. Przyjdź, a Prorokini sama do ciebie przemówi, mogę ci to obiecać. A wtedy wierzę, że zobaczysz w niej prawdę i boskość. – Uśmiechnęła się i skrzyżowała ręce na piersi. – Ona jest jak ty, Mary: silna, dobra, pełna miłości.

Rozdział 16

16 godzin, 42 minuty

Najgłębszą nocą Orsay wspinała się na skałę. Robiła to tak wiele razy, że wiedziała, gdzie stawiać stopy, gdzie chwytać się rękami. Miejscami kamienie były śliskie i kilkakrotnie bała się, że spadnie do wody.

Zastanawiała się, czy by utonęła. Nie było tu wprawdzie zbyt głęboko, ale gdyby tak spadając uderzyła się w głowę? Nieprzytomna, w wodzie, z morską pianą w ustach...

Mała Jill, w świeżej sukience i nietuląca już tak mocno lalki, wdrapywała się za nią. Była zaskakująco zwinna.

Nerezza wspinała się tuż za nią i obserwowała je czujnym okiem.

– Ostrożnie, Prorokini – mruknęła. – I ty też, Jill.

Była ładną dziewczyną. Znacznie ładniejszą niż Orsay.

Orsay była blada, szczupła i wydawała się niemal wklęsła, jakby pusta, zapadnięta w sobie. Nerezza była zdrowa i silna, miała nieskazitelną, oliwkową skórę i połyskujące czarne włosy. Jej oczy lśniły jasną zielenią. Czasami Orsay odnosiła wrażenie, że wręcz świecą w ciemności.

Nerezza zaciekle broniła Orsay. Niewielka grupka dzieciaków zebrała się u podnóża skały i już czekała. Nerezza odwróciła się, by do nich przemówić.

– Rada rozpowiada kłamstwa, bo nie chce, by ktokolwiek poznał prawdę.

Przybyli patrzyli w górę z twarzami pełnymi nadziei i wyczekiwania. Chcieli wierzyć, że Orsay to prawdziwa prorokini. Słyszeli jednak różne rzeczy...

– Ale dlaczego nie chcą, żebyśmy wiedzieli? – spytał ktoś.

Nerezza przybrała żaloszny wyraz twarzy.

– Ludzie, którzy mają władzę, zazwyczaj boją się ją utracić.

Jej ton świadomego cynizmu zdawał się odnosić skutek. Wszyscy kiwali głowami i naśladowali jej dojrzały, spokojny, mądry wyraz twarzy.

Orsay już niemal nie pamiętała, jak wyglądało życie, zanim Nerezza została jej przyjaciółką i obrończynią. Chyba nigdy nie widywała Nerezzy w mieście. Co zdawało się dziwne, bo taką dziewczynę niełatwo było przeoczyć.

Z drugiej jednak strony, Orsay sama trafiła tu stosunkowo niedawno. Przedtem mieszkała ze swoim ojcem, strażnikiem przyrody, w parku narodowym Stefano Rey i przybyła do miasta długo po tym, jak zaczął się ETAP.

Jej moc ujawniła się jednak już wcześniej. Początkowo nie wiedziała, co się dzieje, skąd się biorą te dziwaczne obrazy w jej głowie. Wreszcie jednak pojęła o co chodzi. Wnikała w sny innych ludzi. Przechadzała się po ich sennych fantazjach. Widziała i czuła to, co oni.

Przeżycia te nie zawsze były miłe. Znalazła się na przykład w głowie Drake'a, stanowiącej siedlisko węży, do którego nikt wolałby nie zaglądać.

Z czasem jej moc zwiększyła się, rozwinęła. Poprosili ją, by spróbowała zajrzeć w świadomość potwora w kopalnianej sztolni. Istoty, którą nazywali gaiaphage, albo po prostu Ciemnością.

Stwór rozdarł jej umysł. Niczym skalpel przeciął wszystkie bariery bezpieczeństwa i prywatności w jej mózgu. Później nic nie było już takie samo. Po tym kontakcie jej moc wzniosła się na nowy poziom. Niepożądany poziom.

Gdy dotknęła bariery, zobaczyła sny z drugiej strony. Sny osób stamtąd.

Stamtąd...

Wyczuwała ich obecność nawet teraz, wspinając się po skale i zbliżając do bariery. Wyczuwała, ale jeszcze nie słyszała, jeszcze nie wnikała w ich sny.

Mogła tego dokonać tylko dotknąwszy bariery. Bo ci po drugiej stronie, na zewnątrz tej szarej, nieprzeniknionej przegrody, też jej dotykali. Orsay postrzegała barierę jako cienką, ale nieprzebytą. Tafla mlecznego szkła o grubości ledwie kilku milimetrów. Tak wierzyła i tak czuła.

Tam, po drugiej stronie, w zwykłym świecie, rodzice i przyjaciele przychodzili niczym pielgrzymi, by dotykać bariery, próbując nawiązać kontakt z jedynym umysłem zdolnym usłyszeć ich krzyk i ulżyć ich tęsknocie. Szukali Orsay.

Zazwyczaj wyczuwała ich obecność. Początkowo miała wątpliwości, czasami wciąż je miewała. Wszystko wydawało się jednak zbyt wyraźne, by być nieprawdą. Tak jej powiedziała Nerezza:

Jeśli czujesz, że coś jest prawdą, tak właśnie jest. Przestań w sobie wątpić, Prorokini.

Czasami wątpiła w Nerezzę. Ale nigdy jej o tym nie powiedziała. Ta dziewczyna skrywała w sobie jakąś moc. Była silna i miała głębię, której Orsay nie widziała, ale którą wyczuwała. Czasami Orsay niemal się obawiała tej pewności Nerezzy.

Dotarła do szczytu. Była zaskoczona, że na plaży zgromadziło się dziesiątki dzieciaków; niektóre włączyły nawet na podstawę skały.

Nerezza stała tuż pod Orsay, pełniąc funkcję strażniczki i trzymając przybyłych na dystans.

– Zobacz, ilu ich przyszło – zwróciła się do niej.

– Tak – potwierdziła Orsay. – Zbyt wielu. Nie mogę...

– Więc rób tylko tyle, ile możesz – odparła Nerezza. – Nikt nie oczekuje, żebyś cierpiała więcej, niż możesz znieść. Ale koniecznie porozmawiaj z Mary. Możesz nie zrobić nic więcej, ale przekaz prorocstwo Mary.

– To boli – powiedziała Orsay. Żle się poczuła, przyznawszy się do tego. Wszystkie te niespokojne, pełne nadziei i rozpaczy twarze odwróciły się do niej. A ona musiała tylko znieść ból, by złagodzić ich lęk.

– Widzisz? Przychodzą pomimo kłamstw Astrid.

– Astrid? – Orsay zmarszczyła brwi. Już wcześniej słyszała, jak Nerezza mówi coś o Astrid. Ale większość jej myśli krążyła gdzie indziej. Tylko częściowo zdawała sobie sprawę, co się dzieje wokół niej. Od dnia, gdy dotknęła Ciemności, czuła się, jakby cały świat był nieco wypłowiały, a dźwięki przytłumione. Zdawało jej się, że rzeczy, których dotyka, spowite są gazą.

– Tak, to Genialna Astrid opowiada te kłamstwa na twój temat.

Orsay pokręciła głową.

– Z pewnością się mylisz. Astrid? To bardzo uczciwa dziewczyna.

– Bez wątplenia Astrid. Wykorzystuje Taylor, Howarda i parę innych osób. Kłamstwa szybko się rozchodzą. Pewnie już wszyscy słyszeli. A jednak zobacz, ilu ich przyszło.

– Może powinnam przestać – zawahała się Orsay.

– Nie daj się kłamstwom, Prorokini. Nie mamy się czego obawiać ze strony Astrid, geniusza, który nie widzi tego, co ma pod samym nosem.

Nerezza uśmiechnęła się swoim tajemniczym uśmiechem, a potem otrząsnęła się ze snu na jawie. Zanim Orsay zdążyła ją spytać, co miała na myśli, Nerezza powiedziała:

– Niech Syrena zaśpiewa.

Orsay tylko dwa razy słyszała śpiewającą Jill. W obu wypadkach przypominało to mistyczne, religijne doświadczenia. Same piosenki tak naprawdę się nie liczyły, chociaż przy niektórych melodiach zdawało się, że człowiek powinien zrobić coś więcej, niż tylko stać i słuchać.

– Jill – poleciała Nerezza. – Szykuj się. – Następnie głośniejszym głosem zwróciła się do zebranych na plaży: – Uwaga! Mamy dla was coś naprawdę niezwykłego. Zainspirowana Prorokinią mała Jill zaśpiewa dla was piosenkę. Myślę, że bardzo wam się spodoba.

Jill zaśpiewała pierwsze wersy piosenki, której Orsay nie rozpoznała.

*Cśśś, dziecino, nie płacz już
idź spać, maleństwo...*

Świat owinął się wokół Orsay niczym miękkiej, ciepłej kołdry. Jej matka, prawdziwa matka, nie śpiewała kołysanek. W umyśle dziewczyny jawiła się jednak inna matka, taka, o jakiej marzyła.

*Gdy się zbudzisz, będziesz mieć
Koniki śliczne te...*

I teraz Orsay zobaczyła je oczyma duszy: kare i gniade, jabłkowite i bułane, tańczące w jej wyobraźni. A wraz z nimi życie, którego nigdy nie poznała, świat, którego nie miała okazji zobaczyć, śpiewająca matka...

Ćśśś, dziecino...

Jill umilkła. Orsay zamruwała powiekami jak zbudzony lunatyk. Zobaczyła swoich zwolenników, te dzieciaki, zgromadzone teraz tak blisko siebie, że zdawały się niemal zlewać ze sobą. Podeszły bliżej do Jill, napierając na skałę.

Ich oczy jednak nie kierowały się na Jill ani nawet na Orsay, lecz na rajski zachód słońca i twarze ich matek.

– Już czas – zwróciła się Nerezza do Orsay.

– Tak – powiedziała Orsay. – Dobrze. Przycisnęła dłoń do bariery. Elektryczny wstrząs oparzył jej opuszki palców. Ból wciąż oszałamiał, nawet po tylu razach. Musiała się zmagać z przejmującym pragnieniem, by odskoczyć.

Nie odrywała jednak dłoni od bariery i ból palił każdy nerw, posuwając się w górę ramienia, parząc. Orsay zamknęła oczy.

– Czy... czy jest... czy jest tu Mary? Jakiś głos jęknął.

Orsay otworzyła wypelnione łzami oczy i zobaczyła stojącą z tyłu Mary Terrafino. Biedna Mary. Dźwigała tak ciężkie brzemie. Zmęczenie, anoreksja i głód sprawiły, że straszliwie wychudła.

Mary, tak strasznie teraz chuda. Głód, jeszcze pogorszony przez anoreksję.

– Chodzi o mnie? – spytała. Orsay zamknęła powieki.

– Twoja matka... Widzę jej sny o tobie, Mary.

Poczuła, jak płyną ku niej falą obrazy, podnoszące na duchu, niepokojące, odwracające uwagę od bólu.

– Mary, sześć lat... Mama za tobą tęskni... Śni o tym, jak byłaś mała i bardzo się zdenerwowałaś, gdy twój młodszy brat dostał pod choinkę prezent, o którym marzyłaś.

– Deskorolkę – szepnęła Mary.

– Twoja mama śni, że niedługo do niej przyjdiesz – powiedziała Orsay. – Znowu będziesz miała urodziny, już niedługo, Mary. Jesteś już taka duża. Twoja mama mówi, że dosyć zrobiłaś. Inni przejmą twoje obowiązki.

– Nie mogę... – powiedziała Mary. Wydawała się zdruzgotana. – Nie mogę zostawić tych dzieci.

– Twoje urodziny wypadają w Dzień Matki, Mateczko Mary – szepnęła Orsay i własne słowa ją zdziwiły.

– Tak – przyznała Mary. – Skąd...

– Tego dnia, Mateczko Mary, uwolnisz swoje dzieci, żebyś znowu mogła być dzieckiem Mary – ciągnęła Orsay.

– Nie mogę ich zostawić...

– Nie zostawisz, Mary. Gdy słońce zajdzie, poprowadzisz je ze sobą do wolności – wyszeptała Orsay. – Gdy słońce zajdzie na czerwonym niebie...

Sanjit spędził wieczór na oglądaniu filmu, w którym grał jego przybrany ojciec. *Pilot Dwa*. Oglądał go już wcześniej. Każde z nich widziało wszystkie filmy Todda Chance'a, co do jednego. I większość filmów Jennifer Brattle. Oprócz tych ze scenami, w których była naga.

Ale *Pilot Dwa* interesował go szczególnie z powodu dwunastosekundowej sekwencji, ukazującej aktora – a może prawdziwego pilota, kto to mógł wiedzieć – sterującego śmigłowcem. Próbował on przy tym ostrzelać z broni maszynowej Johna Gage'a, którego grał Todd Chance, podczas gdy Gage skakał po dachach wagonów pędzącego pociągu towarowego.

Sanjit odtworzył te same dwanaście sekund ze sto razy, aż w głowie mu się zakręciło, a oczy zaszyły mgłą.

Teraz, gdy wszyscy inni byli już w łóżkach, Sanjit objął bardzo, bardzo późny dyżur przy Bowie.

Usiadł w głębokim fotelu przy łóżku chłopca. Stała tam zakrzywiona lampa podłogowa, która nachylała mu się nad ramieniem i rzucała niewielki krąg światła na książkę, którą otworzył. Była to powieść wojenna, której akcja rozgrywała się w Wietnamie, państwie leżącym niedaleko od Tajlandii, w której się urodził. Książka opowiadała o toczącej się tam wojnie, w której brali udział Amerykanie. To jednak go nie obchodziło. Interesował go natomiast fakt, że używano tam śmigłowców, a książka skupiała się na losach żołnierza, który latał właśnie śmigłowcem.

Nie było to wiele, ale nie miał nic więcej. Autor musiał przynajmniej częściowo zapoznać się z tematem. Jego opisy brzmiały nieźle. Nie wyglądały na zupełnie zmyślone.

Trudno było jednak nauczyć się z nich pilotowania śmigłowca.

Bowie gniewnie przechylił głowę w bok, jakby śniło mu się coś złego. Sanjit siedział wystarczająco blisko, by położyć dłoń na czole chłopca. Było gorące i wilgotne.

Bowie był uroczym dzieckiem o wodnistych błękitnych oczach i krzywych zębach. Tak bladym, że czasami wyglądał jak jedno z białych, marmurowych bóstw, które Sanjit widywał w dawno utraconym dzieciństwie.

One jednak były zimne w dotyku. A Bowie nie.

Białaczka? Nie, na pewno nie. Ale nie było to także przeziębienie ani grypa. Ten stan utrzymywał się o wiele za długo, jak na grypę. Poza tym nikt więcej nie zachorował. Zapewne nie była to zatem choroba zakaźna.

Sanjit naprawdę nie chciał patrzeć na śmierć tego chłopca. Widział już, jak ludzie umierają. Stary żebrak bez nóg. Kobieta w połogu. Mężczyzna pchnięty nożem przez alfonsa. I chłopiec o imieniu Sunan.

Sanjit wziął go pod swoje skrzydła. Matka Sunana była prostytutką. Pewnego dnia zniknęła. Nikt nie wiedział, czy jeszcze żyje. A Sunan znalazł się na ulicy. Niewiele wiedział. Sanjit nauczył go, ile mógł. Jak kraść jedzenie. Jak uciekać, kiedy przyłapią cię na kradzieży jedzenia. Jak nakłonić turystów, żeby dali ci pieniądze za noszenie toreb. Jak namówić sklepikarzy, by płacili ci za przyprowadzanie turystów do ich sklepów.

Jak dawać sobie radę na ulicy. Ale nie jak pływać.

Wyciągnął go z rzeki Menam – za późno. Spuścił chłopca z oczu ledwie na chwilę. A gdy znów się odwrócił... było po wszystkim. Z mętnej wody wyłowił tylko zwłoki.

Sanjit usiadł z powrotem. Znowu otworzył książkę. Ręce mu się trzęsły.

Weszła Peace, ubrana w pizamę z krótkim rękawem, przecierając zaspane oczy.

– Zapomniałam Noo Noo – powiedziała.

– Aha. – Zauważył lalkę na podłodze, podniósł i podał jej. – Ciężko spać bez Noo Noo, co?

Peace wzięła lalkę i przytuliła do siebie.

– Czy Bowie wyzdrowieje?

– Mam nadzieję – odrzekł.

– Uczysz się, jak latać śmigłowcem?

– Pewnie – powiedział. – To łatwizna. Są tam pedały pod nogami. Dźwignia, która nazywa się drążek sterowy. I jeszcze jedna, która nazywa się... jakoś inaczej. Zapomniałem. Ale nie martw się.

– Ja się zawsze martwię, prawda?

– Właściwie tak. – Uśmiechnął się do niej. – Ale to nie szkodzi, bo rzeczy, którymi się martwisz, prawie nigdy się nie zdarzają, prawda?

– Tak – przyznała dziewczynka. – Ale rzeczy, o których marzę, też się nie zdarzają.

Sanjit westchnął.

– Tak. No, zrobię, co w mojej mocy.

Peace podeszła i objęła go. Potem wzięła lalkę i wyszła.

Sanjit wrócił do książki. Było tam coś o wymianie ognia z „Charliem”. Przeglądał tekst, próbując wyłapać wskazówki, jak polecieć śmigłowcem – z łodzi, omijając klif.

Ze wszystkimi, na których mu zależało, na pokładzie.

Rozdział 17

15 godzin, 59 minut

– Mateczko Mary? Mogę wstać i przyjść do ciebie?

– Nie, skarbie. Idź spać.

– Ale nie jestem zmęczony.

Mary położyła rękę na ramieniu czterolatka. Poprowadziła go z powrotem do głównej sali. Na podłodze poniewierały się materace i brudna pościel. Niewiele już mogła na to poradzić.

Twoja mama mówi, że dosyć już zrobiłaś.

Mateczka Mary – tak ją nazywali. Jakby była Matką Boską. Dzieciaki zawsze okazywały jej podziw. I co z tego? Niewiele jej to pomagało, gdy nieustannie harowała dniami i nocami.

Naburmuszeni „ochotnicy”. Niekończące się walki między dziećmi o zabawki. Starsze rodzeństwo, bez ustanku próbujące podrzucić do przedszkola młodszych braci i siostry. Zadrapania, stłuczenia, krwotoki z nosa, wypadające zęby, infekcje uszu. Dzieci, które po prostu odchodziły, jak ostatnio Justin. I ciągle, ciągle pytania, na które należało odpowiedzieć. Domaganie się uwagi, które nigdy nie ustawało, nawet na sekundę.

Mary prowadziła kalendarz. Musiała sama go robić – starannie rysowała go na dużej płachcie papieru pakowego. Potrzebowała dużo miejsca na ciągle wpisywanie przypomnień i innych notatek. Urodziny każdego dziecka. Data, kiedy dziecko pierwszy raz poskarżyło się na ból ucha. Przypomnienie o tym, że potrzeba nowej zmiotki lub więcej materiału na pieluchy. Sprawy, o których należało powiedzieć Johnowi albo innym pracownikom.

Patrzyła teraz w kalendarz. Wbiła wzrok we własną notatkę, by dać Francisowi dzień wolnego w uznaniu trzech miesięcy dobrej roboty.

A Francis sam wziął sobie wolne.

Oprócz tego zapis, żeby znaleźć „P”. Ten kod oznaczał prozac. Nie znalazła go. Szafka z lekami Dahry Baidoo była niemal pusta. Dahra dała Mary kilka innych środków przeciwdepresyjnych, lecz miały one skutki uboczne, żywe, absurdalne sny, po których Mary cały dzień odczuwała niepokój i bała się zasnąć.

Jadła tylko to, co powinna.

Niestety znowu zaczęła wymiotować, choć nie za każdym razem. Tylko czasami. Nieraz musiała wybierać między niejedzeniem a wetknięciem sobie palca w gardło. Czasami

nie umiała zapanować nad obydwoma odruchami, więc musiała wybrać jeden.

A potem wstrząsnął nią szloch, pełen nienawiści do własnego umysłu, do tych nowotworów, które zdawały się pożerać jej duszę, dzień i noc, dzień i noc.

Mama za tobą tęskni...

W kalendarzu Dzień Matki był zaznaczony na czerwono: „15 urodziny!”. Odwróciła zegarek Francisa i sprawdziła godzinę. Naprawdę mogło być tak późno? Szesnaście godzin. Szesnaście godzin i będzie piętnastolatka.

To niedługo. Musiała być gotowa na to, na swoją wielką piętnastkę.

Musiała być gotowa, by zwalczyć pokusę, która dręczyła każdego mieszkańca ETAP-u, który osiągnął tę groźną datę.

Wszyscy już wiedzieli, co się dzieje. Zdawało się, że czas staje wtedy w miejscu. I gdy człowiek znajdował się w pewnym zawieszeniu, przychodził kusiciel. Osoba, której szczęścia najbardziej się pragnęło. Do której najbardziej chciało się wrócić. I proponowała ucieczkę. Błagała, żeby do niej dołączyć, wyjść z ETAP-u.

Istniały setki teorii wyjaśniających, dlaczego tak się działo. Mary słyszała teorie numerologiczne, spiskowe, astrologiczne, najróżniejsze historie o UFO i rządowych naukowcach...

Wyjaśnienie Astrid, to „oficjalne”, zakładało, że ETAP jest wybrykiem natury, niezrozumiałą anomalią, rządzoną regułami, które dzieciaki próbowały zrozumieć.

Fenomen wielkiej piętnastki opierał się jedynie na błędzie umysłu. Ani „kusiciel”, ani podążający za nim demon nie mieli w sobie nic rzeczywistego.

– Złudzenie wytworzone przez umysł, by udramatyzować wybór między życiem a śmiercią – wyjaśniła Astrid swoim typowym tonem lekkiej wyższości.

Większość dzieciaków o tym nie myślała. Dla dziesięcioletniej dwunastolatki piętnaście lat wydawało się bardzo odległą perspektywą. Dopiero gdy piętnaste urodziny się zbliżały, człowiek zaczynał o tym myśleć. Kiedy jeszcze mieli prąd i drukarki, Astrid wydrukowała nawet krótką podręczną instrukcję pod tytułem „Jak przeżyć piętnastkę”.

Mary nie przypuszczała, by Astrid kiedykolwiek z rozmysłem skłamała. Nieważne, co mówiła Nerezza. Nie uważała też jednak Astrid za nieomylną.

Zazwyczaj Mary nie miała czasu na rozważania filozoficzne. Łagodnie rzecz ujmując, na ogół była przytłoczona problemami, których przysparzały dzieci.

Teraz jednak ten dzień się zbliżał. I do tego... ta historia z Francisem.

I jeszcze Orsay.

Tego dnia uwolnisz swoje dzieci, żebyś znowu mogła być dzieckiem Mary...

Mary czuła, że depresja zbliża się coraz bardziej. Tropiła ją bardzo cierpliwie. A gdy wyczuwała najmniejszą choćby słabość, atakowała.

Mateczka zmusiła się do jedzenia. A potem do wymiotów.

Nie była głupia ani nieświadoma zagrożenia. Wiedziała, że ją ponosi, że jej psychika się rozpada.

A wkrótce znajdzie się w bezczasie i bezruchu, o którym mówiła użyteczna książeczka Astrid. I zobaczy matkę, która będzie ją wołać...

Porzuć to brzmie, Mary... Idź do niej...

Mary mocno zacisnęła powieki. Gdy je otworzyła, stała przed nią Ashley. Dziewczynka płakała. Śnił jej się koszmar i chciała się przytulić.

Dziewczyna o imieniu Consuela z oddziału wojskowego Edilia zobaczyła to pierwsza. Pobieгла, by znaleźć Edilia. Należała do nocnej warty, pełniącej służbę grubo po północy. Wpadła na to, wrzasnęła i pognęła do Edilia. Tak właśnie powinna postąpić.

A teraz Edilio zastanawiał się, co powinien zrobić. Znał właściwą odpowiedź: zameldować radzie. Sprawił Samowi kłopoty, nie postąpiwszy tak poprzednio.

Ale to...

– Co mam zrobić? – szepnęła Consuela.

– Nikomu nie mów.

– Sprowadzić Astrid? Albo Sama?

Absolutnie logiczne pytania. Edilio żałował, że nie ma absolutnie logicznej odpowiedzi.

– Ruszaj – powiedział. – Dobra robota. Przykro mi, że musiałaś to oglądać.

Odetchnęła z ulgą i oddaliła się. A Edilio patrzył złowrogo na to coś... osobę... ciało... której widok będzie jak nóż wbity w serce Sama.

W ciągu tych kilku miesięcy po śmierci Drake'a Merwina, pokonaniu gaiaphage i załatwieniu sprawy zębaków, wydawało się, że w ETAP-ie zapanował porządek i spokój.

Edilio czuł, że ta krucha konstrukcja, system, nad którego budową tak ciężko pracował i na którego przetrwanie zaczynał już liczyć, rozpada mu się teraz w rękach.

Ten system nigdy nie był naprawdę skuteczny. ETAP zawsze wygrywał.

Sam stanął nad ciałem. Wstrząsnął się, widząc zmasakrowane dziecko. Zatoczył się w tył, wsparł o ramię Edilia.

Sam poczuł, jak ogarnia go panika. Chciał uciekać. Z trudem oddychał. Serce waliło mu w piersi, żyły zdawała się wypełniać lodowata woda.

Wiedział, co się stało.

– Ej, szefie – zagadnął Edilio. – W porządku?

Sam nie mógł odpowiedzieć. Chwytał powietrze haustami. Jak małe dziecko, które ma się rozplakać.

– Sam – powiedział Edilio. – Chodź, stary.

Spojrzał na okaleczone ciało, potem na przyjaciela i znowu na zwłoki.

Rozumiał, o czym one świadczą. Sam znał straszliwe rany, na które teraz patrzył. Ciało dwunastolatka o imieniu Leonard nosiło ślady, których Sam miał nigdy nie zapomnieć. Ślady bicia.

Na ulicy panowała cisza. W zasięgu wzroku nikogo nie było. Żadnego świadka.

– Drake – szepnął Sam.

– Nie, stary. Drake nie żyje.

Sam z nagłą wściekłością złapał Edilia za koszulkę.

– Nie mów mi, co widzę! To on! – wykrzyknął.

Edilio cierpliwie odsunął jego rękę.

– Słuchaj, wiem, jak to wygląda. Widziałem, jak ty wyglądałeś tamtego dnia. Więc wiem, prawda? Ale stary, to nie ma sensu. Drake nie żyje, pogrzebany pod tonami skał w kopalni.

– To Drake – odparł beznamiętnie Sam.

– Dobra, dosyć tego – warknął Edilio. – Odbija ci. Sam zamknął oczy i znowu poczuł ból... ból przekraczający wyobrażenie. Ból przywodzący na myśl męki piekielne.

Uderzenia pejcza, w który zmieniła się ręka Drake'a. A każde wrywało pasy mięsa...

– Nie... Nie wiesz, jak było...

– Sam...

– Nawet kiedy Brianna nafaszerowała mnie morfiną... nie wiesz... nie wiesz... Jasne? Nie wiesz. Módl się do Boga, żeby się nigdy nie dowiedzieć.

Taylor wybrała akurat tę chwilę, by się pojawić. Spojrzała na ciało i krzyknęła. Zasłoniła usta i odwróciła wzrok.

– On wrócił – powiedział Sam.

– Taylor, zabierz stąd Sama. Zaprowadź go do Astrid – nakazał Edilio.

– Ale Sam i Astrid są...

– Zrób to! – ryknął Edilio. – A potem rusz tyłek i ściągnij pozostałych członków rady.

Chcą wiedzieć, co się dzieje? Świetnie. W takim razie niech wstaną z łóżek.

- To nie odchodzi – wycodził Sam przez zaciśnięte zęby.
- Wiesz, Edilio? Nie odchodzi. Zawsze jest przy mnie. Zawsze.
- Zabierz go – zwrócił się Edilio do Taylor. – I powiedz Astrid, że musimy pogadać.

Rozdział 18

15 godzin, 57 minut

– Ruszamy dziś w nocy – oznajmił Caine. Był słaby i obolały. Zdyszał się, bo po prostu wszedł po schodach do jadalni. A czuł się, jakby przebiegł maraton.

Taki efekt wywoływał głód.

Próbował policzyć wyczerpane, wymizerowane twarze, które zwróciły się ku niemu. Piętnaście? Siedemnaście? Z pewnością nie więcej.

Ostatnia świeca migotała na stole, na którym kiedyś piętrzyły się kawałki tuńczyka i pizzy, miseczki z galaretką i sałatką, kartony mleka, wszystko, co standardowo serwowano w szkolnej stołówce.

Pomieszczenie było kiedyś pełne zdrowo wyglądających dzieciaków. Niektóre były chude, inne grube, ale żadne tak przerażająco blade jak te, które tu pozostały.

Coates Academy, modna szkoła, do której bogaci posyłali swoje sprawiające kłopoty dzieci. Podpalaczy. Brutalnych osiłków. Narkomanów. Dzieciaki z zaburzeniami psychicznymi. Albo po prostu takie, które za często pyskowały. I takie, które rodzicom po prostu nie były potrzebne.

Sprawiające trudności, przegrane, odrzucone. Niekochane. Coates Academy, gdzie można było wysłać swoje dzieci i więcej nie zawracać sobie nimi głowy.

Układ bez wątplenia miał zalety dla wszystkich zainteresowanych.

A teraz z Coates pozostały żalodne resztki. Ci, którzy byli wystarczająco źli albo mieli dosyć szczęścia, by przeżyć. Tylko czworo z nich bez wątplenia było mutantami. Caine we własnej osobie, cztery kreski. Diana, która dysponowała jedynie zdolnością mierzenia mocy innych mutantów. Robal, zdolny niemal zupełnie zniknąć. I Penny, która odkryła w sobie niezwykle użyteczną moc iluzji. Mogła sprawić, by dana osoba uwierzyła, że atakują ją potwory, ktoś dźga ją nożem albo że staje w ogniu.

Zademonstrowała to na niejakim Barrym. Uwierzył, że po pokoju ścigają go włócznie. Fajnie było patrzeć, jak ucieka przerażony.

To wszystko. Czworo mutantów, z których tylko dwoje, Caine i Penny, nadawało się do czegoś w walce. Robal był przydatny do innych celów. A Diana... to po prostu Diana. Jedyna twarz, którą chciał teraz widzieć.

Teraz jednak siedziała z opuszczoną głową, podtrzymując ją rękami, z łokciami opartymi na kolanach.

Inni patrzyli tylko na niego. Nie kochali go ani nawet nie lubili, ale wciąż się go obawiali.

– Wezwałem tutaj wszystkich, bo dzisiaj ruszamy – oświadczył Caine.

– Masz coś do jedzenia? – pisnął żałośnie jakiś głos.

– Zdobędziemy jedzenie – odparł. – Znamy pewne miejsce. To wyspa.

– A jak się dostaniemy na wyspę?

– Zamknij się, Jason. Wyspa należała do dwojga sławnych aktorów, których pewnie pamiętasz. Nazywali się Todd Chance i Jennifer Brattle. Mieszkali w ogromnej rezydencji na prywatnej wyspie. Na pewno zgromadzili tam mnóstwo żywności.

– Można się przeprawić tylko łodzią – jęknął Jason. – Jak sobie poradzimy?

– Weźmiemy kilka łodzi – odparł Caine ze znacznie większą pewnością siebie, niż ta, którą w istocie odczuwał.

Robal kichnął. W tym momencie stał się niemal zupełnie widzialny.

– Robal wie o tym miejscu – oznajmił Caine. – Jest bardzo znane.

– Więc czemu wcześniej o nim nie słyszeliśmy? – spytała Diana, mamrocząc do podłogi.

– Bo Robal jest idiotą i nie przyszło mu do głowy, żeby nam powiedzieć – warknął Caine. – Ale wyspa istnieje. Nazywa się San Francisco de Sales. Jest na mapie.

Wyciągnął z kieszeni poszarpaną i zmiętą kartkę, wyrwaną z atlasu w szkolnej bibliotece.

– Widzicie? – Podniósł mapę. W odpowiedzi ujrzał przebłyśki szczerego zainteresowania.

– Weźmiemy łodzie – powiedział. – Znajdziemy je w Perdido Beach.

Te słowa zabiły słaby entuzjizm, który się wcześniej pojawił.

– Mają tam różnych odmieńców, broń i w ogóle – odezwała się dziewczyna o ksywce Pampers.

– Tak, mają – przyznał Caine znużonym tonem. – Ale wszyscy będą zbyt zajęci, żeby nam przeszkodzić. A jeśli ktoś wejdzie nam w drogę, ja go załatwię. Ja albo Penny.

Wszyscy popatrzyli na Penny. Miała dwanaście lat. Kiedyś zapewne była ładna. Śliczna, drobna Amerykanka chińskiego pochodzenia, z małym noskiem i zdziwionymi brwiami. Teraz przypominała stracha na wróble, miała kruche włosy, czerwone z niedożywienia dziąsła i wysypkę, która pokrywała jej szyję i ręce niczym wzorzysta, różowa koronka.

Głos zabrał Jason.

– Chyba zwariowałeś. Iść przez Perdido Beach? Połowa z nas nie pokona takiej odległości, nie mówiąc już o walce. Umieramy z głodu, chłopie. Jeśli nie masz dla nas jedzenia, padniemy, zanim dojdziemy do autostrady.

– Posłuchajcie mnie – powiedział Caine. – Z całą pewnością będziemy potrzebowali żywności. I to niedługo.

Diana podniosła wzrok, bojąc się tego, co Caine może teraz zrobić.

– Jedyna żywność, jaką możemy zdobyć, jest na tej wyspie. Albo tam dotrzemy, albo znajdziemy coś innego do jedzenia.

Rozdział 19

15 godzin, 27 minut

To dziwne, pomyślał Zil. Dziwne, jak do tego doszło. Dziwne, jak bardzo się bał, jak trząsał się w środku. Bo przecież to on rządził. A wszyscy na niego liczyli.

Przywódca. Przez duże „P”, kiedy to słowo wymawiał Turk.

Turk, mały lizus z chorą nogą i szczerzym pyszczkiem. I Hank. Hank budził lęk. Prawdopodobnie był kompletnym wariatem. No, dobrze, nie prawdopodobnie, tylko z całą pewnością. To on zawsze nalegał, prowokował, stawiał żądania.

I reszta. Dwadzieścia trzy osoby. Antoine, gruby ćpun. Max. Rudy. Lisa. Trent. Inni, których Zil ledwie znał. Jedynym, którego tak naprawdę lubił, był Lance. Lance był fajny – przystojny i mądry. Dzięki niemu Zil czuł, że może to, co robią, jest w porządku. Że może naprawdę zasłużył na rolę Przywódcy przez duże „P”.

Tak czy owak, zrobiło się już za późno, by się wycofać. Zawarł układ z Caine'em. Umowa była bardzo prosta. W ETAP-ie mieszkały dwie osoby, których Zil powinien się obawiać znacznie bardziej niż innych: Sam i Caine. Caine dał mu szansę. Mógł dzięki niej zdyskredytować jednego i wyeliminować drugiego.

Teraz albo nigdy.

Najpierw to co najważniejsze. Benzyna. A potem będzie już za późno, by się zastanawiać.

Pora decydującej rozprawy zbliżała się wielkimi krokami.

Dwadzieścia trzy osoby przemykały po ciemnych ulicach dwójkami i trójkami, chowając pod bluzami i kurtkami broń palną oraz kije. Niektórzy szli pewnym krokiem, inni skradali się przerażeni. Najbardziej bali się tego, że Sam zorientuje się zbyt wcześnie i spróbuje ich powstrzymać, zanim zaczną zabawę.

Zil roześmiał się bezwiednie.

Był z Turkiem. Żaden z nich nie niósł broni. Sam nie miałby pretekstu, by ich zatrzymać.

– Prawdziwy Przywódca – powiedział Turk swoim głosem lizusa. – Śmiejesz się wbrew wszystkiemu.

Zil nic nie odpowiedział. Żołądek podszedł mu do gardła.

Tak wiele mogło się nie udać. Brianna. Dekka. Taylor. Edilio. Nawet Orc. Odmieńcy i ich zwolennicy, zdrajcy. Każdy z nich mógł udaremnić plan.

Czuł się tak, jakby stał na krawędzi urwiska.

Trzeba było ruszać naprzód. Krok za krokiem. Najpierw stacja benzynowa. To musiało nastąpić tej nocy. Teraz.

I całe miasto musiało spłonąć.

Z tego pożaru Ekipa Ludzi pod przewodnictwem Zila pozbiera ocalałych. Wtedy naprawdę zostanie Przywódcą, nie tylko tej grupki nieudaczników, ale wszystkich.

Brittney nie wiedziała, gdzie była ani co robiła, odkąd wyszła z domu Brianny. Miała przebłyski, niczym pojedyncze klatki wycięte z filmu. Przestrzeń pod podłogą domu. Leżenie na ziemi, jej chłód na plecach. Pokryte pajęczynami belki nad głową, wieko trumny.

Inne przebłyski ukazywały skały na plaży. Piach, przez który tak ciężko się szło.

Pamiętała, że w oddali widziała dzieci. Dwoje. Uciekły na jej widok. Ale może nie były żywymi ludźmi, tylko duchami. Nie miała całkowitej pewności, czy ktokolwiek, kogo widzi, jest rzeczywisty. Na pierwszy rzut oka ludzie wyglądali jak żywi – ich oczy, włosy i usta wydawały się znajome. Ale czasami zdawało się, że gdzieś z ich ciał dobywa się światło.

Trudno było stwierdzić, co jest prawdą, a co nie. Wiedziała tylko, że chwilami obok niej pojawia się Tanner. On był prawdziwy, podobnie jak głos w jej głowie, który mówił, że ma go słuchać, służyć mu, podążać ścieżką prawdy i dobra.

Później Brittney przypomniała sobie, jak czuła, że zły znajduje się blisko. Bardzo blisko. Czuła jego obecność. Był tam.

Ale gdzie była ona? Spytała swojego brata, Tannera. Tanner wyglądał dość nieporządnie, jego rany były aż nazbyt widoczne.

– Gdzie jestem, Tanner? Jak się tu znalazłam?

– Powstałaś, aniele zemsty – odparł.

– Tak – powiedziała. – Ale gdzie byłam? Teraz. Tuż przedtem. Gdzie byłam?

Przy następnej przecznicy rozległ się hałas. Szły dwie osoby. Sam i Taylor.

Sam był dobry. Taylor też. Żadne z nich nie sprzyjało złemu. Zdawało się, że jej nie widzą. Ciągnęli za sobą pasma ultrafioletowego blasku, niczym ślad śluzu.

– Widziałeś go, Tanner?

– Kogo?

– Złego. Widziałeś demona?

Nie odpowiedział. Krwawił z okropnych ran, które go zabiły.

Brittney dała temu spokój. Właściwie już zapomniała, że w ogóle zadała jakieś pytanie.

– Muszę znaleźć Prorokinię – stwierdziła. – Muszę ją ocalić przed złym.

– Tak. – Tanner przywdział swój drugi strój, anielskie szaty. Lśnił pięknie, na podobieństwo złotej gwiazdy. – Za mną, siostrze. Musimy spełnić dobre uczynki.

– Chwała Jezusowi – powiedziała Brittney.

Jej brat popatrzył na nią i przez chwilę zdawało się, że się uśmiecha. Zęby miał obnażone, oczy zaś czerwone od wewnętrznego ognia.

– Tak – odrzekł. – Chwała.

Rozdział 20

15 godzin, 12 minut

Stacja benzynowa tonęła w mroku.

Zil podniósł wzrok ku niebu. Świeciły gwiazdy, zdumiewająco jasne i wyraźne. Czerń nocy i błyszczące, białe gwiazdy, od których aż bolały oczy.

Zil nie był poetą, ale rozumiał, czemu ludzie dają się gwiazdom niemal zahipnotyzować. Wielu wybitnych ludzi niewątpliwie wpatrywało się w niebo, szykując się do zrobienia rzeczy, które na zawsze miały przysporzyć im chwały.

Szkoda, że te gwiazdy nie były prawdziwe.

Nagle, niczym duch, pojawił się Hank. Przyszedł z Antoine'em. Zil widział też innych, przy autostradzie. Trzymali się razem, przestraszeni, nerwowi, zapewne chętni, by uciekać, gdzie pieprz rośnie.

– Przywódco – odezwał się Hank donośnym szeptem.

– Tak, Hank? – odpowiedział Zil kojąco spokojnym głosem.

– Ekipa Ludzi czeka na rozkazy.

Szmer wielu głosów. Przestraszone owce, które beczą chórem, próbując dodać sobie odwagi.

Zjawił się Lance.

– Sprawdziłem. Czterech żołnierzy Edilia. Dwaj śpią. Żadnych odmieńców, jak mi się wydaje.

– Dobrze – powiedział Zil. – Jeśli będziemy działać szybko i wykorzystamy element zaskoczenia, wątpię, żebyśmy nawet musieli zrobić komuś krzywdę.

– Nie licz na to – odparł Hank.

– Cokolwiek się zdarzy, tak miało być – rzucił Turk.

– Przeznaczenie.

Zil przełknął ślinę. Jeśli okaże słabość, będzie po wszystkim.

– To początek końca odmieńców – oświadczył. – Dzisiaj odzyskamy Perdido Beach dla ludzi.

– Słyszeliście Przywódcę – powiedział Turk.

– Idziemy – odezwał się Hank. Przez ramię miał przewieszoną wielką strzelbę. Zsunął ją i ostentacyjnie odbezpieczył.

A potem ruszyli. Szli szybko. Zil prowadził, po jednej stronie mając Hanka, po drugiej

zaś – Lance'a. W drugim rzędzie człapał Antoine wraz z Turkiem.

Nikt ich nie zauważył, gdy wyłonili się na autostradę. Ani gdy szybkim krokiem minęli starą, sfatygowaną tablicę z cenami paliwa.

Przeszli koło pierwszego dystrybutora, zanim rozległ się okrzyk.

– Hej!

Przyspieszyli, puszczając się radosnym biegiem.

– Hej! Hej! – zawołał znowu głos.

Zil nie znał imienia chłopaka, który krzyczał. A potem rozbrzmiał drugi głos.

– Co się dzieje?

PAF! Dźwięk był ogłuszający. Język żółtego ognia z lufy. Strzelba Hanka.

Pierwszy chłopak padł z łoskotem.

Zil omal nie wrzasnął. Omal nie krzyknął: „Stać!” Omal nie powiedział: „Nie musicie...” Ale było już za późno.

Drugi żołnierz wznosił swoją broń, ale się zawahał. W przeciwieństwie do Hanka.

PAF!

Tamten odwrócił się i uciekł. Rzucił broń i biegł.

Kolejne głosy, pełne strachu i dezorientacji. Strzały. Tu, tam. Beładna wymiana ognia. Strzelał każdy, kto mógł. Wybuchy światła rozdzierały ciemność.

– Przerwać ogień! – wydarł się Hank.

Strzelanina trwała. Ale wszystkie strzały rozlegały się teraz po stronie Zila.

– Przestańcie! – krzyknął.

Huk ustał. Zilowi dzwoniło w uszach. W pewnej odległości płakał jakiś żaloszny głos. Płakał jak dziecko.

Przez dłuższą chwilę nikt nic nie mówił ani nie robił. Chłopak, który leżał na plecach, nie wydawał z siebie żadnego dźwięku. Zil nawet na niego nie spojrzał.

– Dobra, trzymajmy się planu – powiedział Hank tak spokojnie, jakby to była tylko gra komputerowa, w której włączył pauzę.

Ci, którzy mieli za zadanie nieść butelki, zaczęli je wyciągać. Lance podszedł do ręcznej pompy, która pompowała benzynę z podziemnego zbiornika. Zaczął napełniać szklane butelki, trzymane w drżących dłoniach.

– Nie do wiary – powiedział ktoś.

– Udało się! – ucieszył się inny.

– Jeszcze nie – warknął Zil. – Ale początek mamy za sobą.

– Pamiętajcie: wepchnijcie szmaty głęboko do butelek, tak jak wam mówiłem. I nie

zamoczyć zapalniczek – poinstruował Hank.

W chwastach za stacją znaleźli taczkę. Nie toczyła się zbyt dobrze, bo miała przekrzywione koło, ale wystarczała do wiezienia butelek.

Zapach benzyny drażnił gardło Zila. Denerwował się, czekając na kontratak. Na Sama, który przyjdzie ze swoimi ognistymi dłońmi.

Wszystko by się skończyło.

Ale bez względu na to, jak mocno wytężał wzrok, wpatrując się w czerni nocy, nie dostrzegał jedyne go odmieńca, który mógł go powstrzymać.

Mały Pete stęknął, naciskając guziki i obsługując panel dotykowy swojej kieszonkowej konsoli.

Sam siedział, milczący, wycofany. Nie odezwał się, odkąd Taylor wciągnęła go tu przez drzwi i przerwała Astrid niespokojny sen.

Astrid zdała sobie sprawę, że głupotą było się do niego nie odzywać. Gdy Taylor ją obudziła, wyobraziła sobie, że Sam do niej wrócił, że jej wybaczył.

Gdy jednak Taylor oznajmiła, że zaraz przyjdzie z resztą rady, do Astrid dotarło, że coś jest nie tak.

Teraz zebrali się już wszyscy. No, w większości. Krążyła wieść, że Dekka ma dosyć tego, co się dzieje. Zjawił się jednak Albert. A tak naprawdę, przyznała sama przed sobą Astrid, obecność Alberta i jej samej oznaczała, że najważniejsi członkowie rady są na miejscu.

Niestety, Howard też się zjawił. Johna nikt nie chciał wyciągać w środku nocy. Mógł się dowiedzieć o wszystkim później.

Mieli kworum. Astrid, Albert, Howard i Sam. Czwooro z siedmiorga. Astrid mimowolnie zauważyła, że w tym układzie większe są szanse na to, by każde głosowanie poszło po jej myśli.

Siedzieli za stołem przy niesamowitym blasku Słoneczka Sammy'ego.

– Dobra, Taylor, gadaj ty, bo Sam nie wydaje się zbyt rozmowny – przemówiła Astrid.

– Po co tu wszyscy jesteśmy?

– Dziś w nocy zamordowano chłopaka – wyjaśniła Taylor.

W głowie Astrid zrodziło się sto pytań, jednak najpierw postanowiła zadać najważniejsze z nich.

– Kogo?

- Edilio myśli, że to Juanito. Albo Leonard.
- Myśli?
- Trochę trudno stwierdzić – odparła Taylor bez drwiny.
- Co się stało? – spytał Albert.

Taylor spojrzała na Sama. Ten milczał. Patrzył. Najpierw na światło, unoszące się w powietrzu. Potem na Taylor. Wydawał się blady i niemal przezroczysty. Jakby nagle stał się o wiele, wiele starszy.

– Chłopaka zbito pejczem – powiedziała Taylor. – Wyglądał jak po tym, co spotkało Sama.

Sam splótł dłonie na karku. Zdawało się, że próbuje przytrzymać mocno głowę, jakby mogła wybuchnąć.

– Drake nie żyje – odezwał się Albert. Brzmiało to jak słowa kogoś, kto bardzo chce, żeby to, co mówi, okazało się prawdą. – Umarł.

– No tak... – odrzekła Taylor.

– Co „no tak”? – spytała Astrid, momentalnie słysząc zmianę w jej głosie.

Taylor zaczęła się niespokojnie wiercić.

– Słuchajcie, Edilio powiedział, żebym przyprowadziła tu Sama i zebrała was razem. Myślę, że Sam pamięta, co się stało.

– Chłopaka wychłostano. Tak jak mnie – powiedział Sam, patrząc w podłogę. – Znam te ślady. Ja...

– To jeszcze nie znaczy, że to Drake – stwierdził Albert.

– Drake nie żyje – odparła Astrid. – Zmarli nie wracają. Nie bądźmy śmieszni. Howard szyderczo parsknął.

– Dobra. Dalej nie będę tego ciągnął, Sammy. – Wykonał gest umywania rąk.

Astrid palnęła dłonią w stół, zaskakując nawet siebie.

– Niech mi ktoś lepiej powie, co oznaczają te wszystkie spojrzenia.

– Brittney – Howard wypluł z siebie to imię, jakby było trucizną. – Ona wróciła. Sam umieścił ją u Brianny i zabronił mi o tym mówić.

– Brittney? – powtórzyła z konsternacją Astrid.

– Tak – potwierdził Howard. – Wiesz, ta od dawna martwa Brittney. Bardzo martwa. Ta, która dawno została pochowana, a teraz nagle siedzi w moim domu i nawija. Właśnie ta Brittney.

– Ciągle nie...

– No, Astrid – powiedział Howard. – Zdaje się, że właśnie odkryliśmy granice

możliwości twojego wielkiego, genialnego umysłu. Rzecz w tym, że ktoś, kto był całkowicie martwy, nagle już taki martwy nie jest.

– Ale... – zaczęła Astrid. – Ale Drake...

– Równie martwy jak Brittney – odparł Howard. – Co może stanowić pewien problem, bo akurat Brittney nie jest do końca martwa.

Astrid poczuła, że robi się jej niedobrze. Nie. To niemożliwe. Absurdalne. Nawet tutaj, nawet w ETAP-ie.

Howard jednak nie kłamał. Potwierdzała to mina Taylor. Sam też nie rzucał się, by z nimi polemizować.

Astrid wstała. Zgromiła Sama wzrokiem. Czowała pulsowanie w głowie.

– Nie powiedziałeś mi? Dzieje się coś takiego, a ty nie powiedziałeś radzie?

Sam ledwie podniósł wzrok.

– To tobie nie powiedział, Astrid – zauważył Howard, wyraźnie napawając się tą sytuacją.

Jakaś część Astrid współczuła Samowi. Wiedziała, że minie jeszcze wiele czasu, zanim chłopak dojdzie do siebie po tym, jak skatował go Drake. Wystarczyło na niego spojrzeć, by zobaczyć dowód: siedział ze zwieszoną głową, skulony, przestraszony.

Ale Drake gnębił nie tylko jego. Wcześniej i ona miała z nim do czynienia. Gdy o tym myślała, wciąż niemal czuła piekące uderzenie w twarz.

Kazał jej... Zmusił ją, by nazwała małego Pete'a debilem. Zastraszył, by zdradziła tego, kogo kochała najbardziej na świecie.

Zdołała jednak wyrzucić to z umysłu. Czemu Sam nie mógł zrobić tego samego?

Howard zaśmiał się.

– Sammy nie chciał, żeby ludzie zaczęli używać słowa na „z”.

– Co takiego? – warknęła.

– Zombie. – Howard zrobił przerażającą minę i wyciągnął ręce przed siebie jak lunatyk.

– Taylor, wyjdź, proszę – poleciła Astrid.

– Ale, ja...

– To teraz sprawa rady – powiedziała Astrid, wkładając w swój głos cały chłód, na jaki było ją stać.

Taylor zawahała się i popatrzyła na Sama, szukając w nim oparcia. Nie podniósł wzroku, nawet nie drgnął. Poświęciła więc sekundę, by pożegnać Astrid gestem środkowego palca, po czym zniknęła z pokoju.

– Sam, wiem, że jesteś zdenerwowany po tym, co zaszło między tobą a Drakiem – zaczęła Astrid.

– Zdenerwowany? – powtórzył Sam z ironicznym uśmiechem.

– Ale to nie powód, żeby coś przed nami ukrywać.

– Tak – wtrącił Howard. – Nie wiesz, że tylko Astrid ma prawo coś ukrywać?

– Zamknij się – warknęła dziewczyna.

– Tak, możemy kłamać, bo jesteśmy mądrzy – ciągnął Howard. – Nie to, co idioci na zewnątrz.

Astrid skierowała uwagę z powrotem na Sama.

– To nie jest w porządku, Sam. Rada ponosi odpowiedzialność. Nie tylko ty.

Sam sprawiał wrażenie, jakby zupełnie nie dbał o to, co ona mówi.

– Hej – powiedziała. – Mówimy do ciebie.

To przesądziło sprawę. Zaciśnął zęby. Głowa powędrowała w górę. W oczach zalśnił blask.

– Przestań! To nie tobie odłaziła skóra, nie ty cała broczyłaś krwią, tylko ja. To ja zszedłem do tej sztolni i próbowałem walczyć z gaiaphage.

– Nikt nie umniejsza tego, co zrobiłeś. Jesteś bohaterem. Ale jednocześnie...

Sam zerwał się na nogi.

– Jednocześnie? Jednocześnie ty siedziałaś w mieście. Edilio dostał kulę w pierś, Dekka została rozdarta na strzępy. Starałem się nie krzyczeć... Ty, Albert i Howard... Nie było was tam, prawda?

– Byłam zajęta, bo stawiałam czoło Zilowi i próbowałam ratować Huntera! – wykrzyknęła.

– Ale to nie ty i twoje wielkie słowa, tylko Orc powstrzymał Zila. A był tutaj, bo wysłałem ci go na ratunek. Ja! – Dźgnął się palcem w pierś. – Ja! Ja i Brianna, i Dekka, i Edilio! I biedny Duck.

Wtem znowu pojawiła się Taylor.

– Hej! Jeden z żołnierzy Edilia właśnie przyszedł ze stacji benzynowej. Aż się zataczał. Mówi, że ktoś napadł na stację i ją zajął.

Te słowa ucięły dyskusję.

Sam odwrócił się do swojej dziewczyny i spojrzał na nią z ironią.

– Chcesz iść i zająć się tym?

Astrid poczerwieniała.

– Nie? Tak myślałem. W takim razie chyba muszę to być ja.

Po jego wyjściu na chwilę zapadła cisza.

– Może lepiej szybko uchwalmy jakieś prawa, żeby Sam mógł legalnie uratować nam tyłki – odezwał się wreszcie Howard.

– Howard, idź po Orka – powiedział Albert.

– Teraz ty wydajesz mi rozkazy? – Howard pokręcił głową. – Nic z tego. Ani ty, ani ona – dodał, wskazując palcem Astrid. – Możecie myśleć o mnie, co chcecie, ale ja przynajmniej wiem, kto nam ratuje tyłki. I jeśli mam słuchać czyichś rozkazów, to tylko tego, kto właśnie stąd wyszedł.

Rozdział 21

14 godzin, 44 minuty

– Znajdź Edilia, Dekkę i Briannę – powiedział Sam do Taylor. – Edilio i Dekka na stację benzynową. Brianna patroluje ulice. Musimy zająć się Zilem.

Taylor wyjątkowo się nie spierała. Odskoczyła.

Głęboko zaczerpnęła zimnego, nocnego powietrza. Zaczął układać sobie wszystko w głowie. Zil. Trzeba go zatrzymać.

Widział jednak tylko Drake'a. Drake kryjący się w cieniu. Drake za każdym krzakiem i drzewem. Drake z biczem zamiast ręki. Drake, nie Zil.

Zacisnął powieki. Tym razem będzie inaczej. Wtedy nie miał wyboru, musiał pozwolić, by Drake go bił. Musiał tam stać i znosić to...

Zauważył, że idzie za nim Howard. Przez chwilę czuł się nieco zaskoczony, lecz potem się zorientował, że tamten chce wykorzystać sytuację i posłużyć się Orkiem dla zysku.

– Howard? W jakim stanie jest Orc?

Howard wzruszył ramionami.

– Nieprzytomny, pijany w sztok.

Sam zaklął pod nosem.

– Sprawdź, czy zdołasz postawić go na nogi.

Rzucił rozkazy jak automat, w ogóle nie zastanawiając się, co ma powiedzieć.

Drake. W jakiś sposób ten potwór wrócił. Nadal żył.

Jak miał walczyć z czymś, czego nie dało się zabić? Z Zilem da sobie radę. Ale Drake? Drake, który potrafił powstać z martwych?

Spalę go, powiedział sobie. Spalę go centymetr po centymetrze. Zmienię go w kawałek węgla. Obrócę w popiół. I rozrzucę popiół nad całą milą morza i lądu.

Niech no spróbuje wrócić po czymś takim.

– Jeśli Orc wstanie, będzie cię to kosztowało – oznajmił Howard. – On już walczył z Drakiem.

– Spalę go – mruknął do siebie Sam. – Zabiję własnymi rękami.

Howard pomyślał najwyraźniej, że słowa te skierowane są albo do Orca, albo do niego, więc zmył się szybko bez słowa.

Do stacji benzynowej nie było daleko. Ledwie parę przecznic. Sam szedł środkiem ulicy. Żadnych świateł. Cisza. Jego kroki niosły się echem. Nogi miał sztywne ze strachu.

Zapomniał powiedzieć Taylor, by sprowadziła Lanę. Lana może być potrzebna. Może Taylor sama się domyśli. To mądra dziewczyna.

Przypomniał sobie uzdrawiający dotyk Lany tamtego dnia, gdy morfina przestała już działać i ból ogarnął go niczym ognista fala. Wystarczył dotyk Lany, by fala powoli się cofnęła.

Krzyczał. Był tego pewien. Krzyczał, aż rozboleło go gardło. I od tamtej pory dręczyły go koszmary.

– Popioły – szepnął Sam.

Samotny na ciemnej ulicy. Szedł w stronę tego, czego bał się najbardziej na świecie.

Astrid trzęsa się na całym ciele. Te wszystkie emocje. Strach. Furia. Nawet nienawiść.

I miłość.

– Albert, nie wiem, jak długo jeszcze możemy angażować w to Sama – odezwała się.

– Jesteś zdenerwowana – odparł.

– Tak, jestem. Ale nie w tym rzecz. Sam jest poza kontrolą. Jeśli chcemy, żeby system działał, musimy znaleźć kogoś innego, by odegrał rolę wybawcy.

Albert westchnął.

– Astrid, nie wiemy, co czai się w ciemności. I może nawet masz rację, że Sam jest poza kontrolą. Ale jeśli o mnie chodzi, bardzo się cieszę, że wyszedł, gotów stawić czoło temu czemuś.

Zabrał swój nieodłączny notebook i wyszedł.

Astrid przemówiła teraz do pustego i cichego pokoju.

– Nie umieraj, Sam. Nie umieraj.

Taylor natrafiła na Edilia już w drodze do stacji benzynowej. Miał ze sobą tylko jedną osobę z oddziału, dziewczynę o imieniu Elizabeth. Oboje nieśli pistolety maszynowe, część arsenału, który dawno temu znaleźli w elektrowni.

Elizabeth obróciła się i omal nie ostrzelała Taylor, gdy ta się pojawiła.

– Ej! – krzyknęła Taylor.

– Przepraszam. Myślałam... Słyszeliśmy strzały.

– Stacja benzynowa. Sam powiedział, żeby skierować was w tamtą stronę.

Edilio kiwnął głową.

– Właśnie tam idziemy.

Taylor złapała go i odciągnęła na bok, by Elizabeth nie słyszała.

– Sam i Astrid kłócą się.

– Świetnie. Tylko tego nam potrzeba, żeby ci dwoje stanęli przeciwko sobie. – Edilio przeciągnął dłonią po ostrzyżonych na jeża włosach. Miał krótką fryzurę, tak jak większość dzieciaków, które przestały myśleć o higienie osobistej. – Przez ostatnie minuty nie słyszałem strzałów. Pewnie jakiś pijany głupek dorwał się do broni.

– Twój człowiek mówił co innego – poprawiła go Taylor. – Powiedział, że ktoś zaatakował stację benzynową.

– Caine? – zastanawiał się Edilio.

– Albo Drake. Albo Caine i Drake.

– Drake nie żyje – odparł beznamiętnie Edilio. Potem przeżegnał się znakiem krzyża.

– Przynajmniej mam taką nadzieję. Gdzie Brianna? Gdzie Dekka?

– Następne na mojej liście – powiedziała Taylor i podskoczyła do domu, w którym przebywała Dekka. W środku było ciemno, nie licząc Słoneczka Sammy'ego, płonącego ponuro w salonie.

– Dekka? – zawołała Taylor.

Usłyszała jakiś ruch na górze. Przeskoczyła do sypialni i zastała Dekkę, która właśnie usiadła, przekładając nogi przez brzeg łóżka.

– Przysłała mnie Sam. Powiedział, że powinnaś ruszyć tyłek na stację benzynową. Wybuchła tam strzelanina.

Dekka zakaszlała. Zakryła usta i zakaszlała jeszcze raz.

– Przepraszam. Chyba mam... – Znowu zaniósła się kaszlem, tym razem gwałtowniejszym. – Nic mi nie jest – zdołała wykrztusić.

– Cokolwiek ci dolega, nie zarażaj mnie tym – powiedziała Taylor, cofając się. – Wiesz może, gdzie jest Brianna?

Oblicze Dekki, już wcześniej ponure, spochmurniało teraz jeszcze bardziej.

– Jest u siebie. Z Jackiem, na wypadek, gdybyś jego też szukała.

– Z Jackiem? – powtórzyła Taylor, skupiając uwagę na okazji do dobrej plotki. – Jest z Komputerowym Jackiem?

– Tak, z Komputerowym Jackiem. Kojarzysz go, świr w okularach, robi głupie rzeczy, na przykład wyłącza elektrownię. To on. Jest chory, a ona się nim opiekuje.

– Dobra. Skoczę... Czekaj. Zapomniałam. Lepiej uważaj na Drake'a.

Brwi tamtej powędrowały do góry.

– Co takiego?

– Witamy w ETAP-ie – odrzekła Taylor i zmieniła kanał. Ciemna sypialnia Dekki zmieniła się w sypialnię Brianny.

Jack rozłożył łóżko polowe w kącie sypialni Brianny, ale na nim nie leżał. Siedział na dużym krześle biurowym, z nogami na stoliku, opatulony kocem. Chrapał. Jego okulary leżały na podłodze. Brianna była w swoim łóżku.

– Obudź się! – zawołała Taylor.

Jack nawet nie drgnął. Brianna za to wyskoczyła z łóżka w krótszym czasie niż okrzyk Taylor poniósł się echem.

– Co ty tutaj... – powiedziała, a potem zaczęła kaszleć.

Dziwnie było to obserwować, bo Brianna kaszlała bardzo szybko. Wszystko robiła bardzo szybko. Kiedyś ta cecha ujawniała się tylko podczas biegania – a potrafiła biegać niemal z prędkością dźwięku. Ostatnio jednak ta prędkość zaczęła przenosić się także na inne czynności. Teraz kaszlała więc o wiele szybciej niż zwykła osoba. A potem usiadła równie gwałtownie jak wcześniej wstała.

Jack otworzył oczy.

– Hm – mruknął. Zamrugał kilka razy, po czym sięgnął po okulary. – Co jest?

– Kłopoty – odparła Taylor.

– Już idę – powiedziała Brianna. Znowu wstała, po czym usiadła z powrotem.

– Jest chora – powiedział Jack. – Ma grypę czy coś. To, co ja miałem.

– Chora? – spytała Taylor. – Dekka mówiła, że to ty jesteś chory.

– Bo byłem – mruknął. – Ciągle jestem, ale mi się poprawia. Teraz złapała to Brianna.

– Ciekawe – powiedziała Taylor z lubieżnym uśmiechem.

– Co... – zaczęła Brianna, a potem znowu zakaszła.

– Co się dzieje? – spytał Jack, kończąc jej myśl.

– Nawet nie chcesz wiedzieć – powiedziała Taylor. – Opiekuj się Bryzą. Sam pewnie da sobie z tym radę.

– Z czym? – zdołała wydobyć z siebie Bryza.

Taylor powoli pokręciła głową.

– A gdybym powiedziała „Drake Merwin”?

– Powiedziałbym, że nie żyje – odezwał się Jack.

– Taak – odparła Taylor i zniknęła z pokoju.

Sam dotarł do stacji. Edilio był już na miejscu. Tylko on. Nie tracił czasu.

– Przyszedłem tu przed minutą – oznajmił. – Ja i Elizabeth. Nikogo nie było, tylko Marty, ranny. Oberwał w dłoń. Wysłałem go z Elizabeth do Clifftop, żeby Lana go poskładała.

– Co się dzieje, możesz powiedzieć? – spytał Sam.

– Marty mówi, że był tu cały tłum. Krzyczeli: „Śmierć odmieńcom!”

Sam zmarszczył brwi.

– Zil? Więc o to chodzi? Myślałem...

– Tak, wiem, co myślisz, stary. Ale to nie jest sprawka Drake'a – stwierdził Edilio. – Gdyby pojawił się Drake, wiedziałbyś, że to on, nie? On umie się postarać, żebyś o tym wiedział.

– Gdzie reszta twoich żołnierzy?

– Zwiali. – W głosie Edilia pobrzmiwał wstręt.

– To tylko dzieci – powiedział Sam. – Strzelano do nich. W ciemności, z zaskoczenia. Prawie każdy by uciekł.

– Tak – odparł krótko Edilio. Ale Sam wiedział, że mu wstyd. To Edilio odpowiadał za wojsko. Wybrał dzieciaki, wyszkolił je i zmotywował najlepiej, jak umiał. Ale dwunasto-, trzynasto- i czternastolatki nie powinny uczestniczyć w podobnym szaleństwie. Nawet teraz. Nigdy.

– Czujesz ten zapach? – spytał Edilio.

– Benzyna. Czyli Zil ukradł benzynę? Myślisz, że o to chodzi? Chciał móc pojeździć samochodem?

W atramentowej czerni Sam nie widział twarzy przyjaciela, ale wyczuwał jego wątpliwości.

– Nie wiem. Dlaczego miałby tak bardzo potrzebować samochodu, żeby to zrobić? Zil to gnojek, ale nie jest zupełnie głupi. Musi wiedzieć, że przegiął i że ruszymy za nim.

Sam skinął głową.

– Tak.

– Dobrze się czujesz, stary?

Nie odpowiedział. Patrzył w ciemność. Sprężony, gotowy. W końcu przestał zaciskać dłonie w pięści. Zmusił się do zaczerpnięcia tchu.

– Jeszcze nigdy nie szedłem gdzieś specjalnie po to, by zrobić komuś krzywdę – stwierdził.

Edilio czekał.

– Nigdy nie ruszałem w drogę z myślą: zabiję kogoś. Staję do walki i myślę: może

będę musiał zrobić komuś krzywdę. Owszem. I robiłem komuś krzywdę. Znasz to.

– Tak, znam to – przyznał Edilio.

– Ale jeśli to on, to znaczy jeśli Drake w jakiś sposób wrócił... nie będziemy po prostu robili tego, co konieczne. Rozumiesz?

Edilio nie odpowiedział.

– Robiłem, co należało. Żeby ratować innych albo siebie. Tym razem tak nie będzie. To znaczy, o ile to on.

– Stary, to Zil. Zrobił to Zil ze swoją Ekipą Ludzi.

Sam pokręcił głową.

– Tak, Zil. Ale wiem, że on tam jest. Wiem, że Drake tam jest. Czuję to.

– Sam...

– Jeśli go zobaczę, to zabiję – powiedział Sam. – Nie w samoobronie. Nie będę czekał, aż zaatakuję. Jak tylko go zauważę, to go spalę.

Edilio złapał go za oba ramiona i przyciągnął jego twarz do swojej.

– Ej! Posłuchaj mnie. Zaczynasz świrować. Problemem jest Zil. Jasne? Mamy prawdziwe kłopoty, nie potrzeba nam koszmarów. A zresztą, nie mordujemy nikogo z zimną krwią. Nawet jeśli to Drake.

Sam zdecydowanym ruchem oderwał dłoń przyjaciela od swoich ramion.

– Jeśli to Drake, spalę go. Jeśli ty, Astrid i reszta rady postanowicie mnie za to aresztować, w porządku. Ale nie zamierzam dzielić życia z Drakiem Merwinem.

– Rób, co musisz, ja też będę robił swoje. Teraz musimy się zorientować, co zamierza Zil. Pójdę i zajmę się tym. Idziesz ze mną? Czy może wolisz stać tu w ciemności i gadać o morderstwie?

Edilio odmaszerował, opuszczając pistolet maszynowy lufą naprzód.

Pierwszy raz Sam podążył za Ediliem.

Rozdział 22

14 godzin, 17 minut

Maszerowali drogą. Stacja zniknęła za nimi w mroku nocy.

Grypa się nieco zmniejszyła. Niektóre dzieciaki, słabe i przestraszone, posmakowawszy przemocy, niepostrzeżenie dały nogę do domów.

Mięczaki, pomyślał Zil. Tchórze.

Został już tylko tuzin, sami najtwardsi. Pchali taczkę pełną podzwaniających cicho butelek, z których unosił się zapach benzyny.

Minęli szkołę. Ponure, ciemne budynki, tak teraz obce. Tyle już czasu minęło...

Zil nie dostrzegał pojedynczych okien, ale wiedział mniej więcej, gdzie znajdowała się jego dawna klasa. Wyobraził sobie, jak siedzi znudzony na lekcji.

A teraz stał na czele armii. Niewielkiej, ale oddanej. Razem walczyli o wielką sprawę. Śmierć odmieńcom. Śmierć mutantom.

Na sztywnych nogach szedł na czele marszu ku wolności i władzy.

Skręcili w prawo, w Golding Street. Skrzyżowanie Golding z Sherman, przy północno-zachodnim krańcu szkoły, stanowiło cel uzgodniony z Caine'em. Nie miał pojęcia dlaczego. Caine powiedział tylko, że powinni zacząć na rogu Golding i Sherman. I ruszyć tą drugą ulicą w stronę morza. Palić, co się tylko da, aż dotrą do Ocean Boulevard. Potem, gdyby coś im jeszcze zostało, mogli ruszyć wzdłuż Ocean w stronę miasta. Nie w stronę przystani.

– Jeśli was zobaczę, głąby, że idziecie do przystani, zerwę umowę – ostrzegł Caine.

Głąby. Zil zawrzał ze wściekłości na to wspomnienie. Ta niedbała arogancja Caine'a, ta pogarda dla każdego, kto nie był odmieńcem, jak on. Na niego też nadejdzie czas, poprzysiągł sobie Zil.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił. Trudno było uznać tę wypowiedź za historyczną. A należało pamiętać, że w ETAP-ie toczyła się właśnie historia. Początek końca odmieńców. Początek rządów Zila.

Odwrócił się ku twarzom, na których, jak wiedział, malowało się oczekiwanie, oszołomienie, ekscytacja. Słyszał to w prowadzonych szeptem rozmowach.

– Dzisiaj zadamy cios w imieniu ludzi – powiedział. To zdanie wymyślił Turk. Coś, co wszyscy będą mogli cytować. – Dzisiaj zadamy cios w imieniu ludzi! – zawołał, podnosząc głos. Jego strach gdzieś się ulotnił.

– Śmierć odmieńcom! – wykrzyknął Turk.

– Podpalać! – zawołał Hank.

Rozległ się trzask zapalniczek i zapalek. Żółte punkciki wśród czarnej nocy, rzucające niesamowite cienie na dzikie oczy i twarze, wykrzywione grymasami strachu i wściekłości.

Zil wziął pierwszą butelkę. Hank powiedział, że takie butelki nazywa się koktajlami Mołotowa. Płomień zapalniczki ogarnął nasączony benzyną lont. Zil odwrócił się i cisnął butelką w najbliższy dom. Leciała niczym meteor, obracając się w powietrzu. Rozbiła się o kamienne schody i buchnął płomień. Ogień rozprzestrzenił się na część ganku.

Nikt się nie poruszył. Wszystkie oczy patrzyły jak zaczarowane. Twarze wyrażały fascynację. Rozlana benzyna płonęła na niebiesko. Przez chwilę zdawało się, że nie wyrządzi szkód, a tylko sama wypali się na ganku. Potem jednak ogniem zajął się wiklinowy fotel bujany, a następnie ozdobna balustrada.

I nagle płomienie wspinały się już po filarach, podpierających zadaszenie ganku. Rozległ się dziki wrzask radości. Podpalono kolejne butelki. W powietrzu rozbłysło więcej łuków wirującego ognia. Drugi dom. Garaż. Zaparkowany samochód z oponami, z których uszło powietrze. Z pierwszego domu dobiegły przerażone krzyki. Zil nie chciał ich słyszeć.

– Dalej! – wydarł się. – Spalić wszystko!

Zataczając się, człapali przez mrok – głodujące niedobitki grupy Caine'a.

– Patrzcie! – wykrzyknął Robal. Nikt go nie widział, ma się rozumieć, a tym bardziej jego wyciągniętej ręki. Ale i tak spojrzeli.

Pomarańczowa luna rozświetlała horyzont.

– O. Ten głupi gnojek naprawdę to zrobił – stwierdził Caine. – Musimy się pospieszyć. Jeśli ktoś odpadnie, zostawiamy go.

Orsay wspięła się na szczyt urwiska, wspomagana pomocną dłonią Nerezzы. Sapała, wyczerpana.

– Chodź, Prorokini, jesteśmy prawie na miejscu.

– Nie nazywaj mnie tak – poprosiła Orsay.

– Ale jesteś nią – odparła Nerezza cicho, lecz z naciskiem.

Wszyscy inni poszli przodem. Nerezza zawsze nalegała, by proszący pierwsi opuszczali plażę. Orsay przypuszczała, że tamta nie chce, by ktoś zobaczył, jak się męczy i obciera sobie kolana o skały. Nerezza najwyraźniej uważała, że dzieciaki powinny postrzegać

Orsay jako kogoś jakby nie z tego świata.

Prorokinię.

– Nie jestem prorokinią – odparła – a tylko osobą, która słyszy sny.

– Pomagasz innym – odparła Nerezza, gdy okrążyły głaz, który zawsze sprawiał Orsay kłopoty. – Mówisz im prawdę. Wskazujesz drogę.

– Nie umiem nawet znaleźć własnej drogi – odparła Orsay. Poślizgnęła się, a następnie podparła rękami. Dłonie też miała poobcierane, chociaż nie tak bardzo jak kolana.

– Wskazujesz im drogę – powtórzyła Nerezza. – Trzeba ich poprowadzić do wyjścia z tego miejsca.

Orsay przystanęła, dysząc z wysiłku. Odwróciła się do Nerezzy. Widziała tylko dwoje połyskujących oczu.

– Nie jestem całkiem pewna. I ty wiesz o tym. Może ja... może to... – Nie знаła słowa, określającego to, co czuła w takich chwilach, chwilach zwątpienia, kiedy cichy głos gdzieś w jej wnętrzu zdawał się szeptać ostrzegawcze słowa.

– Musisz mi zaufać – powiedziała z mocą Nerezza. – Jesteś Prorokinią.

Orsay dotarła na szczyt klifu. Rozejrzała się.

– Chyba marna ze mnie prorokini. Tego nie przewidziałam.

– Czego? – zapytała Nerezza.

– Miasto płonie.

– Spójrz, Tanner. – Brittney podniosła rękę i wskazała kierunek.

Jej brat, rozsiewający teraz ciemnozielony blask niczym milion rozświetlonych radioaktywnych grudek, lecz wciąż będący Tannerem, odrzekł:

– Tak. Już czas.

Brittney zawahała się.

– Dłaczego, Tanner?

Nie odpowiedział.

– Czy spełniamy wolę Pana?

Znowu nie odpowiedział.

– Robię to, co należy. Prawda?

– Idź ku płomieniom, siostrze. Tam są wszystkie odpowiedzi.

Brittney opuściła rękę. Wydawało się to jakieś dziwne. Wszystko.

Wygrzebywała się przez mokrą ziemię. Jak długo? Bez końca. Wygrzebywała się na

oślepi jak kret. Albo jak dżdżownica.

Tanner zaczął nagle nucić śpiewnym głosem. Niesamowity wiersz, który pamiętała z bardzo dawnych czasów. Zadanie domowe. Nauczyć się na pamięć, a potem szybko zapomnieć.

Wciąż jednak tkwił gdzieś w jej pamięci. A teraz te wersy wypływały z ust Tannera, z martwych ust, z których ogień tryskał niczym magma.

Lecz spojrzysz! W ciżbę tych aktorów

Coś pełźnie, coś się płąta:

Czerwonych sumie rój potworów

Z pustego sceny kąta.

Sunie i sunie, aż się zerwie

I ciała graczy ssą.

Płaczą anioły, widząc czerwie...

Tanner uśmiechnął się upiornie.

– *Przesiąkłe ludzką krwią*

[Fragment wiersza Edgara Allana Poe Czerw Zdobywca w przekładzie Antoniego Langego]

– Po co to mówisz? Przerażasz mnie, Tanner.

– Już niedługo, siostrze – odparł. – Wkrótce zrozumiesz wolę Pana.

Justin przebudził się nagle. Natychmiast przewrócił się na bok i pomacał miejsce, w którym spał. Było suche!

No i co? Od początku miał rację. Tego łóżka nie moczył.

Ale dla pewności powinien wybiec do ogródka i zrobić siusiu, bo trochę mu się chciało. Miał na sobie swoją starą pizamę. Leżała w tej samej starej szufladzie co zawsze. Była bardzo miękka, bo pochodziła z dawnych czasów. Mamusia wyprała tę pizamę i postarała się, by była miękka.

Podłoga pod jego bosymi stopami była zimna. Nie mógł znaleźć swoich starych kapci. Roger nawet pomógł mu ich szukać. Artful Roger był miły. Jedynym nowym przedmiotem w pokoju chłopca był obrazek, który Roger dla niego namalował. Przedstawiał wesołego Justina

z mamą i tatą, a także szynkę, słodkie ziemniaki i ciastka. Został przyklejony do ściany taśmą.

Roger znalazł mu też album ze zdjęciami. Leżał w szafce w jadalni na dole. Był pełen zdjęć Justina, jego rodziny i dawnych kolegów.

Teraz album leżał pod łóżkiem. Robiło mu się smutno, gdy go oglądał.

Justin szedł po cichutku po schodach, nie chcąc obudzić Rogera.

Stare toalety już nie działały. Ludzie załatwiali się do dołków w ogródkach. Nic wielkiego. Tyle że trochę strasznie było wychodzić nocą. Justin bał się, że kojoty wrócą.

Dołek znalazł z większą łatwością niż zwykle. Na zewnątrz było dość widno. Otoczenie spowijał rozmigotany, pomarańczowy blask.

Nie było też tak cicho jak zazwyczaj. Do uszu Justina dobiegały jakieś wołania. I jeszcze takie dźwięki, jakby ktoś upuścił i rozbił szklankę. A potem usłyszał, że ktoś krzyczy, więc wbiegł z powrotem do domu.

Stanął jak wryty. Salon się palił. Czuł gorąco. Z pokoju dobywał się dym i wspinał się po schodach. Justin nie wiedział, co robić. Pamiętał, że powinien się zatrzymać, przewrócić na ziemię i przeturlać, gdyby zaczął się palić. Ale to nie on się palił, tylko dom.

– Zadzwoń pod 911 – powiedział na głos. Ale to by pewnie nie pomogło. Nic już nie działało.

Nagle rozległo się głośne brzęczenie. Bardzo głośne. Dobiegało z góry. Chłopiec zakrył uszy, ale dalej je słyszał.

– Justin! – krzyknął na piętrze Roger.

Po chwili pojawił się na szczycie schodów. Kaszłał, dusząc się dymem.

– Tu jestem, na dole! – zawołał Justin.

– Czekaj, zaraz... – Roger znowu zaczął kaszleć. Potknął się i runął na schody. Zaczął po nich zjeżdżać twarzą do dołu. W końcu uderzył o podłogę i zatrzymał się.

Justin czekał, aż wstanie.

– Roger, obudź się. Tu się pali! – powiedział.

Ogień zaczął już wydostawać się z salonu. Wyglądało, jakby zjadał dywan i ściany. Było goręcej niż w piekarniku.

Justin zaczął kaszleć od dymu. Chciał uciekać.

– Roger, obudź się! Obudź się!

Podbiegł do Rogera i zaczął szarpać jego koszulkę.

– Obudź się!

Nie mógł przenieść Rogera, a ten się nie budził. W pewnym momencie jęknął i lekko poruszył, ale potem znowu zasnął.

Justin szarpał i szarpał, i płakał, a ogień najwidoczniej zobaczył, że coś szarpie i płacze, bo zaczął iść po niego.

Rozdział 23

14 godzin, 07 minut

Taylor zaczęła się martwić, gdy pojawiła się w holu Clifftop, gdzie mieszkała Lana.

Nigdy nie skakała prosto do pokoju Lany. Wszyscy wiedzieli, że ta dziewczyna przeszła niewysłowione piekło. I nikt nie wierzył, by do końca się z nim uporała.

Bardziej jednak niż troska o uczucia Lany kierowały nią głęboki szacunek i uwielbienie. Zbyt wiele dzieciaków pochowano na placu. A gdyby nie Lana, ich liczba byłaby cztery czy pięć razy większa.

Taylor zapukała i w odpowiedzi usłyszała głośnie ujadanie Patricka.

– To ja, Taylor – zawołała przez drzwi.

Usłyszała głos, który nie zdradzał ani cienia senności.

– Wejdz.

Wskoczyła do środka, ignorując drzwi. Lana stała na balkonie, odwrócona do niej plecami.

– Nie śpię – oznajmiła niepotrzebnie. – Coś się dzieje.

– Wiesz o tym?

– Widzę – odparła.

Taylor stanęła przy niej. Na północy, nad wybrzeżem, widniała pomarańczowa łuna ognia.

– Jakiś idiota znów spalił dom od świecy? – podsunęła Taylor.

– Nie sądzę. To nie jest wypadek – powiedziała Lana.

– Kto miałby celowo wywoływać pożary? – zastanawiała się na głos Taylor. – To znaczy, co mógłby osiągnąć?

– Strach. Ból. Rozpacz – odrzekła Lana. – Chaos. Można wywołać chaos. Złe istoty go uwielbiają.

Taylor wzruszyła ramionami.

– To pewnie tylko Zil.

– Nic w ETAP-ie nie jest „tylko”. Panują tu skomplikowane prawa.

– Bez urazy, uzdrowicielko, ale robisz się coraz dziwniejsza – stwierdziła Taylor.

Lana uśmiechnęła się.

– Nawet nie masz pojęcia jak bardzo.

Mała flotylla Quinna wypłynęła w ciemne jak zawsze morze. Wyruszyli bardzo wcześnie. Wszyscy mieli wciąż zaspane oczy. Ale działali już rutynowo.

Quinn pomyślał, że stanowią zżyłą grupę. Dzięki temu poczuł się lepiej. Chociaż w swoim krótkim życiu w wielu sprawach zawiódł, to akurat mu się udało.

Flota rybacka Quinna. Żywiciele ETAP-u.

Gdy zostawili za sobą przystań i skierowali się na pełne morze, Quinn poczuł, że wzbiera w nim niezwykła radość. Co zrobiłem, kiedy nastąpił ETAP? – zapytał sam siebie. Żywiłem ludzi.

Całkiem nieźle. Początek miał fatalny, fakt. Spanikował. W pewnym momencie zdradził Sama na rzecz Caine'a. I nigdy nie uwolnił się od wspomnienia tego strasznego boju przeciwko Caine'owi, Drake'owi i kojotom.

Tak wiele żywych, potwornych wspomnień. Czasami żałował, że nie może ich usunąć ze swojego umysłu. Ale potem uświadamiał sobie, że to głupie. Przecież właśnie te wydarzenia sprawiły, że stał się nowym człowiekiem.

Nie był już Quinnem tchórzem ani Quinnem farbowanym liskiem. Był Quinnem rybakiem.

Pociągnął za wiosła, napawając się zdrowym ciepłem słońca na ramionach. Twarzą obrócony był do Perdido Beach.

Jako pierwszy ujrzał więc niewielki słup płomieni. Pomarańczowy punkt w ciemności.

– Ogień – powiedział spokojnie. W łodzi było z nim dwóch innych chłopaków. Odwrócili się, by spojrzeć. Z pobliskiej łodzi rozległ się okrzyk.

– Ej, Quinn, widzisz to?

– Tak. Wiosłujcie dalej. Nie jesteśmy strażą pożarną.

Znowu zaczęli machać wiosłami i łodzie oddaliły się od brzegu na tyle, by wkrótce mogli rzucić haki i rozciągnąć sieci.

Ale wszystkie oczy kierowały się teraz na miasto.

– Rozprzestrzenia się – zauważył ktoś.

– Zajmuje się dom za domem.

– Nie – powiedział Quinn. – Nie wydaje mi się, żeby sam się rozprzestrzeniał. Moim zdaniem... ktoś podkłada ogień.

Poczuł, że ściska go w żołądku. Mięśnie, rozgrzane wiosłowaniem, stały się nagle sztywne i zimne.

– Miasto się pali – stwierdził jakiś głos.

Patrzyli w milczeniu, jak pomarańczowe płomienie rozchodzą się i strzelają w niebo.

Miasto nie było już ciemne.

– Jesteśmy rybakami, a nie wojownikami – powiedział Quinn.

Ruszyły wiosła. Skrzypnęły dulki. Łodzie z cichym chlupotem rozcinały fale, odpychając wodę w bok.

Sam i Edilio puścili się biegiem przez autostradę na drogę dojazdową. Mijali rdzewiejące wraki samochodów, które zderzyły się ze sobą, wjechały w wystawy sklepowe albo po prostu zatrzymały się pośrodku jezdni tego pamiętnego dnia, gdy wszyscy kierowcy zniknęli.

Pobiegli przez Sheridan Avenue, mijając szkołę. Przynajmniej ona nie stała w płomieniach. Gdy dotarli do skrzyżowania z Golding, dym wyraźnie zgęstniał. Płynął w ich stronę i nie sposób go było ominąć. Zaczęli się krztusić, więc zwolnili.

Sam ściągnął koszulkę i zasłonił nią usta, ale nie na wiele się to zdało. Oczy go i tak piekły.

Przykucnął, mając nadzieję, że dym przejdzie górą. To także nie zdało egzaminu.

Złapał Edilia za rękę i pociągnął go za sobą. Przebiegli na drugą stronę Golding i pod osłoną domów przy Sheridan znaleźli czystsze, choć i tak gryzące powietrze. Po zachodniej stronie ulicy widzieli kontury domów, czerniejące na tle ognia, który tańczył, migotał i wznosił się ku niebu z Sherman Avenue.

Znowu zaczęli biec, najpierw prosto, po czym za rogiem skręcili w Alameda Avenue, starając się trzymać nawietrznej strony słabiutkiej bryzy. Dym ciągle był gęsty, ale przynajmniej nie sunął już w ich kierunku.

Przy Sherman ogień był wszędzie. Ryczący, rozszalały, niemal żywy. Na północ od Alameda okazał się intensywniejszy, ale sunął szybko na południe, w kierunku morza.

– Dlaczego ogień rozprzestrzenia się pod wiatr? – spytał Edilio.

– Bo ktoś roznieca nowe pożary – odparł posepnie Sam.

Spojrzał w lewo, a potem w prawo. Po prawej płonęło przynajmniej sześć domów. Pozostałe, aż do następnej przecznicy, też na pewno się spalały. Nie mogli zupełnie nic na to poradzić.

– W części tych domów są ludzie – powiedział Edilio, dławiąc się z emocji nie mniej niż od dymu.

Z lewej strony szalały przynajmniej trzy pożary. W pewnym momencie Sam ujrzał obracający się fajerwerk, wirujący rzymski ogień, który zatoczył łuk, poszybował w dół i

rozbił się o front domu, stojącego dalej przy ulicy. Nie słyszał, jak koktajl Mołotowa się rozbija, bo ryk płomieni szalejących wokół zagłuszył ten odgłos.

– Chodź! – krzyknął Sam i pobiegł w kierunku tego pożaru.

Żałował, że nie ma przy nim Brianny albo Dekki. Gdzie się podziały? Obie mogły pomóc ratować ludzkie życie.

Omali nie wpadł w grupkę dzieci, z których niektóre miały najwyżej trzy lata. Kulili się pośrodku ulicy, z twarzami rozświetlonymi ogniem i oczami szeroko otwartymi ze strachu.

– To Sam!

– Dzięki Bogu, Sam jest tutaj!

– Sam, nasz dom się pali!

– Mój młodszy brat chyba został w środku!

Przecisnął się między nimi, ale jedna z dziewczynek złapała go za rękę.

– Musisz nam pomóc!

– Próbuję – odparł ponuro i wyrwał się. – Chodź, Edilio!

Bandę Zila oświetlała ściana pomarańczowego ognia, pochłaniającego front domu zbudowanego w stylu kolonialnym. Tańczyli, skakali i biegali z podpalonymi koktajlami Mołotowa.

– Nie marnujcie ich! – krzyczał Zil. – Jedna butelka, jeden dom!

Antoine wrzeszczał, wymachując butelką.

– Aaaaaarrch! Aaaaaarrch!

Zupełnie jakby to on się palił. Rzucił ją wysoko i mocno, aż wpadła przez okno na piętrze do starego drewnianego domu.

Ze środka natychmiast dobiegły przerażone krzyki. Antoine odpowiedział krzykiem, który niczym zniekształcone echo obrócił strach w dziką radość.

Gdy zasłony zaczęły się palić, z drzwi domu wybiegły dzieciaki.

Sam nie wahał się. Uniósł rękę z wyprostowaną dłonią. Snop zielonego blasku nakreślił linię biegnącą w stronę ciała tamtego.

Szaleńcze wrzaski natychmiast ustały. Antoine złapał się za ośmiocentymetrową dziurę tuż nad swoim pasem. Potem usiadł na ulicy.

– To Sam! – wydarł się jeden ze zbirów Zila.

Jak jeden mąż odwrócili się i zaczęli uciekać, porzucając butelki z benzyną. Paliwo rozlewało się spomiędzy potłuczonych szkielec i natychmiast zajmowało się ogniem.

Sam rzucił się za nimi w pogoń, omijając płonące plamy benzyny.

– Sam, nie! – krzyknął Edilio. Potknął się o ciało Antoine'a, który leżał teraz na plecach, z trudem łapiąc powietrze i patrząc w górę przerażonymi oczami.

Sam nie zauważył upadku przyjaciela. Usłyszał jednak wykrzywane ostrzeżenie.

– Pułapka!

Usłyszał, zrozumiał, że to prawda, i bez namysłu przewrócił się i przetoczył. Zatrzymał się o centymetry od płonącej benzyny, mało brakowało, a wturlałby się w ogień.

Słyszał strzały przynajmniej trzech pistoletów. Ale bandyci Zila nie mieli wprawy w posługiwaniu się bronią. Strzelali gdzie popadnie, pociski świstały na wszystkie strony.

Sam przypadł do chodnika, drżąc na całym ciele. Gdzie były Dekka i Brianna?

Usłyszał trzask kolejnej broni. Szybkie bam-bam-bam Edilia, krótkie serie z jego pistoletu maszynowego. Istniała wielka różnica pomiędzy uzbrojonym Ediliem a jakimś pętakiem pokroju Turka, trzymającym broń. Edilio się szkolił. Ćwiczył.

Rozległ się głośny krzyk bólu i już było po zasadzce.

Sam przesunął się o kilka centymetrów naprzód, na tyle, by widzieć jednego ze strzelców Zila. Dzieciak uciekał przez dym niczym zjawą.

Za późno, pomyślał Sam. Wycelował w chłopaka. Strumień palącego światła trafił tamtego w tył łydki. Strzelec krzyknął. Pistolet wyleciał mu z ręki i ze szczękiem upadł na chodnik.

Hank pobiegł z powrotem, by go złapać. Sam strzelił, ale spudłował. Hank warknął na niego z miną dzikiego zwierzęciu. Uciekał, ścigany kulami Edilia, które wyrywały bruzdy w asfalcie.

Sam skoczył na równe nogi. Podbiegł do niego zdyszany Edilio.

– Uciekają – oznajmił.

– Nie pozwolę im zwiać – odparł Sam. – Jestem zmęczony koniecznością ciągłej walki z tymi samymi ludźmi. Pora z tym skończyć.

– Co ty wygadujesz, stary?

– Zabiję Zila. Jasne? Załatwię go.

– Ej, ej, chłopie – powiedział Edilio. – Nie robimy takich rzeczy. To my jesteśmy ci dobrzy, nie?

– To się musi skończyć. – Wierzchem dłoni starł sadzę z twarzy, ale oczy łzawiły mu od dymu. – Nie mogę tego robić bez końca. Kiedyś muszę przestać.

– Już nie masz takiej władzy – stwierdził Edilio.

Sam skierował na niego stalowe spojrzenie.

– Ty też? Stajesz teraz po stronie Astrid?

– Stary, muszą być jakieś granice – odparł tamten.

Sam stał i patrzył w dół ulicy. Pożar całkowicie wymknął się spod kontroli. Cała Sherman Avenue płonęła, od jednego końca do drugiego. Jeśli będą mieli szczęście, może ogień nie przeniesie się na sąsiednią ulicę. Ale tak czy inaczej, Sherman była stracona.

– Powinniśmy ratować dzieci uwięzione w domach – upomniał go Edilio.

Sam nie odpowiedział.

– Sam – błagał Edilio.

– Prosiłem Go, żeby pozwolił mi umrzeć. Modliłem się do Boga, którego Astrid tak lubi, i powiedziałem: Boże, jeśli istnieje, zabij mnie. Nie pozwól, bym dalej czuł ten ból.

Edilio milczał.

– Nie rozumiesz – powiedział Sam tak cicho, że miał wątpliwości, czy przyjaciel słyszy go ponad szumem i trzaskiem ognia, szalejącego wszędzie wokół. – Z takimi nie można inaczej. Trzeba ich wszystkich zabić. Zila. Caine'a. Drake'a. Po prostu trzeba ich zabić. Więc teraz... zacznę od Zila i jego bandy – oświadczył. – Możesz iść ze mną albo nie.

Ruszył w kierunku, w którym uciekł Hank.

Edilio nawet nie drgnął.

Rozdział 24

14 godzin, 05 minut

Dekka nie była w stanie się wylegiwać. Nie w trakcie walki. Nie wtedy kiedy Samowi groziło niebezpieczeństwo.

Połowa dziewczyn z ETAP-u durzyła się w Samie, ale z Dekką sprawa miała się inaczej. Byli przecież żołnierzami. Sam, Edilio i Dekka – w większym stopniu niż ktokolwiek inny. Stanowili główną siłę uderzeniową. Gdy zaczynały się kłopoty, właśnie oni wpadali w nie pierwsi.

No, ich troje i jeszcze Brianna.

Lepiej nie myśleć za dużo o Briannie. Takie myśli wywoływały smutek i poczucie samotności. Brianna była, jaka była, chciała, czego chciała. Nie tego, czego pragnęła Dekka.

Niemal na pewno nie tego. Choć z drugiej strony, Dekka nigdy tamtej nie spytała.

Zgięła się w pół w ataku kaszlu, gdy tylko wstała z łóżka.

Pewnie powinna się przynajmniej ubrać. Narzucić jakieś ciuchy, nie wychodzić na ulicę we flanelowych spodniach od pizamy i fioletowej bluzie z kapturem. Ale po kolejnej serii zduszonych kaszlnięć poczuła się słabo. Musiała oszczędzać siły.

Buty. Bez wątpienia potrzebowała przynajmniej butów. Zsunęła kapcie i zaczęła szukać tramppek pod łóżkiem. Znalazła je po dłuższej chwili, lecz wtedy chęci już ją niemal opuściły. Przecież Sam jej nie potrzebował. Cokolwiek się działo...

Jej uwagę przykuł pomarańczowy blask w oknie. Rozsunęła zasłony. Całe niebo było pomarańczowe. Tu i ówdzie rozbłyskały iskry, podobne do świetlików. Otworzyła okno iomal nie zadławiła się dymem.

Miasto stało w ogniu.

Dekka włożyła buty. Potem znalazła szalik i wiadro ze słodką wodą. Napiała się. Tej nocy na pewno będzie jej się chciało pić. Następnie zanurzyła w wiadrze szalik i zawiązała sobie przemoczony materiał na twarzy, zasłaniając usta i nos. Wyglądała jak bandyta w pizamie.

Wyszła na ulicę. Rozgrywały się tam niesamowite, okropne, nierzeczywiste sceny. Dzieciaki mijały ją, same albo w niewielkich grupkach, oglądając się za siebie. W rękach niosły żalosne resztki dobytku.

Obok niej potykając się, przeszła jakaś dziewczynka, obładowana wielkim naręczem sukienek.

– Ej! Co się dzieje? – wycharczała Dekka.

– Wszystko się pali – odparła tamta i poszła dalej.

Dekka nie zatrzymywała jej, bo zauważyła chłopaka, którego znała.

– Jonas! Co jest?

Jonas pokręcił głową, wyraźnie przestraszony. Przestraszony, ale... nie tylko.

– Ej, nie odchodź, mówię do ciebie! – warknęła.

– Nie rozmawiam z tobą, odmieńcu. Mam was dosyć. To przez was to wszystko.

– O czym ty mówisz? – Ale domyśliła się już, o co chodzi. – To robota Zila?

Twarz chłopaka wykrzywiona była gniewem.

– Śmierć odmieńcom!

– Jesteś żołnierzem, głupku.

– Już nie – odparł i puścił się biegiem.

Dekka zachwiała się. Była taka słaba. Taka niepodobna do siebie samej. Nie miała jednak wątpliwości, co powinna zrobić. Jeśli dzieciaki uciekały w jedną stronę, ona musiała podążać w przeciwną. Prosto w dym. W kierunku jasnego, pomarańczowego blasku, który co i rusz posyłał w górę strugi ognia niczym palce, wyciągające się ku niebu.

Diana potknęła się, pędząc przed siebie, by nadążyć. Caine narzucał ostre tempo. Banda obszarpańców z Coates truchtała naprzód – każdy przerażony, że zostanie w tyle.

Ledwo wystarczało jej sił, by nadążyć. I nienawidziła siebie za to, że ma tę siłę. Nienawidziła też Caine'a za to, że jej tę siłę dał. Za to, co zrobił. Za to, do czego ich doprowadził.

Ale podobnie jak inni gnała, by dotrzymać mu kroku.

Na drugą stronę autostrady. Gładki beton pod stopami. Przez drogę dojazdową, a potem przez szkolne boisko. Jakie to dziwne, pomyślała Diana. Na boisku grano kiedyś w piłkę i prowadzono próby czirliderek. A teraz oni przebiegali przez nie tak, jak jeszcze nikt nie przebiegał przez ten zarośnięty teren.

Pożar szalał na wschodzie, wzdłuż Sherman stała ściana ognia. Ich szlak prowadził przez Brace Road, zaledwie dwie przecznice od ognia. Ulica wiodła prosto do przystani.

– A co z Samem? – spytał ktoś. – Co jeśli na niego wpadniemy?

– Idiota – mruknął Caine. – Myślisz, że ten pożar to przypadek? To wszystko część mojego planu. Sherman odcina zachodnią część miasta. Wszyscy pobiegną w kierunku placu, po drugiej stronie Sherman albo na plażę. Tak czy owak, daleko od nas. A Sam będzie tam z

nimi.

– Kto to? – spytała Diana. Przystanąła. Caine i pozostali też przystanęli. Ktoś szedł samym środkiem Brace. Z początku trudno było stwierdzić, czy zmierza w ich stronę, czy się oddala. Ale Caine natychmiast rozpoznał tę sylwetkę.

Włoski na karku stanęły mu dęba. Nikt inny tak nie wyglądał. Nikt.

– Nie – szepnął.

– Idziemy dalej? – spytała Penny.

Nie zwrócił na nią uwagi. Odwrócił się do Diany.

– Czy... czy ja zwariowałem?

Diana się nie odezwała. Jej przerażona mina dała mu odpowiedź.

– Odchodzi – szepnął.

Zawirował dym i zjawa zniknęła.

– Złudzenie optyczne – powiedział Caine.

– Czyli wciąż idziemy prosto?

Pokręcił głową.

– Nie. Zmiana planów. Przejdziemy przez miasto. Kierunek plaża, potem zawrócimy.

Diana wyciągnęła drżący palec w kierunku płonącej ulicy.

– Mamy iść przez ogień? Czy przez ulice pełne ludzi Sama?

– Znam inną drogę – odparł Caine. Szybko podszedł do ogrodzenia na tyłach najbliższego domu. – Sami zrobimy sobie ulicę.

Uniósł dłoń i ogrodzenie wygięło się do wewnątrz. Po chwili z trzaskiem i zgrzytem ustąpiło.

– Przez ogródki – wyjaśnił. – Chodźmy.

– Udało się, Przywódco! Udało się! – zawołał Hank. Musiał krzyczeć, by jego głos był słyszalny ponad rykiem płomieni.

Antoine leżał na ziemi i głośno płakał. Ściągnął koszulkę, by zobaczyć ranę w swoim boku. Leżał tak, gruby i rozedrgany, i wrzeszczał z bólu.

– Weź się w garść – powiedział surowo Hank.

– Zwariowałeś? – załkał Antoine. – Mam w sobie dziurę! Dziurę! O, Boże! Jak to boli!

Perdido Beach płonęło. Przynajmniej znaczna jego część. Zil wspiał się na samochód kempingowy na parkingu przy plaży. Widział stąd duży fragment miasta.

Sherman Avenue stała w ogniu. Wyglądało to jakby pośrodku miejskiej zabudowy wybuchł wulkan. A teraz pożar przesunął się w stronę centrum wzdłuż Alameda Avenue.

To wszystko jego sprawka. Jego dzieło. Teraz wszyscy będą wiedzieli, że nie żartuje. Że z Zilem Sperrym nie należy zadzierać.

– Zabierzcie mnie do Lany – jęknął Antoine. – Musicie mnie zabrać do Lany!

Słońce jeszcze nie wstało, więc słup dymu nie był widoczny, Zil jednak przeczuwał, że musi być ogromny. Na całym niebie nie dało się dostrzec ani jednej gwiazdy.

– Myślicie, że Sam oberwał? – spytał Lance.

Nikt nie odpowiedział.

– Powinniśmy wrócić po więcej benzyny? – zagadnął Turk. Tak jak wszyscy pozostali, nie zwracał uwagi na Antoine'a.

Zil nie mógł odpowiedzieć. Jakaś jego część chciała wszystko spalić. Każdy dom. Każdy pusty, bezużyteczny sklep. Spalić i tańczyć tutaj, na wozie kempingowym, dopóki ogień płonął.

Plan zakładał wywołanie chaosu. I pomoc temu odmieńcowi Caine'owi w ucieczce.

– Przywódco, musimy wiedzieć, co robić – ponaglił Turk.

– Pomóżcie – jęczał Antoine. – Musimy trzymać się razem, co nie?

Odpowiedział mu Hank.

– Zamknij się albo ja cię zamknę.

– Wypalił we mnie dziurę. Zobacz! Zobacz!

Hank zerknął na Zila. Ten się odwrócił. Nie znał odpowiedzi, nie wiedział, jak pomóc Antoine'owi.

Prawda wyglądała tak, że Zil nie znosił widoku ran. Zawsze dostawał mdłości, gdy tylko zobaczył krew. Wystarczyło krótkie, ukradkowe spojrzenie na ranę Antoine'a, by zrobiło mu się niedobrze.

A chłopakowi z pewnością w niczym by to nie pomogło.

– Chodź, Antoine – powiedział Hank. – Chodź ze mną.

– Co? Co ty... Będę grzeczny... tylko że to boli... tak boli.

– Chodź, stary – powtórzył Hank. – Zabiorę cię do Lany. No już.

Hank nachylił się nisko i podciągnął Antoine'a, który z trudem dźwignął się na nogi, po czym wrzasnął z bólu.

Zil szedł po drabinie, przyśrubowanej do tylnej ścianki wozu kempingowego.

– Co myślisz, Lance? – Przystojniak Lance. Wysoki, fajny, mądry Lance. Gdyby tak, pomyślał Zil nie pierwszy raz, cała Ekipa Ludzi wyglądała jak on. Lance przynosił Zilowi

chlubę. Tymczasem gruby, zapity Antoine, utykający Turk i Hank ze swoją brzydką, szczurzą twarzą, wywoływali wrażenie, jakby otaczali go sami frajerzy.

Lance wydawał się zamyślony.

– Dzieciaki biegają wszędzie dookoła. Kompletnie zagubione. Co zrobimy, jeśli uznają, że to my odpowiadamy za spalenie miasta, i postanowią nas gonić?

Turk parsknął pogardliwym śmiechem.

– Myślisz, że Przywódca o tym nie pomyślał? Powiemy ludziom, że to Sam.

Zila zaskoczyła ta sugestia. W ogóle się nad tym nie zastanawiał, najwyraźniej w przeciwieństwie do Turka.

– Nie Sam – poprawił Zil, wpadając natychmiast na zbawienny pomysł. – Obwinimy Caine'a. Dzieciaki nie uwierzą, że to Sam. A jak powiemy, że Caine, wszyscy nam uwierzą.

– Widzieli, jak rzucamy koktajlami Mołotowa – przypomniał Lance.

Turk prychnął.

– Stary, nie wiesz? Ludzie uwierzą we wszystko, jeśli im powiesz, że to prawda. Uwierzą w latające talerze i tak dalej.

– To był Caine – powiedział Zil, wymyślając na bieżąco historię, która podobała mu się z każdym kolejnym słowem, które wypowiadał. – Caine umie zmusić ludzi, żeby robili, co on chce, prawda? No to użył swojej mocy i zmusił niektórych z nas.

– Tak – potwierdził Turk. Oczy mu rozbłysły. – Tak, bo chciał nas przedstawić w złym świetle. Chciał zwalić to na nas, bo jest odmieńcem, a my walczymy z odmieńcami.

Hank zjawił się z powrotem. Stał obok Lance'a. Kontrast między tą dwójką był jeszcze wyraźniejszy, gdy znajdowali się blisko siebie.

– Gdzie Toinę? – spytał Turk.

– Zostawiłem go przy plaży – odparł Hank. – Nie da rady. Nie z taką dziurą. Tylko by nas spowalniał.

– No to będzie pierwszym, który oddał życie za Ekipę Ludzi – powiedział Turk z uroczystą powagą. – Mocne. Zamordowany przez Sama.

Zilowi najwyraźniej zaświtała jakaś myśl.

– Jeśli ludzie uwierzą, że Caine odpowiada za to wszystko, będziemy musieli walczyć z Caine'em.

– Walczyć z Caine'em? – powtórzył bezmyślnie Turk. Zrobił nieświadomy krok w tył.

Zil wyszczerzył się w uśmiechu.

– Nie musimy wygrać. Wystarczy, żeby wyglądało to prawdziwie.

Turk pokiwał głową.

– Bardzo sprytnie, Przywódco. Wszyscy pomyślą, że Caine się nami posłużył, a potem nam udało się go przepędzić.

Zil wątpił, by wszyscy w to uwierzyli. Ale niektórzy uwierzą. A wątpliwości opóźnią reakcję Sama, bo rada będzie się próbowała we wszystkim rozeznąć.

Z każdą godziną chaosu siła Zila będzie rosła.

Czy jego starszy brat Zane tak dobrze by wszystko obmyślił? I czy miałby dość odwagi, żeby to przeprowadzić? Mało prawdopodobne. Zane stałby po stronie Sama.

Zil niemal żałował, że go tu nie ma.

Rozdział 25

14 godzin, 02 minuty

Edilio patrzył za odchodzącym Samem z poczuciem, że oto nadciąga zagłada. Jakie mieli szanse, jeśli Samowi odbiło? Jakie możliwości miał on, Edilio, by cokolwiek naprawić?

– Gdybym mógł – mruknął. – Gdyby ktokolwiek mógł.

Kiepsko widział, co się wokół niego dzieje. Słyszał krzyki, gdzieś śmiech. Ale był w stanie dostrzec tylko dym i płomienie.

Raz za razem rozbrzmiewały strzały. Skąd – nie miał pojęcia.

Wszędzie widać było uciekające dzieciaki. Tak jasno oświetlone, że wyglądały, jakby płonęły. A potem znikwały w kłębach dymu.

– Co robić? – zapytał sam siebie.

– Szkoda, że nie mamy kielbasek. Ale ognisko!

Howard wyłonił się z dymu za Ediliem. Był z nim Orc.

– Beznadzieja – stwierdził dudniącym głosem olbrzym. – Wszystko się jara.

Ellen, szefowa straży pożarnej, pojawiła się wraz z dwiema innymi osobami. Tytuł „szefowa straży pożarnej” stracił praktycznie znaczenie. W hydrantach brakowało już wody. Ale Ellen przynajmniej coś wiedziała, w przeciwieństwie do Edilia.

– Zdaje się, że ogień przesuwa się w stronę centrum. Po drodze mieszka wiele dzieciaków – stwierdziła. – Trzeba dopilnować, żeby zdołały stamtąd uciec.

– Jasne – zgodził się Edilio, wdzięczny za każdą pożyteczną sugestię.

– I musimy sprawdzić, czy ktoś jeszcze nie został w tych domach, które już się palą. Może kogoś uratujemy.

– Racja – powiedział Edilio. Wziął głęboki wdech. – Okej, Ellen. Pobiegnij ze swoimi ludźmi przed pożarem, powyciągajcie ludzi z domów. Powiedzcie, żeby albo szli na plażę, albo przechodzili przez autostradę.

– W porządku – zgodziła się dziewczyna.

– Orc, Howard i ja sprawdzimy, czy uda nam się kogoś uratować.

Edilio nawet nie spytał Howarda ani Orka o zdanie. Po prostu ruszył przed siebie przez Sherman. Nie obejrzał się, by sprawdzić, czy idą za nim. Jeśli zostali, to cóż, tak naprawdę trudno było ich winić.

Szedł płonąca ulicą. Ogień szalał już po obu stronach. Hałasował niczym tornado. Ryk wnosił się, opadał i znowu się wznosił. Gdy jeden z dachów zawalił się, dał się słyszeć

doñośny łoskot, po czym iskry trysnęły w niebo niczym chmara świetlików. Pałace powietrze smagało go po twarzy, to z jednej strony, to z drugiej. Przypomniało to Ediliowi, jak wetknął twarz w piekarnik mamy, kiedy coś piekła.

Obejrzał się i zobaczył, że Howard traci równowagę i upada. Idący z nim Orc złapał go i postawił z powrotem na nogi.

Dym wypełniał powietrze. Parzył gardło Edilia, zdawał się wysuszać płuca. Jego wdechy były płytkie – najpierw miały objętość szklanek, potem filizanek, a w końcu łyżeczek do herbaty.

Zatrzymał się. Przez czarne kłęby widział przed sobą niekończący się ciąg ognia i dymu. Na podjazdach płonęły samochody. Zachwaszczone, niepodlewane trawniki paliły się w błyskawicznym tempie. Szyby domów pękały. Belki się waliły. Asfalt na skrajach jezdni stopił się i pokrył bąblami.

– Nie mogę – jęknął Edilio.

Odwrócił się i stwierdził, że Howard już się wycofuje. Orc stał bez ruchu.

Edilio położył mu rękę na skamieniałym ramieniu. Dławiąc się i płacząc, poprowadził go z powrotem, byle dalej od płomieni.

Roger nie obudził się. Artful Roger nie obudził się. Justin musiał uciekać. Wybiegł do ogródka na tyłach domu, po czym stanął.

Nie, po prostu nie może go zostawić!

Wrócił zatem do środka. Usłyszał, że Roger kaszle jak szalony. Ocknął się jednak! Najwyraźniej wciąż nic nie widział, oczy miał zamknięte wśród tych kłębow dymu. Próbował biec, ale wpadł na ścianę.

– Roger! – Justin podbiegł do niego i złapał za koszulkę. – Tędy!

Pociągnął go do kuchni, w stronę tylnych drzwi. Roger ruszył za nim. Ale ta droga nie była bezpieczna, bo płomień i dym przecięły im drogę. Ogień zatoczył krąg i wypełnił kuchnię.

Jadalnia. Justin przypomniał sobie o albumie ze zdjęciami leżącym pod łóżkiem. Może zdoła tam wbiec i szybko go zabrać.

Ale czy się uda? W jadalni nie było drzwi, wiodących do ogródka. Było za to duże okno i Justin poprowadził Rogera prosto do niego.

– Ja... – Justin chciał powiedzieć, że otworzy okno, ale dym spowijał cały pokój i piekł chłopca w gardło i oczy.

Na oślepy wyciągnął ręce do okiennych klamek.

Caine przyspieszał. Przesadził ogrodzenie i parł dalej naprzód. Ogródki zarośnięte plątaniną chwastów. Baseny, zmienione teraz w śmierdzące toalety. Poniewierające się wszędzie śmieci.

W ciemności potykali się o słupki ogrodzeń i zapomniane zabawki. Wpadali na rdzewiejące huśtawki i ogrodowe grille.

Robili przy tym mnóstwo hałasu. Dzieciaki krzyczały do nich z ciemnych okien.

– Ej, kto to? Wypad z mojego ogródka!

Caine ignorował te krzyki. Iść naprzód, tylko to się liczyło. Byle dostać się na plażę.

Mieli jedną szansę, tylko jedną. W ciągu kilku minut musieli dotrzeć na przystań. Sam i jego ludzie będą oszołomieni zniszczeniami, będą biegali jak szaleni, próbując nad wszystkim zapanować. Prędzej czy później jednak któreś z nich – jeśli nie Sam, to Astrid – pojmie, że ta akcja służyła jedynie odwróceniu uwagi.

Albo Sam dopadnie Zila i go przyciśnie. Wtedy ten gnojek sygnie Caine'a i to natychmiast.

Caine nie chciał zastać na przystani czekającego nań Sama. Ledwie się trzymał na nogach. Nie mógłby stawić czoła Samowi. Nie teraz. Nie tej nocy.

Powietrze nawet tutaj, z dala od pożaru, cuchnęło. Swąd spalenizny unosił się wszędzie. Był tak silny, że niemal tłumiał odór ludzkich odchodów.

Doszli do następnej ulicy. Nie mieli innej możliwości niż przez nią przejść. Ale kręciło się zbyt wiele dzieciaków, by je po prostu ominąć. Nie było okrężnej drogi, mogli tylko udawać niewiniątka i podążać naprzód.

Przepychali się między przerażonymi uciekinierami.

– Idziemy, idziemy! – zawołał Caine, gdy kilka osób odłączyło się, by podjąć bezskuteczną próbę wyżebrania czegoś do jedzenia od dwójki wstrząśniętych, umazanych sadzą pięciolatek.

I nagle, tuż obok, na ulicy, pojawił się spowity dymem kształt.

– Stać! – syknął Caine. – Padnij!

Popatrzył zaczerwienionymi oczami. Czy to... Nie. Oczywiście, że nie. Szalona myśl!

Postać przybrała wygląd dzieciaka, zwykłego dzieciaka, z normalnymi rękami, zupełnie nieprzypominającego tego, co dojrzał wśród dymu.

Caine wstał. Czuł się głupio, że tak się przestraszył.

– Idziemy, idziemy! – krzyknął.

Wzniósł dłonie i użył swojej mocy, by popchnąć grupę naprzód. Połowa dzieciaków potknęła się i upadła.

Zaklął.

– Ruszać się! – wrzasnął na nich.

Znów ta sama postać, spowita kłębamii dymu. Wysoka, szczupła sylwetka. Ręka, która ciągnęła się w nieskończoność. Niemożliwe. Iluzja, tak jak wcześniej. Wyobraźnia, karmiona zmęczeniem, strachem i głodem.

– Penny, robisz coś? – spytał.

– Co masz na myśli? – wychrypiała dziewczyna.

– Zdawało mi się, że coś widzę – odparł. Po czym dodał: – Kogoś. Przed chwilą.

– To nie ja – zapewniła. – Nigdy nie użyłabym swoich mocy wobec ciebie, Caine.

– Nie – zgodził się. – Nie użyłabyś.

Jego pewność siebie zniknęła. Umysł płatał mu figle. Inni wkrótce to wyczują. Diana już wiedziała. Ale z drugiej strony, ona przecież doznała tej samej halucynacji, czyż nie?

– Wlecemy się – stwierdził. – Musimy pobiec ulicą. Penny albo ty, albo ja załatwiamy każdego, kto wejdzie nam w drogę. Dobra?

Ruszył ulicą, kierując się ku plaży. Musiał zwalczać w sobie chęć oglądania się przez ramię za chłopakiem, którego nie mogło tam być.

Na plażę doszli bezpiecznie. Natknęli się na grupę około dwudziestu osób, kłębiących się wokół ogniska. Niektóre płakały, inne chichotały, dodając sobie nawzajem otuchy. Jedni zachowywali się tak, jakby oglądali jakieś widowisko, inni zaś tak, jakby to ich ciała płonęły w tym pożarze.

Na początku nikt ze zbieraniny nie zauważył grupy Caine'a, po chwili jednak ktoś podniósł wzrok i szeroko otworzył oczy, ujrawszy Dianę, a potem Caine'a.

– To Caine!

– Zejdź mi z drogi – ostrzegł Caine. Ostatnią rzeczą, której chciał, była bezsensowna i czasochłonna walka. Spieszyło mu się.

– Ty! – wykrzyknął ktoś inny. – To ty wywołałeś pożar!

– Co? Kretyn! – Caine odepchnął go, używając siły rąk, a nie mocy, bo nie chciał teraz kłopotów. Inni jednak też podnieśli krzyk i miał teraz przed sobą tuzin wściekłych, przerażonych dzieciaków, które płakały i krzyczały mu w twarz. W pewnej chwili ktoś uderzył go pięścią.

– Dosyć! – zawołał. Uniósł dłoń i stojący najbliżej dzieciak oderwał się od ziemi.

Wylądował pięć metrów dalej z przyprawiającym o mdłości łoskotem.

Kto przyłożył mu w głowę łomem, tego Caine nie widział. Zdawało się, że cios przyszedł znikąd. Padł na kolana, zbyt oszołomiony, by się bać.

Zobaczył narzędzie ułamek sekundy przed drugim uderzeniem. Tym razem cios okazał się słabszy i gorzej wymierzony, ale jego lewym obojczykiem targnął ostry ból.

Przez rękę, aż po koniuszki palców, przeszło nieznośne mrowienie.

Nie zamierzał czekać na trzecie uderzenie. Podniósł prawą rękę, ale zanim zdążył zniszczyć tego chłopca, do akcji wkroczyła Penny.

Chłopiec odskoczył, niemal tak daleko, jakby rzucił go Caine.

Wrzasnął, po czym zaczął dziko wymachiwać łomem. Kiedy narzędzie wypadło mu z osłabłej ze strachu ręki, zadawał ciosy pięścią i próbował chwytać powietrze z oszalałym błyskiem w oczach.

– Co widzi? – spytał Caine.

– Wielkie pająki – odparła Penny. – Naprawdę ogromne. I ruszają się błyskawicznie.

– Dzięki – mruknął. Wstał i potarł odrętwiałą rękę. – Mam nadzieję, że dostanie ataku serca. Chodźcie! – krzyknął. – Już niedaleko. Trzymajcie się mnie, wszyscy, a do rana dostaniecie jeść.

Mary nie miała siły wrócić do domu. Nie widziała w tym zresztą większego sensu... nie było prysznic... nie było...

Opadła na krzesło w zagraconym biurze. Próbowwała unieść nogi, oprzeć zmęczone stopy na kartonowym pudle, ale nawet to wymagało zbyt wiele energii.

Postawiła buteleczkę z lekarstwami na biurku. Pigułki zagrzechotały. Odkręciła zakrętkę i sprawdziła, co tam ma. Musiał to być jakiś środek przeciwdepresyjny. Innych od Dahry nie dostawała.

Połknęła bez popijania.

Kiedy ostatnio brała pigułkę? Nie pamiętała, choć przecież powinna to kontrolować.

Dwoje dzieci chorowało na jakiś rodzaj grypy...

Co niby miała...

Sny połączyły się niezauważalnie ze wspomnieniami i Mary wędrowała przez chwilę przez miejsce pełne chorych dzieci i zapachu moczu. Jej mama przygotowywała całe stopy kanapek z masłem orzechowym i dżemem na jakąś szkolną imprezę, Mary zaś pakowała je w foliowe woreczki, a następnie w torby z ekologicznego plastiku ze sklepu Ralph's.

– Zmoczyłaś się? – spytała mama.

– Chyba tak. Tak przynajmniej pachnie. – Nie czuła wstydu, a jedynie złość, że mama robi z tego jakąś sprawę.

Potem drzwi się otworzyły, do środka weszła mała dziewczynka. Wpełzła na kolana Mary, ale one nie mogła ruszyć rękami, by ją przytulić, ręce bowiem miała jak z ołowiu.

– Jestem taka zmęczona – powiedziała do swojej mamy.

– Wiesz, zrobiłyśmy osiem tysięcy kanapek – wyjaśniła matka, a Mary popatrzyła na stosy, które chwiały się komicznie niczym postać z książeczki doktora Seussa, [Theodor Seuss Gersel znany jako Dr Seuss – amerykański autor książeczek dla dzieci, do których sam wykonywał ilustracje] i wiedziała, że to prawda.

– Źle wyglądasz.

– Nic mi nie jest – odparła Mary.

– Chcę do mamusi – powiedziała jej do ucha dziewczynka i po szyi Mary pociekły ciepłe łzy.

– Powinnaś już wrócić do domu – stwierdziła mama.

– Muszę najpierw zrobić pranie – odparła Mary.

– Ktoś inny je zrobi.

Poczuła nagle, ostre ukłucie smutku. Czuła, że zatapia się w pokrytą płytkami podłogę, kurczy się pod wzrokiem mamy, która przestała robić kanapki.

Kobieta trzymała nóż, umazany masłem orzechowym i marmoladą malinową. Kawalki czerwonych owoców spadały z ostrza, ogromnego jak na nóż do robienia kanapek.

– Nie będzie bolało – powiedziała. Wyciągnęła nóż w stronę córki.

Mary przebudziła się gwałtownie.

Dziewczynka na jej kolanach zasnęła i zsiusiała się. Mary była cała przemoczona.

– Oj! – wykrzyknęła. – Zejdź ze mnie! Zejdź! – krzyknęła, wciąż na wpół pogrążona we śnie, wciąż widząc ten unoszący się w powietrzu nóż, obrócony rękojeścią w jej stronę, ociekający czymś czerwonym.

Dziewczynka spadła na podłogę i, oszołomiona, zaczęła płakać.

– Hej! – zawołał ktoś z głównej sali.

– Przepraszam – mruknęła Mary i spróbowała wstać. Nogi się pod nią ugięły i usiadła z powrotem, zbyt gwałtownie. Sięgnęła po nóż, ale nie był prawdziwy, w przeciwieństwie do płaczu małej i głosu, który krzyczał.

– Hej, nie możecie tu wchodzić!

Przy następnej próbie zdołała wstać. Zataczając się, wyszła z pomieszczenia. Przed nią

stało troje dzieci o twarzach ogłupiałych ze strachu. Były za duże jak na jej grupę wiekową.

– Co tu robicie?

Cała sala się budziła, dzieci pytały jedno przez drugie, co się dzieje. Dotarł do niej krzyk jej pomocnika, Zadięgo.

– Zdaje się, że coś jest nie tak, Mary.

Jeszcze dwoje dzieci przecisnęło się przez drzwi wejściowe. Cuchnęły czymś, ale nie moczem.

Potem do środka wbiegł z krzykiem jakiś chłopiec. Cały wierzch dłoni miał poparzony.

– Co się dzieje?

– Pomóżcie nam! Pomóżcie! – wrzasnął chłopiec. Zapanował chaos. Z zewnątrz napływało się coraz więcej dzieci. Teraz Mary poznała ten smród. Smród dymu.

Niezbyt delikatnie przepchnęła się między nowo przybyłymi. Na zewnątrz zanosła się kaszlem, gdy do jej płuc dostał się dym.

Był wszędzie, wirował, wisiał w powietrzu, a od potłuczonych szyb w ratuszu odbijał się pomarańczowy blask.

Na zachodzie język ognia strzelił nagle w niebo, pochłonięty nagle przez własny dym.

Na placu nie było już nikogo więcej. Z wyjątkiem jednej dziewczyny.

Mary przetarła zaspane oczy i wbiła w nią spojrzenie. Nie, to niemożliwe, to nieprawda, to tylko jakiś sen.

Ale dziewczyna ciągle tam stała, z twarzą skrytą w cieniu. Pomiędzy jej wargami Mary dostrzegła chromowy błysk aparatu na zęby.

– Widziałaś go? – spytała tamta.

Mary poczuła, że coś w niej umiera, a przerażenie aż sparaliżowało jej mózg.

– Widziałaś demona? – spytała Brittney.

Mary nie była w stanie odpowiedzieć. Mogła tylko patrzeć, jak ręka tamtej zaczyna się wydłużać, zmieniać kształt.

Brittney zamrugła. Miała zimne, martwe, niebieskie oczy.

Mary wbiegła do przedszkola. Zatrzasnęła za sobą drzwi, po czym oparła się o nie plecami.

Rozdział 26

13 godzin, 43 minuty

Dym sprawił, że okolica wokół Sama okazała się nie do poznania. Chłopak rozejrzał się przez chwilę, nie wiedząc gdzie jest i który kierunek jest który. Zatrzymał się, słysząc za sobą kroki biegnących. Raptownie odwrócił się na pięcie z wzniesionymi rękami i wyprostowanymi dłońmi.

Kroki oddaliły się.

Sam zaklął sfrustrowany. Miasto płonęło, a wśród dymu znalezienie wroga graniczyło z cudem.

Nie miał czasu. Musiał uporać się z tym wszystkim, zanim wtrąci się Astrid. Inaczej znowu każe mu siedzieć bezradnie i czekać, aż ona wymyśli jakieś rozwiązanie, którego nigdy nie zdołają wprowadzić w życie.

Nadeszła właściwa noc. Nadszedł czas, by zrobić to, co powinien był zrobić miesiąc wcześniej: wykończyć Zila i położyć kres jego szaleństwu.

Ale najpierw musiał znaleźć tę bandę.

Spróbował rozważyć całą sytuację. O co naprawdę chodziło Zilowi? Dlaczego miałby dążyć do spalenia miasta? Jak na niego, posunięcie zdawało się wyjątkowo śmiałe, a przy tym szalone: w końcu Zil też tutaj mieszkał.

Myśli Sama rozpraszał obraz Drake'a, powracający do jego umysłu. On gdzieś tam był. Drake, który w jakiś sposób powstał z martwych.

Oczywiście nigdy nie widzieli jego zwłok, temu trudno było zaprzeczyć...

– Skup się – nakazał sobie. W tej chwili problem stanowił pożar trawiący miasto. Edilio będzie robił, co w jego mocy, by ratować tych, którzy potrzebowali pomocy. Sam miał za zadanie natychmiast powstrzymać terror.

Ale gdzie podziewał się Zil? I czy był z nim Drake? Czy czas, w którym wszystko nastąpiło, mógł być zbiegiem okoliczności? Nie. Sam nie wierzył w zbiegi okoliczności.

Znowu dostrzegł przez całun dymu jakiś ruch. I znowu pognął w tamtą stronę. Tym razem postać nie zniknęła.

– Nie... – zaczął dziecięcy głos, a potem zaniósł się kaszlem. Chłopczyk wyglądał na jakieś sześć lat.

– Idź stąd – warknął Sam. – Idź na plażę.

Pobiegł dalej, zawahał się, skręcił w prawo. Gdzie Drake? Nie, nie Drake. Gdzie jest

Zil? Zil należał do rzeczywistego świata.

Nagle Sam znalazł się przed murkiem przy plaży. Niemal się o niego potknął. A więc wysłał sześciolatka w niewłaściwą stronę. Za późno, by cokolwiek z tym zrobić. To nie było jedyne dziecko, które zablądziło tej nocy.

Gdzie były Dekka, Brianna i Taylor? Gdzie byli żołnierze Edilia? Co się właściwie działo?

Po piasku, w stronę przystani biegła grupa dzieciaków. Przez chwilę Samowi zdawało się nawet, że widzi Caine'a. Miał halucynacje! Wyobraźnia go zwodziła.

– Odmieńcy precz!

Sam słyszał to wyraźnie. Zdawało się, że krzyk dobiega z bliska. Może jakieś złudzenie słuchowe?

Próbował przeniknąć wzrokiem ciemność i dym, ale teraz nic już nie widział, nawet tego nieistniejącego Caine'a.

PAF! Wystrzał i jednocześnie jasny rozbłysk.

Puścił się biegiem. Trafił na coś miękkiego, ale ciężkiego. Potknął się i padł twarzą w dół. Z piaskiem zgrzytającym w zębach, dźwignął się na nogi. Ciało. Ktoś leżał w piasku. Pora zobaczyć, kto jest kim i co jest czym. Sam wznosił ręce wysoko i w powietrzu uformowała się kula zimnego, jasnego światła.

W niesamowitym poblasku dostrzegł kilkunastu zbirów Zila, z których połowa była uzbrojona. Tłum uciekał przed nimi.

Inna grupa, mniejsza i dziwnie przypominająca zgrzybiałych staruszków, biegła przez fale przy samym brzegu w kierunku odległej przystani.

Zil i jego ludzie od razu zorientowali się, kto odpowiada za nagłe oświetlenie. To mógł być tylko...

– Sam!

– To Sam!

– W nogi!

– Zastrzelić go! Zastrzelić!

Trzy wystrzały, następujące szybko po sobie. PAF! PAF! PAF!

Sam odpowiedział ogniem. Strugi palącego zielonego światła rozświetliły piasek. Rozległ się krzyk bólu.

– Nie uciekajcie!

– Tchórze!

PAF! PAF!

Ktoś strzelał teraz metodycznie, raz za razem przeładowując strzelbę. Sam poczuł ostry ból w mięśniu ramienia. Runął w piach i zaparło mu dech w piersiach. Wokół biegali ludzie Zila. Przewrócił się na plecy z rękami w gotowości.

PAF!

Pociski trafiły w piasek na tyle blisko, że słyszał uderzenie. Turlał się coraz dalej. PAF! PAF!

A potem trzask. Przekleństwo. Znowu tupot biegnących po piasku stóp.

Skoczył na nogi, wycelował i strzelił. Zabójcze zielone światło wywołało krzyk bólu i strachu, ale uciekająca postać nie zatrzymała się.

Tym razem Sam podnosił się wolniej. Piasek był wszędzie – w jego koszulce, w ustach, w uszach. W oczach. Dym i piasek. Z oczu ciekły mu łzy. Nie widział nic, tylko plamy.

Teraz światło działało przeciwko niemu, czyniąc z niego łatwy cel. Zamachał ręką i słoneczko zgasło. Na plaży znowu zapadła ciemność, choć lekka perłowa szarość rozjaśniała już niebo nad oceanem.

Splunął, próbując pozbyć się piasku z ust. Delikatnie potarł oczy, by usunąć z nich drapiące ziarnka.

Ktoś stał za nim!

Ból zapiekł jak ogień. Smagnięcie, które przedarło się przez koszulkę i poszarpało ciało.

Odwrócił się. Przed nim majaczył ciemny kształt.

Rozległ się ostry świst i Sam, zbyt oszołomiony, by się ruszyć, poczuł uderzenie bicia na ramieniu.

– Cześć, Sammy. Kopę lat, co?

– Nie – wydyszał Sam.

– O tak – warknął głos. Głos, który Sam świetnie znał. Głos, który budził w nim przerażenie. Ten sam, który śmiał się i chełpił, gdy on leżał na lśniącej podłodze elektrowni i krzyczał w agonii.

Zamrugał powiekami i z wysiłkiem otworzył jedno oko, by zobaczyć to, co nie mogło przecież być prawdą. Uniósł ręce i strzelił na oślep.

Świst i szum. Sam uchylił się instynktownie i uderzenie chybiło.

– Demon! – krzyknął dziewczęcy głos. Dobięł już zza pleców Sama, który odwrócił się i rzucił się do ucieczki.

Biegł. Biegł na oślep przez plażę. Biegł, przewracał się, zrywał na nogi i biegł dalej.

Zatrzymał się, dopiero gdy uderzył w betonowy murek. Poczł straszny ból w kostce. Wylądował na ziemi, twarzą w dół, i leżał, ciężko dysząc.

Quinn zawrócił łodzie do brzegu, drząc przed tym, co może zobaczyć... gdy dotrą na ląd.

Ogień się rozprzestrzenił i zdawał się obejmować pół miasta, chociaż nowe wybuchy już nie następowały. Dym dotarł nawet do nich, na morze. Quinna piekły oczy. Serce podeszło mu do gardła.

Byle nie kolejna masakra, byle nie kolejne okrucieństwa. Dosyć! Chciał tylko łowić ryby.

Wioślarze milczeli, patrząc na to potworne widowisko, na swoje płonące domy.

Dotarli do pierwszego pomostu i zobaczyli grupkę dzieciaków, idących chwiejnym krokiem – bez wątpienia spanikowanych uciekinierów, którzy uznali, że przystań będzie bezpiecznym miejscem.

Quinn zawołał do nich. Nie odpowiedzieli.

Jego łódź dotknęła odbijacza, obmywanego wodą. Dzięki długiej praktyce działał jak automat. Zarzucił pętlę z liny na pachołek i podciągnął łódź bliżej. Wciągnięto wiosła. Tuman wskoczył na pomost i przywiązał drugą cumę.

Grupa utykających nie zwróciła na nich uwagi i szła dalej. Poruszali się dziwnie, jak osłabieni starcy. Mieli w sobie coś dziwnego...

I znajomego.

Do świtu została jeszcze godzina. Jedyne źródło światła stanowił pożar. Fałszywe gwiazdy przesłonięte były kłębamii dymu.

Quinn wskoczył na pomost.

– Ej, wy! Ej! – zawołał. Odpowiadał za łodzie. Przystań stanowiła jego teren.

Tamci szli dalej, jakby ogłuchli. Podążali równoległym pomostem w kierunku dwóch łodzi, które na wszelki wypadek zawsze były zatankowane: płaskodennej łodzi wędkarskiej i pontonu Zodiac.

– Ej! – krzyknął Quinn.

Ten, który szedł pierwszy, odwrócił się. Dzielilo ich piętnaście metrów, ale nawet w słabym blasku ognia Quinn rozpoznał kształt ramion i głowy.

Rozpoznał też głos.

– Penny – powiedział Caine. – Zajmij czymś naszego przyjaciela Quinna.

Z wody wyskoczył potwór, wzbijając ogromną fontannę. Quinn wrzasnął z przerażenia.

Potwór wznosił się coraz wyżej i wyżej. Łeb miał niczym udręczony, zdeformowany słoń. Dwoje czarnych, martwych oczu. Szczęki rozwarły się, ukazując zakrzywione zęby i długi, ostro zakończony język.

Ryknął głosem, który brzmiał jakby ktoś walił w struny stu potężnych wiolonczeli kubłami na śmieci. Pustym, zbolałym.

Quinn runął w tył. Spadł z pomostu, plecami uderzył w burtę swojej łodzi. Stracił dech w piersiach i głową w dół wpadł do wody.

W panice zaczerpnął tchu. Słona woda wypełniła mu gardło. Zakrztusił się i całą siłą woli powstrzymał się przed następnym oddechem.

Znał wodę. Był dobrym surferem i świetnym pływakiem. Nie pierwszy raz znalazł się pod powierzchnią do góry nogami.

Opanował strach i zaczął machać nogami. Powierzchnia, bariera między wodą a powietrzem, życiem a śmiercią, znajdowała się trzy metry nad nim. Jedną stopą kopnął w dno. Na szczęście nie było zbyt głęboko. Wynurzał się.

Potwór sięgnął jednak pod pomost. Miał nieprawdopodobnie długie łapy z niewiarygodnie ostrymi szponami.

Łapy wyciągnęły się ku niemu, a on popłynął do tyłu. W panice wierzgał nogami, bił wodę rękami, paliło go w płucach.

Za wolno. Jedna z gigantycznych dłoni zamknęła się wokół niego. Palce przeszły przez jego ciało. Nie poczuł jednak bólu. Ani dotyku ani w ogóle niczego.

Druga szponiasta łapa wsunęła się pod wodę. Lada chwila wypruje mu wnętrzności. Ale ona przeniknęła tylko przez jego tułów.

Iluzja!

Ostatkiem sił Quinn wypłynął na powierzchnię. Wciągnął powietrze i zwymiotował morską wodę z żołądka. Potwór zniknął.

Tuman wciągnął go do łodzi jak jakiś balast. Quinn leżał na dnie, w niewygodnej pozycji, na wiosłach.

– Wszystko w porządku?

Nie mógł odpowiedzieć. Wiedział, że jeśli otworzy usta, znowu zacznie wymiotować. Głos jeszcze mu nie wrócił. Wciąż czuł się tak, jakby oddychał przez słomkę. Żył jednak.

Teraz wszystkie elementy układanki znalazły się na swoich miejscach. Ten potwór. Dźwięk, który wydawał. Znał to. *Projekt: Monster*. To był potwór z filmu. Dokładnie ten

potwór, dokładnie ten dźwięk.

Usiadł i zakaszłał.

Potem wstał w rozkołysanym kadłubie i zobaczył, że Caine i jego ludzie wchodzą do obu łodzi motorowych.

Caine zauważył go i posłał mu chłodny, ironiczny uśmiech. Była przy nim jakaś dziwna dziewczyna. Ona także patrzyła w jego stronę, ale nie uśmiechnęła się. Odsłoniła krzywe zęby w grymasie, który w znacznie większym stopniu był groźbą niż uśmiechem.

Uruchomili silnik. Rozległ się chrapliwy, szorstki odgłos, potem drugi.

Quinn został w miejscu. Nie miał szans z Caine'em. Caine mógł go zabić jednym ruchem dłoni.

Dwie łodzie zaczęły powoli i ostrożnie odpływać od pomostu.

Rozległ się tupot biegnących stóp. Wataha dzieciaków, niektóre uzbrojone. Quinn rozpoznał Lance'a, a potem Hanka. I w końcu Zila, który trzymał się z tyłu, pozwalając tamtym dwóm iść przodem.

Dotarli do krańca pomostu. Hank zatrzymał się, wycelował i strzelił.

Pocisk trafił w ponton. Powietrze uszło zeń gwałtownie. Silnik zacharczał pod wodą, gdy rufa zapadła się i zaczęła tonąć.

Quinn wspiął się do połowy na pomost, by lepiej widzieć. Szczeka aż mu opadła.

Caine, mokry i wściekły, uniósł się, lewitując nad tonącym pontonem.

Poderwał z ziemi Hanka wraz z pistoletem. Hank zaczął się wić, krzyczeć z bólu, zupełnie bezsilny. Unosił się w górę, coraz wyżej i wyżej, podczas gdy Caine nadal wisiał w powietrzu, a jego towarzysze tonęli.

Na wysokości trzydziestu metrów Hank się zatrzymał. A potem poleciał w dół. Nie spadał. Prędkość była za duża jak na zwykłe spadanie, za duża jak na samą siłę ciężenia.

Hank mknął jak meteor, niewiarygodnie szybko, aż zmienił się w barwną smugę.

I nagle uderzył w wodę. Wzbiła się wielka fontanna, jakby ktoś odpalił ładunek głębinowy.

Quinn znał okolice przystani. Tam, gdzie spadł Hank, głębokość nie przekraczała dwóch i pół metra. Dno pokrywał piasek i muszelki.

Nie było najmniejszych szans, żeby wypłynął z powrotem na powierzchnię.

Caine lewitował, a Zil patrzył na niego z bezradnym przerażeniem.

– To był błąd, Zil! – zawołał Caine.

Zil i jego kompani odwrócili się i rzucili do ucieczki. Caine wybuchnął śmiechem i opuścił się do drugiej łodzi. Pięciu jego ludzi zostało w wodzie. Wołali i machali, a potem

przeklinali i złorzeczyli, gdy łódź zaczęła się oddalać z rykiem silnika.

Rozdział 27

13 godzin, 32 minuty

– Wstawaj – szepnęła Peace. Potrząsnęła ramieniem Sanjita.

Chłopak dawno przywykł do pobudek o dziwnych porach. Wiązało się to z faktem, że był najstarszym dzieckiem w rodzinie Brattle-Chance, co zresztą już dawno straciło urok.

– Bowie? – spytał.

Peace pokręciła głową.

– Nie. Wydaje mi się, że cały świat płonie.

Sanjit sceptycznie uniósł brwi.

– Chyba trochę przesadzasz, Peace.

– Chodź i już.

Jęknął i wytoczył się z łóżka.

– Która godzina?

– Prawie rano.

– „Prawie” robi różnicę – mruknął. – Wiesz, kiedy najlepiej wstawać? Naprawdę rano. Znacznie lepiej niż „prawie” rano.

Ruszył za nią korytarzem do pokoju, w którym razem z nią sypiali Bowie i Pixie. Dom miał dwadzieścia dwie sypialnie, ale tylko Sanjit i Virtue zdecydowali się mieszkać osobno.

Pixie spała. Bowie rzucał się na łóżku, wciąż trawiony gorączką, która nie chciała go opuścić.

– Okno – szepnęła Peace.

Sanjit podszedł do okna. Sięgało niemal od połogi do sufitu i w ciągu dnia zapewniało oszałamiający widok. Chłopiec stanął przed nim, wpatrując się w odległe miasto Perdido Beach.

– Idź po Choo – polecił po chwili.

Po chwili przyszedł z nią rozeźlony Virtue, przecierając oczy i mrużąc pod nosem.

– Zobacz – powiedział Sanjit.

Virtue stanął jak wryty tak jak wcześniej Sanjit.

– To pożar.

– Myślisz? – Sanjit pokręcił głową, zupełnie przerażony. – Chyba całe miasto się pali.

Czerwone i pomarańczowe płomienie świeciły na horyzoncie niczym jasna plamka. W szarym blasku przedświt Sanjit zobaczył potężny słup czarnego dymu. Skala zjawiska

zdawała się nedorzeczna. Jasny ogień przypominał plamkę, ale dym wyglądał, jakby miał kilka mil wysokości i kształt wykrzywionego leja.

– To tam mam lecieć śmigłowcem? – spytał.

Virtue wyszedł. Wrócił po kilku chwilach, niosąc niewielką lornetkę. Nie zapewniała zbyt dużego powiększenia. Używali jej czasami, gdy chcieli dostrzec więcej szczegółów miasta lub zadrzewionego wybrzeża, znajdującego się najbliżej wyspy. Nigdy nie widzieli zbyt wiele. Teraz także nie zobaczyli więcej, ale nawet lekko powiększony pożar wyglądał strasznie.

Sanjit spojrział na Bowiego, który jęczał przez sen.

– Mam bardzo złe przeczucia – oznajmił Virtue.

– Tutaj ogień nie dotrze – stwierdził Sanjit, starając się, by w jego głosie pobrzmiwały nonszalancja i pewność.

Virtue nic nie odpowiedział. Patrzył. Sanjitowi przyszło do głowy, że jego brat i przyjaciel widzi coś poza ogniem.

– Co jest, Choo?

Virtue westchnął. Był to ciężki dźwięk podobny do szlochu.

– Nigdy mnie nie pytałeś, skąd pochodzę.

Sanjit był zaskoczony obrotem rozmowy.

– Z Afryki. Wiem, że pochodzisz z Afryki.

– Afryka to kontynent, a nie kraj – odparł Virtue. W jego głosie brzmiało słabe echo jego zwykłej pedanterii. – Moją ojczyzną jest Kongo.

– Aha.

– Nic ci to nie mówi, prawda?

Sanjit wzruszył ramionami.

– Lwy, żyrafy i tak dalej?

Tamtemu nawet nie chciało się szyderczo uśmiechnąć.

– Tam toczy się wojna, w zasadzie od zawsze. Zabijają ludzi. Gwałcą. Torturują. Robią rzeczy, o których nawet nie chcesz wiedzieć, bracie.

– Tak?

– Nie byłem w sierocińcu, kiedy wzięli mnie Jennifer i Todd. Miałem cztery lata. W obozie dla uchodźców. Pamiętam tylko, że cały czas byłem głodny. I nikt się mną nie opiekował.

– Gdzie byli twoi prawdziwi rodzice?

Virtue przez dłuższy czas milczał i jakiś instynkt podpowiedział Sanjitowi, by go nie

ponaglać.

W końcu odezwał się.

– Przyszli i zaczęli palić naszą wioskę. Nie wiem dlaczego. Byłem mały. Wiem tylko, że moja mama... ta, która mnie urodziła... kazała mi uciekać i schować się w krzakach.

– Aha.

– Powiedziała, żebym nie wychodził. Ani nie patrzył. Powiedziała: „Schowaj się. Mocno zamknij oczy. I zasłoń uszy”.

– Ale nie posłuchałeś.

– Nie – szepnął Virtue.

– Co widziałeś?

– Ja... – Wziął głęboki, rwany oddech. Nienaturalnym, pełnym wysiłku głosem, zdołał udzielić odpowiedzi. – Wiesz co? Nie mogę ci powiedzieć. Nie umiem opisać tego słowami. Nie chcę, żeby słowa wychodziły z moich ust.

Sanjit wbił w niego spojrzenie, czując się tak, jakby patrzył na obcą osobę. Virtue nigdy nie opowiadał o swoim wczesnym dzieciństwie. Sanjit zbeształ się w duchu, że był zbyt skupiony na sobie i nigdy go o nie nie pytał.

– Widzę ten ogień i po prostu mam złe przeczucia. Boję się, że to znowu się szykuje, że znowu się zacznie.

Taylor znalazła Edilia z Orkiem, Howardem, Ellen i kilkorgiem innych. Wycofywali się ze strefy najbardziej intensywnego ognia.

Z górnych pięter płonącego jak papier domu, dobiegały żałosne krzyki. Taylor zobaczyła, że Edilio przyciska dłoń do uszu.

Złapała go za rękę i oderwała ją od głowy chłopaka.

– W tym domu są dzieci!

– Tak? – odkrzyknął dzikim głosem. – Myślisz?

To było tak niepodobne do niego, że Taylor przeżyła szok. Inni popatrzyli na nią, jakby oszalała. Wszyscy słyszeli krzyki.

– Mogę to zrobić – powiedziała. – Mogę tam wskoczyć i wyskoczyć, zanim ogień mnie dopadnie.

Pełne wściekłości spojrzenie Edilia nieco złagodniało.

– Dzielna z ciebie dziewczyna. Ale co zrobisz? Możesz skoczyć, ale nie możesz zabrać nikogo ze sobą.

Wbiła wzrok w dom. Stał o pół przecznicy od nich, lecz nawet przy tej odległości skwar bił od niego jak z pieca hutniczego.

– Może bym... – Głos jej się załamał.

– Sprawdziłaś, co się tam dzieje? Nie powstrzymasz tego. A skakać tam tylko po to, żeby to zobaczyć... Wierz mi – powiedział Edilio. – Nie chcesz tego oglądać.

Krzyki umilkły. Parę minut później zapadł się dach.

– Ogień rozprzestrzenia się już sam. Powinniśmy zrobić przecinkę – stwierdziła Ellen.

– Co takiego? – spytał Edilio.

– Przecinkę. Robią coś takiego przy pożarach lasu. Wycinają drzewa na drodze ognia.

To powstrzymuje pożar przed przenoszeniem się z drzewa na drzewo.

– Mówisz o wyburzaniu domów? – spytał Howard.

– Chcesz, żeby Orc burzył domy? To będzie...

– Zamknij się – przerwał mu Orc. Bez złości, ale zdecydowanie.

Howard wzruszył ramionami.

– Dobra, wielkoludzie. Skoro chcesz się poświęcać...

– To bez znaczenia – odrzekł Orc.

Dekka wpadła na Edilia. Dosłownie. Najwyraźniej dym na wpół ją oślepił.

– Dekka! – krzyknął Edilio. – Widziałaś Sama? Próbowała odpowiedzieć, dławiła się, kaszlała, w końcu pokręciła głową.

– Dobra. Chodź z nami. Pożar ciągle się rozprzestrzenia.

– Co wy... – zdołała wykrztusić.

– Zrobimy przecinkę – odparł Edilio. – Ogień przenosi się z jednego domu na drugi.

Zburzymy parę budynków i powstrzymamy go.

– Weźcie też Jacka – wydusiła z siebie Dekka, usiłując powstrzymać atak kaszlu, który natychmiast ją dopadł.

– Dobra myśl – stwierdził Edilio. – Taylor?

Taylor jednak gdzieś zniknęła.

– Chodźcie – powiedział Edilio, próbując pozbierać swoją podupadłą na duchu ekipę.

– Możemy jeszcze uratować kawał miasta.

Wskazał drogę, a reszta poszła za nim.

Gdzie był Sam? Czy dogonił Zila? Czy zrobił to, czym groził? Zabił Zila?

Do uszu Edilia nadal docierało echo krzyków z płonącego domu. Wiedział, że jeszcze długo będzie je słyszał w snach. Na pewno nie zdobędzie się na wielkie współczucie dla Zila, gdyby Sam spełnił swoją groźbę. Mimo wszystko czuł się nieswojo. Był to kolejny objaw

świadczący o tym, że świat zwariował.

Taylor pojawiła się z powrotem, gdy doszli do Sheridan Avenue. Wszędzie unosił się dym. Pożar przenosił się z ogródków przy Sherman na zachodnią stronę Sheridan.

– Jack już tu idzie. Bryza próbowała wstać, ale zrobiła ze trzy kroki i zgięła się w pół.

– Nic jej nie jest? – spytała Dekka.

– Zdaje się, że grypa i superszybkość to nie najlepsze połączenie – odparła Taylor. – Ale przeżyje.

Edilio próbował rozeznaczyć się w terenie. Ogień szalał na zachodzie. Nie było normalnego wiatru, zresztą jak zwykle w ETAP-ie, ale zdawało się, że pożar wywołuje swój własny wiatr. Wiało gorącem. Bez wątpienia ogień musiał podążyć za tym podmuchem.

– Zbliża się – powiedziała Ellen.

– Tak. – Płomienie przy Sherman wyraźnie ukazywały kontury szeregu domów po zachodniej stronie Sheridan.

Nagle z kłębow dymu wyszedł mały chłopiec, ciągnący za sobą większego.

– Ej, mały – zagadnął Edilio. – Uciekaj jak najdalej stąd.

Teraz poznał chłopca, miał na imię Justin. Mary prosiła go kiedyś, by miał nań oko. Towarzyszył mu Roger. Był w kiepskim stanie, niezdolny, by coś powiedzieć czy choćby otworzyć oczy.

– Nie próbuj mówić – zwrócił się do niego Edilio. – Justin, idźcie na plac, dobra? Obaj. Prawdopodobnie będzie tam Lana. Idźcie do niej albo do Dahry Baidoo, okej? Ale już! Spadajcie stąd!

Obaj umazani sadzą chłopcy oddalili się, dławiąc się i potykając. Justin nadal ciągnął Rogera za sobą.

– Nie sądzę, żebyśmy zdołali uratować domy po tej stronie – powiedziała Ellen. – Ale ulica jest tu dosyć szeroka. I jeśli uda nam się zburzyć domy po zachodniej stronie, to może wystarczyć.

Jack nadchodził ulicą, wyraźnie oszołomiony i ostrożny.

– Dzięki, że przyszedłeś, Jack – powitał go Edilio.

Jack rzucił złe spojrzenie Taylor, która uśmiechnęła się uprzejmie. Coś się wydarzyło, ale teraz nie należało się tym przejmować. Taylor przekonała Jacka i to Edilioniowi wystarczało.

– Dobra – powiedział. – Zburzymy ten dom. Taylor, zajrzyj do środka. Dekka, najpierw musisz chyba trochę nim wstrząsnąć. Potem Orc i Jack wezmą się do roboty.

Tamci popatrzyli po sobie. Orc napawał się swoją siłą. Jack swojej niemal się wstydział. Ale nie oznaczało to, że nie zależało mu na tym, by się wykazać.

– Ty weź lewą stronę – powiedział Orc.

Taylor pojawiła się z powrotem.

– W domu nikogo nie ma. Sprawdziłam wszystkie pomieszczenia.

Dekka wysoko uniosła ręce. Edilio zastanawiał się, czy choroba nie osłabi jej mocy. Ale meble z ganku uniosły się jak pozbawione ciężaru i uderzyły w zadaszenie. Dawno nieużywany rower wzbił się ku niebu.

Dom zaczął trzeszczeć i skrzypieć. Ziemia i śmieci wlatywały jakby w zwolnionym tempie, niczym padający w odwrotnym kierunku deszcz.

I nagle Dekka opuściła ręce. Rower, meble i śmieci spadły z powrotem na ziemię. Rozległ się potężny łomot. Część dachu zawaliła się.

Orc i Jack ruszyli do akcji.

Orc przebił pięścią ścianę w pobliżu narożnika. Zgiął rękę i pociągnął podpory. To była ciężka praca, wymagająca wysiłku, lecz w końcu narożnik runął. Okładzina rozpadła się na kawałki, drewniane bolce pękały i sterczały teraz niczym kości przy otwartym złamaniu. Róg domu zapadł się.

Jack wyrwał latarnię z betonowej podstawy, podał ją Orkowi, zaś drugą latarnię zostawił dla siebie. Gdy z domu został już tylko stos desek, sztaby i połamane rury, Dekka uniosła cały ten bałagan nad ziemię.

Wtedy rozpoczął się niezdarny i niebezpieczny taniec. Orc i Jack używali długich słupów latarń do odpychania lewitującego gruzu z ulicy. Było to jednak bardzo trudne. Dekka ciągle regulowała siłę ciężenia, by szczątki nie poleciały ku niebu. Chłopcy z kolei musieli zmagać się ze zmieniającym się poziomem grawitacji, która chwilami niemal pozbawiała latarnie masy, by zaraz przywrócić im pełny ciężar.

W końcu szczątki zburzonego domu zostały wypchnięte na miejsca parkingowe za budynkami wzdłuż San Pablo Avenue i miejskiego placu. Gdy skończyli, ogień przeniósł się na dom od zachodu. Teraz jednak istniała przynajmniej szansa, że płomień nie przeskoczy na drugą stronę Sheridan.

Pracowali przez cały ranek. Poruszali się po Sheridan Avenue, wyburzając najbardziej zagrożone domy. Edilio i Howard przeszukiwali każdy z nich. Zabierali dzieciaki i biegli za Dekką, Orkiem oraz Jackiem, stopami dusząc żar, który lądował po wschodniej stronie ulicy, i gasząc tłącą się trawę przy użyciu pokryw od pojemników na śmieci i łopat.

Odgłosy ich działań, zgrzyty i nagłe łoskoty, dołączyły do trzasków i szumu płomieni, które torowały sobie drogę po zachodniej stronie ulicy.

Do dźwięków umierającego Perdido Beach.

Rozdział 28

13 godzin, 12 minut

Łódź oddalała się od Perdido Beach. Silnik terkotał. Zostało ich tylko siedmioro. Caine, Diana, Penny, Tyrell, Jasmine, Robal i Farba. Farba zyskał przezwisko od wdychania farby ze skarpetki. Jego usta zawsze miały kolor farby, którą ostatnio znalazł. Caine zauważył, że w tej chwili są czerwone, jakby Farba zmienił się w wampira.

Z tej siódemki tylko dwoje miało jakąś użyteczną moc: Penny i Robal. Diana wciąż umiała dokładnie mierzyć poziom mocy, ale w czym miałyby to teraz pomóc?

Pozostała trójka była tutaj tylko dlatego, że miała szczęście nie znaleźć się w pontonie. Chociaż może to był pech: ci, którzy wpadli do wody w pobliżu przystani, zapewne zostali już nakarmieni przez ludzi Sama.

– Dokąd płyniemy, stary? – spytał Farba chyba dziesiąty raz, odkąd wyruszyli.

– Na wyspę Robala – odparł Caine. Czuł, że stać go na cierpliwość. Dotarł tak daleko. Udowodnił swoim, że wciąż może wejść w drogę Samowi, jak również, że umie jeszcze wcielić plan w życie. Choć był osłabiony, udało mu się przedostać wraz ze swoimi zwolennikami z Coates przez sam środek terytorium wroga.

Silnik warczał krzepiąco. Rumpel wibrował w dłoni Caine'a. Powróciło wspomnienie dawnego świata, pełnego maszyn, elektroniki i żywności.

W łodzi było ciasno. Nic dziwnego. Mieli do czynienia z łodzią wędkarską, płytko zanurzoną, płaskodenną, o niskich burtach. Brudne, białe włókno szklane, może aluminium. Caine'a to nie obchodziło.

W środku znajdowały się trzy kamizelki ratunkowe, tylko trzy. Tyrell, Robal i Penny mieli je na sobie, zapięte z mniejszą lub większą wprawą. Łódź pełna wygłodniałych uchodźców.

Diana nie wzięła kamizelki. Caine wiedział dlaczego. Nie obchodziło jej już, czy żyje, czy nie. Minęły godziny, odkąd ostatni raz się odezwała.

Zupełnie jakby w końcu się poddała. Caine mógł teraz otwarcie na nią patrzeć, nie udając, że tego nie robi. Nie ryzykował już, że dziewczyna odpowie mu jakąś złośliwą uwagą, grożącą mu ośmieszeniem.

Stała się wrakiem, cieniem samej siebie. Tylko tyle zostało z Diany, gdy odebrano jej urodę, spryt i hardość. Rozdygotany, posępny szkielet o ziemistej cerze i łamliwych włosach.

– Widzę więcej niż jedną wyspę – stwierdziła Penny.

– Zgadza się – potwierdził Caine.

– Która to?

Nie była to pora, by przyznać, że nie wie oraz, że jeśli się pomylą i wdrapią na niewłaściwą wyspę, najprawdopodobniej tam umrą. Żadnemu z nich nie zostało dosyć siły na skakanie z wyspy na wyspę.

– Jest tam jedzenie? – spytał z nadzieją Tyrell.

– Tak – zapewnił.

– To bardzo bogaci ludzie, ci aktorzy – odezwał się z cienia jakiś głos. Osoby nie było widać, ale domyślił się, że to Robal.

– Mamy dosyć paliwa, żeby dopłynąć? – pytał dalej Tyrell.

– Przekonamy się – odparł Caine.

– A jeśli nam się skończy? – odezwał się Farba. – Co zrobimy, jak zabraknie nam paliwa?

Caine był już zmęczony odgrywaniem roli pewnego siebie lidera.

– Będziemy bezradnie dryfowali i zdechniemy tutaj, na głębokim niebieskim morzu – powiedział.

To zamknęło wszystkim usta. Wiedzieli, co się stanie, zanim umrą z głodu pośród morskiej ciszy.

– Widziałeś go – zwróciła się Diana do Caine'a. Nie miała nawet dość siły, by na niego spojrzeć.

Mógł skłamać. Ale po co?

– Tak – przyznał. – Widziałem.

– Żyje – stwierdziła.

– Chyba tak.

Bardzo nie podobała mu się perspektywa, że Drake żyje. Nie tylko dlatego, że Drake obwiniałby o swoją śmierć właśnie jego. Nie tylko dlatego, że nigdy by nie zapomniał, nigdy nie wybaczył i nigdy się nie zatrzymał.

Caine'a przerażała wizja żywego Drake'a. Miał w gruncie rzeczy nadzieję, że przynajmniej śmierć jest prawdziwa. Jeśli musiał, mógł stawić jej czoło. Nie był jednak w stanie stawić czoła śmierci, a potem ponownemu życiu.

Jasmine wstała, zupełnie roztrzęsiona.

Caine zerknął na nią, w zasadzie obojętny na to, co się dzieje, jedynie z nadzieją, że nie wywróci łodzi.

Dziewczyna bez słowa przechyliła się za burtę i z pluskiem wpadła do wody.

– Hej – powiedziała słabo Diana.

Caine trzymał dłonie na rumplu. Jasmine nie wynurzyła się. Biała koronka piany znaczyła miejsce, w którym pogrzyżła się w głębinach.

I została tylko szóstka, pomyślał beznamiętnie Caine.

Hank nie żył.

Antoine gdzieś się podział, zagubiony w tym szaleństwie, może też martwy, biorąc pod uwagę, jak ciężko był ranny.

Zil siedział, trzęsąc się na całym ciełe. Był w domu, na swoim głupim terytorium, ze swoją głupią dziewczyną Lisą, która gapiała się na niego jak ciełe, z głupim Turkiem, mamroczącym coś w kącie i próbującym wymyślić jakieś głupie wytłumaczenie, świadczące o tym, że tak naprawdę bardzo dobrze się stało.

Sam przyjdzie po niego. Zil był tego pewien. Sam przyjdzie. Odmieńcy zatriumfują. Skoro mogli zabić Hanka, a może też Antoine'a, była to tylko kwestia czasu.

Caine równie łatwo mógł cisnąć jego, Zila, w wodę. Gdyby to on strzelał, Caine zabiłby go z równą łatwością jak Hanka. Jego! Przywódcę!

Tego nie było w planie. Zil miał wykorzystać wywołane pożarem zamieszanie i zebrać tylu normalnych, ilu się dało, by zająć ratusz. Uwięzić Astrid i trzymać ją jako zakładniczkę, żeby Sam nie...

Głupi plan. Plan Caine'a. Jakim cudem miał zebrać dzieciaki w całym tym chaosie? Wśród dymu, paniki i zamieszania, podczas gdy Sam palił Antoine'a, a potem chciał zaatakować Hanka.

Głupi, głupi, głupi.

Wreszcie atak na Caine'a, żeby wszystko lepiej wyglądało. Jeszcze głupsze. Nie mógł stawać do otwartej walki z odmieńcami.

Zil wciąż miał przed oczami wyraz twarzy Hanka, gdy ten szybował w powietrze. Słyszał krzyk, który rozdarł gardło tamtego, gdy mknął z powrotem w dół. Przeciągające się chwile, gdy czekali, aż Hank znowu wypłynie, choć wiedzieli, że tak się stanie. Nie miał szans przeżyć tego upadku.

Jak skok z wysokiego dachu do małej miseczki z wodą, tak ujął to Lance. Hank leżał teraz zagrzebany głęboko w mule. A na jego miejscu mógł się znaleźć Zil. To on mógł mieć głowę pograżoną głęboko w mokrym błocie i może żyć jeszcze na tyle długo, by próbować zaczerpnąć tchu...

– Dobrze, że dzieciaki będą nam teraz wierzyć – mówił Turk, obgryzając paznokcie.

– Co? – warknął Zil.

– Skoro Caine zabił Hanka – wyjaśnił tamten. – Znaczy, nikt nie pomyśli, że mieliśmy układ z Caine'em.

Zil pokiwał głową, jakby nieobecny.

– To prawda – powiedział Lance. Nie uśmiechnął się szeroko, choć próbował. I przez chwilę Zil dostrzegł w nim jakąś zmianę. Coś, co nie pasowało do jego przystojnej twarzy i luzackiego sposobu bycia.

– Może powinniśmy po prostu przestać.

Lisa. Zil był zaskoczony, słysząc jej głos. Zwykle nic nie mówiła. Na ogół tylko siedziała bez ruchu. Jak głupia krowa. Zazwyczaj czuł do niej nienawiść, teraz jeszcze silniejszą, bo dostrzegła prawdę, którą Zil gdzieś zagubił.

– Przestać co? – spytał Lance. Najwyraźniej też nie lubił Lisy. Zil jedno wiedział na pewno: Lisa nie była wystarczająco ładna, by Lance kiedykolwiek się nią zainteresował. A Zila nie było stać na lepszą zdobycz. Przynajmniej na razie.

– To znaczy... – zaczęła, ale skończyła wzruszeniem ramion i znowu umilkła.

– Wiem, co trzeba zrobić – powiedział Turk. – Dalej mówić ludziom, że to Caine. Mówmy im, że Caine spalił miasto.

– Tak – odrzekł bez przekonania Zil. Zwiesił głowę i wbił wzrok w podłogę, w brudny, zniszczony dywan. – Odmieńcy.

– Właśnie – potwierdził Turk.

– Bo to zrobili odmieńcy. No, naprawdę. Kto nas do tego popchnął? Caine.

– Otóż to – powiedział Turk.

– Potrzebujemy więcej ludzi, to wszystko – stwierdził Lance. – Znaczy, Antoine był w sumie głupim ćpunem. Ale Hank...

Zil podniósł głowę. Może nadal istniała nadzieja. Skinął głową Lance'owi.

– Tak. Właśnie. Potrzebujemy więcej dzieciaków.

– Jeśli wszyscy się dowiedzą, że próbowaliśmy powstrzymać Caine'a, będziemy mieli mnóstwo dzieciaków – stwierdził Turk.

Lance uśmiechnął się słabo.

– Próbowaliśmy powstrzymać Caine'a przed spaleniem miasta.

– A wtedy zginął Hank – dodał Zil.

Powiedział to. I było jasne, że Turk już na poły w to wierzy. Właściwie również on sam zaczynał w to wierzyć.

– Lance, dzieciaki cię posłuchają. Ty i Turk, wy dwaj, i ty też, Liso. Idźcie. Rozpowiadajcie to.

Nikt się nie ruszył.

– Musicie robić, co mówię – powiedział Zil, starając się, by jego głos brzmiał mocno, a nie błagalnie. – Jestem Przywódcą.

– Tak – zgodził się Turk. – Tylko że... dzieciaki mogą nam nie uwierzyć.

– Boisz się? – spytał Zil.

– Ja nie – odezwała się Lisa. – Zrobię to. Pójdę i powiem prawdę wszystkim naszym przyjaciółom.

Zil popatrzył na nią podejrzliwie. Dlaczego nagle zrobiła się taka dzielna?

– Super, Liso – powiedział. – Znaczy, to by było bohaterstwo.

Lance westchnął.

– Skoro ona może, to ja chyba też.

Tylko Turk dalej siedział nieruchomo. Posłał Zilowi ukradkowe spojrzenie.

– Lepiej niech ktoś tu zostanie, żeby cię chronić, Przywódcu.

Ten roześmiał się ponuro.

– Tak, jeśli przyjdzie Sam, ty na pewno go zatrzymasz.

– To ucisk – powiedziała Nerezza.

Orsay nic nie powiedziała. Słyszała to słowo już wcześniej. Czyżby sama go użyła?

Nerezza, jakby odgadła jej wątpliwości, wyjaśniła:

– Ucisk. Czas nieszczęść. Kiedy ludzie szukają proroka, który powie im, co robić. Przepowiedziałas, że to nastąpi.

– Naprawdę? Nie pamiętam. – Jej pamięć przypominała zagracony strych, pełen zepsutych zabawek i połamanych mebli. Coraz mniej była pewna, gdzie teraz jest. I przestała pytać dlaczego.

Stały na skraju spalonego obszaru, pośrodku Sheridan. W blasku poranka zniszczenia wyglądały straszliwie i groźnie. Z kilkunastu domów wciąż unosił się dym. Tu i ówdzie nadal widać było języki ognia, wydostające się z osmalonych okien.

Niektóre domy stały nietknięte wśród zgłiszcz innych budynków. Jakby ocaliła je boska interwencja. Inne spłonęły tylko częściowo. Jeszcze inne były wyraźnie wypalone w środku, lecz z zewnątrz wydawały się niemal nienaruszone, nie licząc plam sadzy wokół poczerniałych okien.

Jeden z domów stojących w pobliżu nie miał jedynie dachu, który spłonął i zawalił się. Pomalowana na wesołą zieleń elewacja była zaledwie ubrudzona sadzą, ale górna część budynku zniknęła, zostało tylko kilka zwęglonych belek, sterczących ku niebu. Zaglądając w okna, Orsay dostrzegła to, co zostało z dachówek i krokwi, połamanych i poczerniałych. Wyglądało to tak, jakby ktoś oderwał dach i użył domu w charakterze popielniczki.

Po drugiej stronie ulicy widniały inne zniszczenia, przypominające ślady po przejściu huraganu, który oderwał od fundamentów cały szereg domów i zmiotł je z powierzchni ziemi.

– Nie wiem, co robić – powiedziała Orsay. – Jak powiedzieć o tym innym?

– To sąd – stwierdziła Nerezza. – Widzisz to. Wszyscy to widzą. Sąd. Ucisk, zesłany, by przypomnieć ludziom, że nie postępują właściwie.

– Ale...

– Co ci powiedziały twoje sny, Prorokini?

Orsay wiedziała, co jej powiedziały sny. Sny tych wszystkich ludzi z zewnątrz, którzy widzieli dziewczynę o imieniu Orsay, wędrującą przez ich uśpione umysły. Dziewczynę, która zanosila wiadomości ich dzieciom, a w zamian ukazywała rodzicom zdumiewające obrazy życia wewnątrz ETAP-u. Wizje ich uwięzionych i oddanych na pastwę płomieni dzieci. Uwięzionych i umierających.

Tak, sny tych wszystkich dobrych ludzi wypełniał niepokój, wiedzieli bowiem, co się działo w środku. Byli sfrustrowani, bo wiedzieli – ci dobrzy ludzie, ci dorośli, rodzice – że ich przerażone dzieci mogą stamtąd wyjść.

Sny Orsay tego dowodziły. Pokazywały, że Francis wyszedł cały i zdrowy, powitany przez rodziców łzami wdzięczności, że zdecydował się na „puf”.

Orsay czuła się szczęśliwa. „Puf” w piętnaste urodziny uwalniało od ETAP-u. Sama nie mogła się tego doczekać. Ucieczki, gdy nadejdzie jej czas.

Ostatnio jednak obrazy się zmieniły. Przychodziły do niej nie pod murem ETAP-u, nawet nie wtedy, gdy spała. W zasadzie nie były to sny. Wizje. Objawienia. Wślizgiwały się pomiędzy inne myśli. Niczym włamywacze, wkradający się do jej umysłu.

Czuła, że w żadnym stopniu nie panuje już nad tym, co się dzieje w jej głowie. Jakby zostawiła otwarte drzwi i teraz nie mogła już powstrzymać napływu snów, wizji – niewyraźnych, lecz strasznych wyobrażeń.

Te nowe wizje ukazywały nie tylko tych, którzy uciekli z ETAP-u, osiągnąwszy magiczny wiek. Ukazywały dzieci, które umarły. A jednak teraz przytulały się mocno do swoich matek tam na zewnątrz.

Widziała tych, którzy zginęli ostatniej nocy w pożarze. Agonia, później śmierć,

wreszcie ucieczka w ramiona kochających rodziców.

Nawet Hank. Jego ojciec nie czekał przy Kopule, ale został powiadomiony przez kalifornijską policję drogową. Odebrał telefon w kręgielni w Irvine, gdzie pił piwo i flirtował z barmanką. Musiał zasłonić ucho ręką, by słyszeć, co do niego mówią, wśród hałasu toczących się kul i rozbijanych kręgli.

– Co?

– Twój syn, Hank. Wydostał się! – powiedzieli policjanci.

Orsay widziała obrazy, wiedziała, co oznaczają, i od tej wiedzy robiło jej się słabo.

– Co ci mówią sny, Prorokini? – naciskała Nerezza. Orsay nie mogła jej jednak powiedzieć. Nie mogła powiedzieć, że drogą ucieczki jest sama śmierć, a nie tylko „puf”, nie tylko piętnaste urodziny.

Gdyby powiedziała o tym innym dzieciakom...

– Powiedz mi – ponagliła Nerezza. – Wiem, że twoja moc się wzmacnia. Wiem, że widzisz więcej niż kiedykolwiek wcześniej.

Ich twarze znalazły się blisko siebie. Nerezza ścisnęła rękę Orsay. Wywierała na niej presję całą siłą swojej woli. Orsay czuła tę presję – tę wolę, tę potrzebę, ten głód.

– Nic – szepnęła.

Nerezza cofnęła się. Przez jej twarz przebiegł grymas, wyszczerzyła zęby. Jak zwierzę. Zgromiła ją wzrokiem. A potem, nie bez wysiłku, jej rysy złagodniały.

– Jesteś Prorokinią, Orsay – stwierdziła.

– Nie czuję się najlepiej – powiedziała Orsay. – Chcę iść do domu.

– Sny – odrzekła Nerezza. – Nie pozwalają ci dobrze spać, prawda? Tak, powinnaś wrócić do łóżka.

– Nie chcę więcej śnić – mruknęła Orsay.

Rozdział 29

11 godzin, 24 minuty

Hunter miał w worku sześć ptaków, w tym trzy wrony, na których nie było zbyt wiele mięsa i jedną sowę. Sowy miały kiepski smak, ale więcej mięsa. Dwa ptaki należały do gatunku o kolorowych piórach i soczystym smaku. Nie wiedział, jak się nazywają, ale zawsze ich szukał, bo były pyszne, a Albert cieszył się, gdy je dostawał.

Hunter znajdował się wysoko na dalekim krańcu górskiego grzbietu, na północ od miasta. Wnosił na górę worek z upolowanymi ptakami w nosidełku, używanym przez matki do noszenia niemowląt. Niezła harówka.

Targał też plecak ze śpiworem, rondlem, kubkiem, dodatkowymi skarpetkami i drugim nożem. Noże czasem się łamały, choć ten, który tkwił za paskiem, nie zniszczył się już od dłuższego czasu.

Hunter tropił dwa jelenie. Szedł za nimi całą noc. Wiedział, że jeśli tylko uda mu się blisko podejść, zabije je. Potem użyje noża i wypatroszy zwierzynę, czego się już zdążył nauczyć. Obu naraz nie da rady znieść. Jednego jelenia po oprawieniu będzie więc musiał zawiesić na drzewie i wrócić później.

Wciągnął powietrze w nozdrza. Odkrył, że potrafi wyczuć zapach zwierząt, na które polował. Jelenie miały własny zapach, podobnie jak szopy i oposy. Próbował węszyć dalej, ale do jego nosa docierał tylko swąd pożaru.

Zmarszczył brwi w skupieniu. Czyżby ostatnio obozował w pobliżu? A może ktoś inny rozpałił ognisko?

Znajdował się w głębokiej rozpadlinie. Wokół niego i powyżej wznosiły się ciemne drzewa. Zawahał się. Ten zapach ognia nie kojarzył mu się z ogniskiem. Nie pochodził od palonego drewna i gałęzi.

Pokaźny jelen z pełnym porożem pojawił się zupełnie znikąd. Nie zobaczył Huntera. Nie uciekał w panice, lecz po prostu biegł równym tempem, zwinnie przeskakując obalone pnie i omijając gęstwiny kolczastych krzewów.

Hunter wyciągnął ku zwierzęciu obie ręce. Nie rozbłysło żadne światło. Nic, co można by zobaczyć albo usłyszeć.

Jeleń zrobił jeszcze dwa kroki i upadł.

Hunter podbiegł szybko. Zwierzę było ranne, ale jeszcze żyło.

– Nie martw się – szepnął. – Nie będzie bolało.

Wyciągnął rękę w kierunku łba jelenia. Oczy zwierzęcia nabrały mlecznej barwy. Przestało oddychać.

Zsunął z ramion plecak i worek z ptakami, po czym wyciągnął nóż. Był podekscytowany. To największy jeleń, jakiego dotąd złowił. Z całą pewnością nie mógł go przenieść w całości. Musiał pociąć zdobycz na kawałki. Czekало go dużo ciężkiej pracy.

Pociągnął długi łyk z manierki i usiadł, kontemplując trofeum i myśląc o pracy, która go czekała.

Nie spał od dłuższego czasu, ścigając dwa pozostałe jelenie. Dopadła go senność. Nie było już potrzeby, by szedł dalej. Złowiwszy ptaki i jelenia, miał przed sobą dwa dni krojenia i dźwigania mięsa, by dostarczyć wszystko do miasta.

Niedaleko od tego miejsca znajdowały się wprawdzie płytkie jaskinie, ale w niektórych mieszkaly latające węże. Lepiej było się do nich nie zbliżać i trzymać się otwartej przestrzeni.

Oparł głowę o miękkie, spróchniały pień i natychmiast zapadł w sen.

Nie wiedział, jak długo spał, nie miał przecież zegarka, ale słońce wisiało nad głową, gdy obudziły go odgłosy niezdarnych ruchów. Ktoś próbował się skradać, lecz nie najlepiej mu to wychodziło.

– Cześć, Sam – powiedział.

Sam zamarł.

Hunter usiadł.

– Co tu robisz?

Sam rozejrzał się dookoła, jakby szukał odpowiedzi. Hunterowi wydawał się dziwny. Nie wyglądał tak, jak zazwyczaj wyglądał Sam. Raczej jak zwierzę, które Hunter zapędził w pułapkę i które wie, że to nadszedł jego koniec.

– Tylko... eee... spaceruję – powiedział Sam.

– Uciekasz? – spytał młody myśliwy.

Sam wydawał się zaskoczony.

– Nie.

– Czuję zapach ognia.

– Tak. Był pożar. W mieście – wyjaśnił Sam. – To jeleń?

Hunterowi pytanie wydało się głupie.

– Tak.

– Zgłodniałem – przyznał Sam.

Hunter uśmiechnął się swoim krzywym uśmiechem. Połowa jego ust nie poruszała się.

– Mogę przyrządzić ptaka. Ale jelenia muszę oddać Albertowi.

– Ptak będzie super – odparł Sam.

Usiadł po turecku na warstwie sosnowych igieł. Był ranny. Miał krew na koszulce i sztywno poruszał ramieniem.

– Mogę go ugotować rękami. Ale lepiej smakuje upieczony na ogniu.

Hunter nazbierał suchych igieł i gałązek, wziął też parę większych szczap drewna. Wkrótce rozpalił ognisko. Oskubał jednego z barwnych ptaków, spalił pióra i pokroił mięso na mniejsze kawałki. Następnie nadział je na drucziany wieszak do ubrań, który nosił w plecaku, i oparł o krawędź ogniska.

Podzielił mięso skrupulatnie i sprawiedliwie. Sam zaczął łapczywie jeść.

– Masz tu całkiem niezłe życie – stwierdził.

– Tyle że są tu komary. I pchły – odparł Hunter.

– Tak, prawie wszyscy mają pchły, odkąd większość psów i kotów... eee... zniknęła.

Hunter skinął głową. Potem rzucił:

– Nie mam wiele do powiedzenia.

Gdy Sam popatrzył na niego ze zdziwieniem, Hunter wyjaśnił:

– Czasami w głowie brakuje mi słów.

Lana wyleczyła go najlepiej jak mogła, ale kości czaszki nigdy nie wróciły do poprzedniego stanu. Naprawiła mu mózg na tyle, by nie sikał w majtki, jak to robił przez jakiś czas po pobiciu. Gdy zaś mówił, na ogół dało się go zrozumieć. Nie potrafiła jednak w pełni przywrócić mu normalności.

– W porządku – powiedział Hunter, nie zdając sobie sprawy, że wcześniejszych przemyśleń nie wyraził na głos. – Po prostu teraz jestem inny.

– Jesteś ważny – odparł Sam. – Jesteś ratunkiem dla dzieciaków. Kojoty dają ci się we znaki?

Hunter pokręcił głową i przełknął jeszcze trochę gorącego ptasiego mięsa.

– Zawarliśmy umowę. Nie chodzę tam, gdzie one polują. I nie łowię ich. A one mi nie przeszkadzają.

Przez chwilę żaden z nich nie odzywał się. Ogień się dopalał. Resztki ptaka zostały zjedzone. Hunter zasypał ognisko ziemią, by je dogasić.

– Może mógłbym pracować z tobą – zastanowił się na głos Sam. – Chyba też umiałbym polować.

Hunter zmarszczył brwi. To brzmiało dziwnie.

– Ale ty jesteś Sam, a ja Hunter.

– Mógłbyś mnie nauczyć tego, co umiesz – odparł Sam. – No wiesz. O zwierzętach. Jak je znaleźć. Jak oprawiać i w ogóle.

Hunter zastanowił się nad tym, ale potem pomysł uciekł mu z głowy. I zdał sobie sprawę, że zapomniał, o czym rozmawiał.

– Jeśli wrócę, będę musiał robić różne rzeczy – powiedział Sam. Spojrzał w dół, na popiół po niemal wygasłym ognisku.

– Jesteś dobry w robieniu różnych rzeczy – stwierdził Hunter.

Sam wydawał się rozgniewany. Potem twarz mu złagodniała, aż w końcu posmutniała.

– Tak. Tylko nie zawsze chcę je robić.

– Ja jestem myśliwym, więc poluję.

– Naprawdę mam na imię Samuel. To był taki prorok z Biblii.

Hunter nie wiedział, co znaczą słowa „prorok” i „Biblia”.

– Facet, który obalił pierwszego króla Izraela.

Hunter pokiwał głową, zafrapowany.

– Wierzysz w Boga, Hunter? – spytał Sam.

Huntera ogarnęło nagłe poczucie winy.

– Omal nie zabiłem tych chłopaków.

– Jakich chłopaków?

– Zila. I jego kumpli. Tych, którzy zrobili mi krzywdę. Polowałem na łanię i ich zobaczyłem. Mogłem...

– Mogłeś ich zabić.

Pokiwał głową.

– Prawdę mówiąc, żałuję, że tego nie zrobiłeś.

– Jestem Hunter, myśliwy – odparł Hunter i uśmiechnął się, bo zdało mu się to śmieszne. – A nie zabójca chłopaków. – Roześmiał się. Chciał być dowcipny.

Sam nie śmiał się. Wyglądał wręcz, jakby chciał się rozplakać.

– Znasz Drake'a, Hunter?

– Nie.

– To chłopak, który zamiast ręki ma coś w rodzaju węża. Albo bata. Więc tak naprawdę nie jest chłopakiem. Gdybyś go kiedyś zobaczył, możesz na niego zapolować.

– Dobra – odparł Hunter z powątpiewaniem.

Sam przygryzł wargę. Wyglądał, jakby chciał dodać coś jeszcze. Wstał i kolana mu zachrzęściły od długiego siedzenia.

– Dzięki za mięso – powiedział.

Hunter patrzył za odchodzącym. Chłopak z węzem zamiast ręki? Nie. Nigdy nie widział czegoś takiego. To by było coś. Coś jeszcze dziwniejszego niż węże, które widział w jaskiniach. Te ze skrzydłami.

Nagle Hunter przypomniał sobie o czymś. Podciągnął rękaw, by obejrzeć miejsce, gdzie opluł go wąż. Bolało. Miał tam niewielką ranę, jakby dziurkę. Pokryła się strupem, jak każde z licznych zadrapań, których doznał, przedzierając się przez krzaki.

Patrząc jednak na strup, z niepokojem stwierdził, że ma dziwny kolor. Nie czerwonawy, jak większość strupów, lecz zielony.

Z powrotem opuścił rękaw. I znowu o tym zapomniał.

Sanjit stał na krawędzi klifu. Lornetka, w którą spoglądał, nie ukazywała zbyt wielu szczegółów. Nietrudno jednak było dostrzec słup dymu. Wyglądał jak ogromny, krzywy wykrzyknik nad Perdido Beach.

Podniósł nieco lornetkę. Wysoko na niebie dym zdawał się rozchodzić płasko, jakby natrafiał na sklepienie ze szkła. Ale to musiało być złudzenie.

Sanjit odwrócił się w prawo i ustawił ostrość na jacht. Jego wzrok przesunął się z dzioba na rufę. Śmigłowiec...

Choo próbował kiedyś puszczać latawiec dla Pixie. Latawiec nawet nie chciał wystartować. Nie udawało się, ale Pixie nie traciła nadziei, a Choo ciągle próbował. Bo, pomyślał sobie Sanjit, był zrzędą, ale dobrym człowiekiem. A Sanjit nie miał pewności, czy to samo może powiedzieć o sobie.

Peace pełniła straż przy Bowiem. Gorączka przestała mu gwałtownie wzrastać. Sanjit wiedział jednak, że lepiej nie liczyć na trwałą poprawę. Już od dawna było raz lepiej, raz gorzej.

Wpatrzył się w śmigłowiec. Nie było szans, by nim poleciał. Musiał przekonać o tym Choo. Bo gdyby spróbował pilotować tę maszynę, zabiłby ich wszystkich.

Ale jeśli nie spróbuje, Bowie może umrzeć.

Był zbyt pogrążony w swoich mrocznych myślach, by zauważyć, że biegnie ku niemu Virtue.

– Hej, zbliża się łódź.

– Co?

Tamten wyciągnął rękę w stronę morza.

– O tam.

– Co? Nic nie widzę.

Virtue przewrócił oczami.

– Naprawdę nie widzisz?

– Ja w dzieciństwie nie uczyłem się wypatrywać lwów na sawannie.

– Lwy. Jasne. Właśnie to zajmowało mi najwięcej czasu.

Sanjitowi wydało się, że niemal widzi punkcik, który mógł być łodzią. Skierował tam lornetkę. Najpierw dostrzegł kilwater, wreszcie, po dłuższej chwili, całą łódź.

– To łódź!

– Nie bez powodu twoje imię oznacza „mądrość” – stwierdził szyderczym tonem Virtue.

– W środku siedzą ludzie – oznajmił Sanjit. Oddał bratu lornetkę.

– Kilka osób – odrzekł Virtue. – Nie widzę ich zbyt dobrze. Nie wiem nawet, czy na pewno płyną w tę stronę. Może kierują się na inną wyspę. A może po prostu łowią ryby.

– Miasto się pali i łódź pełna ludzi płynie w tę stronę? – powiedział Sanjit z powątpiewaniem. – Wątpię, żeby łowili ryby.

– Uciekają z Perdido Beach – zgodził się Virtue. – Uciekają przed czymś.

– Przed ogniem.

Tamten smutno pokręcił głową.

– Nie, bracie. Pomyśl. Wybucho pożar, więc wskakujesz do łodzi i płyniesz na wyspę? Nie. Idziesz tam, gdzie się nie pali. Na przykład do sąsiedniego miasteczka.

Sanjit zamilkł. Zawstydział się. Jeśli się zastanowić, było to oczywiste. Virtue miał rację. Cokolwiek robili w tej łodzi, z pewnością nie uciekali przed pożarem.

– Co zrobimy, jeśli przyplyną tutaj? – spytał Virtue.

Sanjit nie miał gotowej odpowiedzi. Zagrał na zwłokę.

– Ciężko im będzie wylądować. Nawet bez fal nie dadzą rady wysiąść z łodzi i wspiąć się na klif.

– Chyba że im pomożemy – dodał Virtue.

– Na pewno opłyną wyspę i spróbują wejść przy jachcie. Jeśli popłyną w dobrą stronę, to go zobaczą. Istnieje spora szansa, że utoną, jeśli tego spróbują. Zmiażdżeni między jachtem a skalami. Nawet bez fal. Tam jest za ciasno.

– Gdybyśmy im pomogli, mogliby dać radę – powiedział ostrożnie Virtue. – Minie trochę czasu, zanim tu dopłyną. To niezbyt szybka łódź. I nadal są dość daleko. – Znowu popatrzył przez lornetkę. – Sam nie wiem – rzucił.

– Czego nie wiesz?

Tamten wzruszył ramionami.

– Nie można zakładać, że się kogoś nie lubi, jeśli nawet nie da się mu szansy.

Przez kark Sanjita przebiegł dreszcz.

– O czym ty mówisz, Choo?

– Nie wiem. Może są w porządku.

– A wyglądają na takich?

Virtue nie odpowiedział. Sanjit zauważył jego mocno zaciśniętą szczękę. Zmarszczone brwi. Usta tworzące wąską linię.

– Wyglądają w porządku, Choo? – powtórzył.

– To mogą być uchodźcy, wiesz? – powiedział Virtue. – Co zrobisz? Nie przyjmiesz ich?

– Choo. Pytam cię. Czy dla ciebie wyglądają w porządku? Może brzmi to głupio, ale ufam twoim przeczuciom.

– Wcale nie wyglądają jak ludzie, którzy przyszli z lasu do naszej wioski – stwierdził Choo. – Ale budzą takie same uczucia.

– Gdzie mamy wylądować? – spytała Diana.

Wyspy, na które patrzyła, jak jej się zdawało, już od bardzo dawna, nareszcie znalazły się blisko. Łódź wpłynęła pomiędzy nagie klify, które mogły mieć i trzydzieści metrów wysokości.

– Musi tam coś być, jakaś przystań... – powiedział Robal. Diana widziała, że się denerwuje. Gdyby jego opowieść o tej wyspie okazała się fantazją, Caine tak by się z nim rozprawił, że chłopak marzyłby o śmierci.

– Niedługo skończy nam się paliwo – odezwał się Tyrell. – Zostały może trzy litry. Słyszę, jak chlupie, wiecie?

– Pal diabli łódź – stwierdził Caine. – Przeżyjemy tutaj, na wyspie, albo zginiemy. – Rzucił Robalowi gadzie spojrzenie. – Ale niektórzy z nas wcześniej niż inni.

– W którą stronę płyniemy? – zastanawiała się na głos Penny. – W prawo czy w lewo?

– Ma ktoś monetę, żeby rzucić? – zapytała Diana.

Caine wstał. Osłonił oczy dłonią i spojrzał w lewo, a potem w prawo.

– Z prawej klify wydają się niższe.

– Nie możesz użyć swojej magicznej mocy i unieść nas na szczyt? – spytała Penny, po czym zachichotała nerwowo. Z poplamionych czerwienią warg pociekła jej strużka śliny.

– Właśnie się nad tym zastanawiałem – odparł Caine z namysłem. – To bardzo wysoko. Nie wiem. – Opuścił wzrok na dzieciaki w łodzi.

Diana wiedziała, co się szykuje. Bez emocji zastanawiała się, komu przypadnie ten zaszczyt.

– Idziemy, Farba – powiedział Caine. – Jesteś w sumie bezużyteczny, nadajesz się.

– Co? – Niepokój Farby miał w sobie coś komicznego. W innej sytuacji Dianie byłoby go żal. Ale w tej chwili była to sprawa życia i śmierci.

I Caine miał rację: z Farby nie było wielkiego pożytku. Nie miał mocy, nie sprawdzał się podczas walki. Był zaćpanym głupkiem, który już dawno usmażył sobie te resztki mózgu, które mu zostały.

Caine uniósł ręce i Farba poderwał się w górę ze swojego miejsca. Wyglądało to, jakby Caine podnosił go za biodra, bo chłopak wisiał w powietrzu, wierzgając nogami i machając rękami. Jego długie, zmierzwione kasztanowe włosy trzepotały, jakby wiał wiatr.

– Nie, nie, nie – jęczał.

Poleciał ponad morzem.

– Gdybyś go trochę opuścił, wyglądałby, jakby chodził po wodzie – powiedziała Penny.

Farba znalazł się bliżej klifu, ledwie parę metrów nad wodą, a jakieś sześć, osiem od łodzi.

– Wiesz, Penny – odezwała się Diana – to nie jest śmieszne. Jeśli się uda, nas wszystkich czeka taki sam lot.

Tamtej jakoś nie przyszło to do głowy. Diana poczuła nikłą satysfakcję, widząc, jak sadystyczna przyjemność na twarzy dziewczyny obraca się w niepokój.

– Dobra, teraz wysokość – powiedział Caine. Farba zaczął się znowu wnosić przy ścianie klifu. Była to niemal naga, zbita gleba, upstrzona wystającymi kawałkami skał i kilkoma rozrzuconymi krzakami, które wybrały sobie bardzo niebezpieczne miejsce do życia.

Farba wznosił się. Diana wstrzymała oddech.

– Nie, nie, nie! – dobiegał z góry głos Farby. Nikt jednak nie zwracał nań uwagi. Wreszcie chłopak przestał wierzgać. Zamiast tego próbował się odwrócić przodem do klifu, wyciągając ręce i szukając czegokolwiek, czego mógłby się złapać.

W połowie klifu, na wysokości mniej więcej piątego piętra, tempo wznoszenia wyraźnie spadło. Caine głęboko wciągnął powietrze. Nie wyglądało na to, by wysiłał się fizycznie. Jego mięśnie nie były naprężone. Moc, którą dysponował, nie miała z nimi nic wspólnego. Ale miał ponurą minę i Diana wiedziała, że w jakiś niezgłębiony sposób wyteża

całą swoją siłę.

Farba unosił się, ale wolniej. A potem obsunął się. Spadł. Krzyknął. Zatrzymał się ledwie trzy metry nad wodą.

– Płynmy po niego – powiedział Caine.

Tyrell opuścił zaburtowy silnik do wody i łódź ruszyła w kierunku rozwrzeszczanego, jęczącego chłopaka.

Caine opuścił go do łodzi. Farba wylądował ciężko, spadając na pośladki, po czym zaczął szlochać.

– No, nie udało się – stwierdziła Diana.

Caine pokręcił głową.

– Nie. Pewnie za daleko. Mógłbym rzucić go na taką odległość. Rzuciłem już samochody. Ale lewitacja nie wchodzi w grę.

Nikt nie zaproponował, by rzucić Farbę. Ostrzeżenie Diany, że jeśli Caine'owi się powiedzie, to samo spotka także wszystkich pozostałych, gwarantowało milczenie. Diana w myślach odmierzyła dystans, który pokonał Farba. W sumie może dwadzieścia, dwadzieścia pięć metrów. Aha. Teraz już wiedziała, jak daleko sięga moc Caine'a. Być może nadejdzie dzień, w którym ta wiedza okaże się przydatna.

Rozdział 30

10 godzin, 28 minut

Sam nie miał pojęcia, co robi ani nawet dlaczego.

W ślepej panice uciekł z Perdido Beach. Wstyd związany z tym faktem wypełniał mu umysł, wypychając stamtąd nawet głód.

Zobaczył Drake'a i wpadł w panikę. Oszalał.

Po wyżebraniu posiłku od Huntera skierował się do elektrowni. Właśnie tam wszystko się wydarzyło.

Został tak skatowany, że Brianna zaaplikowała mu znaną w zapasach leków w elektrowni morfinę, lecz nawet po tym, jak wbiła mu igłę i ta substancja wypełniła jego ciało, ból był nie do zniesienia.

Wytrzymał jednak. A potem przeżył kolejne koszmarne godziny, halucynacje po morfinie, otępienie, brak koordynacji, potrzebę krzyku.

Później znowu walczył z Drakiem, ale to Caine ostatecznie zabił tego psychopatę. Wrzucił go do kopalnianej sztolni, która zapadła się Drake'owi na głowę. Żadna żywa istota nie mogła tego przeżyć.

A jednak Drake żył.

Od tamtego dnia Sam radził sobie z codziennymi trudami dzięki przekonaniu, że Drake nie żyje, pogrzebany pod całymi tonami skały, martwy, unicestwiony. Miał przed nim już nigdy nie stanąć. Ten fakt pomagał mu znosić codzienność.

Ale jeśli Drake'a nie dało się zabić... Jeśli był nieśmiertelny... Czy zawsze będzie stanowił element życia w ETAP-ie?

Sam siedział na skraju klifu, niecały kilometr od elektrowni. Po drodze znalazł rower. Jechał na nim, dopóki nie pękła opona. Potem szedł krętą drogą nad brzegiem, zamierzając wrócić do elektrowni, do miejsca, w którym wszystko się stało. Do miejsca, w którym Drake go złamał.

Na tym to polegało, pomyślał, spoglądając na puste, rozmigotane morze: Drake złamał coś w nim, w jego wnętrzu. Sam próbował poskładać to z powrotem. Wrócić i znowu być Samem. Takim Samem, jakiego wszyscy oczekiwali.

Astrid stanowiła część tego wszystkiego. Miłość i tak dalej. To było takie banalne, ale uczucie chroniło go od rozpacz. Miłość i zimna pociecha, którą znajdował w fakcie, że Drake zginął, podczas gdy on przeżył.

Miłość i zemsta. Ciekawe połączenie.

I odpowiedzialność, uświadomił sobie nagle. To mu w jakiś dziwny sposób pomagało, ta świadomość, że dzieciaki na niego liczą, że jest potrzebny.

Teraz Astrid mówiła mu, że nie jest potrzebny. I przy tym nie taki bardzo kochany. A pociecha, płynąca z myśli o pogruchotanym ciele Drake'a pogrzebanym pod ziemią również zniknęła.

Sam zdjął koszulę. Rana w ramieniu nie wyglądała na poważną. Gdy dotknął jej palcem, poczuł pod skórą coś twardego i okrągłego.

Krzywiąc się z bólu, ścisnął ranę palcami. Ścisnął jeszcze trochę i tępa ołowiana kula wysunęła się na zewnątrz wraz z odrobiną krwi.

Popatrzył na nią. Pocisk ze strzelby. Śrut mniej więcej kalibru BB. Odrzucił go w bok. Przydałby się plaster, ale musiał się zadowolić przemyciem rany.

Zaczął schodzić w dół klifu, bo chciał mieć jakieś zajęcie i liczył, że znajdzie coś do jedzenia w kałużach zostawionych w skałach przez przypyły.

Była to ciężka droga. Nie miał pewności, czy zdoła wspiąć się z powrotem, gdy już się znajdzie na dole. Ale ruch fizyczny wydawał mu się koniecznością.

Mógłbym wskoczyć do wody i pływać, powiedział sobie. Pływać, aż zabrakłoby mi sił.

Nie bał się oceanu. Surfer nie mógł się go bać. Mógł w każdej chwili zacząć pływać. Miał stąd tylko piętnaście kilometrów do muru ETAP-u. Z tego miejsca go nie widział, zresztą zwykle widać go było dopiero z bardzo bliska. Miał szarą, satynową, nieco lustrzaną powierzchnię, która oszukiwała wzrok. O ile się orientował, była to kula, kopuła, choć wyglądała jak niebo, a nocą było nawet widać gwiazdy.

Zastanawiał się, czy zdoła dotrzeć do muru. Pewnie nie. Nie był w tak dobrej formie jak dawniej. Prawdopodobnie zmęczy się po półtora kilometra. Jeśli będzie płynął ostro, sił starczy mu właśnie na tyle, może na dwa kilometry. A potem, jeśli na to pozwoli, ocean wciągnie go, pochłonie. Nie byłby pierwszą ofiarą Pacyfiku. Ludzkie kości poniewierały się po dnie stąd aż do Chin.

Dotarł do skał i pochylił się niezdarnie, by opłukać ranę postrzałową w słonej wodzie.

Potem zaczął grzebać w kałużach. Pierzchające małe rybki. Trochę małży, zbyt małych, by warto je było otwierać. Ale pół godziny później zebrał kilka garści muszelek, trzy niewielkie kraby i niemal dwudziestocentymetrową strzykwę. Przeniósł je wszystkie do małej kałuży. Potem wymierzył w nią dłoń i wystrzelił tyle światła, by słona woda zawrzała.

Usiadł na śliskich kamieniach i zjadał potrawkę z owoców morza, ostrożnie

wyciągając z wrzątku smakowite kaski. Był to pyszny posiłek. Nieco słony – co mogło sprawić mu problem później, o ile nie znajdzie słodkiej wody, ale pyszny.

Jedzenie poprawiło mu nastrój, podobnie jak siedzenie nad wodą i samotność. Nikt niczego od niego nie żądał. Nie mogło pojawić się żadne straszliwe zagrożenie. Nie dręczyły go żadne drobiazgi.

Nagle, ku własnemu zaskoczeniu, parsknął głośnym śmiechem.

Ile czasu minęło, odkąd siedział tak zupełnie sam?

– Jestem na wakacjach – powiedział głośno. – Tak, wezmę trochę wolnego. Nie będę odbierał telefonu ani nawet sprawdzał maili w BlackBerry. Nie będę też wypalał w nikiem dziur. Ani nie dam się pobić.

Występ skalny zasłaniał widok na Perdido Beach, co sprawiało mu satysfakcję. Widział przed sobą najbliższe wysepki, a dalej na północy, dostrzegał cypel przy elektrowni.

– Ładne miejsce – stwierdził, rozglądając się dookoła ze swojego miejsca na skale. – Gdybym tylko miał lodówkę z napojami, niczego bym więcej nie potrzebował.

Jego umysł powędrował do Perdido Beach. Jak sobie radzili po pożarze? Co robili z Zilem? Co teraz porabiała Astrid? Pewnie rozstawiała wszystkich po kątach ze swoją zwykłą pewnością siebie.

Wyobrażanie sobie Astrid w niczym nie pomagało. W głowie miał dwa obrazy dziewczyny, zmagające się ze sobą. Astrid w koszuli nocnej, skromna i wrażliwa, dopóki akurat nie stanęła na tle źródła światła i wtedy...

Otrząsnął się z tej wizji. Nie była pomocna.

Wyobraził sobie inną Astrid, z wyniosłym, zimnym, pogardliwym wyrazem twarzy, który przybierała podczas zebrań rady.

Kochał tę pierwszą Astrid. Tę, która pojawiała się w jego marzeniach na jawie, a czasem także w snach. Tej drugiej nie mógł znieść. Obie zaś budziły w nim frustrację, choć w zupełnie różny sposób.

W ETAP-ie nie brakowało pięknych dziewczyn, gotowych rzucić się na Sama. Może nie odnosiłyby się do niego z taką moralną i intelektualną wyższością.

Zdawało mu się, że Astrid zachowuje się tak w coraz większym stopniu. Coraz mniej było w niej z Astrid z jego marzeń, a coraz więcej z dziewczyny, która chciała wszystko kontrolować.

Cóż, przewodniczyła radzie. A Sam zgodził się, że nie może wszystkim rządzić bez niczyjej pomocy. Przede wszystkim nie chciał niczym rządzić. Wręcz wykręcał się od tego. To Astrid wrobiła go w tę odpowiedzialność. A potem mu ją odebrała.

Nie był w porządku. Wiedział o tym. Użalał się nad sobą. O tym także wiedział.

Ale jeśli chodzi o Astrid, najważniejsze było to, że jej odpowiedź na jego pomysły zawsze brzmiała „nie”. Na wszystko „nie”. Kiedy jednak coś szło nie tak, nagle odpowiedzialność znowu spadała na niego.

Ale koniec z tym.

Miał dosyć tego, że z nim pogrywano. Jeśli Astrid i Albert chcieli trzymać go w jakimś pudełku, żeby go wyjmować i używać, kiedy im się spodoba, nawet nie pozwalając mu przy tym wykonywać jego pracy – mogli o tym zapomnieć.

A jeśli Astrid chciała myśleć o sobie, swoim braciszku i Samie jak o jakiejś rodzinie... też mogła o tym zapomnieć.

Nie uciekłeś z tych powodów, odezwał się okrutny głos w jego głowie. Nie uciekłeś dlatego, że Astrid nie chciała z tobą spać. Ani dlatego, że jest apodyktyczna. Uciekłeś przed Drakiem.

– Wszystko jedno – powiedział na głos.

A potem przyszła mu do głowy myśl, która nim wstrząsnęła. Został bohaterem z powodu Astrid. A gdy zdawało się, że ją stracił, przestał być takim odważniakiem.

Czy to możliwe? Czy to możliwe, że właśnie arogancka, frustrująca manipulantka Astrid stanowiła przyczynę, dla której mógł odgrywać Sama Bohatera?

Już wcześniej wykazał się pewną odwagą, dzięki czemu nazwano go Samem Autobusem. Ale natychmiast uciekł od tego wizerunku, robił, co w jego mocy, by znowu cieszyć się anonimowością. Miał alergię na odpowiedzialność. Gdy zaczął się ETAP, był po prostu jednym z dzieciaków. I nawet później starał się wymigać od roli, którą inni chcieli mu narzucić.

Ale była jeszcze Astrid. Zrobił to dla niej. Dla niej stał się bohaterem.

– No tak – powiedział do skał i fal. – W takim razie nie przeszkadza mi, że jestem starym, zwykłym Samem.

Znalazł pociechę w tej myśli. Na chwilę. Dopóki obraz Biczorękiego znowu nie wypłynął na powierzchnię.

– To tylko wymówka – przyznał się Sam przed oceanem. – Cokolwiek dzieje się z Astrid, i tak musisz to zrobić.

Bez względu na wszystko, musiał się zmierzyć z Drakiem.

– Cieszę się, że też to widziałeś, Choo – szepnęła Sanjit.

– Bo inaczej byłbym pewien, że zwariowałem.

– To był ten dzieciak, ten chłopak. Zrobił to. Nie wiem jak – powiedział Virtue.

Obaj stali na skałach na szczycie klifu. Właściwie nie istniał skrawek wyspy, którego by obaj dokładnie nie zbadali, zarówno przed wielkim zniknięciem, jak i po nim. Znaczna część wyspy została ogołocona z drzew jeszcze w czasach, gdy ktoś hodował tu owce i kozy. Ale na skrajach wciąż rósł dziewiczy las, składający się z niskich dębów, mahoniowców, cyprysów i dziesiątków ukwieconych krzewów. W tych lasach wciąż polowały lisy.

W innych miejscach, wysoko nad poprzewracanymi głazami, kołysały się palmy. Na wyspie San Francisco De Sales nie było jednak plaż ani wygodnych zatoczek. W czasach hodowli owiec pasterze opuszczali zwierzęta w wiklinowych koszach. Sanjit widział szczątki takiego urządzenia, zastanawiał się nawet, czy nie pohnuć się nad wodą, po prostu dla zabawy, ale stwierdził, że to wariacki pomysł, zauważywszy, że belki podporowe są przeżarte przez mrówki i termyty.

Wyspa była niemal nie do zdobycia i właśnie dlatego jego przybrani rodzice ją kupili. Miejsce, do którego nie mogli dotrzeć paparazzi. W głębi wyspy znajdował się krótki pas startowy, wystarczającej wielkości, by przyjmować prywatne odrzutowce. Na terenie rezydencji było zaś lądowisko dla śmigłowców.

– Płyną na wschód – zauważył Sanjit.

– Jak on to zrobił? – spytał Virtue.

Sanjit zauważył, że jego przyjaciel niezbyt prędko przystosowuje się do nowych, niespodziewanych okoliczności. On sam dorastał na ulicach wśród hochsztaplerów, kieszonkowców, magików i innych specjalistów od iluzji. Nie uważał tego, co właśnie widział, za iluzję. Wierzył, że naprawdę się wydarzyło. Był jednak gotów przyjąć to do wiadomości i dłużej tego nie roztrząsać.

– To niemożliwe – powiedział Virtue.

Łódź najwyraźniej znowu płynęła, kierując się na wschód. To dobrze. Trasa wokół wyspy była długa. Upłynie wiele godzin, zanim przybysze dotrą do unieruchomionego jachtu.

– Niemożliwe – powtórzył Virtue, zaczynając już działać Sanjitowi na nerwy.

– Choo. Wszyscy dorośli, co do jednego, znikają w mgnieniu oka, nie ma telewizji ani radia, samolotów na niebie, przepływających łodzi. Nie przyszło ci do głowy, że tutaj nie dzieje się tylko to, co możliwe? Znowu nas porwano i adoptowano. Tyle że tym razem nie do Ameryki. Nie wiem, gdzie jesteśmy ani co się dzieje. Ale już przez to, bracie, przeszliśmy, wiesz? Nowy świat, nowe zasady.

Virtue mrugnął powiekami. Raz. Drugi. Skinął głową.

- W pewnym sensie. No to co robimy?
- Wszystko, co trzeba, żeby przeżyć – odparł Sanjit.

A potem wrócił stary, znajomy Virtue.

- Dobry tekst, Wisdom. Jak z filmu. Niestety, w sumie nic nie znaczy.

– Tak. To prawda – przyznał Sanjit z uśmiechem. Klepnął tamtego w ramię. – Wymyślenie czegoś lepszego to twoje zadanie.

– Nie możecie się wszystkim zająć przez parę minut? – spytała Mary. John zerknął na trójkę pomocników. Oprócz dwóch dyżurnych był jeden bezdomny uciekinier, który trafił do przedszkola w poszukiwaniu schronienia i któremu przydzielono pracę.

W nocy i rano liczba mieszkańców przedszkola wzrosła ponad dwukrotnie. Teraz zaczynała trochę maleć, bo dzieciaki oddalały się, pojedynczo i w parach, szukając rodzeństwa albo przyjaciół. A także domów, które, z tego, co Mary słyszała, mogły już nie istnieć.

Wiedziała, że raczej nie powinna nikogo wypuszczać. Przynajmniej do czasu, aż zyskają pewność, że jest bezpiecznie.

– Ale kiedy to będzie? – mruknęła. Kilka razy zamrugła, próbując skupić wzrok. Wszystko wyglądało jakoś dziwnie. To było coś więcej niż senność. Mgielka, przez którą kontury świeciły neonowym blaskiem, gdy zbyt szybko obracała głowę.

Znalazła swój flakonik z pigułkami. Gdy nim potrząsnęła, nie rozległ się żaden dźwięk.

– Nie, niemożliwe. – Otworzyła i zajrzała do środka. Odwróciła do góry dnem. Ciągłe był pusty.

Kiedy się skończyły? Nie pamiętała. Potwór depresji musiał po nią przyjść, a ona widocznie zużyła na walkę z nim resztkę medykamentów.

Tak po prostu musiało być.

- Tak – powiedziała na głos niewyraźnym głosem.

– Co? – spytał John, marszcząc brwi, jakby tylko tyle mógł zrobić, by się skoncentrować.

– Nic. Gadam do siebie. Muszę znaleźć Sama, Astrid albo kogoś, kto ma władzę. Skończyła nam się woda. Potrzebujemy dwa razy więcej żywności niż zwykle. A ja potrzebuję, żeby ktoś... no wiesz... – Ciąg jej myśli urwał się, ale John najwyraźniej nie zauważył. – Weź coś z zapasów na czarną godzinę i nakarm ich, dopóki nie wrócę –

powiedziała.

Oddaliła się, zanim zdążył spytać, w jaki sposób przyrządzić cztery puszki mieszanki warzywnej i paczkę pikantnego suszonego groszku, żeby zaspokoić apetyty trzydziestki czy czterdziestki głodnych dzieci.

Przy placu sytuacja wyglądała podobnie, jak zwykle. Zapach był inny – dym i gryzący odór stopionego plastiku. Ale jedynym widocznym na pierwszy rzut oka śladem katastrofy była chmura brązowego pyłu, unosząca się nad miastem. A także sterta gruzu, piętrząca się za McDonald'sem.

Mary zatrzymała się przy ratuszu, myśląc, że może zastanie radę przy pracy, podejmującą decyzje, organizującą, opracowującą plany. John poszedł z nimi wcześniej na obchód, ale skoro on wrócił, to oni też powinni już być.

Musiała porozmawiać z Dahrą. Zobaczyć, jakie leki są dostępne. Zdobyć coś, zanim depresja znowu ją ogarnie. Zanim...

W gabinetach nikogo nie było, ale słyszała jęki bólu, dobiegające ze szpitala w piwnicy. Nie chciała myśleć, co się tam dzieje. Nie, nie teraz, Dahra by ją stamtąd wyrzuciła.

Mimo że tak naprawdę przyniesienie prozaku czy czegokolwiek innego zajęłoby tylko chwilę.

Mary omal nie wpadła na Lanę, która siedziała na schodach przed ratuszem i paliła papierosa. Na dłoniach miała czerwone plamy. W końcu szkoda było wody, by marnować ją na zmywanie krwi. Podniosła wzrok na Mateczkę.

– No, jak minęła noc?

– Nie najlepiej.

Lana pokiwała głową.

– Tak to jest z oparzeniami. Długo się goją. To była fatalna noc.

– Gdzie Patrick? – spytała Mary.

– W środku. Pomaga dzieciakom zachować spokój – odparła Lana. – Powinnaś wziąć psa do przedszkola. Dzięki niemu dzieciaki nie zwracają uwagi, że mają spalone palce.

Miała coś sprawdzić. Nie, nie leki. Coś innego.

– Głupio mi pytać, wiem, że miałaś ciężką noc – powiedziała Mary. – Ale jeden z moich dzieciaków, Justin, przyszedł z płaczem, bo bał się o swojego przyjaciela Rogera.

Lana niemal się uśmiechnęła.

– Artful Roger? Będzie żył. Chyba. Ale miałam czas tylko na to, żeby zapobiec jego natychmiastowej śmierci. Muszę dłużej nad nim popracować, zanim znowu będzie rysował.

– Ktoś wie, co się właściwie stało? – Mary czuła, że ma lekko spuchnięte wargi i

język.

Lana wzruszyła ramionami. Zapaliła drugiego papierosa od niedopałka. Była to w pewnym sensie oznaka bogactwa.

W ETAP-ie brakowało papierosów. Oczywiście Uzdrowicielka mogła mieć, co tylko chciała. Kto by jej odmówił?

– No, to zależy, komu wierzysz – powiedziała Lana.

– Niektóre dzieciaki mówią, że to Zil i jego krety. Inne twierdzą, że to Caine.

– Caine? To chyba idiotyzm, nie?

– Nie taki wielki. Słyszałam jeszcze większe idiotyzmy.

– Lana roześmiała się, lecz bez wesołości.

Mary czekała, aż tamta coś doda. Nie chciała pytać, ale czuła, że musi.

– Większe?

– Pamiętasz Brittney? Dziewczynę, która zginęła podczas wielkiej bitwy w elektrowni? Pochowaną tam? – Lana wskazała kierunek papierosem. – Niektórzy mówią, że widzieli, jak sobie tu chodzi.

Mary zaczęła mówić, ale w zdrętwiałych ustach zrobiło jej się sucho.

– Ale to nie wszystko – ciągnęła Lana.

Mary poczuła, jak przeniknął ją chłód.

– Brittney? – spytała.

– Chyba to, co martwe, nie zawsze takie pozostaje – powiedziała Lana.

– Lana... co wiesz? – indagowała Mary.

– Ja? Co ja wiem? Nie ja mam brata w radzie.

– John? – Była zaskoczona. – O czym ty mówisz?

Z piwnicy dobiegł donośny jęk bólu. Lana nawet nie drgnęła. Zauważyła jednak pełną niepokoju minę Mary.

– Przeżyje, nie martw się.

– Słuchaj, chcesz mi coś powiedzieć?

– Ten dzieciak twierdzi, że Astrid kazała mu wszystkim powtarzać, że Orsay chrzani głupoty. A potem, kilka godzin później, ten sam dzieciak mówi, że Howard kazał mu wszystkim powtarzać, że każdy, kto widział coś dziwnego, chrzani głupoty. Więc dzieciak pyta Howarda: jak to „dziwnego”? Przecież w ETAP-ie wszystko jest dziwne.

Mary zastanawiała się, czy powinna się roześmiać. Nie mogła jednak. Serce jej waliło, a w głowie rozlegał się łomot.

– A wiesz, co parę dni temu zrobił Sam? Wpadł do mnie na górę, do Clifftop, żeby

spytać, czy nie odebrałam przypadkiem telefonu od gaiaphage.

Mary stała zupełnie nieruchomo. Desperacko pragnęła, by Lana wyjaśniła, co miała na myśli w kwestii Orsay. Skup się, powiedziała sobie.

Lana mówiła jeszcze przez chwilę.

– Widzisz, Sam tak naprawdę chciał wiedzieć, czy nie żyje. No, gaiaphage. Czy naprawdę odszedł. I wiesz co?

– Nie wiem.

– Nie odszedł. Wiesz? Nie jest martwy. – Lana głęboko wciągnęła powietrze i patrzyła na zaschniętą krew na swoich dłoniach, jakby pierwszy raz ją zauważyła. Zdrapała trochę paznokciem.

– Nie rozumiem...

– Ja też nie – przyznała Lana. – To było tam ze mną. W moim umyśle. Czułam... jak mnie... wykorzystuje. – Wydawała się zmieszana. Zawstydzona. A potem w jej oczach zalśnił gniew. – Zapytaj swojego brata, jest tam z nimi, z Samem, Astrid i Albertem. W tym samym czasie Sam pyta mnie, czy gaiaphage jest nadal tak uroczy jak dawniej, a dzieciaki z rady proszą inne dzieciaki, żeby biegały, oczerniały Orsay i pilnowały, by nikt nie pomyślał, że coś nie gra.

– John nigdy by mnie nie okłamał – powiedziała Mary, ale nawet ona słyszała we własnym głosie niedowierzanie.

– Mhm. Coś jest nie tak. Coś jest bardzo, bardzo nie tak – stwierdziła Lana. – A teraz? Pół miasta spalone, a Caine kradnie łódź i wypływa w morze. Co z tego wynika?

Mary westchnęła.

– Jestem zbyt zmęczona na zgadywanki.

Lana wstała. Pstryknięciem odrzuciła papierosa.

– Pamiętaj: ETAP niektórym odpowiada. Zastanawiasz się czasem, co by się stało, gdyby mury jutro opadły? Dla ciebie byłaby to dobra wieść. Dla większości. Ale czy dobra dla Sama, Astrid i Alberta? Tutaj są szychami. A w normalnym świecie byłiby tylko zwykłymi dziećmi.

Lana czekała, uważnie obserwując Mary. Jakby czekała, aż ta coś powie, jakoś zareaguje zaprzeczy.

Ale Mary nie była w stanie wymyślić nic więcej niż:

– John należy do rady.

– Właśnie. Więc może powinnaś go spytać, co się tak naprawdę dzieje. Bo ja nie wiem.

Mary nie była w stanie znaleźć na to odpowiedzi.

Lana wyprostowała ramiona i skierowała się z powrotem do piwnicy. W połowie drogi odwróciła się.

– Byłabym zapomniała. Ten dzieciak powiedział, że Brittney to nie jedyna uznana za zmarłą osoba, która chodzi sobie w tym pożarze.

Mary czekała. Próbowwała nie okazywać żadnych uczuć, ale Lana widziała to w jej oczach.

– Aha – odezwała się Lana. – Czyli ty też go widziałaś.

Skinęła głową i zeszła po schodach.

Ciemność. Mary tylko słyszała o niej od innych. Jak bajki o żelaznym wilku. A Lana mówiła, że Ciemność ją wykorzystała.

Czy Lana nie widziała? A może po prostu nie chciała widzieć? Jeśli to prawda, że Brittney gdzieś żyła, że Drake także żył, to Mary domyślała się, w jaki dokładnie sposób gaiaphage wykorzystał moc Lany.

Rozdział 31

9 godzin, 17 minut

Astrid czekała całą noc, aż Sam wróci. I cały ranek. Nieustannie wdychała smród dymu.

Z gabinetu w ratuszu widziała, jak ogień rozprzestrzenił się wzdłuż Sherman, zachodnią stroną Sheridan, na jeden kwadrat ulic przy Grant Street i dwa przy Pacific Boulevard.

Wydawało się, że musi dotrzeć do placu. W końcu jednak marsz płomieni zatrzymał się.

Teraz ogień już niemal zgasł, ale słup dymu wciąż się unosił.

Mały Pete spał w kącie, zwinięty w kłębek i przykryty sfatygowanym kocem. Kieszonkowa konsola do gier leżała na podłodze obok niego.

Astrid poczuła wzbierającą falę obrzydzenia. Była wściekła na Sama. Wściekła na małego Pete'a. Wściekła na cały świat dookoła. Wszyscy i wszystko wywoływało w niej mdłości.

A przede wszystkim, musiała to przyznać, te uczucia wywoływała w niej jej własna osoba. Miała tak dosyć roli Genialnej Astrid.

– Też mi geniusz – mruknęła.

Rada miejska, a na jej czele taka blondynka, jak ona się nazywała? A, tak: Astrid. Genialna Astrid. Przewodnicząca rady, która pozwoliła, by pół miasta doszczętnie spłonęło.

Poniżej, w ratuszowej piwnicy, Dahra Baidoo wydawała resztki ibuprofenu i przeterminowany tylenol poparzonemu dzieciakom, które czekały, aż Lana wyleczy je swoim dotykiem.

Astrid słyszała okrzyki bólu. Od prowizorycznego szpitala oddzielało ją kilka pięter. Zbyt mało.

Do środka wtoczył się Edilio. Trudno go było poznać. Czarny od sadzy, brudny, zakurzony, cały w otarciach i zadrapaniach, w poszarpanym ubraniu.

– Chyba się udało – oznajmił i po prostu położył się na podłodze.

Astrid uklękła przy jego głowie.

– Opanowaliście to?

Ale Edilio nawet nie odpowiedział. Był nieprzytomny z wyczerpania.

Potem pojawił się Howard, w trochę tylko lepszym stanie. W którymś momencie tej

nocy i poranka stracił swój drwiący uśmiezek. Zerknął na Edilia, skinął głową i ciężko opadł na krzesło.

– Nie wiem, ile płacisz temu chłopakowi, ale za mało – powiedział Howard do Astrid, podbródkiem wskazując tamtego.

– Nie robi tego dla zapłaty – odparła Astrid.

– Tak, w każdym razie to dzięki niemu całe miasto się nie spaliło. On, Dekka, Orc i Jack. I Ellen, to był jej pomysł.

Astrid nie chciała pytać, ale nie mogła się powstrzymać.

– Sam?

Pokręcił głową.

– Nie widziałem go.

Astrid znalazła w szafie marynarkę w jaskrawą kratę, która została tam pewnie po poprzednim, dorosłym burmistrzu. Owinęła nią Edilia. Potem poszła do sali konferencyjnej. Po chwili wróciła z poduszką zdjętą z krzesła. Wsunęła ją chłopakowi pod głowę.

– To był Zil? – zwróciła się do Howarda.

Ten zarechotał.

– Oczywiście, że Zil.

Astrid zacisnęła dłonie w pięści. Sam żądał, by dano mu wolną rękę. Chciał iść do Zila i rozprawić się z Ekipą Ludzi. Powstrzymała go wtedy.

A teraz miasto spłonęło. Piwnica pełna była rannych dzieciaków. Na dodatek ci, którzy byli tylko ranni, mogli mówić o szczęściu.

Astrid splotła ręce w niespokojnym modlitewnym geście. Poczowała przemożne pragnienie, by paść na kolana i poprosić Boga o jakieś wyjaśnienie. Dlaczego? Dlaczego?!

Skierowała spojrzenie na małego Pete'a, który siedział spokojnie i bawił się swoją niedziałającą grą.

– Ale to nie wszystko – powiedział Howard. – Masz trochę wody?

– Przyniosę ci – odezwał się jakiś głos. Albert niezauważenie wszedł do pomieszczenia. Znalazł dzban z wodą i nalał szklankę dla Howarda, który opróżnił ją jednym haustem.

– Dzięki. Po tej robocie chce się pić – stwierdził Howard.

Albert zajął miejsce, które opuściła Astrid.

– Co jeszcze?

Howard westchnął.

– Dzieciaki przychodziły tu całą noc, prawda? I opowiadały zupełnie zwariowane

historie. Stary, nie wiem, co jest prawdą, a co nie.

– Opowiedz którąś z nich – poprosił cicho Albert.

Edilio cicho chrapał. Ten dźwięk miał w sobie coś takiego, że Astrid chciała zaszlochać.

– No więc niektóre dzieciaki mówią, że widziały Szatana. Poważnie, diabła z rogami i w ogóle. A inne bardziej trzymają się rzeczywistości, mówią, że to Caine, ale strasznie chudy i dziwnie się zachowuje.

– Caine? – Oczy Astrid zwęziły się. – Tutaj? W Perdido Beach? To bzdura.

Albert przełknął ślinę i zaczął się wiercić na krześle.

– Nie. Wcale nie. Quinn też go widział. I to z bliska. Caine ukradł dwie awaryjne łodzie wczoraj w nocy albo dziś nad ranem.

– Co? – Od tego okrzyku aż Edilio się poruszył.

– Tak. To bez wątplenia był Caine – powiedział Albert, siląc się na spokojny ton. – Przyszedł, kiedy pożar najbardziej szalał i panowało wielkie zamieszanie. Quinn i jego ludzie właśnie wracali, bo chcieli pomóc, i wtedy zjawił się Caine z kilkunastoma osobami.

Gdy Albert przedstawiał szczegóły, Astrid czuła narastające w niej zimno. To nie mógł być zbieg okoliczności. Wszystko zaplanowano. Z jakiegoś powodu wmawiała sobie dotąd, że Zilowi odbiło, że się popisywał, może stracił panowanie nad sytuacją. Ale sprawy miały się inaczej, skoro był w to zamieszany Caine. Caine'owi nie odbiło. Caine wszystko planował.

– Zil i Caine? – spytała Astrid, zupełnie zbita z tropu.

– Cała idea Zila to nienawiść do odmieńców – powiedział Howard. – Ale Caine? Spójrzmy prawdzie w oczy: jest jakby Księciem Walii odmieńców.

Albert uniósł brew.

– No wiesz, skoro Sammy to król – wyjaśnił Howard. – Dobra, dowcip jest kiepski, jeśli trzeba go tłumaczyć.

– Caine i Zil – powtórzyła Astrid. Jakoś lepiej się czuła, wypowiadając imiona w tej kolejności. Zil był zbiem. Złym, pokręconym gnojkiem, który wykorzystywał różnice między odmieńcami a normalnymi. Ale mądry to on nie był. Co najwyżej przebiegły.

Caine jednak był mądry. A zdaniem Astrid było niemożliwe, aby głupszy z tej dwójki panował nad sytuacją. Nie, za tym wszystkim musiał stać Caine.

– No i jeszcze... – zaczął Albert.

W tej samej chwili odezwał się Howard.

– A do tego...

Edilio przebudził się gwałtownie. Wydawał się zaskoczony i zmieszany, że leży na podłodze. Rozejrzał się, popatrzył na pozostałych i potarł twarz dłońmi.

– Trochę cię ominęło – oznajmił Howard. – To była robota i Caine'a, i Zila.

Edilio zamrugał jak sowa. Zaczął wstawać, potem westchnął, zrezygnował i oparł się plecami o biurko.

– A na dodatek – powiedział Albert, zanim Howard zdążył się odezwać – musiał nastąpić jakiś spór. Bo chłopaki Zila zaczęły strzelać do Caine'a, kiedy odpływał. Trafili jedną z łodzi. Quinn wyciągnął z wody paru ludzi Caine'a.

– Co z nimi zrobiliście?

Albert wzruszył ramionami.

– Zostawiliśmy. Donikąd się nie wybierali. Byli wygłodniali. I Quinn mówi, że może trochę im odbiło.

Albert pieczołowicie wydłubywał sobie coś ze spodni.

– Caine wykończył Hanka. To Hank strzelał.

– Jezu – mruknęła Astrid. Szybko się przeżegnała, w nadziei, że jeśli to zrobi, jej okrzyk z bluźnierstwa zmieni się w błogosławieństwo. – Ile dzieciaków zginęło zeszłej nocy?

Odpowiedział jej Edilio.

– Kto wie. Dwoje, o których wiemy, w samym pożarze. Pewnie były też inne przypadki. Chyba nigdy nie dowiemy się na pewno. – Wyrwał mu się głośny szloch. Otarł oczy. – Przepraszam. Jestem po prostu zmęczony.

Później łkał po cichu.

– Jest chyba coś jeszcze – powiedział Howard. – Kilkoro dzieciaków mówi, że widziały Drake'a. A wiele widziało Brittney.

Zapadła cisza. Astrid wzięła krzesło i usiadła na nim. Jeśli Drake żył... Jeśli Caine współpracował z Zilem...

– Gdzie Sam? – spytał nagle Edilio, jakby dopiero zauważył brak kolegi.

Nikt nie odpowiedział.

– Gdzie Dekka? – spytała z kolei Astrid.

– W piwnicy – odparł Edilio. – Zasuwała przez długi czas. Ona, Orc i Jack. Ale jest chora. Zmęczona i chora. I ma mocno oparzoną jedną rękę. Tego było dla niej za wiele. Kazałem jej iść do Dahry. Lana... wiecie, kiedy skończy... Kurczę, przepraszam – powiedział i znowu zaczął płakać. – Nie mogę kopać grobów. Niech ktoś inny to robi, dobra? Ja już nie mogę.

Astrid uświadomiła sobie, że zarówno Albert, jak i Howard świdrują ją wzrokiem,

jeden z ciekawością, a drugi ze znużonym uśmiechem.

– Co? – warknęła. – Obaj też jesteście w radzie. Nie patrzcie na mnie, jakby wszystko tylko ode mnie zależało.

Howard roześmiał się ponuro.

– Może lepiej ściągnijmy tu Johna, co? On też należy do rady. Sammy zaginął, Dekka ma dość, Edilio też wymięka i nic dziwnego, po takiej nocy.

– Tak. Powinniśmy ściągnąć Johna – powiedziała Astrid. Przyprowadzanie tu tego dzieciaka wydawało się nie w porządku, ale w końcu też należał do rady.

Howard zaniósł się głośnym, przeciągłym śmiechem.

– Tak, ściągnijmy Johna. W ten sposób możemy zwlekać trochę dłużej. Jeszcze przez jakiś czas nic nie robić.

– Spokojnie, Howard – odezwał się Albert.

– Spokojnie? – Howard skoczył na równe nogi. – Tak? Gdzie byłeś w nocy, co? Bo nie widziałem cię na ulicy, nie słuchałeś krzyków, nie patrzyłeś na dzieciaki, które biegały w kółko, dusiły się, ranne i przerażone, na Edilia i Orka, którzy harowali jak głupi, na Dekkę, która wypluwała płuca, na płaczącego Jacka i...

– Wiesz, kto nie mógł tego znieść? – pieklił się Howard. – Wiesz, kto nie mógł znieść tego, co się działo? Orc. Orc, który niczego się nie boi. Orc, którego wszyscy uważają za jakiegoś potwora. Nie mógł tego znieść. Nie mógł... ale zniósł. A ty gdzie byłeś, Albercie? Liczyłeś pieniądze? A ty, Astrid? Modliłaś się do Jezusa?

Dziewczynę ścisnęło w gardle. Nie była w stanie oddychać. Przez chwilę zdawało się, że ogarnie ją panika, że ucieknie z pomieszczenia, nie oglądając się za siebie.

Edilio wstał i objął Howarda ramieniem. Ten na to pozwolił, a potem zrobił coś, czego Astrid nigdy nie spodziewała się zobaczyć. Oparł twarz o ramię Edilia i zapłakał urywanym szlochem.

– Załamujemy się – powiedziała Astrid wyłącznie do siebie.

Nie sposób było jednak uciec od słów Howarda. Wszystko, co mówił Howard, było prawdą. Widziała prawdę, odbitą w zdumionej minie Alberta. Ich dwoje, ci inteligentni, ci mądrzy, wielcy obrońcy prawdy, uczciwości i sprawiedliwości, nie zrobili nic, podczas gdy inni harowali resztkami sił.

Astrid doszła do wniosku, że jej zadaniem jest zaprowadzenie porządku wśród chaosu, gdy noc grozy dobiegnie wreszcie końca. I teraz nadszedł czas, by wkroczyła do akcji. Czas, by pokazać, że potrafi zrobić to, co trzeba.

Gdzie był Sam?

I wtedy uświadomiła to sobie z całą mocą. Czy właśnie tak czuł się Sam? Czy tak czuł się od samego początku? Wszystkie oczy skierowane na niego. Oczekiwanie na jego decyzję. Ludzie, którzy wątpili, krytykowali, atakowali.

Miała ochotę się rozchorować. Tak długo tkwiła w tym wszystkim. Ale to nie ona była tą jedyną. Nie ona dokonywała wyborów.

A teraz... już ona.

– Nie wiem, co robić – powiedziała. – Nie wiem.

Diana wychyliła się daleko za burtę łodzi i zanurzyła głowę w wodzie. Na początku miała zamknięte oczy, zamierzając wynurzyć się z powrotem, gdy tylko zmoczy włosy.

Ale ruch chłodnej wody wokół jej głowy był tak przyjemny, że chciała patrzeć i chciała tam zostać. Otworzyła oczy. Słona woda wywoływała pieczenie. Był to jednak nowy ból, który przyjęła z wdzięcznością.

Zielona woda pienila się i wirowała po bokach łodzi. Diana zastanawiała się bezmyślnie, czy Jasmine wypłynie ku niej, z nabrzmiąłą twarzą, blada...

Ale nie, oczywiście, że nie. To było dawno temu. Całe godziny. A godziny ciągną się jak tygodnie, gdy człowiek jest głodny, poparzony słońcem, gdy pragnienie krzyczy, by się napił, napił tej cudnej, zielonej wody, wyglądającej zupełnie jak poncz, jak Mountain Dew, jak orzeźwiający napar z mięty, tak cudownie chłodnej.

Musiała tylko poddać się, wśliznąć do wody. To nie potrwa długo. Była zbyt słaba, by popłynąć daleko, a potem pogrąży się w morze, tak jak wcześniej Jasmine.

A może powinna po prostu trzymać tak głowę i głęboko zaczerpnąć oddech, a z nim wodę. Czy to by wystarczyło? A może skończyłoby się tylko krztuszeniem i wymiotami?

Caine nie pozwoli jej utonąć, to jasne. Wtedy zostałby zupełnie sam. Wyciągnie ją więc z wody. Nie utopi się, dopóki Caine nie odejdzie, wtedy zaś będzie mogła to już zrobić, ponieważ, co ze smutkiem sobie uświadomiła, nie miała nic prócz niego.

Ich dwoje. Dwoje chorych szczeniaków, zepsutych, aroganckich, okrutnych i zimnych. Jak mogła pokochać kogoś takiego? A on jak mógł? Drogą eliminacji? Może żadne z nich nie znalazłoby nikogo innego?

Nawet najpaskudniejsze, najbrzydsze gatunki znajdowały partnerów. Nawet muchy. Robaki? Zapewne one również.

Nagły atak paniki! Szarpnęła głową w tył i głęboko wciągnęła powietrze. Krztusiła się, dyszała i zaczęła płakać, ukrywając twarz w dłoniach. Łkała bez łez, bo trzeba było mieć

coś w sobie, by wytwarzać łyż. Woda ściekająca jej z włosów mogła je imitować.

Nikt nie zauważył. Nikogo to nie obchodziło. Caine patrzył na brzeg wyspy, przesuający się wzdłuż lewej burty. Tyrell co dwie sekundy nerwowo sprawdzał wskaźnik paliwa.

– Stary, bak pusty. To znaczy, jesteśmy na czerwonym polu.

Klify były nagie i niezdobyte. Słońce grzało głowę Diany i gdyby ktoś w magiczny sposób pojawił się przy niej i powiedział: „Proszę, Diano, naciśnij ten guzik, a wtedy zapanuje... nicość.”

Nie. Może to dziwne, ale nawet wtedy by tego nie zrobiła. Nadal wybrałaby życie. Choćby takie życie. Mogłaby nawet spędzać kolejne dni i noce w samotności.

– Hej! – odezwała się Penny. – Spójrzcie na to. To chyba, no wiecie, jakiś otwór?

Caine osłonił oczy i wytężył wzrok.

– Tyrell. Tam.

Łódź wykonała leniwy zwrot w stronę klifu. Diana zastanawiała się, czy po prostu wbijają się w ścianę. Może. Nic na to nie poradzi.

Ale wtedy też to zobaczyła – po prostu ciemną polanę na żółtawej, spalonej słońcem skale. Otwór.

– Pewnie tylko jaskinia – odezwał się Tyrell.

Nie byli daleko od brzegu i już niebawem zobaczyli, że to, co wcześniej wyglądało na jaskinię, jest wgłębieniem w skale. Kiedyś część ściany zapadła się, tworząc wąską zatoczkę, o szerokości najwyżej sześciu metrów u podstawy, ale pięć razy szerszą na samej górze. Podstawa zatoczki zawalona była jednak kamieniami. Nie czekała na nich piaszczysta plaża, nie było gdzie wyciągnąć łodzi na brzeg. Gdyby dało się to zrobić, istniała możliwość wdrapania po tym osuwisku na sam szczyt klifu.

Silnik przez chwilę pracował nierówno, wprawiając kadłub w drgania. Tyrell zaklął z wściekłością.

– Wiedziałem! – powiedział. – Wiedziałem!

Łódź nadal przesuwała się w stronę skalnej wyrwy. Silnik zgasł. Łódź straciła kurs. Zaczęła dryfować i otwór się oddalał. Tylko sześć metrów. Tak blisko. Potem dziewięć metrów. Dwanaście.

Caine zwrócił zimne oczy na swoją nieliczną załogę. Wyciągnął rękę i Penny uniosła się ze swojego miejsca w łodzi. Skierował ją w stronę brzegu. Dziewczyna leciała, obracając się i krzycząc, po czym wylądowała z pluskiem o centymetry od najbliższego z przewróconych głazów.

Nie było czasu na sprawdzanie, czy jej się udało. Caine wyciągnął rękę i przeniósł Robalę, który zniknął w połowie lotu, ale wywołał plusk tak blisko skał, że Diana nie miała pewności, czy nie rozbił sobie głowy.

Łódź dryfowała dalej.

Na jaką odległość Caine mógł precyzyjnie przerzucić człowieka o masie dwudziestu, trzydziestu czy czterdziestu pięciu kilogramów? – zastanawiała się. Z pewnością zbliżał się do granicy swoich możliwości.

Oczy Diany napotkały wzrok Caine'a.

– Chronź głowę – ostrzegł.

Splotła palce na karku i zacisnęła przedramiona na głowie, osłaniając skronie. Poczula, że olbrzymia, niewidzialna ręka chwyta ją mocno, a potem już mknęła przez powietrze. Nie krzyczała. Nawet wtedy, gdy skały zaczęły pędzić w jej stronę. Na pewno uderzy w nie głową, nie ma szans na przeżycie. Ale siła ciężenia wciąż działała i zamiast spadać w prostej linii, ciało dziewczyny zakreśliło łuk.

Skały, spieniona woda, wszystko w mgnieniu oka. Zanurzyła się. Głęboko, zimno. Woda wypełniła jej usta solą.

Poczula ostry ból, gdy ramieniem uderzyła w kamień. Zamachała nogami i jej kolana zaczęły szorować o niemal pionową powierzchnię mokrego żwiru zmieszanego z mułem.

Ubranie ciągnęło ją w dół, krępowało ruchy, przytrzymywało ręce i nogi. Diana walczyła, zdziwiona swoją siłą, swoim uporczywym dążeniem, by dotrzeć na jasną, rozświetloną słońcem powierzchnię, która znajdowała się chyba sto milionów kilometrów od niej.

Wynurzyła się, pochwycona przez łagodną falę i rzucona niczym lalka na pokryty porostami gład. Zaczęła się chwytać obiema rękami i krztusić. Paznokcie na kamieniu. Stopy ryjące kruszące się kamienie.

Nagle znalazła się od pasa w górę ponad wodą. Z trudem chwytła powietrze, oparta o skałę. Czekala przez chwilę, by wyrównać oddech. Potem ruszyła naprzód, nie zważając na otarcia i skaleczenia, w suchsze miejsce. Tam się zatrzymała, zużywszy całą energię. Caine dotarł już na brzeg. Osunął się, wyczerpany, mokry, ale jednocześnie triumfujący. Diana słyszała głosy wykrzykujące jego imię. Zamrugala, by pozbyć się wody z oczu i spróbowała skupić wzrok na łodzi. Była już bardzo daleko. Tyrell i Farba stali w niej i wołali.

– Weź mnie! Weź mnie!

– Caine, nie możesz nas tak zostawić!

– Nie dosięgniesz ich? – spytała ochryple.

Pokręcił głową.

– Za daleko. A zresztą...

Wiedziała, co „zresztą”. Tyrell i Farba nie mieli mocy. Nie mogli zrobić dla Caine'a niczego pożytecznego. Dwie dodatkowe gęby do wykarmienia, dwa dodatkowe marudne głosy.

– Lepiej zacznijmy się wspinać – powiedział Caine. – W trudnych miejscach mogę pomóc. Damy radę.

– A na górze będzie jedzenie i wszystko? – spytała Penny, spoglądając tęsknie ku szczytowi klifu.

– Miejmy nadzieję – odparła Diana. – Nie mamy gdzie wracać. Zresztą i tak nie byłoby jak się tam dostać.

Rozdział 32

8 godzin, 11 minut

Astrid poszła obejrzeć strefę pożaru i sprawdzić co jest do zrobienia.

Gdy się tylko pojawiła, dzieciaki wprost rzuciły się na nią. Otoczyły. Krzyczały. Pytały, dlaczego na to wszystko pozwoliła. Pytały, gdzie jest Sam. Zasypywały ją skargami, zmartwieniami i szalonymi teoriami, aż wycofała się do ratusza.

Potem się ukryła. Nie otwierała drzwi, gdy ktoś pukał. Nie poszła też do swojego gabinetu. Tam czekałoby ją to samo.

Gryzła ją to jednak cały dzień. Poczucie bezużyteczności. Sprawę pogarszała jeszcze świadomość, że potrzebowała Sama. Nie dlatego, że groziło im jakieś niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo już w znacznej mierze minęło.

Potrzebowała Sama, bo nikt nie darzył jej najmniejszym choćby szacunkiem. Tylko jedna osoba mogła teraz uspokoić tłum zdenerwowanych dzieci i nakłonić je, by zrobiły to, co należało.

Chciała wierzyć, że to potrafi. Ale choć próbowała, nikt jej nie słuchał.

Sam wciąż się jednak nie pojawiał. Mimo wszystko sprawy Perdido Beach spoczywały więc na jej barkach. Na tę myśl robiło jej się niedobrze. Miała ochotę krzyknąć.

– Musimy wyjść, Petey. Spacer. Idziemy – powiedziała.

Mały Pete nie odpowiedział ani nie zareagował.

– Petey. Spacer. Chodź ze mną.

Chłopczyk popatrzył na nią niewidzącym wzrokiem. Potem znowu zajął się grą.

– Petey. Posłuchaj mnie!

Znowu nic.

Zrobiła dwa kroki, złapała go za ramiona i potrząsnęła. Kieszonkowa konsola do gier poleciała po dywanie.

Mały Pete podniósł wzrok. Teraz miał pewność, że ona tam jest. Teraz zwracał na nią uwagę.

– O mój Boże, Petey, przepraszam, przepraszam – wykrzyknęła i wyciągnęła ręce, by go przytulić. Jeszcze nigdy, przenigdy nim nie potrząsała. To nastąpiło tak niespodziewanie, jakby jakieś zwierzę w jej mózgu przejęło nad nią kontrolę.

– Aaaaaaaaaaaaaaaaaa! – zaczął wrzeszczeć Pete.

– Nie, nie, nie, Petey, tak mi przykro, nie chciałam.

Otoczyła go ramionami, ale nie była w stanie go dotknąć. Jakaś siła powstrzymywała jej ręce przed fizycznym kontaktem.

– Petey, nie, musisz mi pozwolić...

– Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa!

– To był przypadek! Straciłam panowanie nad sobą, ja tylko... tylko... nie mogę, Petey, przestań, przestań!

Pobiegła podnieść grę. Była ciepła. Dziwne... Zniosła ją z powrotem braciszкови, ale w pewnej chwili zachwiała się na nogach. Pokój zdawał się wykrzywiać i kołysać wokół niej.

Szaleńcze krzyki małego Pete'a sprawiły, że wróciła do rzeczywistości.

– Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa!

– Zamknij się! – krzyknęła, w równym stopniu zaniepokojona, jak wściekła. – Zamknij się! Zamknij się! Masz! Weź swoją głupią zabawkę!

Cofnęła się, odeszła, jakby nie ufając sobie, gdy była blisko niego. Przeraziło ją, że ten wściekły stwór w jej głowie znowu rzuci się na chłopca. Jej wewnętrzny głos próbował racjonalizować wydarzenia nawet teraz. Rozpuszczony bachor. Robi to specjalnie. To wszystko jego wina.

– Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa!

– Wszystko robię dla ciebie! – wydarła się.

– Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa!

– Karmię cię, myję, pilnuję cię i chronię. Przestań! Przestań! Dłużej tego nie zniosę. Nie zniosę!

Mały Pete nie przestał. Wiedziała, że nie przestanie, dopóki nie zechce, dopóki wariacka pętla w jego głowie nie dogra się do końca.

Opadła na kuchenne krzesło. Siedziała, trzymając się za głowę i przypominając sobie listę swoich porażek. Przed ETAP-em nie było ich zbyt wiele. Raz dostała piątkę z plusem, choć powinna dostać szóstkę. W kilku sytuacjach była wobec innych nieumyślnie okrutna i te wspomnienia ciągle ją prześladowały, nawet teraz. Nigdy nie nauczyła się grać na żadnym instrumencie... Nie radziła sobie tak dobrze, jak by chciała, z hiszpańską wymową.

– Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa!

Przed ETAP-em stosunek sukcesów do porażek w jej życiu wynosił kilkaset do jednego. Nawet w kontaktach z braciszkiem radziła sobie wtedy najlepiej z wszystkich.

Ale teraz ta proporcja się odwróciła. Po stronie pozytywów mogła zapisać, że ona i jej młodszy brat wciąż jeszcze żyli. Lista klęsk była bardzo długa, a pamiętała je wszystkie, co do jednej, boleśnie i szczegółowo.

– Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa!

Zamierzała zrobić tyle dobrych rzeczy. Chciała ponownie podjąć terapię i lekcje małego Pete'a. Porażka. Chciała wyremontować kościół i znaleźć sposób, by przyciągnąć dzieciaki na mszę w niedzielne poranki. Porażka. Chciała napisać konstytucję ETAP-u, stworzyć rząd. Porażka.

Próbowała powstrzymać Alberta, nie chciała, by pieniądze stały się najważniejsze. Nie udało się. Co gorsza, Albert odniósł sukces. To on miał rację, ona zaś się myliła. Teraz to Albert żywił Perdido Beach, a nie ona.

Chciała jakoś przeszkodzić Howardowi w sprzedaży dzieciakom alkoholu i papierosów. Klęska. Chciała przemówić do rozsądku Zilowi, by zaczął się zachowywać jak człowiek. Znowu klęska. Porażka za porażką.

Nawet jej związek z Samem się rozpadł. A teraz on uciekł, porzucił ją. Przypuszczała, że miał dosyć. Miał dosyć jej, małego Pete'a i tego wszystkiego.

Ktoś słyszał od kogoś innego, że Hunter widział go, opuszczającego miasto. Dokąd poszedł? Plotkarze nie udzielali odpowiedzi. Mieli za to pewność, kto jest temu winny: Astrid.

Chciała być dzielna, silna, mądra i uczciwa. A teraz ukrywała się w swoim domu, bo wiedziała, że jeśli wyjdzie, wszyscy będą oczekiwali od niej odpowiedzi, których nie znała. Była przewodniczącą rady miejskiej w mieście, które omal doszczętnie nie spłonęło.

Zostało uratowane. Ale nie przez Astrid.

Mały Pete nareszcie zamilkł. Puste oczy znowu utkwiał w grze, jakby nic się nie stało.

Zastanawiała się, czy on w ogóle pamięta, jak straciła panowanie nad sobą. Czy wie, jaka się czuła przerażona, pozbawiona nadziei, pokonana. Była pewna, że jego to nie obchodzi.

Nikogo nie obchodziło.

– Dobra, Petey – powiedziała drżącym głosem. – Musimy jednak wyjść. Spacer. Pora wyjść i pogadać z moimi licznymi przyjaciółmi – dodała z sarkazmem.

Tym razem potulnie za nią poszedł.

Zamierzała znowu odwiedzić strefę pożaru, podziemny szpital, a także znaleźć Alberta i dowiedzieć się, kiedy będzie miał żywność.

Ale na ulicy została otoczona w kilka minut, dokładnie tak jak się spodziewała. Dzieciaki wprost kleiły się do niej. Coraz więcej dzieciaków podążało za nią, gdy próbowała dostać się z powrotem do strefy pożaru. Krzyczały, stawiały żądania, rzucały obelgi, prosiły, błagały. Groziły.

– Dlaczego z nami nie rozmawiasz?

– Dlaczego nie odpowiadasz?

Nie знаła odpowiedzi.

– Dobra – powiedziała w końcu. – Dobra! – Odepchnęła chłopca, który krzychał jej w twarz, że jego starsza siostra zaginęła, gdy poszła w odwiedziny do koleżanki mieszkającej przy Sherman.

– Dobrze – zgodziła się Astrid. – Zwołamy zgromadzenie.

– Kiedy?

– Teraz. – Przepchnęła się przez tłum, który narastał wokół niej, w miarę jak podążała do kościoła.

O, Sam nieźle by uśmieł, gdyby to zobaczył. Wiele razy stawał już przed ołtarzem, próbując uspokoić grupę przerażonych dzieciaków. A ona, Astrid, obserwowała go i oceniała. Gdy zaś presja stała się wreszcie zbyt wielka, utworzyła radę i próbowała zepchnąć go na margines.

No, Sam, pomyślała, wstępując na zrujnowany ołtarz, możesz dostać tę robotę z powrotem, kiedy tylko zechcesz.

Krzyż, którego dawno temu Caine użył przeciwko chłopakowi zwanemu Cookie, został podparty, przewrócił się, po czym podparto go znowu. Teraz leżał na stercie gruzów. Astrid z bólem widziała go w takim miejscu. Zastanawiała się, czy nie poprosić ochotników, by podnieśli krzyż z powrotem, ale to nie był dobry moment, żeby prosić kogokolwiek o cokolwiek.

Pojawił się Edilio z Albertem, ale żaden nie podszedł, by stanąć po jej stronie.

– Jeśli usiądziecie i przestaniecie mówić wszyscy naraz, możemy zacząć zebranie – oznajmiła Astrid.

Reakcja była głośna i pełna sarkazmu. Spadła na nią cała fala głośnych drwin.

– Market zamknięty, nie ma co jeść!

– Nikt nie przywiózł wody, pić nam się chce!

– Boli...

– Niedobrze mi...

– Boję się...

I raz po raz powtarzane pytanie: gdzie jest Sam? Gdzie jest Sam? Kiedy dzieją się takie rzeczy, Sam powinien być w pobliżu. Czyżby nie żył?

– O ile mi wiadomo, Sam ma się dobrze – odparła spokojnie.

– I można ci naprawdę ufać, nie?

– Tak – powiedziała bez przekonania. – Możecie mi ufać.

To wywołało śmiech i kolejne obelgi.

Ktoś zawołał:

– Niech mówi, ona jedna przynajmniej próbuje.

– Ona tylko kłamie i nic nie robi – odpowiedział ktoś inny.

Astrid знаła ten głos: Howard.

– Umie tylko gadać – ciągnął. – Ple, ple, ple. A większość jej słów to kłamstwa.

Dzieci ucichły. Patrzyły, jak Howard wstaje powoli i sztywno, po czym odwraca się do nich twarzą.

– Siadaj, Howard – poleciła. Jednak nawet ona sama słyszała rezygnację w swoim głosie.

– Napisałaś jakieś prawo, zgodnie z którym zostałaś szefową wszystkich? Bo zdawało mi się, że dla ciebie liczy się tylko prawo.

Zwalczyła w sobie pragnienie, by wyjść. Tak jak najwyraźniej postąpił Sam – po prostu wyszedł z miasta. Byłaby to dla pozostałych niewielka strata.

– Musimy ustalić, jak się zorganizować i jak działać, Howard – powiedziała Astrid. – Ludzie potrzebują jedzenia.

– Właśnie – potwierdził ktoś.

– Jak zamierzasz to zrobić? – spytał Howard.

– No, jutro wszyscy zajmą się swoją zwykłą pracą – odparła. – Przez parę dni będzie źle, ale potem znowu uruchomimy dostawy żywności i wody. Plony są ciągle na polach. A ryby w morzu.

Te słowa podziały uspokajająco. Czują to. Przypomniała dzieciakom, że nie wszystko przepadło w pożarze. Może jednak zdoła do nich dotrzeć.

– Opowiedz nam o zombie – powiedział Howard.

Jej twarz i szyja poczerwieniały, zdradzając trapiące ją poczucie winy.

– A potem może wyjaśnisz, dlaczego powstrzymałaś Sama przed wyeliminowaniem Zila, zanim Zil spalił miasto.

Astrid zdobyła się na krzywy uśmiech.

– Nie pouczaj mnie. Jesteś cwaniakiem i handlarzem narkotyków.

Zobaczyła, że zniewaga go dotknęła.

– Jeśli ludzie chcą coś kupować, ja im to zapewnię – odrzekł. – Tak jak Albert. Zresztą, nigdy nie stawiałem się na piedestale i nie mówiłem, że jestem nie wiadomo kim. Ja i Orc robimy co się da, żeby związać koniec z końcem. To nie my jesteśmy doskonali, cudowni

i ponad wszystkim.

– Nie, wy jesteście poniżej wszystkiego – odparła.

Coś jej podpowiadało, że dopóki jest to sprawa osobista pomiędzy nią a Howardem, inni nie będą się wtrącać. Ale taki stan spór do niczego nie doprowadzi. Niczego w ten sposób nie osiągnie.

– Nadal nic nie wyjaśniłaś – Howard jakby czytał jej w myślach. – Zapomnij o mnie. To tylko ja. Co powiesz nam o dziewczynie, która nie żyła, a teraz znowu żyje? A wiesz, że niektóre dzieciaki mówią, że widziały Drake'a, chodzącego po ulicy? Masz jakąś odpowiedź?

Zastanawiała się, czy nie zablefować. W innej sytuacji, innego dnia, potrafiłaby okazać mu zimną pogardę i uciszyć go. Nie potrafiła jej jednak w sobie odnaleźć. Nie teraz.

– Wiesz, Howard – zaczęła kwaśnym tonem – popełniłam ostatnio wiele błędów i...

– A co z Prorokinią? – wtrącił inny głos. – Co z Orsay?

– Mary? – Astrid nie mogła w to uwierzyć. Mary Terrafino, z twarzą poczerwieniałą z gniewu i drżącym głosem.

– Właśnie rozmawiałam ze swoim bratem, który przez całe życie nigdy mnie nie okłamał – oznajmiła Mary.

Ruszyła kościelną nawą. Tłum się przed nią rozstępował. Mateczka Mary.

– Przyznał mi się, Astrid – ciągnęła. – Skłamał. Skłamał, bo tak mu kazałaś.

Astrid chciała zaprzeczyć. Już miała takie słowa na końcu języka. Nie mogła ich jednak z siebie wydobyć.

– Mary ma rację – podchwycił Howard. – Astrid kazała nam kłamać. W sprawie Brittney i w sprawie Orsay.

– Orsay to oszustka – broniła się słabo Astrid.

– Może – powiedział Howard. – Ale nie masz pewności. Nikt nie ma.

– Orsay nie jest oszustką. Powiedziała mi coś, co wiedziałam tylko ja – stwierdziła Mary. – I przepowiedziała, że zbliża się czas udreki.

– Stara sztuczka, Mary – parsknęła Astrid. – To jest ETAP. Dopadają nas coraz to nowe udreki, chyba to widzisz. Ona tobą manipuluje.

– Tak, w przeciwieństwie do ciebie – odparł Howard głosem ociekającym sarkazmem.

Wszystkie oczy skierowały się na nią. Pełne niedowierzania. Gniewne. Oskarżycielskie. Przestraszone.

– Orsay mówi, że możemy zrobić wypad w piętnaste urodziny – mówiła dalej Mary. – Powiedziała, żebym porzuciła swoje brzemię. Tak powiedziała moja mama w jej śnie. Żebyś porzuciła brzemię.

– Mary, na pewno wiesz lepiej od niej – odezwała się Astrid.

– Nie, nie wiem – odrzekła tamta tak cicho, że Astrid ledwo ją słyszała. – I ty też nie wiesz.

– Te dzieci cię potrzebują. – Astrid przybrała błagalny ton.

Nagle, nieoczekiwanie, zrobiła się z tego sprawa życia i śmierci. Astrid była tego pewna, że Mary pragnie po prostu popełnić samobójstwo. Logika podpowiadała jej, że to prawda. A wiara mówiła jej z jeszcze większą pewnością: poddanie się, kapitulacja, akceptacja czegoś, co choćby w pewnym stopniu przypominało samobójstwo, nigdy nie może być dobre. W czymś takim Bóg na pewno nie chce uczestniczyć.

– Może nie – powiedziała cicho Mary. – Może te dzieci potrzebują drogi wyjścia stąd. Może ich matki i ojcowie czekają, a my nie pozwalamy im się spotkać.

A więc stało się. Astrid obawiała się tego, odkąd pierwszy raz usłyszała o tak zwanych przepowiedniach Orsay.

Cisza w kościele była niemal całkowita.

– Żaden z tych malców nawet nie zbliża się do wielkiej piętnastki – zauważyła Astrid.

– I nie dociągnie do niej w tym potwornym miejscu – odparła Mary. Głos jej się łamał. Astrid usłyszała w nim desperację. Też ją czuła, znosząc cierpienia małego Pete'a. Czuła ją wiele razy od początku ETAP-u.

– Żyjemy w piekle – ciągnęła Mary, niemal jakby błagała o zrozumienie. – Tutaj. Bo to piekło.

Astrid spróbowała wyobrazić sobie jej życie. Ciągłą pracę. Ciągłą odpowiedzialność. Niewiarygodny stres. Depresję. Lęk. A wszystko to dla Mary było znacznie trudniejsze niż dla niemal wszystkich pozostałych. Nie mogła jednak pozwolić jej na samobójstwo. Trzeba było to powstrzymać. I to choćby kosztem sprawienia Mary bólu.

– Mary, jesteś jedną z najważniejszych i najpotrzebniejszych osób w ETAP-ie – powiedziała ostrożnie Astrid.

– I wiem, że ci ciężko.

Zrobiło jej się niedobrze, wiedziała bowiem, co zaraz powie, co musi powiedzieć. Wiedziała też, że to zdrada.

– Mary, wiem, nie możesz znaleźć leków, które powinnaś brać. Wiem, że łykałaś dużo różnych środków, żeby zapanować nad tym, co się dzieje w twojej głowie.

W kościele zapanowała martwa cisza. Dzieciaki patrzyły to na Mary, to na Astrid. Sytuacja przerodziła się w próbę: komu uwierzą. Astrid знаła odpowiedź.

– Mary, wiem, że zmagasz się z depresją i anoreksją. Wystarczy na ciebie spojrzeć.

Tłum wsłuchiwał się w każde słowo.

– Wiem, że walczyłaś z demonami.

Mary parsknęła pełnym niedowierzania śmiechem.

– Nazywasz mnie wariatką?

– Oczywiście, że nie – odrzekła Astrid, ale takim tonem, by nawet dla najmłodszych i najgłupszych w pomieszczeniu jasne było, że właśnie to sugeruje. – Ale naprawdę masz pewne... problemy, które mogą negatywnie wpływać na twoje myślenie.

Mary skuliła się, jakby ktoś ją uderzył. Rozejrzała się dookoła, szukając jakiejś przyjaznej twarzy, znaku, że nie wszyscy zgadzają się z tymi słowami.

Astrid widziała te same twarze. Stały się zimne i podejrzliwe. Ale ta podejrzliwość wymierzona była w Astrid, a nie w Mary.

– Chyba powinnaś jakiś czas zostać w domu – powiedziała. – Znajdziemy kogoś innego do prowadzenia przedszkola, a ty tymczasem weźmiesz się w garść.

Howardowi opadła szczeka.

– Zwalniasz Mary? I mówisz, że to jej odbiło?

Nawet Edilio wydawał się zdumiony.

– Moim zdaniem Astrid nie mówi, że Mary ma nie prowadzić przedszkola – powiedział szybko, posyłając jednocześnie Astrid ostrzegawcze spojrzenie.

– To właśnie mówię, Edilio. Mary uległa kłamstwom Orsay. To niebezpieczne. Niebezpieczne dla niej, jeśli zdecyduje się wypaść. I niebezpieczne dla dzieci, jeśli Mary dalej będzie słuchała Orsay.

Oślupiała Mary zasłoniła usta dłonią. Palce dotknęły warg, po czym powędrowały do włosów. Na koniec wygładziła przód bluzy.

– Myślisz, że mogłabym skrzywdzić jakieś dziecko?

– Mary – powiedziała Astrid, siląc się na bezlitosny ton – jesteś pełną problemów, depresyjną osobą, która musiała odstawić leki. Utrzymujesz, że najlepiej dla tych dzieci będzie, jeśli umrą i połączą się z rodzicami.

– Ja nie to... – zaczęła Mary. Wzięła kilka szybkich, płytkich wdechów. – Wiesz co? Wracam do pracy. Mam wiele do zrobienia.

– Nie, Mary – odparła z mocą Astrid. – Idź do domu.

– Następnie zwróciła się do Edilia. – Jeśli spróbuje wejść do przedszkola, powstrzymaj ją.

Spodziewała się, że Edilio się z nią zgodzi, a przynajmniej zrobi to, co mu się każe. Gdy jednak spojrzała w jego stronę, wiedziała, że się myli.

– Nie mogę tego zrobić, Astrid – odparł. – Ciągłe mówisz, że potrzebne nam prawa i tak dalej. I wiesz co? Masz rację. A żadne prawo nie mówi, że wolno mi powstrzymać Mary. Wiesz, czego jeszcze potrzebujemy? Praw, które nie pozwolą ci robić takich rzeczy.

Mary wyszła z pomieszczenia wśród głośnych braw.

– Może zrobić tym dzieciom krzywdę – powiedziała Astrid piskliwym głosem.

– Tak twierdzisz. Zil spalił miasto, bo powiedziałaś, że nie możemy go zatrzymać – odparował Edilio.

– Jestem przewodniczącą rady – przypomniała błagalnym tonem.

– Chcesz, żebyśmy to przegłosowali? – spytał Howard.

– Bo możemy teraz przeprowadzić głosowanie.

Zamarła. Potoczyła wzrokiem po morzu twarzy, z których żadna nie należała do kogoś, kto stałby po jej stronie.

– Petey. Chodź – powiedziała.

Trzymała wysoko uniesioną głowę, gdy przeciskała się przez tłum i wychodziła z kościoła.

Kolejna porażka. Pocieszał ją tylko fakt, że zapewne ostatnia w roli przewodniczącej rady.

Rozdział 33

7 godzin, 51 minut

– Nie widzę żadnej dużej rezydencji – stwierdziła Diana. – Widzę drzewa.

– Robal! – zawołał Caine.

– Powodzenia w poszukiwaniach – rzuciła dziewczyna. Robal był wyraźnie widoczny podczas wspinaczki znad wody. Raz Caine go złapał i uratował przed upadkiem.

Gdy dotarli na samą górę, stanęli przed ścianą drzew, a nie wspaniałą hollywoodzką posiadłością. Nic, tylko drzewa.

– Robal! – krzyknął Caine. Bez odzewu.

– Taaak – powiedziała Diana. – Zaufaliśmy Robalowi. No i jesteśmy tutaj. – Odwróciła się i zobaczyła łódź. Dryfowała coraz dalej. Może kierowała się do odległej elektrowni. Może tamci zdołają jakoś przeżyć. Może nawet czekał ich lepszy los niż Dianę.

– Owce! – dobiegł z pewnej odległości głos Penny. Diana wymieniła spojrzenia z Caine'em. Czy Penny zwariowała? Może i tak, ale żeby w swoich halucynacjach widziała owce?

Oboje ruszyli naprzód przez las. Wkrótce zobaczyli, że drzewa porastają tylko wąski pas ziemi, za którym znajduje się rozsloneczniona łąka, porośnięta sięgającą kolan trawą.

Penny stała na skraju łąki, wpatrzona w jeden punkt, z wyciągniętą ręką, trzęsąc się tak, że lada chwila mogła się przewrócić.

– Są prawdziwe, nie? – spytała.

Diana osłoniła oczy i... tak, były prawdziwe. Niczym trzy kłębki waty o barwie brudnej bieli z czarnymi pykami, niemal na wyciągnięcie ręki. Owce odwróciły się i popatrzyły na nich głupawymi oczami.

Caine nie zwlekał. Wyciągnął rękę i poderwał jedno ze zwierząt nad ziemię. Owca wyleciała w powietrze i z budzącą mdłości siłą uderzyła o potężne drzewo. Spadła na ziemię, a jej białe runo gdzieś pokryło się czerwienią.

Rzucili się na nią niczym tygrysy. Niespodziewanie ukazał się tuż obok nich Robal. Rwał runo, desperacko próbując dobrać się do mięsa. Ale gołymi rękami, łamiącymi się paznokciami i rozchwianymi zębami nie mogli się do niego dostać.

– Potrzebujemy czegoś ostrego – stwierdził Caine.

Penny znalazła kamień z ostrą krawędzią. Był zbyt duży, by go podniosła, dla Caine'a jednak nie stanowiło to przeszkody. Kamień wzniósł się w powietrze, po czym opadł niczym

tasak.

Wyglądało to paskudnie, ale podziałało. I cała czwórka zaczęła szarpać, wrywać kawałki surowej baraniny.

– Głodni, co?

Dwaj chłopcy stali nad nimi, jakby pojawili się znikąd. Większy z nich przemówił. Oczy miał inteligentne, pełne drwiny i nieufne. Twarz drugiego była niewzruszona, pozbawiona emocji.

Obaj mieli dłonie owinięte bandażami. Dolną część twarzy młodszego zakrywało coś na kształt bandany.

Cisza przedłużała się, gdy Caine, Diana, Penny i Robal patrzyli na tamtych, a tamci na nich.

– Coście za jedni? Mumie? – spytała Diana. Starła owczą krew z ust, a potem zauważyła, że także jej koszulka przesiąkła krwią i że nie da się już jej zetrzeć.

– Jesteśmy trędowaci – oznajmił ten wyższy.

Poczuła, jakby jej serce na chwilę stanęło.

– Nazywam się Sanjit – dodał chłopiec i wyciągnął dłoń, złożoną z kikutów palców powiązanych gazą. – A to Choo.

– Cofnąć się! – warknął Caine.

– Spokój – powiedział Sanjit. – To nie zawsze jest zaraźliwe. Znaczy, jasne, czasami tak. Ale nie zawsze.

Opuścił rękę przy boku.

– Macie trąd? – spytał Caine.

– Taki, o jakim uczą w szkole? – dorzucił Robal.

Sanjit skinął głową.

– To nie takie najgorsze. Nie boli. Znaczy, jak odpada ci palec, właściwie nawet nie czujesz.

– Ja czułem, jak odpadł mi ptaszek, ale wcale tak bardzo nie bolało – dodał ten nazywany Choo.

Penny pisnęła. Caine poruszył się niespokojnie. Robal stał się znów niewidzialny – pewnie uciekł – Ale ludzie i tak boją się trądu – powiedział Sanjit. – Głupie. W pewnym sensie.

– Co tu robicie? – spytał ostrożnie Caine. Odłożył ochłap na trawę i trzymał ręce w gotowości.

– Ej, to ja powinienem was o to spytać – odparł Sanjit. Nie mówił ostro, ale wyraźnie

nie zamierzał też pozwolić, by Caine nim pomiatał. – My tu mieszkamy. A wy dopiero się zjawiliście.

– A w dodatku zabiliście jedną z naszych owiec – dorzucił Choo.

– To kolonia trędowatych San Francisco de Sales – oznajmił Sanjit. – Nie wiedzieliście?

Diana zaczęła się śmiać.

– Kolonia trędowatych? To jest miejsce, do którego trafiliśmy? Omal nie ginąc, by tu dotrzeć?

– Zamknij się, Diano – warknął Caine.

– Chcecie wrócić z nami do szpitala? – zaproponował uprzejmie Sanjit. – Nie ma dorosłych pacjentów, pielęgniarek ani lekarzy, pewnego dnia po prostu zniknęli. Jesteśmy zdani na siebie.

– Słyszeliśmy, że mieści się tu posiadłość gwiazd filmowych.

Ciemne oczy Sanjita zwężyły się. Spojrzał w prawo, jakby próbował odnaleźć jakiś sens w tym, co powiedziała dziewczyna. W końcu odpowiedział.

– A, wiem, o co chodzi. Todd Chance i Jennifer Brattle płacą na ten ośrodek. To ich działalność dobroczynna.

Diana nie mogła powstrzymać chichotu. Kolonia trędowatych. Więc o tym czytał Robal. Kolonia trędowatych, utrzymywana przez dwie bogate gwiazdy filmowe. Charytatywnie.

– Zdaje się, że Robal pomylił parę szczegółów – zdołała wykrztusić pomiędzy suchymi, nerwowymi spazmami śmiechu, który trudno było odróżnić od szlochu.

– Możecie zatrzymać owcę – powiedział Choo.

Diana przestała się śmiać. Oczy Caine'a zwężyły się.

Sanjit szybko odpowiedział.

– Ale wolimy, żebyście wrócili z nami. Znaczy, czujemy się trochę samotni.

Caine popatrzył na Choo. Choo odpowiedział spojrzeniem, a potem odwrócił wzrok.

– On chyba nie chce, żebyśmy szli do tego szpitala – zauważył Caine, wskazując Choo.

Diana dostrzegła strach w oczach młodszego chłopca.

– Niech zdejmą bandażę – powiedziała.

Przeszła jej ochota do śmiechu. Obaj chłopcy mieli błyszczące oczy. Widoczne części ich ciał wydawały się zdrowe. Nie mieli cienkich i połamanych włosów, jak ona.

– Słyszeliście – rzucił Caine.

– Nie – odparł Sanjit. – Odślanianie trądu tylko pogarsza chorobę.

Caine wziął głęboki wdech.

– Liczę do trzech, a potem rzucę twoim małym, kłamiwym koleżką w drzewo. Tak jak zrobiłem z tą owcą.

– Zrobi to – ostrzegła Diana. – Na pewno.

Sanjit zwiesił głowę.

– Przepraszam – powiedział Choo. – Zawaliłem.

Sanjit zaczął odwijać gazę ze swoich zupełnie zdrowych palców.

– Dobra, macie nas. Pozwólcie więc, że powitam was na wyspie San Francisco de Sales.

– Dzięki – odrzekł Caine oschłym tonem.

– ... mamy trochę jedzenia. Może chcecie do nas dołączyć? Chyba że wolicie swoje sushi z owcy.

Cały ranek i wczesne popołudnie wstrząśnięte dzieciaki z Perdido Beach kręciły się bez ładu i składu, zagubione i ogłupiałe.

Albert jednak nie był ani zagubiony, ani ogłupiały, choć przez cały dzień ktoś przychodził do jego biura w McDonald's. Miał tam stoisko, w rogu przy oknie, przez które wyglądał na plac, sprawdzając, co się dzieje.

– Hunter przyniósł jelenia – zameldował ktoś. – I trochę ptaków. Jakies trzydzieści pięć kilo nadającego się do użytku mięsa.

– To dobrze – powiedział Albert.

Do środka wszedł Quinn, wyraźnie zmęczony i cuchnący rybami. Opadł na krzesło naprzeciwko Alberta.

– Wróciliśmy. Nie poszło nam najlepiej, bo późno zaczęliśmy. Ale jest jakies dwadzieścia kilo.

– Dobra robota – pochwalił Albert. Policzył w myślach. – Mamy jakies piętnaście deko mięsa na głowę. Z pół nie przyszło nic. – Postukał palcami w stół, pogrążając się w rozmyśleniach. – Nie warto otwierać marketu. Przyrządzimy posiłek na placu. Trzeba upiec mięso i zrobić potrawkę z ryb. Bierzymy berta od osoby.

Quinn pokręcił głową.

– Stary, naprawdę chcesz zebrać te wszystkie dzieciaki w jednym miejscu? Odmieńców i normalnych? Kiedy wszyscy poszaleli?

Albert zastanowił się.

– Nie mamy czasu, żeby otworzyć market, a trzeba jakoś wypuścić produkty na rynek.

Quinn zdobył się na półuśmiech.

– Produkty. – Pokręcił głową. – Stary, jedynym gościem, o którego się nie martwię, jeśli ETAP się skończy... jeśli nie zresztą też... jesteś ty.

Albert skinął głową, przyjmując pochlebstwo jako proste stwierdzenie faktu.

– Nie tracę z oczu celu.

– To prawda – zgodził się Quinn takim tonem, że Albert zaczął się zastanawiać, co to właściwie miało oznaczać.

– A przy okazji, jednemu z moich ludzi zdawało się, że widział Sama. Na skałach, tuż pod elektrownią – oznajmił Quinn.

– Sam jeszcze nie wrócił?

Quinn pokręcił głową.

– Pytanie numer jeden, które ciągle słyszę: gdzie jest Sam.

Albert wysunął dolną wargę.

– Myślę, że przeżywa jakieś załamanie.

– Chyba ma do tego prawo, nie? – odparł Quinn.

– Może i tak – przyznał Albert. – Ale coś mi się wydaje, że po prostu się dąsa. Jest zły, że już nie tylko on rządzi.

Quinn poruszył się niespokojnie.

– To on rzuca się prosto w niebezpieczeństwo, gdy większość z nas siedzi na tyłku albo chowa się pod stołem.

– Tak. Ale to jego robota, nie? To znaczy, rada płaci mu dwadzieścia bertów tygodniowo, czyli dwa razy więcej, niż się na ogół zarabia.

Quinn sprawiał wrażenie, jakby to wyjaśnienie niezbyt mu się podobało.

– To nie zmienia faktu, że mógł zginąć. Poza tym, wiesz, to i tak nie jest dużo. Moi ludzie zarabiają dziesięć bertów tygodniowo za łowienie ryb, ale, stary, wiele osób mogłoby wykonywać tę pracę. A pracować tak jak Sam może tylko jeden człowiek.

– Tak. Tylko jeden. Ale potrzebujemy większej liczby osób, które by się tym zajmowały. Nawet z mniejszą mocą.

– Chyba nie zamierzasz zwalczać odmieńców?

Albert natychmiast odrzucił ten pomysł.

– Nie oskarżaj mnie, że jestem idiotą, dobra? – Drażniło go, że Quinn staje w obronie Sama. Nie miał nic przeciwko niemu. Sam zapewniał im przecież bezpieczeństwo przed

Caine'em, tym łotrem Drakiem i Przywódcą Stada, Albert to rozumiał. Ale czas bohaterów się kończył. Miał przynajmniej taką nadzieję. Należało zbudować prawdziwe społeczeństwo, z prawem i zasadami.

W końcu to było Perdido Beach, a nie Sam Beach.

– Słyszałem, jak jeszcze jeden dzieciak, już chyba czwarty, mówi, że widział podczas pożaru Drake'a Merwina – powiedział Quinn.

Albert prychnął.

– Krąży teraz masa bredni.

Quinn posłał mu przeciągłe spojrzenie, po którym Albert poczuł się niemal nieswojo. W końcu odpowiedział.

– Jeśli to prawda, lepiej, żeby Sam wrócił.

– Orc załatwi Drake'a. I zrobi to za pół litra wódki – odparł lekceważąco Albert.

Quinn westchnął i wstał, zbierając się do wyjścia.

– Czasami się o ciebie martwię.

– Ej, żywię ludzi, chyba to zauważyłeś – powiedział tamten. – Astrid gada, Sam się obraża, a ja załatwiam ważne sprawy. Ja. Dlaczego? Bo nie mówię, tylko działam.

Quinn usiadł z powrotem. Nachylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach.

– Stary, nie pamiętasz testów w szkole? Odpowiedzi do wyboru: A, B, C, D, E albo każda z powyższych.

– Tak?

– Chłopie, czasami odpowiedź brzmi „każda z powyższych”. To miejsce potrzebuje ciebie. I potrzebuje Astrid. I Sama. Każda z powyższych.

Albert zamrugnął powiekami.

– Bez obrazy – dodał szybko Quinn. – Ale Astrid nawija, że potrzebujemy jakiegoś systemu, ty liczysz pieniądze, a Sam zachowuje się tak, jakby wszyscy powinni zejść mu z drogi i pozwolić, żeby usmażył każdego, kto załaził mu za skórę. I tak naprawdę nie osiągniecie postępów. Nie pracujecie razem, a tego właśnie potrzebujemy my, zwykli ludzie. Bo wiesz co, nie chcę chrzanić, ale... potrzebujemy systemu, potrzebujemy ciebie i twoich bertów, no i czasami potrzebujemy Sama, żeby przyszedł i skopał komuś tyłek.

Albert nic nie odpowiedział. Chwilę się zastanawiał. Po minucie uświadomił sobie, że tamten czeka na odpowiedź, lekko się kuląc, jakby spodziewał się wybuchu.

Wreszcie Quinn znowu wstał i ze smutkiem pokręcił głową.

– Dobra, rozumiem. Poprzestanę na łowieniu ryb.

Albert spojrzał mu w oczy.

– Kuchnia na placu dziś wieczorem. Przekaż wszystkim tę wiadomość, dobra?

Rozdział 34

7 godzin, 02 minuty

Diana rozplakała się, gdy Sanjit postawił przed nią miseczkę Cheerios. Nalał mleko z kartonu. Było tak białe, a płatki tak mocno i tak cudownie chrzęściły w tej niebieskiej miseczce.

Sięgnęła do niej palcami. Wtedy zauważyła łyżkę. Była czysta i lśniąca.

Drżącą dłonią zanurzyła łyżkę w płatkach, po czym uniosła ją do ust. Reszta świata zniknęła na kilka chwil. Caine i Penny łapczywie pochłaniali jedzenie ze swoich misek, a całkowicie widzialny Robal nie zostawał w tyle. Jednak wszystkim, co widziała, wszystkim, co czuła, był ten wspaniały chrzęst, napływ cukru, wstrząsająco znajomy smak.

Tak, to było jedzenie.

Łzy spływały jej po policzkach na łyżkę, dodając do drugiego kęsa odrobinę słonawego smaku.

Zobaczyła, że Sanjit patrzy na nią. W jednej ręce trzymał w gotowości duże pudełko płatków, w drugiej zaś karton z mlekiem.

Penny parsknęła śmiechem, wypluwając płatki i mleko.

- Jedzenie – powiedział Caine.
- Jedzenie – przytaknął Robal.
- Co jeszcze macie? – spytał Caine.
- Musicie jeść powoli – stwierdził Sanjit.
- Nie mów mi, jak mam jeść.

Sanjit nie dał za wygraną.

- Nie jesteście pierwszymi wygłodniałymi ludźmi, jakich widziałem.
- Ktoś inny z Perdido Beach? – spytał ostro Caine.

Sanjit wymienił spojrzenia z młodszym chłopcem, który zdążył już powiedzieć Dianie, że naprawdę nazywa się Virtue.

- Czyli na stałym lądzie jest źle – powiedział.

Caine dokończył płatki.

– Jeszcze.

– Jeśli ktoś, kto głodował, je za dużo naraz, to potem choruje – uprzedził Sanjit. – Wszystko zwymiotujesz.

- Jeszcze – odparł Caine z wyraźną groźbą w głosie. Sanjit dał mu dokładkę, po czym

uzupełnił także miseczki pozostałych.

– Przykro mi, że nie mamy Cap'n Crunch ani Froot Loops – powiedział. – Jennifer i Todd przejmują się zdrowym żywieniem. Pewnie zdjęcia z grubymi dziećmi źle by wpłynęły na ich wizerunek.

Diana zwróciła uwagę na sardoniczny ton. Pochłonawszy drugą miseczkę, zwróciła też uwagę na skurcze w swoim żołądku. Zmusiła się, by przestać.

– Jest dużo jedzenia – Sanjit zwrócił się łagodnie tylko do niej. – Nie spiesz się. Daj organizmowi czas, żeby się przyzwyczaił.

Skinęła głową.

– Gdzie widziałeś głodujących ludzi?

– Tam, gdzie się wychowałem. To byli żebracy. Czasami chorowali i nie mogli żebrać albo po prostu mieli pecha i wtedy głodowali.

– Dzięki za jedzenie – powiedziała Diana. Otarła łyzy i spróbowała się uśmiechnąć. Przypomniała sobie jednak, że ma spuchnięte, czerwone dziąsła i jej uśmiech nie wygląda zbyt atrakcyjnie.

– Widywałem też szkorbut – stwierdził Sanjit. – Macie go. Przyniosę wam witaminy. Za parę dni będzie lepiej.

– Szkorbut – powtórzyła Diana. Wydawało się to niewiarygodne. Szkorbut przytrafiał się tylko bohaterom filmów o piratach.

Caine rozglądał się, taksując otoczenie wzrokiem. Siedzieli przy masywnym drewnianym stole tuż obok kuchni. Na długich ławach mogło się przy nim zmieścić trzydzieści osób.

– Ładnie – powiedział, machając łyżką, by wskazać pomieszczenie.

– To stół dla pracowników – wyjaśnił Virtue. – Ale jemy tutaj, bo stół rodzinny jest trochę niewygodny. A oficjalna jadalnia... – Umilkł, obawiając się, że powiedział coś, czego nie powinien.

– Czyli jesteście superbogaci – odezwała się Penny.

– Nie my, tylko nasi rodzice – odrzekł Virtue.

– Przybrani rodzice – poprawił Sanjit.

– Jennifer i Todd. „J-Todd” – powiedział Caine. – To właśnie oni, prawda?

– Zdaje się, że woleli „Toddifer” – odparł Sanjit.

– No to ile macie jedzenia? – spytał bez ogródek Caine. Nie podobało mu się, że Sanjit nie trzęsie się ze strachu. Diana uświadomiła sobie, że minęło wiele czasu, odkąd ktoś stawiał mu czoło bez lęku. Sanjit nie miał pojęcia, z czym ma do czynienia. No to wkrótce się dowie.

– Choo? Ile mamy jedzenia?

Virtue wzruszył ramionami.

– Jak sprawdzałem, to mi wyszło, że dla nas dwóch wystarczy na jakieś pół roku – powiedział.

– Jest was tylko dwóch? – spytała Diana.

– Myślałem, że J-Todd mieli z dziesięcioro dzieci – wtrącił Robal.

– Pięcioro – odparł Sanjit. – Ale nie wszyscy byliśmy tu na wyspie.

Diana nie uwierzyła mu. Nie uwierzyła już w momencie, gdy wypowiadał te słowa. Zachowała jednak milczenie.

– Diano – odezwał się Caine. – Odczytałaś naszych dwóch nowych przyjaciół?

Zwróciła się do Sanjita.

– Muszę cię potrzymać za rękę. Przez chwilę.

– Po co? – spytał Virtue, stając w obronie brata.

– Umieć sprawdzić, czy nie macie żadnych dziwnych... mutacji – wyjaśniła.

– Jak on – powiedział Sanjit, ruchem głowy wskazując Caine'a.

– Oby nie – odparła. Żołądek już jej się uspokoił i teraz bardzo, bardzo chciała wiedzieć, co jeszcze kryje się za drzwiami spiżarni.

Sanjit podał jej rękę spodem dłoni do góry. Jakby wykonywał gest pokoju. Otwarte ręce. Ale jego oczy nie były ufne.

Diana wyciągnęła dłoń. Jego ręka była nieruchoma. Jej się trzęsła.

Zamknęła oczy i się skupiła. Minęło trochę czasu, odkąd ostatnio to robiła. Próbowwała sobie przypomnieć poprzedni raz, ale jej pamięć wypełniały tylko strzępy wspomnień. Poukładanie ich w sensowną całość zdawało się zadaniem ponad siły.

Na szczęście poczuła, że to działa. Mocno zacisnęła powieki, pełna jednocześnie ulgi i obawy.

– To zero – oznajmiła. A potem zwróciła się do Sanjita:

– Przepraszam. Nie chciałam, żeby tak to zabrzmiało.

– Wcale tak nie pomyślałem – odparł.

– Teraz ty – powiedziała do Virtue.

Tamten wyciągnął rękę jak na powitanie. Palce nieco podkurczone, jakby chciał zacisnąć pięść. Diana wzięła jego dłonie. Coś tam było. Nie dwie kreski, mniej. Zastanawiała się, jaką ten chłopiec ma moc i czy w ogóle zdaje sobie z tego sprawę.

Mutacje występowały z różnym natężeniem i w różnych momentach. Wyglądało na to, że u większości dzieciaków nigdy nie ujawnia się żadna moc. Inne dysponowały mocami,

które wydawały się absurdalne. Tylko dwa razy Diana wykryła dwie kreski: u Caine'a i u Sama.

– Jedna kreska – powiedziała Caine'owi.

Ten skinął głową.

– No, to i dobrze i źle. Źle, bo gdybyś miał jakąś sensowną moc, mógłbyś mi się przydać. A dobrze, bo skoro jej nie masz, nie muszę tobą przejmować.

– Brzmi to dość głupio – ocenił Sanjit.

Robal i Penny popatrzyli z niedowierzaniem.

– Znaczy, brzmi dobrze, ale jeśli się zastanowić, nie ma sensu – powiedział Sanjit. – Gdybym miał tę moc, o której mówicie, stanowiłbym zagrożenie. Nie mam, więc nie jestem taki pożyteczny, jaki bym był, gdybym miał. Pożyteczny i groźny, w tym wypadku najwyraźniej na jedno wychodzi.

– Gdy wypowiadał te słowa, jego twarz rozjaśnił szeroki niewinny uśmiech.

Caine odpowiedział uśmiechem. Przypominał jednak w tym momencie rekina, oczywiście pod warunkiem, że Sanjit byłby rybką Nemo.

A jednak nie. W uśmiechu Sanjita krył się cień sprytu. Jakby wiedział, że prowadzi niebezpieczną grę.

Niewielu ludzi miało dość odwagi, by nie cofnąć się przed Caine'em. Diana potrafiła. Ale od dawna wiedziała, że ta umiejętność składa się na urok, który on w niej dostrzega. Potrzebował kogoś, kto nie da się zastraszyć.

W przypadku Sanjita nie mogło się to jednak sprawdzić. Zastanawiała się, czy w jakiś sposób może ostrzec chłopca, że nie ma przed sobą szkolnego osiłka, który najwyżej da mu kopniaka.

W oczach Caine'a dostrzegła niebezpieczny błysk. Wyczuła, że wszyscy wstrzymali oddech, Sanjit także. Wytrzymał jednak spojrzenie tamtego i utrzymał na twarzy swój zaraźliwy uśmiech.

– Przynieś mi jeszcze coś do jedzenia – powiedział w końcu Caine.

– Oczywiście – odrzekł Sanjit. Virtue wyszedł w ślad za nim z pomieszczenia.

– Czuję, że on kłamie – zwrócił się cichym głosem Caine do Diany.

– Większość ludzi kłamie – odparła.

– Ale nie ty, Diano. Nie mnie.

– Pewnie, że nie.

– On coś ukrywa – stwierdził Caine.

W tym momencie Sanjit i Virtue wrócili, niosąc tacę, a na niej puszki brzoskwiń,

pudełko ciemnego chrupkiego pieczywa oraz duże słoiki dżemu i masła orzechowego. Niewyobrażalne bogactwa, znacznie cenniejsze niż złoto.

Cokolwiek Sanjit ukrywa, pomyślała Diana, nie jest to w żadnej mierze tak ważne, jak to, co nam daje.

Jedli, jedli i jedli. Nie dbali o skurcze żołądka. Nie dbali o pulsowanie w głowach. Nie zważali nawet na to, że wyczerpanie dało w końcu znać o sobie i po kolei zaczęły im opadać powieki.

Penny zsunęła się z krzesła niczym nieprzytomny pijak. Diana skierowała zamglony wzrok na Caine'a, by sprawdzić, czy jakoś zareaguje. Ten jednak po prostu oparł głowę na stole.

Robal chrapał.

Popatrzyła na Sanjita, choć nie mogła skupić spojrzenia. Puścił do niej oko.

– Och – mruknęła, a potem skrzyżowała ręce na stole i złożyła głowę.

– Będzie źle, jak się obudzą – stwierdził Virtue. – Może powinniśmy ich zabić.

Sanjit złapał brata i przyciągnął do siebie, by przytulić go w krótkim uścisku.

– Tak. Właśnie. Jesteśmy zdesperowanymi zabójcami.

– My nie, ale Caine może tak. Kiedy się obudzi...

– Podaliśmy im ambien i powinni spać przynajmniej przez jakiś czas. A kiedy się obudzą, będą związani. A nas nie będzie – odparł Sanjit. – Mam przynajmniej taką nadzieję. Z tego, co słyszeliśmy, warto najpierw zgromadzić trochę żywności. A to oznacza wiele kursów w dół i w górę, w dół i w górę.

Virtue przełknął ślinę.

– Naprawdę to zrobisz?

Uśmiech Sanjita. Zniknął.

– Spróbuję, Choo. To wszystko, co mogę zrobić.

Rozdział 35

1 godzina, 27 minut

Sam dotarł wreszcie do celu. Od początku wiedział, że trafi. Droga zajęła mu cały dzień. Słońce zaczynało się już chować za fałszywym horyzontem.

W elektrowni jądrowej w Perdido Beach panowała niesamowita cisza. W dawnych czasach rozbrzmiewał tu bezustanny huk. Jego źródłem nie był sam reaktor, lecz ogromne turbiny, które przetwarzały mocno podgrzaną parę w elektryczność.

Wszystko wyglądało tak jak ostatnio. Dziura wypalona w ścianie nastawni. Rozbite samochody, porzucane tu i ówdzie przez Caine'a albo Dekkę. Ślady bitwy, która rozegrała się zaledwie kilka miesięcy temu.

Wszedł do środka przez halę turbin. Maszyny wielkie jak domy, zwinięty metal obrócony w złom.

Nastawnia też była w takim stanie, w jakim zostawili ją z Caine'em. Drzwi, które Jack wyrwał z zawiasów. Zaschnięta krew, w większości należąca do Brittney, tworzyła łuszczącą się, brązową skorupę na lśniącej podłodze.

Przestarzałe komputery nie działały. Lampki ostrzegawcze i wskaźniki były ciemne, nie licząc niknącego już kręgu światła, wytwarzanego przez jedyną działającą lampę awaryjną. Akumulator wkrótce się jednak wyczerpie.

Nic dziwnego, że Jack odmówił powrotu do tego miejsca. Nie kierował nim strach przed promieniowaniem ani przed duchami. Sam pomyślał, że to widok bezużytecznych maszyn bolał Jacka do samej głębi.

Kroki Sama niosły się cichym echem. Wiedział, dokąd idzie, dokąd musi iść.

Na biurku leżała plakietka, jedna z tych ostrzegawczych plakietek, które zmieniały kolor, gdy poziom promieniowania wzrastał. Sam podniósł ją i popatrzył, niepewny, czy w ogóle go to obchodzi.

Bez względu na ewentualne niebezpieczeństwo postanowił pójść do reaktora.

Słońce przeświecało przez otwór, który Caine wysadził w betonowej komorze osłonowej. Był to jednak słaby blask – promienie słoneczne odbijały się od gór.

Sam podniósł rękę i stworzył kulę światła. Jego oczom nie ukazało się nic z wyjątkiem cieni.

Dotarł na miejsce – dokładnie tam, gdzie Drake pokazał mu, że może się posłużyć reakcją łańcuchową i zabić każdą żywą istotę w ETAP-ie.

Właśnie tutaj Drake podał cenę za odstąpienie od szalonego pomysłu.

Na tej podłodze Sam położył się, by przyjąć chłostę.

Teraz podłogę pokrywał łuszczący się, brązowy brud. Leżało na niej opakowanie po strzykawce z morfiną, którą wkłuła mu Brianna.

Hałas! Sam odwrócił się na pięcie, wznosił ręce i wystrzelił oślepiające promienie światła.

Coś trzasnęło. Strzelił jeszcze raz, poczym przesunął śmiertelny promień z lewa na prawo, powoli omiatając nim pomieszczenie i paląc wszystko po drodze.

Prowadząca na kładkę drabina z hukiem runęła na podłogę. Monitor komputerowy eksplodował niczym przepalona żarówka.

Sam przykucnął w gotowości. Nasłuchiwał.

– Jeśli ktoś tam jest, niech mi lepiej o tym powie – rzucił w stronę cieni. – Bo zabiję.

Żaden głos się nie odezwał.

Sam wytworzył drugą kulę światła i cisnął ją wysoko nad głowę. Teraz cienie przenikały się nawzajem, rzucane przez dwa rywalizujące ze sobą źródła blasku.

Kolejne światło, i następne, i jeszcze jedno. Tworzył je siłą woli i zawieszał w powietrzu niby lampiony. Nikogo jednak nie zobaczył.

Promienie przecięły kable i stopiły konsole z przyrządami. Na podłodze jednak nie dostrzegł żadnego ciała.

– Pewnie szczur – mruknął do siebie.

Trząśł się. Światła nadal nie wystarczały, ciągle było zbyt ciemno. A nawet gdyby było widniej, to coś mogło ukrywać się gdziekolwiek. Zbyt wiele zakamarków, zbyt wiele niezgrabnej maszynerii, zapewniającej kryjówkę.

– Szczur – powtórzył bez przekonania. – Albo coś podobnego.

Ale nie Drake. Drake był w Perdido Beach, jeśli w ogóle istniał gdziekolwiek jeszcze poza przepracowaną wyobraźnią Sama.

Komora reaktora była tylko odrobinę bardziej rozświetlona niż w chwili, w której wszedł do środka. Niczego nie znalazł. Niczego się nie dowiedział.

– Ale zrobiłem tu niezłą demolkę – oznajmił na głos.

I co osiągnął? Nic.

Wsunął dłoń pod koszulkę. Dotknął skóry na ramieniu. Potem klatki piersiowej i brzucha. Palcami obu rąk przeciągnął po bokach i plecach. Świeże rany, wciąż świeże ślady po pejczu Drake'a. Ale gorsze było wspomnienie starych ran.

Był tutaj. Żył. Był ranny, tak, ale jego skóra nie wisiała w strzępach. I naprawdę żył.

– No – odezwał się znowu. – To tyle.

Musiał wrócić do tego miejsca, bo napawało go przerażeniem. Musiał objąć je w posiadanie. Miejsce, w którym błagał o śmierć. A jednak nie umarł tu.

Jedno po drugim zgasił Słoneczka Sammy'ego, aż pomieszczenie rozświetlały tylko słabe, odbite promienie słońca.

Stał przez chwilę z nadzieją, że na zawsze żegna się z tym miejscem.

A potem odwrócił się i odszedł, zmierzając w stronę domu.

Brittney obudziła się, leżąc z twarzą w piasku. Przez jedną straszłą chwilę myślała, że znowu znalazła się pod ziemią.

Bóg ma prawo prosić ją, o co zechce, byle nie o to.

Odwróciła się, zamrugła i ze zdumieniem stwierdziła, że słońce ciągle wisi na niebie.

Leżała nad linią przypływu, o kilka długości ciała od koronkowej morskiej piany. Między nią a wodą coś się znajdowało, jakaś przemoczona bryła wielkości ludzkiego ciała. Do połowy zanurzone w falach, z nogami wyciągniętymi na suchym lądzie, jakby ten ktoś biegł do oceanu, potknął się i utonął.

Brittney wstała. Strzepnęła mokry piasek z przedramion, ale przykleił się do szarego błota, które pokrywało ją od stóp do głów.

– Tanner?

Jej brata nie było jednak w pobliżu. Była sama. I zaczynała trząść się ze strachu. Pierwszy raz, odkąd wyszła z ziemi. Ten strach był mrocznym, pożerającym duszę potworem.

– Czym jestem? – zapytała.

Nie mogła oderwać spojrzenia od ciała. Nie mogła powstrzymać nóg, które podchodziły coraz bliżej. Musiała zobaczyć, chociaż w głębi serca wiedziała, że to, co zobaczy, zniszczy ją.

Stała nad zwłokami. Opuściła wzrok. Koszulka podarta w strzępy. Wzdęte, pokaleczone ciało. Ślady bicza.

Okropny, zwierzęcy odgłos rozdarł jej gardło. Była tam, na piasku, nieprzytomna, gdy to się stało. Leżała tam, tuż obok, gdy demon zaatakował tego nieszczęsnego chłopca.

– Demon – powiedział Tanner, pojawiając się obok niej.

– Nie powstrzymałam go, Tanner. Zawiodłam.

Nic nie powiedział, więc skierowała na niego błagalny wzrok.

– Co się ze mną dzieje, Tanner? Czym jestem?

– Jesteś Brittney, anioł Pana.

– Dlaczego nie powiesz mi prawdy? Wiem, że coś jest nie tak. Czuję to. Nie mówisz mi wszystkiego.

Nie uśmiechnął się. Nie odpowiedział.

– Nie jesteś prawdziwy. Umarłeś i zostałeś pochowany. Ja tylko sobie ciebie wyobrażam.

Popatrzyła na mokry piasek. Prowadziły tu ślady dwóch osób. Jej i tego biednego chłopca leżącego na skraju fal. Były jednak jeszcze jedne ślady, nienależące ani do niej ani do niego. I te ślady nie wiodły dalej przez plażę. Widać je było tylko tutaj. Zupełnie jakby należały do kogoś, kto zmaterializował się z powietrza, a potem zniknął.

Tanner wciąż milczał, więc zaczęła go błagać.

– Powiedz mi prawdę, Tanner. Powiedz mi prawdę. – A potem drżącym szeptem spytała: – Czy ja to zrobiłam?

– Jesteś tutaj, by walczyć z demonem – odparł.

– Jak mam walczyć z demonem, skoro nie wiem, kim albo czym jest, i nie wiem nawet, kim sama jestem?

– Bądź Brittney – odrzekł. – Brittney była dobra, dzielna i pełna wiary. Brittney wezwała Zbawiciela, gdy poczuła się słaba.

– Brittney była... Powiedziałeś „była” – zauważyła.

– Chciałaś prawdy.

– Nadal nie żyję, prawda? – spytała.

– Dusza Brittney jest w niebie – powiedział Tanner. – Ale ty jesteś tutaj. I oprzesz się demonowi.

– Rozmawiam z echem własnego umysłu – mruknęła, nie do niego, lecz do siebie. Uklękła i położyła dłoń na mokrej, rozczochranej głowie. – Bądź błogosławiony, biedaku.

Wstała. Odwróciła się do miasta. Pójdzie tam. Wiedziała, że demon też tam podąży.

Mary szykowała plan pracy na następny tydzień w swoim małym, zagraconym biurze. John stał w drzwiach.

Na placu zaczynali gotować jedzenie. Mary czuła zapach pożywienia pomimo wiecznie unoszącego się tu odoru moczu, kału, farb do malowania palcami, plasteliny i brudu.

Przypalone, chrupkie mięso. Musiała trochę go zjeść i to publicznie. Inaczej wszyscy będą na nią patrzeć, wytykać palcami i szeptać: „anorektyczka”. Stuknięta.

Nie zrównoważona. Już nie Mateczka Mary, tylko stuknięta Mary. Mary bez leków. Albo: Mary na zbyt wielu lekach. Teraz już wszyscy wiedzieli, dzięki Astrid. Wszyscy wiedzieli. Wszyscy to sobie wyobrażali Mary szukającą prozaku i zolofu niczym Gollum goniący za pierścieniem. Wtykając palec do gardła, by wymiotować jedzenie, choć normalni ludzie musieli jeść robaki.

A teraz uważali jeszcze, że dała się nabrać jakiejś oszustce. Że Orsay zrobiła z niej idiotkę. Podejrzewali ją o skłonności samobójcze. Albo o coś jeszcze gorszego.

– Mary – odezwał się John. – Jesteś gotowa?

Jej młodszy brat był taki uroczy. Jej młodszy brat, kłamca, taki miły i troskliwy. Oczywiście. Nie chciał sam zajmować się wszystkimi tymi dziećmi.

– Ładnie pachnie to jedzenie, co? – spytał.

Pachniało jak zjełczały tłuszcz. Przyprawiało ją o mdłości.

– Tak – odparła.

– Mary.

– Co? – warknęła. – Czego ode mnie chcesz?

– Ja... Słuchaj, przepraszam, że skłamałem. No, na temat Orsay.

– Prorokini, chciałeś powiedzieć.

– Nie sądzę, żeby była prorokiem – odparł zwieszając głowę.

– Czemu, bo nie zgadza się z Astrid? Bo nie uważa, że musimy siedzieć tu w pułapce?

Podszedł bliżej. Położył jej dłoń na ramieniu. Strąciła ją.

– Obiecałaś mi, Mary – powiedział błagalnym tonem.

– A ty mnie okłamałeś – odparła.

W oczach brata dostrzegła łzy.

– Twoje urodziny, Mary. Za godzinę. Nie powinnaś tracić czasu na plan, powinnaś się szykować. Musisz mi obiecać, że nie zostawisz mnie ani tych dzieci.

– Już ci obiecałam – odparła. – Chcesz powiedzieć, że kłamię?

– Mary... – prosił John, lecz brakowało mu słów.

– Przygotuj dzieci do wyjścia – powiedziała. – Przyrządzają jedzenie. Musimy wziąć porcje dla maluchów.

Rozdział 36

47 minut

Wieść o plenerowej kuchni rozniosła się. Tak naprawdę nie było to jednak konieczne. Wystarczył sam zapach. Albert zorganizował wszystko z właściwą sobie zaradnością.

Astrid siedziała na schodach ratusza. Mały Pete przysiadł kilka stopni za nią, tak zaangażowany w grę, jakby grał o życie.

Dziewczyna nerwowo przełknęła ślinę. Wygładziła dwie kartki papieru, które ścisnęła w rękach. Wcześniej mięła je bezwiednie i teraz, uświadomiwszy sobie, co robi, starała się je wygładzić. Z tylnej kieszeni wyjęła długopis, naskrobała kilka słów, przepisała je jeszcze raz, po czym ponownie rozpoczęła cały rytuał zgniatania i prostowania.

Albert stał w pobliżu i obserwował cały plac, złożony ręce na piersi. Jak zwykle był najschludniejszy, najczystszy, najspokojniejszy i najbardziej skupiony spośród obecnych. Astrid zazdrościła mu tego: wyznaczał sobie cel i najwyraźniej nigdy nie miał najmniejszych wątpliwości. Czowała wręcz do niego żal, że przyszedł do niej i nakazał, by przestała uważać się nad sobą i wzięła się w garść.

A jednak jego zachowanie poskutkowało. Zrobiła wreszcie to, co powinna. Poczowała znów nadzieję. Nie pokazała jeszcze nikomu rezultatów swojej pracy. Bala się, że uznają ją za wariatkę. Liczyła jednak, że tak się nie stanie, bo mimo wszystkich wątpliwości wobec siebie samej, mimo nadużyć, z którymi miała do czynienia, wciąż uważała, że ma rację. ETAP nie mógł polegać tylko na tym, że Albert zarabiał pieniądze, a Sam miał postrach. ETAP potrzebował zasad, przepisów i praw.

Przychodziły kolejne dzieciaki, zwabione zapachem mięsa. Na osobę wypadało naprawdę niewiele, Albert od razu o tym uprzedził, ale po pożarze, gdy wiele dzieciaków straciło swoje skromne zapasy, i przy braku dostaw z pól, perspektywa każdego posiłku sprawiała, że w brzuchach burczało i ciekła ślinka.

Albert miał w gotowości strażników, czterech swoich ludzi, uzbrojonych w kije bejsbolowe, które w ETAP-ie stanowiły podstawową broń. Dwóch chłopaków od Edilia oraz on sam chodzili zaś z karabinami przewieszonymi przez ramię.

Astrid nie widziała w tym już nic niezwykłego. Dziewięciolatek w łańchmanach, popijający szkocką z butelki wraz z jedenastolatkiem z ogoloną głową i peleryną, zrobioną z oliwkowego prześcieradła. Dzieci o zapadniętych oczach. Dzieci z otwartymi ranami, nieopatrzonymi, niemal niezauważanymi. Chłopcy ubrani tylko w bokserki i buty.

Dziewczynki w połyskujących sukniach wieczorowych swoich matek, skróconych nierównymi cięciami nożyczek. Dziewczyna, która sama próbowała usunąć sobie klamerki ortodontyczne przy użyciu kombinerek i teraz nie mogła zamknąć ust z powodu postrzępionych kawałków drutu, sterzących spomiędzy zębów.

I jeszcze broń. Wszędzie broń. Noże, od dużych noży kuchennych, zatkniętych za pas, po myśliwskie w ozdobnych skórzanych pochwach. Łomy. Kawałki rur z obwiązanymi taśmą uchwytami i paskami do przerzucania przez ramę. Niektórzy wykazali się jeszcze większą pomysłowością. Astrid widziała siedmiolatka, niosącego drewnianą nogę od stołu, do której przykleił duże odłamki potłuczonego szkła.

To wszystko stało się normalne.

Tutaj właśnie kojoty zaatakowały krzyczące, bezbronne dzieci. Po tym zdarzeniu zmienił się stosunek wielu osób do broni.

W tym samym jednak czasie dziewczynki nosiły lalki. Chłopcy wtykali sobie zabawkowe figurki do tylnych kieszeni. Poplamione, podarte i zniszczone komiksy wciąż sterzały zza pasków albo tkwiły w dłoniach o paznokciach długich i brudnych niby wilcze pazury. Niektóre dzieci pchały wózki niemowlęce, wyładowane skromnym dobytkiem.

Dzieciaki z Perdido Beach nawet w lepszych czasach nie grzeszyły czystością. Ale wskutek pożaru sytuacja znacznie się pogorszyła. Dzieci wciąż chodziły czarne od sadzy i szare od popiołu.

Najczęściej rozbrzmiewającym odgłosem był kaszel. Grypa, która panowała wokół, po prostu musiała rozprzestrzenić się w tym tłumie, pomyślała ponuro Astrid. Płuca, uszkodzone wdychaniem dymu, będą szczególnie wrażliwe.

Ale przynajmniej ciągle żyli, powiedziała sobie. Mimo wszystkich przeciwności żyło ponad dziewięćdziesiąt procent osób, które znalazły się w pułapce ETAP-u na samym początku.

Mary wyprowadziła przedszkolaki na plac. Astrid przyjrzała się jej. Mary wyglądała zupełnie normalnie. Złapała małą dziewczynkę, która omal nie weszła w drogę chłopakowi na deskorolce.

Czyżby myliła się co do niej? Mary nigdy jej nie wybaczy.

– No i co z tego? – mruknęła znużonym tonem. – W sumie nigdy nie byłam zbyt lubiana.

A potem na plac z przeciwległej strony wszedł Zil wraz z kilkusobową załogą. Astrid zacisnęła szczęki. Czy tłum zwróci się przeciwko nim? Miała niemal taką nadzieję. Wielu uważało, że skoro nie pozwoliła Samowi rozprawić się z Zilem, widocznie tak naprawdę nie

pogardza przywódcą Ekipy Ludzi. Mylili się. Nienawidziła Zila. Nienawidziła wszystkiego, co zrobił, i wszystkiego, co próbował zrobić.

Edilio stanął szybko pomiędzy Zilem a kilkoma chłopakami, którzy ruszyli w jego stronę, trzymając kije i noże w pogotowiu. Ludzie Zila uzbrojeni byli w noże i pałki, podobnie jak ci, którzy ruszyli im naprzeciw. Edilio miał karabin automatyczny.

Astrid nie mogła pogodzić się z faktem, że do tego często sprowadza się życie: moja broń jest większa od twojej.

Gdyby Sam był tutaj, o wszystkim zdecydowałyby jego ręce. Każdy albo widział, co sam potrafi, albo słyszał bogate w barwne szczegóły opowieści. Nikt nie rzucał wyzwania Samowi.

– Właśnie dlatego jest niebezpieczny – mruknęła do siebie.

Ale to dzięki temu kilka razy zachowała życie. I ona i mały Pete.

Nie cierpiała teraz Sama za to, że po prostu się wycofał. Że zniknął. Był to przejaw biernej agresja niegodnej kogoś takiego jak on.

Ale jakaś inna jej część cieszyła się, że odszedł. Gdyby tu był, wszystko kręciłoby się wokół niego. Reakcja na każde jej słowo zależałaby od tego, co Sam zrobi i powie. Dzieciaki doszukiwałyby się wskazówek w wyrazie jego twarzy, czekając, czy skinie głową, czy się uśmiechnie, czy też pośle im zimne, stalowe, ostrzegawcze spojrzenie, którego nauczył się przez ostatnie miesiące.

W tłumie pojawił się Orc. Rozstępowano się, by go przepuścić. Astrid zauważyła Dekkę, jak zawsze pozostawioną przez inne dzieciaki na boku, tak jakby wytwarzała wokół siebie pole siłowe. Jediną osobą, której Astrid brakowało, była Brianna. A ją trudno przecież przeoczyć. Widocznie wciąż czuła się zbyt chora, by wychodzić z domu.

– Już czas – rzucił Albert przez ramię.

– Teraz? – Zdziwiła się.

– Kiedy ich nakarmimy, rozejdą się w różnych kierunkach. Przyszli tutaj i są grzeczni, bo posiłek czeka. Kiedy jedzenia zabraknie...

– Dobra. – Serce podeszło jej do gardła. Znowu zgmiotła papiery i podniosła się zbyt gwałtownie.

– Jak Mojżesz, nie? – powiedział.

– Co?

– Jak Mojżesz, schodzący z góry z Dziesięciorgiem Przykazań – wyjaśnił.

– Przykazania napisał Bóg – odparła. – A tego nie.

Schodząc po schodach, potknęła się lekko, ale odzyskała równowagę. Nikt nie zwrócił

na nią szczególnej uwagi, gdy weszła w tłum. Jakiś dzieciak krzyknął coś na powitanie. Wiele innych wygłaszało niegrzeczne lub nawet wrogie uwagi pod jej adresem. Większość skupiła uwagę na małych ogniskach, gdzie na roznach, zrobionych z drucianych wieszaków do ubrań, piekła się dziczyzna i kawałki ryby.

Dotarła do fontanny, która znajdowała się na tyle blisko ognisk, że dzieciaki zauważyły, jak wspięła się na nią i rozwinęła papiery.

– Uwaga, wszyscy... – zaczęła.

– Oj, prooszę, tylko nie jakaś mowa – przerwał jej jakiś głos.

– Mam... hm... do powiedzenia tylko parę rzecz. Zanim zaczniecie jeść – powiedziała.

Podniósł się jęk. Ktoś podniósł grudkę ziemi i cisnął nią w Astrid, niecelnie i bez specjalnego zaangażowania. Orc zrobił dwa kroki, odsuwając przy tym w bok kilkoro dzieciaków, i wydał przeciągły warkot, robiąc przerażającą minę do winowajcy. To zakończyło rzucanie ziemią.

– Mów dalej, Astrid – zadudnił Orc.

Zauważyła skrywany uśmiech Edilia. Dawno, dawno temu, jeszcze w poprzednim życiu, pomagała Orkowi w nauce.

– Dobra – zaczęła znowu. Głęboko zaczerpnęła powietrza, próbując się uspokoić. – Ja... Dobra. Kiedy zaczął się ETAP, życie nas wszystkich się zmieniło. I do tamtej pory staramy się tylko jakoś ciągnąć dalej, dzień po dniu. Mieliśmy szczęście, bo niektórzy bardzo ciężko pracowali i podejmowali wielkie ryzyko, by pomóc nam przetrwać.

– Możemy już jeść? – zawołał jakiś malec.

– Wszyscy koncentrowaliśmy się na przetrwaniu i na tym, co straciliśmy. Teraz pora zacząć pracować nad przyszłością. Bo spędzimy tu trochę czasu. Może nawet resztę życia.

W tym momencie z tłumy padło kilka bardzo ostrych słów, ale Astrid kontynuowała.

– Potrzebujemy zasad, przepisów praw – powiedziała. – Bo musimy zaprowadzić sprawiedliwość i spokój.

– Ja chcę tylko jeść! – zawołał jakiś głos.

Astrid parła dalej.

– Wszyscy możecie nad tym głosować. Spisałam listę praw. Staralam się, żeby były proste.

– Pewnie, bo jesteśmy za głupi – odezwał się Howard, który nagle znalazł się tuż obok niej.

– Nie, Howard. Jeśli ktoś był głupi, to ja. Ciągle szukałam doskonałego systemu, takiego, który nikomu by nie szkodził.

To przyciągnęło uwagę kilku osób.

– Nie ma doskonałego systemu. Spisałam więc te niedoskonałe prawa.

– Zasada numer jeden: każdy z nas ma prawo być wolny i robić co chce, dopóki nie krzywdzi innych.

Zaczekała. Nikt się nie wtrącił. Nawet Howard.

– Dwa: nie wolno robić nikomu krzywdy, chyba że w obronie własnej.

Słuchali jej ponuro. Nie wszyscy. Ale część tak. Z każdym zdaniem coraz więcej.

– Trzy. Nikt nie ma prawa zabierać rzeczy, należących do kogoś innego.

– Nie, żeby było specjalnie co zabierać – powiedział Howard, ale go uciszono.

– Cztery. Wszyscy jesteśmy równi i mamy dokładnie te same prawa. Zarówno odmieńcy, jak i normalni.

Dostrzegła błysk gniewu na twarzy Zila. Rozglądał się dookoła, jakby mierzył temperaturę tłumu. Zastanawiała się, czy wykona ruch teraz, czy poczeka na inną okazję.

– Pięć. Każdy kto popełni przestępstwo, czyli dopuści się kradzieży albo zrobi komuś krzywdę, zostanie oskarżony i stanie przed sześciuosobowym sądem.

Część zgromadzonych znowu zaczęła tracić zainteresowanie i z ukosa zerkać na jedzenie. Pozostali czekali jednak cierpliwie, a nawet z pewnym szacunkiem.

– Sześć. Kłamstwo przed sądem to przestępstwo. Siedem. Kary mogą być różnorodne, od grzywny, przez więzienie na okres miesiąca lub więcej, aż po bezterminowe wygnanie z Perdido Beach.

Większości się podobało. Było trochę wygłupów, dzieciaki wytykały się nawzajem palcami, przepychały, na ogół radośnie.

– Osiem. Co sześć miesięcy będziemy wybierać nową radę miejską. Rada nie może jednak zmienić tych dziewięciu zasad.

– Skończyliśmy? – spytał Howard.

– Jeszcze jeden punkt. Dziewiąty – odparła. – I co do niego mam największe wątpliwości. W pewnym sensie nie podobają mi się same jego założenia. Ale nie wiem, jak to ominąć. – Zerknęła na Alberta, a potem skinęła głową Quinnowi, który zmarszczył brwi i wydawał się zmieszany.

To w końcu przyciągnęło uwagę wszystkich.

Złożyła kartkę i wepchnęła ją do kieszeni.

– Wszyscy muszą przestrzegać tych zasad. Normalni i odmieńcy. Zwykli obywatele i członkowie rady. Z wyjątkiem...

– Z wyjątkiem Sammy'ego? – podsunął Howard.

– Nie! – warknęła. Po chwili ciągnęła już spokojniejszym tonem, nie dając się sprowokować. – Nie z wyjątkiem Sama. Z wyjątkiem sytuacji wyjątkowej. Rada będzie miała prawo zawiesić pozostałe zasady na okres dwudziestu czterech godzin w wypadku sytuacji wyjątkowej. W takiej sytuacji rada może wyznaczyć jakąś osobę albo grupę osób, które przyjmą funkcję Obrońców Miasta.

– Sammy – powiedział Howard. Zaśmiał się cynicznie.

Astrid nie zwróciła na niego uwagi, zamiast tego skupiając uwagę na Zilu.

– I jeśli myślisz, że chodzi tu o ciebie, proszę bardzo, myśl tak.

Potem podniosła głos.

– Wszyscy będziecie mogli to przegłosować, ale teraz, tymczasowo, to prawo wejdzie w życie, gdy tylko opowie się za nim większość rady.

– Ja głosuję na tak – powiedział szybko Albert.

– Ja też – zawołał Edilio z tłumu.

Howard przewrócił oczami. Zerknął na Orka, który skinął głową. Howard westchnął teatralnie.

– Dobra, niech będzie.

– Okej – powiedziała Astrid. – Razem z moim głosem cztery na siedem. A więc takie jest Prawo Perdido Beach. Prawo ETAP-u.

– Możemy już jeść? – spytał Howard.

– Jeszcze tylko jedno – odrzekła. – Okłamywałam ludzi. I nakłaniałam innych do kłamstwa. To nie łamie żadnej z tych zasad, ale i tak jest złe. W rezultacie trudno, żebym liczyła na wasze zaufanie. Dlatego rezygnuję z uczestnictwa w radzie miasta. Z natychmiastowym skutkiem.

Howard zaczął klaskać – powoli i ironicznie. Roześmiała się. Nie zabolalo jej to. Właściwie miała ochotę dołączyć się do niego. Wreszcie mogła spojrzeć na siebie z dystansu i zobaczyć osobę piskliwą, władczą i nieco śmieszna.

O dziwo, poczuła się z tym lepiej.

– A teraz zjedzmy coś – powiedziała. Zeskoczyła z fontanny i naprawdę poczuła się lżej, gdy wylądowała. Jakby jeszcze przed chwilą ważyła dwieście kilogramów, a teraz stała się lekka i zwinna jak gimnastyczka. Poklepała Howarda po ramieniu i podeszła do Alberta, który powoli kręcił głową.

– Ładnie – stwierdził Albert. – Potrafiłaś zrezygnować.

– Tak. No i chyba potrzebuję teraz pracy – odparła. – Masz jakąś posadę?

Rozdział 37

33 minuty

– Wcale nie zmoczyłem łóżka – powiedział Justin. – To znaczy w moim domu.

Mary nie zwróciła na niego uwagi. Zamiast tego patrzyła na występ Astrid. Czowała gorycz. Oczywiście Astrid znalazła wyjście z bagna, w które sama się wpakowała. Taka mądra i piękna. To na pewno wspaniale, być taką Astrid. Mieć tyle pewności siebie, żeby po prostu wyjść, przedstawić listę zasad, a potem beztrąsko odejść, z wysoko uniesioną, śliczną głową.

– Mogę iść spotkać się z Rogerem, jak już zjemy?

– Jak sobie chcesz – powiedziała Mary. Niedługo znajdzie się daleko stąd. Będzie miała z głowy to okropne miejsce i tych okropnych ludzi. Będzie siadywała z mamą na dworze i opowiadała jej o wszystkim.

Astrid ustawiła się razem z małym Pete'em w kolejce po jedzenie. Dzieciaki klepały ją po plecach. Uśmiechały się do niej. Lubiły ją bardziej niż w przeszłości. Dlaczego? Bo przyznała, że zawaliła sprawę, a potem zrezygnowała, pozostawiając im nowy zestaw zasad.

Na swój sposób Astrid zrobiła wypad, pomyślała Mary.

Ile minut zostało jeszcze do chwili, gdy stanie przed własną szansą ucieczki? Wyciągnęła z kieszeni zegarek Francisa. Pół godziny. Po długim nerwowym oczekiwaniu wciąż miała wrażenie, że czas ją pogania.

John patrzył na nią, gdy kierowała dzieci na przód kolejki. Czegoś się po niej spodziewał. Tak jak wszyscy pozostali.

Mary powinna sama stanąć w kolejce, ma się rozumieć, zdemaskować kłamstwo Astrid, która nazwała ją anorektyczką. Ale czy tak naprawdę musiała coś komuś udowodniać?

Nie zwracała uwagi na Johna, który do niej pomachał, nie zwracała uwagi na dzieciaki wokół siebie, tylko ruszyła z powrotem do przedszkola.

Było tam cicho i pusto.

To było całe jej życie, odkąd zaczął się ETAP. Całe życie. Ta brudna, cuchnąca, posępna dziura. Rozejrzała się dookoła. Nienawidziła tego miejsca. Nienawidziła też siebie, za to, że pozwoliła, by to ono ją określiło.

Nie usłyszała nikogo za plecami. Ale wyczuła obecność.

Po karku przeszły jej ciarki.

Mary odwróciła się. Tam. Za mleczną, przejrzystą folią, która przykrywała poszarpany

otwór pomiędzy przedszkolem a sklepem z narzędziami. Kształt. Postać.

Zaschło jej w ustach. Serce jej waliło.

– Gdzie one są, Mary? – spytał Drake. – Gdzie te zasmarkane małe potwory?

– Nie – szepnęła.

Drake z zainteresowaniem oglądał krawędź pustaka.

– To było sprytne, co zrobił Sam. Przepalił ścianę. Nie spodziewałem się tego.

– Ty nie żyjesz – powiedziała.

Trzasnął swoją ręką o kształcie bicz. Rozdarł folię od góry do dołu.

Wszedł do środka. Do sali, w której wraz z kojotami groził dzieciom śmiercią. Na pewno Drake. Nikt inny nie miał takich oczu. Nikt inny nie miał ręki o kształcie pytona i barwie zaschniętej krwi.

Był brudny, na tym polegała jedyna różnica. Twarz miał umazaną błotem. Błoto we włosach. Błoto na ubraniu. A bicz wił się, jakby żył własnym życiem.

– Wyjdź stąd – szepnęła.

Co się stanie, jeśli umrze tutaj, w ETAP-ie? Nie. Musiała uciec. I musiała ocalić dzieci. Musiała. Nie miała wyboru. Była głupia, gdyby choć pomyślała, że go ma.

– Chyba poczekam, aż dzieciaki wrócą. Wyszczrzył się w swoim wilczym uśmiechu i Mary dostrzegła błoto między jego zębami. – Pora skończyć to, co zacząłem.

Wtedy Mary zmoczyła się. Czowała to. Ale nie mogła się powstrzymać.

– Idź – rzucił. – Idź po nie. Przyrowadź je tutaj.

Pokręciła powoli głową, mięśnie miała jak z waty.

– Idź! – ryknął Drake.

Wystrzelił pejcz. Koniuszek nakreślił ognistą linię na jej policzku, gdy uciekała z pomieszczenia.

Zil był rozdarty, niezdecydowany. Astrid wprost mu zagroziła. Dziewiąta zasada? Nawet nie udawała, że nie dotyczyła jego. Zwróciła na niego swoje lodowate błękitne oczy i zagroziła mu. Astrid! Ta zdrajczyni, miłośniczka odmieńców!

Przedstawiła swoje prawo, sformułowała groźbę, a teraz wszyscy jedli ryby i dziczyznę, rozmawiając przy tym o wprowadzonych przez Astrid zasadach.

Wczoraj Zil spalił dużą część miasta. Skutkiem miał być chaos. Teraz jednak Albert wydawał mięso, Astrid zaś wydawała prawa, zupełnie jakby Zil nic nie zrobił, jakby nie budził żadnego lęku ani respektu. Jakby był nikim.

Groziła mu! A jeśli Sam postanowi znowu się pojawić...

– Przywódco, może lepiej wróćmy na nasz teren – zasugerował Lance.

Zil popatrzył na niego ze zdumieniem. Lance proponował, żeby dali nogę? Sprawy musiały mieć się gorzej, niż przypuszczał, skoro nawet Lance się bał.

– Nie – zaproponował Turk, choć niezbyt głośno ani zdecydowanie. – Jeśli uciekniemy, będzie po nas. Będziemy tylko czekać, aż Sam przyjdzie i nas wykończy.

– Ma rację – odezwał się dziewczęcy głos.

Zil odwrócił się na pięcie i ujrzał ciemnowłosą, ładną dziewczynę, której jednak nie znał. Nie należała do Ekipy Ludzi. Należało ją spławić, polecić, żeby nie wazyła się do niego odzywać. Był Przywódcą. Ale było w niej coś takiego...

– Kim jesteś? – spytał, podejrzliwie mrużąc oczy.

– Nazywam się Nerezza – odparła.

– Dziwne imię – skomentował Turk.

– To prawda – przyznała. Uśmiechnęła się. – Włoskie. Oznacza „ciemność”.

Lisa stała za Nerezzą, tak że Zil widział je obie. Porównanie nie działało na korzyść Lisy. Nerezza zdawała się tym piękniejsza, im dłużej się na nią patrzyło.

– Ciemność – powtórzył.

– Mamy coś wspólnego – powiedziała.

– Wiesz, co znaczy Zil? – spytał ze zdumieniem.

– Wiem, co to ciemność – odrzekła. – I wiem, że czas nadchodzi.

Zil uświadomił sobie, że aż wstrzymał oddech.

– Nie rozumiem.

– Zacznie się już niedługo – powiedziała. – Wyślij tego – głową wskazała Lance'a – żeby przyniósł waszą broń.

– Idź – nakazał Lance'owi Zil.

Nerezza przechyliła lekko głowę i popatrzyła na niego z zaciekawieniem.

– Jesteś gotowy, żeby zrobić, co trzeba?

– A co trzeba zrobić? – spytał.

– Zabijać – odparła. – Rozpalenie ognia to za mało. Płomienie trzeba nakarmić ciałami.

– Tylko odmieńców – zastrzegł.

Parsknęła śmiechem.

– Mów sobie, co chcesz, jeśli to cię uszczęśliwi – powiedziała. – Ta gra to chaos i zniszczenie, Zil. Zagraj w nią i wygraj.

Edilio zobaczył Nerezzę z Zilem. Nie słyszał, co mówią. Ale umiał odczytać mowę ciała.

Coś tu było nie tak. Zil wyglądał jak urzeczony. Nerezza wydawała się flirtować.

Gdzie się podziała Orsay? Nigdy nie widział Nerezzy bez Orsay. Były nierozłączne.

Lance oddalił się w stronę terenu Zila.

Edilio zerknął na Astrid, lecz ona nie zwracała uwagi na tę sytuację. Jej braciszek trzymał kawałek ryby w jednej ręce i swoją grę elektroniczną w drugiej. Gapił się na Edilia, jakby nigdy wcześniej go nie widział i był zaskoczony tym, co teraz widzi. Zmarszczył brwi. Upuścił resztkę ryby i znowu zajął się grą.

Nagle rozległ się krzyk. Poniósł się ponad gwarem i szumem zajadających dzieciaków. Edilio błyskawicznie odwrócił głowę.

Z przedszkola wybiegła Mary. Wykrzykiwała jedno słowo – imię.

– Drake! Drake!

Potknęła się i twarzą w dół runęła na beton. Podźwignęła się na kolana i uniosła podrapane, zakrwawione dłonie. Edilio pognał w jej stronę, odpychając dzieciaki, które stały mu na drodze, nie siląc się przy tym na delikatność.

Na twarzy Mary widniała jasnoczerwona linia. Flamaster? Farba?

Krew.

– Drake! Jest w przedszkolu! – krzyknęła, gdy Edilio znalazł się przy niej. Nawet się nie zatrzymał, tylko przemknął obok, w biegu zdejmując karabin z ramienia.

Ktoś wychodził z przedszkola. Edilio zwolnił, uniósł broń, wycelował. Da Drake'owi tylko jedną szansę na kapitulację. Policzy do trzech. A potem naciśnie spust.

To Brittney!

Opuścił lufę. Popatrzył ze zdziwieniem. Czyżby Mary postradała zmysły? Pomyliła martwą dziewczynę z martwym potworem?

– Czy Drake jest w środku? – spytał.

Brittney zmarszczyła czoło, wyraźnie zagubiona.

– Czy Drake jest w środku? Jest tam? Mów!

– Demona tam nie ma – odparła. – Ale jest w pobliżu. Wyczuwam go.

Edilio zadrżał. Jej klamerki na zębach wciąż były upačkane błotem i maleńkimi kawałeczkami żwiru. Minął ją i stanął przed drzwiami przedszkola. Usłyszał, że dwaj z jego żołnierzy spieszą za nim.

– Zostańcie, dopóki was nie zawołam – rozkazał. Ramieniem otworzył drzwi, po czym obrócił lufę w lewo i w prawo.

Nic. Pusto. Mary zobaczyła ducha. Albo, co bardziej prawdopodobne, traciła rozum, tak jak powiedziała Astrid. Za dużo stresu, za dużo problemów, żadnej taryfy ulgowej. Po prostu traciła rozum.

Edilio nerwowo wypuścił powietrze z płuc. Opuścił broń. Palec drżał mu na spuście. Ostrożnie go wyprostował i oparł na osłonie.

Potem zobaczył foliową płachtę, rozciętą na pół.

– Mary – zaczęła Nerezza. – Tu się zdarzą straszne rzeczy, i to niedługo.

Mary nie patrzyła na nią, tylko obok. Wzrokiem przeszukiwała tłum. Dostrzegła wychodzącego z przedszkola Edilia. Wyglądał, jakby zobaczył ducha.

– Demon się zbliża – ciągnęła natarczywym tonem Nerezza. – Wszystko stanie w ogniu. Wszystko ulegnie zniszczeniu. Musisz zabrać dzieci w bezpieczne miejsce!

Mary bezradnie pokręciła głową.

– Mam tylko... Kończy mi się czas.

Nerezza położyła jej dłoń na ramieniu.

– Mary, wkrótce będziesz wolna. Znajdziesz się w ramionach swojej kochanej mamy.

– Proszę – powiedziała błagalnym głosem Mary.

– Ale musisz jeszcze wypełnić jeden obowiązek: nie wolno ci zostawić tych dzieci na pastwę szaleństwa, które się zbliża!

– Co mam zrobić?

– Zaprowadź je teraz do Prorokini. Czeka tam, gdzie zwykle. Zabierz tam dzieci. Na klif nad plażą.

Mary zawahała się.

– Ale... nie mam tam dla nich jedzenia... Nie będę miała pieluch... Nie...

– Będzie tam wszystko, czego potrzebujesz. Zaufaj Prorokini, Mary. Uwierz w nią.

Mary usłyszała straszliwy krzyk. Wycie strachu, przerażającego się w mękę. Dochodziło z przeciwnej strony placu, znajdującej się poza polem widzenia.

Dzieci uciekały. Ogarnęła je panika.

– ETAP dla ludzi! – wrzasnął Zil.

Huknął strzał. Mary widziała, jak maluchy kulą się w przerażeniu.

– Dzieci! – nakazała. – Chodźcie. Za mną!

Dzieci, które straciły rodziców i dziadków, kolegów, szkołę i kościół. Porzucone, zaniedbane, wygłodniałe i zalęknione, nauczyły się ufać tylko jednemu głosowi: Mateczki

Mary.

– Chodźcie ze mną, dzieci!

Ruszyły do niej. A Mary, niczym potykający się pasterz, poprowadziła je jak najdalej od placu, w kierunku plaży.

Brittney przyszła na plac, przyciągnięta nie zapachem jedzenia ani obecnością tłumu, ale siłą, której nie pojmowała.

Teraz zobaczyła biegające i krzyczące dzieci.

– Czy to demon? – zwróciła się do swojego anielskiego brata.

– Tak – odrzekł Tanner. – Ty nim jesteś.

Zobaczyła, że dzieci uciekają. Uciekają? Przed nią?

Dostrzegła Edilia o twarzy zastygłej w maskę przerażenia, który wyszedł z przedszkola i szedł w jej stronę. Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, których białka aż świeciły.

Nie rozumiała, dlaczego miałby się jej bać. Była aniołem Pana. Wysłanym do walki z demonem.

Przekonała się jednak, że nie może się ruszyć. Nie mogła zmusić swoich nóg, by niosły ją tam, gdzie chciała ani spojrzeć tam, gdzie pragnęła. Pomyślała, że to zupełnie jak nie żyć, a wspomnienie zimnej ziemi odezwało się w jej uszach i ustach.

Edilio w nią wycelował.

Nie, chciała zawołać. Nie. Ale nie mogła wydobyć z siebie słowa.

– Drake – powiedział Edilio.

Zastrzeli ją. Będzie bolało? I czy po tym umrze? Znowu?

Ale tłum uciekających dzieci wpadł między nich. Edilio wzniosł karabin ku niebu.

– Uciekaj – ponaglił ją Tanner.

Rzuciła się do ucieczki. Ciężko się jednak biegło, gdy jej ręka wydłużała się wciąż, a jej świadomość kurczyła się, bo inny umysł spychał ją na margines.

Astrid widziała i słyszała panikę. Widziała maluchy, uciekające wraz z Mary, spanikowaną zbieraninę potykających się, krzyczących przedszkolaków, niemowlęta w ramionach pomocników Mary. Wszyscy pędzili w kierunku plaży.

Zbyt wiele obrazów w polu widzenia, by mózg je wszystkie ogarnął.

Ził ze strzelbą w dłoniach, mierzący w powietrze.

Edilio wychodzący z przedszkola z bronią w ręku.

Spokojny uśmiech Nerezy.

Brittney, odwrócona do niej plecami.

Mały Pete, grający na swojej kieszonkowej konsoli z gorączkową zaciekłością. Palce poruszające się jak w amoku, jakby nigdy wcześniej nie grał.

Wreszcie Nereza, przemieszczająca się szybko prosto w jej stronę, zdeterminowana. Trzymała coś w ręce. Łom. Czyżby chciała ją zaatakować? To jakiś obłąd! I wtedy tamta wzniosła łom i uderzyła z nagłą, szokującą siłą. Mały Pete runął na swoją grę, nie wydając żadnego dźwięku. Nereza nachyliła się, szarpnęła chłopca i przewróciła go na plecy.

– Nie! – krzyknęła Astrid.

Nereza zdawała się jednak nie słyszeć. Znowu podniosła łom, tym razem mierząc w Pete'a ostrym końcem.

Astrid wyciągnęła rękę, zbyt powoli, zbyt niezdarnie. Potężny cios żelaznego narzędzia spadł na jej nadgarstek. Ból był porażający. Wydała z siebie krzyk bólu i wściekłości. Nereza jednak w ogóle się nią nie interesowała, odepchnęła ją wolną ręką jak jakąś drobną przeszkodę. Znowu wycelowała łom w chłopca. Tym razem jednak straciła równowagę i nie trafiła. Łom dziabnął ziemię obok jego głowy.

Astrid wstała i odepchnęła tamtą o krok w tył.

– Przestań! – krzyknęła.

Nereza jednak ani myślała przestać. I ani myślała pozwolić sobie na chwilę rozkojarzenia. Atakowała małego Pete'a z fanatycznym skupieniem.

Astrid uderzyła ją najmocniej, jak umiała. Jej pięść trafiła jednak w obojczyk, nie w twarz. Cios był zbyt słaby, by zrobić dziewczynie krzywdę, lecz wystarczył, by znowu spudłowała.

Teraz przynajmniej Nereza zwróciła się z lodowatą wściekłością przeciwko niej.

– Dobra. Chcesz być pierwsza? – Machnęła łomem i uderzyła Astrid w brzuch. Astrid zgięła się w pół, ale ruszyła na nią, z głową opuszczoną na podobieństwo byka, oślepią bolelem.

Uderzyła przeciwniczkę i przewróciła ją na plecy. Łom wyleciał Nerezy z ręki i wylądował w stratowanej trawie.

Nereza błyskawicznie obróciła się, by znowu go złapać. Astrid walnęła ją w tył głowy. A potem drugi raz, i trzeci. Mimo to dłoń dziewczyny znalazła się ledwie o centymetry od narzędzia.

Astrid rzuciła się na plecy przeciwniczki, spowalniając jej ruchy swoim ciężarem. A potem zrobiła jedyną rzecz, która przysła jej do głowy: ugryzła Nerezę w ucho.

Rywalka zawyła z bólu. Żaden dźwięk nie sprawił Astrid takiej satysfakcji.

Zacisnęła zęby najmocniej, jak potrafiła, i zaczęła szarpać głową w przód i w tył, rwąc ucho, z ustami pełnymi krwi, tłukąc przy tym pięściami w tył głowy Nerezzy.

Nerezza zacisnęła dłoń na łomie, nie mogła jednak sięgnąć za siebie, by zrzucić Astrid. Waliła na oślep rozdwojoną krawędzią narzędzia. Drasnęła czoło Astrid, ale nie zdołała się jej pozbyć.

Astrid zaplotła palce na jej szyi i ścisnęła, puszczać teraz ucho i wypluwając coś z ust. Całą siłę włożyła w nacisk na tchawicę przeciwniczki.

Czuła puls w jej szyi. I ścisnęła.

Rozdział 38

32 minuty

Sanjit i Virtue nieśli Bowiego na prowizorycznych noszach, które nie były niczym więcej jak tylko rozciągniętym między nimi prześcieradłem.

– Co robimy? – spytała Peace, nerwowo splatając dłonie.

– Wiejemy – odrzekł Sanjit.

– A co to znaczy?

– Że wiejemy? A, to coś, co już parę razy w życiu robiłem – powiedział. – Wszystko sprowadza się albo do walki, albo do ucieczki. Chyba nie chcesz walczyć, co?

– Boję się – jęknęła.

– Nie ma powodu do strachu – zapewnił, z dużym wysiłkiem próbując utrzymać końce prześcieradła w rękach, a jednocześnie idąc tyłem w kierunku urwiska. – Popatrz na Choo. Nie boi się, prawda?

Właściwie to Virtue wyglądał na śmiertelnie przerażonego. Sanjit nie chciał jednak, by Peace straciła głowę. Najstraszniejsze ciągle było przed nimi. Dopiero zaczęli.

– Nie? – powiedziała z powątpiewaniem dziewczynka.

– Uciekamy? – spytała Pixie. W dłoni trzymała foliową torebkę z klockami Lego. Trudno zgadnąć, po co jej były potrzebne, ale wydawała się zdeterminowana, by je zatrzymać.

– Właściwie to mamy nadzieję, że stąd odlecimy – oznajmił pogodnie Sanjit.

– Polecimy helikopterem? – dopytywała Pixie.

Sanjit i Virtue wymienili spojrzenia. Obaj z wysiłkiem podążali naprzód na chwiejnych nogach, potykając się w długiej trawie.

– Czemu uciekamy? – jęknął Bowie.

– Jest przytomny – zauważył Sanjit.

– Tak myślisz? – wydyszał Virtue między kolejnymi haustami powietrza.

– Jak się czujesz, mały? – spytał Sanjit.

– Boli mnie głowa – odparł Bowie. – I chcę wody.

– W samą porę – mruknął Sanjit.

Dotarli do krawędzi klifu. Lina wciąż znajdowała się tam, gdzie zostawili ją poprzedniego dnia.

– Dobra, Choo, ty schodzisz pierwszy. Potem po kolei opuszczę do ciebie maluchy.

– Boję się – powiedziała Peace.

Sanjit opuścił Bowiego na ziemię i zgiął odrętwiałe palce.

– Słuchajcie wszyscy.

Ku jego zaskoczeniu nastawili uszu.

– Słuchajcie: wszyscy się boimy, tak? Nikt nie musi mi o tym przypominać. Wy się boicie, ja się boję, wszyscy się boimy.

– Ty też się boisz? – spytała Peace.

– Jak nie wiem co – odparł. – Ale czasami życie jest ciężkie i straszne, prawda? Wszyscy byliśmy już w strasznych miejscach. Ale jest, jak jest, tak? Jesteśmy tutaj.

– Ja chcę tu zostać – powiedziała Pixie. – Nie mogę zostawić swoich lalek.

– Wrócimy po nie innym razem – zapewnił Sanjit.

Ukląkł, tracąc cenne sekundy, spodziewając się, że ten potworny mutant o zimnych oczach, Caine, lada chwila wyjdzie z domu.

– Dzieciaki, jesteśmy rodziną, prawda? I trzymamy się razem. Tak?

Nikt nie wydawał się tego pewny.

– I razem przetrwamy, tak? – naciskał.

Przeciągłe milczenie. Przeciągłe spojrzenia.

– Zgadza się – przemówił w końcu Virtue. – Nie martwcie się. Będzie dobrze.

Zdawało się, że niemal w to wierzy.

Sanjit żałował, że jemu to nie wychodzi.

Astrid czuła tętnice, żyły i ścięgna pod skórą szyi Nerezy. Czuła pulsującą krew, która próbowała dotrzeć do mózgu Nerezy. Ruchy mięśni. Konwulsyjne skurcze tchawicy. Całe ciało dziewczyny trzęsło się teraz w dzikich spazmach, narządy domagały się tlenu, nerwy drgały, gdy mózg wysyłał gorączkowe, paniczne sygnały.

Uścisk Astrid przybierał na sile. Jej palce wbijały się w skórę tamtej, jakby próbowała zacisnąć pięści, a szyja Nerezy po prostu jej w tym przeszkadzała. Jeśli jednak ściśnie wystarczająco mocno...

– Nie! – wykrzyknęła.

Puściła. Wstała szybko, cofnęła się i patrzyła z przerażeniem na dziewczynę, która dławiała się i chwytiała ustami hausty powietrza.

Na placu były niemal same. Mary biegiem wyprowadziła maluchy, co stanowiło sygnał do wybuchu paniki, która wymiotła stąd niemal wszystkich. Dzieciaki pędziły na

plażę. Astrid widziała plecy uciekających.

A potem zobaczyła charakterystyczną sylwetkę, która podążała za nimi.

To mógł być właściwie ktokolwiek, niemal każdy szczupły chłopak. Gdyby nie bicz, który wił się w powietrzu i oplatał się czule wokół jego ciała, by potem rozwinąć się ze świstem i trzaskiem.

Drake zaśmiał się.

Nerezza wciągnęła powietrza. Mały Pete poruszył się.

Wystrzał. Pojedynczy, donośny huk.

Słońce zachodziło za wodą. Czerwony zachód.

Astrid przeszła nad Nerezzą i odwróciła braciszka. Jęknął. Zamrugał powiekami i otworzył oczy. Jego ręce sięgały już po grę.

Astrid podniosła ją. Była ciepła w jej dłoni. Przyjemne uczucie wywołało dreszcz w jej przedramieniu.

Chwyciła w obolałą pięść przód koszulki małego Pete'a.

– Co to za gra, Petey? – spytała.

Widziała, że oczy zachodzą mu mgłą. To była bariera, która odgradzała chłopca od otaczającego świata.

– Nie! – wykrzyknęła, a jej twarz znalazła się o centymetry od jego twarzy. – Nie tym razem. Mów. Mów!

Mały Pete zwrócił na nią oczy i napotkał jej spojrzenie. Świadomie. Ale nadal nic nie mówił. Domaganie się, by używał słów, było stratą czasu. Słowa były jej narzędziem, a nie jego. Astrid ściszyła głos.

– Petey. Pokaż. Wiem, że masz moc. Pokaż.

Jego oczy otworzyły się szerzej. Coś zaświtało za tym pustym spojrzeniem. Ziemia pod Astrid rozstąpiła się. Podłoże zmieniło się w usta. Krzyknęła i zaczęła spadać, wirując, w dół tunelu, rozświetlonego krzykliwymi neonowymi blaskami.

Diana otworzyła jedno oko. Przed sobą ujrzała drewnianą powierzchnię. Coś na niej leżało. Chwilę wpatrywała się w to, aż rozpoznała płatek Cheerio.

Gdzie była?

Zamknęła oko i jeszcze raz zadała sobie to pytanie. Gdzie jestem?

Miała straszny sen, pełen makabrycznych szczegółów. Przemoc. Głód. Rozpacz. W tym śnie robiła rzeczy, których nigdy, przenigdy nie zrobiłaby w prawdziwym życiu.

Znowu otworzyła oczy i spróbowała wstać. Runęła na plecy, pokonując bardzo, bardzo długą drogę. Niemal nie poczuła podłogi, o którą uderzyła tyłem głowy.

Teraz widziała nogi. Nogi stołu, krzeseł, chłopaka w postrzępionych dzinsach, a dalej rozkraczone, pokryte bliznami nogi dziewczyny w szortach. Jedne i drugie były związane sznurem.

Ktoś chrapał. Dźwięk ten dochodził z bardzo bliska, ale kto go wydawał – nie widziała.

Robal. Przypomniała sobie. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że to wcale nie był sen. Poczuła jednak chęć, by zamknąć oczy i udawać, że wciąż śni.

Ale ta dziewczyna, Penny, nogami napierająca na więzy... Diana usłyszała jęk.

Niezdarnymi rękami chwyciła krzesło i zaczęła podciągać się do pozycji siedzącej. Pragnienie, by położyć się z powrotem, było niemal nie do odparcia. Ale dzięki mozolnym ruchom rąk i nóg zdołała usiąść na krześle.

Caine spał. Niewidzialny Robal chrapał głośno, leżąc gdzieś na podłodze.

Penny zamrugła na jej widok.

– Nafaszerowali nas lekami – powiedziała. Ziewnęła przeciągle.

– Tak – zgodziła się Diana.

– Związali nas – dodała Penny. – Jak się uwolniłaś?

Diana potarła nadgarstki, jakby wcześniej była skrupowana. Czemu Sanjit jej nie związał?

– Luźne więzy.

Głowa Penny lekko się chwiała. Jej wzrok nie mógł się skupić.

– Caine ich zabije.

Diana skinęła głową. Próbowwała myśleć. Nie było to łatwe, bo środek, który podał jej Sanjit, hamował pracę mózgu.

– Mogli nas zabić – stwierdziła.

Penny przytaknęła.

– Za bardzo się bali – odrzekła.

A może po prostu nie są zabójcami, pomyślała Diana. Może nie należą do ludzi, którzy wykorzystaliby fakt, że wróg śpi. Może Sanjit nie był dzieciakiem zdolnym do poderżnięcia gardła śpiącemu człowiekowi.

– Uciekają – powiedziała. – Próbują zwać.

– Na tej wyspie nigdy się nie ukryją – odparła Penny. – Nie na długo. Znajdziemy ich. Uwolnij mnie.

Penny miała rację, ma się rozumieć. Diana, nawet zamroczona lekami, wiedziała, że to prawda. Caine w końcu ich znajdzie. A on należał do tych, którzy zabijają.

Jej prawdziwa miłość. Nie był bestią, jak Drake. Był czymś jeszcze gorszym. Caine nie zabiłby ich w jakimś psychotycznym gniewie. Zrobiłby to z zimną krwią. Diana zatoczyła się i wyszła z pomieszczenia, poruszając się jak pijana, objijając się o framugę. Czuła ból i szła dalej. Okna. Wielkie okna w pokoju tak ogromnym, że ustawione tu i ówdzie meble wyglądały jak zabawki z domku dla lalek.

– Ej, rozwiąż mnie! – domagała się Penny.

Natychmiast zobaczyła Sanjita. Jego profil odcinał się od czerwonego nieba, gdy stał na krawędzi klifu. Była z nim jakaś dziewczynka, której Diana wcześniej nie widziała.

To właśnie ukrywał Sanjit: na wyspie były inne dzieci.

Owinął dziewczynkę liną, tworząc coś w rodzaju sieci. Uścisnął ją. Nachylił się, by porozmawiać z nią twarzą w twarz. Nie, Sanjit nie był zdolny do morderstwa. Potem zaczął opuszczać wyraźnie przerażoną dziewczynkę poza pole widzenia. W dół urwiska. Z sąsiedniego pokoju dobiegł krzyk. Robal.

– Ej! Zabierzcie je ze mnie!

Robal obudził się. Penny użyła swojej mocy, by dać mu zastrzyk powiązanej ze strachem adrenaliny.

Na oczach Diany Sanjit zsunął się za krawędź urwiska. Był przy tym odwrócony twarzą do domu. Czy widział Dianę, która stała tam i patrzyła?

Usłyszała, jak Penny wchodzi do pomieszczenia, niemal równie chwiejnym krokiem, jak i ona przed chwilą.

– Ty głupia więdźmo – warknęła Penny. – Dlaczego mnie nie rozwiązałaś?

– Widzę, że Robal się tym zajął – odparła Diana. Musiała ją zatrzymać, zanim tamta zorientuje się, co się dzieje. Zanim zobaczy Sanjita.

Podniosła ze stolika wazon. Bardzo ładny, kryształowy. Ciężki.

– Ładny – zwróciła się do Penny.

Tamta popatrzyła na nią jak na wariatkę. Potem jej wzrok skupił się gdzieś za Dianą. Za oknem.

– Hej! – zawołała. – Próbują...

Diana zamachnęła się wazonem i trafiła ją w bok głowy. Nie czekała, by zobaczyć efekt. Trzymając wciąż naczynie w rękach, chwiejnym krokiem poszła do kuchni.

Caine jeszcze spał. Wiedziała jednak, że to nie potrwa długo, że może jej zabraknąć czasu. Moc halucynacji, którą dysponowała Penny, obudziłaby umarłego. Dziewczyna mogła

wysłać potwory do snów Caine'a i obudzić go, tak jak zrobiła z Robalem.

Diana uniosła wazon. W chwili ironicznej jasności umysłu przyszła jej do głowy pełna ironii myśl, że może Sanjit nie zalicza się do osób, które rozłupałyby komuś czaszkę we śnie, ale ona jak najbardziej.

Zanim jednak zdążyła rozbić wazę na głowie ukochanego, jej ciało eksplodowało. Ziejące, czerwone paszcze pojawiły się na jej rękach, kłapiąc zębami jak rekiny. Paszcze te pożerały ją żywcem.

Wrzasnęła.

W jakimś zakątku swojego umysłu wciąż wiedziała, że to sprawka Penny. Wiedziała, że to, co widzi, jest złudzeniem, bo choć widziała te zęby, nie czuła ugryzień. Mimo to krzyczała, wciąż krzyczała, a wreszcie wypuściła wazon z palców. Jakby z oddali dobiegł ją dźwięk tłuczonego kryształu.

Czerwone paszcze przesuwają się w górę jej rąk, pożerając skórę, odsłaniając mięśnie i ścięgna, wygryzając sobie drogę do ramion.

A potem przestały.

Penny stała tuż obok z obnażonymi zębami. Krew ściekała jej z boku głowy.

– Nie zadzieraj ze mną, Diano – powiedziała. – Ciebie też mogłabym posłać z krzykiem za to urwisko.

– Zostaw ich – szepnęła Diana. – To tylko miłe dzieciaki.

– Nie to, co my, chciałaś powiedzieć – odparła Penny. – Jesteś idiotką.

– Zostaw ich. Nie budź Caine'a. Wiesz, co robi.

Penny pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Nie rozumiem, czemu lubi ciebie, a nie mnie. Nie jesteś nawet ładna. Już nie.

Diana roześmiała się.

– O to ci chodzi? O niego?

Oczy Penny wszystko zdradzały. Popatrzyła tęsknie, z miłością na wciąż nieprzytomnego Caine'a.

– Jest wszystkim, co istnieje – stwierdziła. Wyciągnęła drżącą rękę i delikatnie pogłaskała Caine'a po włosach.

– Przepraszam, że muszę to zrobić, skarbie – powiedziała.

Obudził się z krzykiem.

Rozdział 39

29 MINUT

Astrid spadała i spadała, wiedząc, że to nie dzieje się naprawdę, że to tylko iluzja. Ale gdy jej ubranie falowało, włosy podnosiły się do góry, a ręce sięgały do ścian tunelu, trudno było uwierzyć, że to nie może być prawda, a prawdą się tylko wydaje.

Po jakimś czasie spадanie zaczęło bardziej przypominać latanie. Unosiła się w powietrzu, a rzeczy nie przemykały już obok niej. One także się unosiły.

To symbole, pomyślała.

Z ulgą stwierdziła, że jej umysł wciąż pracuje. Cokolwiek się działo, moc, która zesłała na nią ten wyrazisty sen na jawie, nie obezwładniła na szczęście jej mózgu. Rozsądek pozostał nienaruszony. Również słowa znajdowały się w jej głowie na swoich miejscach.

Symbole. Neonowe symbole, ułożone na ciemnym tle. Nawet nie symbole, uświadomiła sobie. Awatary.

Była tam potworna twarz, okolona długimi, ciemnymi włosami, które wyglądały jak węże. Ciemne oczy i usta, plujące ogniem.

Była też jakaś żeńska istota z pomarańczowymi promieniami, tryskającymi z głowy niczym blask słońca.

Męska twarz z podniesioną ręką i zielonym światłem, przybierającym kształt kuli. Ten awatar znajdował się daleko, na skraju ciemnej planszy.

Inny nie był ani męski, ani żeński, lecz podzielony na pół, reprezentował obie płcie. Metalowe zęby i bicz.

Nerezza, Orsay, Sam. Ale ten czwarty?

Właśnie on zdawał się osiłą konfliktu między dwoma manipulatorami, dwoma graczami. Jednego z graczy symbolizowało pudełko. Było zamknięte z wyjątkiem jednej strony, która świeciła tak jasno, że trudno było tam patrzeć. Niczym pudło na zabawki ze słońcem w środku.

– Petey – szepnęła Astrid.

Drugiego gracza bardziej wyczuwała, niż widziała. Próbowwała zwrócić na niego oczy, zobaczyć, ale zawsze znajdował się tuż poza zasięgiem wzroku. Zdała sobie sprawę, że pudełko ze światłem powstrzymuje ją, nie pozwalając zobaczyć przeciwnika.

Dla jej własnego dobra. Broniło jej. Petey nie pozwalał jej spojrzeć na gaiaphage.

Jej umysł wypełniły inne awatary. Mroczne. Martwe. Ofiary gry. Wszystkie układały

się w równe rzędy, niczym pionki ustawione przed zabijającą dusze pustką, przed gaiaphage.

– Astrid!

Ktoś wołał ją po imieniu.

– Astrid! Ocknij się!

Plansza do gry zniknęła.

Jej oczy ujrzały plac, młodszego brata, dźwigającego się właśnie na nogi, i Briannę, która mocno nią potrząsała.

– Ej, co się z tobą dzieje? – spytała Brianna, bardziej rozgniewana niż przejęta.

Astrid zignorowała ją i zaczęła szukać Nerezy. Nigdzie nie było jej widać.

– Dziewczyna. Była tu dziewczyna – powiedziała.

– Co się dzieje, Astrid? Właśnie... – Brianna przerwała, by kasznąć dziesięć, dwanaście razy w zdumiewająco krótkich odstępach. – Właśnie powstrzymałam Lance'a, żeby nie zatłukł jakiegoś dzieciaka na śmierć. Ludzie biegają jak szaleni po plaży. Kurczę blade, biorę dzień wolnego, żeby wyleczyć się z tej głupiej grypy, i nagle wszędzie panuje jakiś obłęd!

Astrid zamrugała, rozejrzała się, próbując uporządkować zbyt wiele informacji naraz.

– Gra – powiedziała. – To gaiaphage. Dotarł do Pete'a przez jego grę.

– Że co?

Astrid wiedziała, że za dużo mówi. Brianna nie była osobą, której można było zaufać i powierzyć prawdę na temat małego Pete'a.

– Widziałaś Nerezę?

– Tę dziewczynę, która wszędzie łązi z Orsay?

– To nie dziewczyna – odrzekła Astrid. – Tak naprawdę. – Złapała Briannę za ramię. – Znajdź Sama. Potrzebujemy go. Znajdź go!

– Dobra. Ale gdzie?

– Nie wiem – przyznała. Przygryzła wargę. – Szukaj wszędzie!

– Hej – powiedziała Brianna, a potem przerwała, by kaszleć tak długo, aż zrobiła się czerwona na twarzy. Zakłęła, znowu zakaszła, aż wreszcie dokończyła. – Hej! Jestem szybka. Ale nawet ja nie umiem szukać wszędzie.

– Daj mi chwilę pomyśleć – poprosiła Astrid. Zaciśnęła powieki. Dokąd mógł iść Sam? Był zraniony, wściekły, czuł się niepotrzebny.

Nie, nie w tym rzecz.

– O Boże, dokąd mógł pójść? – zastanawiała się.

Nie widziała go, odkąd pobiegł zająć się Zilem i pożarem. Co się stało, że uciekł?

Zrobił coś, czego się wstydził? Nie, też nie to. Wreszcie przypomniała sobie zbitego pejczem chłopaka.

– Elektrownia – powiedziała.

– Dlaczego miałby tam być? – Brianna zmarszczyła brwi.

– Bo to miejsce, którego najbardziej się boi – odparła Astrid.

Na twarzy Brianny malowały się wątpliwości. Potem jednak zmarszczki wygładziły się.

– Tak – powiedziała. – To do niego podobne.

– Musisz go ściągnąć, Brianno. To najlepsza figura Pete'a.

– Co takiego?

– Nieważne – warknęła Astrid. – Sprowadź tu Sama. Szybko!

– Jak?

– Ej, jesteś Bryzą, nie? Zrób to!

Brianna zastanawiała się tylko przez chwilę.

– Tak, dobra. Już mnie tu nie...

Słowo „ma” odfrunęło z wiatrem.

Astrid podała elektroniczną grę braciszкови. Patrzył w ziemię, zupełnie obojętny. Przez chwilę trzymał grę, po czym ją upuścił.

– Musisz grać dalej, Petey.

Chłopczyk pokręcił głową.

– Przegrałem.

– Petey, posłuchaj mnie. – Uklękła przed nim, złapała go, lecz potem zmieniła zdanie i puściła. – Widziałam grę. Pokazałeś mi ją. Byłam w środku. Ale to jest rzeczywistość, Petey. Rzeczywistość.

Patrzył gdzie indziej. Nie interesowało go to. Może nawet jej nie widział, a z całą pewnością nie słyszał.

– Petey. On próbuje nas zniszczyć. Musisz grać.

Wcisnęła mu grę w rękę.

– Nerezza to awatar gaiaphage. Ty ją urzeczywistniłeś. Daleś jej ciało. Tylko ty masz taką moc. Wykorzystuje cię, Petey, wykorzystuje cię do zabijania.

Ale jeśli chłopczyka to obchodziło, czy choćby cokolwiek rozumiał, w ogóle nie dawał tego po sobie poznać.

To była paniczna ucieczka. Niemal wszyscy mieszkańcy Perdido Beach uciekali i nikt właściwie nie wiedział dlaczego. A może wiedzieli, tyle że każdy miał własny powód.

Zil był zachwycony. Nareszcie widział powszechną ślełą panikę, którą miał nadzieję wywołać już pożarami. Wtedy się nie powiodło, teraz tak.

Na plaży dzieciaki potykały się w piasku. Niektóre z krzykiem wbiegały do wody.

I Drake – żywy, smagający ich swoim biczem, jakby prowadził stado bydła do morza.

Więcej osób trzymało się drogi, biegnąc równolegle do plaży. Zil był wśród nich; biegł z Turkiem u boku i szukał odmieńców. Zobaczył chłopaka, którego moc polegała tylko na tym, że umiał jasno świecić, był w zasadzie nieszkodliwy, ale był odmieńcem i, tak jak ze wszystkimi odmieńcami, należało się z nim rozprawić.

Turk podbiegł, uniósł strzelbę, wycelował i strzelił. Spudłował, ale dzieciak wpadł w panikę, przewrócił się i uderzył twarzą w krawężnik. Zil kopnął go i pobiegł dalej. W biegu wydawał okrzyki dzikiej radości.

– Uciekajcie, popaprańcy! No już!

W tej masie dzieciaków na drodze było niewielu odmieńców. Zbyt mało prawdziwych celów. Ale nic nie szkodzi, bo teraz celem był strach, strach i chaos.

Nerezza powiedziała mu, że to się zbliża. Czyżby i ona była odmieńcem? – zastanawiał się. Nie chciał jej zabijać, wydawała mu się atrakcyjna, tajemnicza i o wiele lepsza od nudnej, pulchnej Lisy.

Nagle zauważył przed sobą Lance'a. Stary, dobry Lance, tyle że bez pistoletu i pałki, które gdzieś zgubił.

– Potrzebuję broni! – krzyczał. – Dajcie mi coś!

Turk miał nabijany gwoździami kij. Rzucił go koledze.

I znowu ruszyli, niby wataha wilków, ścigająca przerażone stado bydła.

Starsze dzieciaki oddalały się. Ale grubsze i młodsze zostawały z tyłu, zmęczone albo po prostu niezdolne nadążyć na krótkich czy zbyt pulchnych nogach.

Wszyscy stłoczyli się na krętej drodze prowadzącej do Clifftop.

Zil wyciągnął rękę.

– Tamten! O, tam! To miłośnik odmieńców!

Lance dopadł wskazanego pierwszy i zamachnął się kijem z gwoździami. Dzieciak zrobił unik i czmychnął z drogi, po czym sturlał się ze zbocza w krzaki, aż zatrzymał się na kaktusie.

Zil parsknął śmiechem i wskazał go ręką.

– Jest twój, Turk!

I znowu ruszył, z Lance'em przy boku. Lance wyglądał jak jasnowłosy bóg-wojownik, jak Thor, wymierzający teraz ciosy wszystkim, nie robiąc już różnicy między odmieńcami i nie-odmieńcami; wszyscy mogli zginąć, wszyscy, którzy nie chcieli przyłączyć się do Zila.

– Uciekajcie! – krzyczał Zil. – Uciekajcie, tchórze! Przyłączcie się do mnie albo ratujcie tyłki!

Zatrzymał się na chwilę, zdyszany po biegu pod górę. Lance przystanął przy nim. I innych. Wierni członkowie Ekipy Ludzi, a każdy to bohater, pomyślał z mocą Zil.

Wtedy uśmiech Lance'a zbladł. Wyciągnął rękę. W kierunku drogi, którą właśnie się wspięli.

Dekka. Po prostu szła, ale i tak była szybka. Nieustępliwa. Ktoś znalazł się tuż przy Zilu. Nerezza. Wyczuwał ją. Popatrzył na nią. Zaczerwienienie na jej szyi wyglądało, jakby za chwilę miały zrobić się tam poważne siniaki. Czoło miała rozcięte, oczy nabiegłe krwią, a włosy w nieładzie.

– Kto ci to zrobił? – spytał Zil z oburzeniem. Zignorowała go.

– Trzeba ją powstrzymać.

– Kogo? – Zil machnął podbródkiem w stronę Dekki.

– Ją? Jak niby mam ją powstrzymać?

– Jej moc nie ma takiego zasięgu, jak twoja broń – odparła Nerezza.

Zil zmarszczył czoło.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– Skąd wiesz? Jesteś odmieńcem? Nerezza roześmiała się.

– Czym jestem? A czym ty jesteś, Zil? Przywódcą? Czy tchórzem, który ukrywa się przed grubą, czarną, zmutowaną lesbijką? Bo teraz musisz wybrać.

Lance zerknął nerwowo na Zila. Turk zaczął coś mówić, ale najwyraźniej nie mógł znaleźć właściwych słów.

– Trzeba ją powstrzymać – powiedziała Nerezza.

– Czemu? – spytał Zil.

– Bo będziemy potrzebowali grawitacji, Przywódcu.

Mary dotarła na szczyt drogi wiodącej do Clifftop. Kilka mniejszych ścieżek wiodło w dół, na sam klif.

Obejrzała się na swych podopiecznych i zobaczyła, że wszyscy mieszkańcy Perdido

Beach najwyraźniej podążają za nią.

Tłum dzieciaków ciągnął całą szerokością drogi. Niektóre biegły, inne zipsały i dyszały. Na końcu podążał Zil i garstka uzbrojonych w broń palną zbirów.

Nieco dalej ci, którzy uciekli na plażę, byli zapędzani z powrotem na drogę. Ta druga grupa uciekała przed innym zagrożeniem. Ze swojego miejsca Mary aż zbyt wyraźnie widziała Drake'a, gnającego przerażone dzieci przed sobą. Niektóre znalazły się w wodzie. Inne próbowały wspinać się po falochronie i skałach, które oddzielały główną plażę Perdido od mniejszej plaży pod Clifftop.

Spełniała się przepowiednia Prorokini. Męka ognia. Demon. I czerwony zachód słońca, w którym Mary złoży swoje brzemię.

– Chodźcie ze mną, dzieci, trzymajcie się mnie! – zawołała.

Usłuchały. Szły za nią przez zachwaszczone teraz, a niegdyś starannie zadbane trawniki Clifftop w kierunku klifu, do samego jego skraju. Po lewej stronie miały ponury, nieprzenikniony mur ETAP-u, granicę swojego niesamowitego świata.

W dole, na plaży, Orsay siedziała po turecku na skale, która stała się jej amboną. Niektóre dzieciaki już do niej dotarły i zalęknione gromadziły się dookoła. Inne schodziły do niej w dół klifu. Słońce zachodziło wśród czerwonego blasku. Orsay siedziała na kamieniu zupełnie nieruchomo. Wydawało się, że w jej ciele nie drga żaden mięsień. Oczy miała zamknięte. U jej stóp stała Jill, Syrena, wyraźnie zagubiona, przestraszona. Jej sylwetka drżała lekko na tle świetlnego spektaklu na zachodzie.

– Zejdziemy na plażę, Mateczko Mary? – spytała mała dziewczynka.

– Nie wzięłam kostiumu – powiedziała inna.

Mary wiedziała, że zostały już tylko minuty. Jej piętnaste urodziny. Dzień Matki.

Zerknęła na zegarek. Powinna odczuwać niepokój, lęk. Ale pierwszy raz od bardzo, bardzo dawna była spokojna. Nie słyszała pytań dzieci. Przejęte, nerwowe, uniesione ku niej buzie wydawały się być gdzieś daleko od niej. W końcu wszystko się ułoży...

Prorokini nawet nie drgnęła. Siedziała zupełnie spokojnie, nieporuszona panującym wokół szaleństwem, obojętna na krzyki, prośby i żądania.

Prorokini widziała, że wszyscy przeżyjemy czas wielkiej udręki. Nadejdzie on niebawem. A wtedy, Mary, wtedy pojawią się demon i anioł. I w czerwonym zachodzie słońca znajdziemy wybawienie.

Proctwo Orsay, tak jak przekazała je Nerezza.

Tak, pomyślała Mary. To naprawdę Prorokini.

– Mogę zejść na plażę – oznajmił odważnie Justin. – Nie boję się.

– Nie ma przecież czego – odparła Mary. Czule potargała mu włosy. – Polecimy na dół.

Rozdział 40

16 minut

Samo zejście do jachtu, do *Pilota Dwa*, wystarczyło, by Sanjit poczuł się starszy o miesiąc. Dwa razy omal nie upuścił Bowiego. Pixie uderzyła się w głowę i zaczęła płakać. A tę sztukę opanowała do perfekcji.

Peace była spokojna, ale marudna, co w tych okolicznościach wydawało się normalne.

A potem trzeba je było wprowadzić na jacht. Okazało się to łatwiejsze niż zejście z klifu, ale nadal nie czuli się jak podczas plażowania.

Kurczę, czy dzień na plaży nie byłby super? – rozmyślał Sanjit, gdy razem z Virtue zaganiał dzieci na rufę, w stronę śmigłowca.

Dzień na plaży. Coś o wiele lepszego niż patrzeć w górę na potężny klif i świadomość, że za chwilę mogą rozbić się o skalną ścianę. O ile w ogóle uda mu się poderwać maszynę.

Najprawdopodobniej nie uniesie się na tyle, by trzeba było martwić się, że zabije wszystkich o ścianę klifu. Raczej nabierze trochę wysokości, a potem runie do morza.

Roztrząsanie tego nie miało jednak sensu. Tutaj nie mogli zostać. Nawet pomijając troskę o Bowiego. Widział już, co potrafi Caine. Musiał zatem zabrać dzieci z wyspy, jak najdalej od niego. Virtue powiedział, że w tym chłopaku jest coś do cna złego. A Sanjit widział jego oczy, gdy do niego mówił.

Zastanawiał się, czy Diana miała rację co do mocy Virtue. Czy naprawdę miał jakąś nadprzyrodzoną moc, pozwalającą mu oceniać ludzi. Bardziej prawdopodobne, że był po prostu skory do ocen.

Virtue nie mylił się jednak, gdy mówił o zbliżającym się złu. Caine był o krok od rzucenia Sanjitem o ścianę. Niemożliwe, by taki potwór zechciał tolerować Pixie, Bowiego i Peace, a co dopiero Choo. Nie zgodziłby się dzielić z nimi kurczącymi się zapasami.

– Jakby na stałym lądzie miało być lepiej – mruknął Sanjit.

– Co? – spytał Virtue rozkojarzony. Próbował właśnie przypiąć Bowiego pasami do tylnego siedzenia śmigłowca. W sumie znajdowały się tam tylko cztery miejsca, dla pilota i trzech pasażerów. Były to jednak siedzenia dla dorosłych, więc te dwa z tyłu z pewnością wystarczą dla trojga maluchów.

Sanjit usiadł w fotelu pilota. Skóra była przetarta i popękana. W filmie fotel był obity tkaniną. Dobrze to pamiętał. Właściwie tylko to.

Oblizwał wargi, nie mogąc już dłużej kryć strachu, że ich wszystkich zabije.

– Wiesz, jak się to robi? – zwrócił się do niego Virtue.

– Nie, oczywiście, że nie! – wykrzyknął Sanjit. Potem, na użytek maluchów, odwrócił się do połowy i powiedział: – Pewnie, że wiem, jak pilotować śmigłowiec. Phi!

Virtue modlił się. Zamknął oczy, pochylił głowę i modlił się.

– Tak, to pomoże – powiedział Sanjit.

Tamten otworzył jedno oko.

– Robię, co mogę.

– Bracie, nie wygłupiałem się – odparł Sanjit. – Chciałem powiedzieć, że liczę na Boga, bogów, świętych, czy kogo tam jeszcze masz.

Virtue zamknął oczy.

– Mamy się pomodlić? – spytała Peace.

– Tak. Módlcie się. Niech wszyscy się modlą! – zawołał Sanjit.

Wdusił przycisk zapłonu.

Nie znał konkretnego boga, do którego powinien się modlić. Był Hindusem, ale tylko z urodzenia, nie czytał świętych ksiąg ani nie znał modlitw. Zaczął jednak szeptać.

– Kimkolwiek jesteś, o ile słuchasz, to dobry moment, żeby nam pomóc.

Silnik z rykiem obudził się do życia.

– O! – wykrzyknął chłopak ze zdziwieniem. Po części spodziewał się, a nawet miał nadzieję, że silnik nawet nie ruszy.

Dźwięk był wstrząsająco głośny. Maszyna zatrzęsała się.

– Eee... Teraz dam radę! – zawołał Sanjit.

– Myślisz? – spytał Virtue, lecz huk silnika zagłuszył jego głos.

Sanjit wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu tamtego.

– Kocham cię, chłopie.

Virtue położył sobie dłoń na sercu i skinął głową.

– Świetnie – powiedział Sanjit, lecz tylko on słyszał własny głos. – No to, skoro mamy za sobą tę wzruszającą scenę, pora, by nasi bohaterowie odlecieli w blasku chwały.

Virtue zmarszczył czoło, wytężając słuch.

– Powiedziałem – krzyknął Sanjit, ile sił w płucach – że jestem niezwyciężony! A teraz czadu!

Dekka zobaczyła, że ekipa Zila dzieli się na dwie grupy; jedni kryli się po lewej, a

drudzy po prawej stronie drogi. Najwyraźniej szykowali zasadzkę.

Zawahala się. Teraz dobrze byłoby być Brianną. Bryza nie była kuloodporna, ale gdy gnała z prędkością pięciuset kilometrów na godzinę, trafienie jej graniczyło z cudem.

Jeśli będzie po prostu szła dalej, to ją zastrzela.

Gdzie mogła być Brianna? Pewnie wciąż chorowała, bez wątpienia, inaczej już znalazłaby się w środku zamieszania. Nie należała do osób, które odpuszczalyby walkę. Dekka tęskniła za nią i jednocześnie miała nadzieję, że została bezpiecznie w domu. Gdyby cokolwiek złego spotkało Briannę, chyba straciłaby chęć do życia.

Wreszcie, gdzie podziewał się Sam – oto było wielkie pytanie. Dlaczego to Dekka szła tą drogą? Nawet nie wiedziała, czy musi. Może nic by się nie stało. Może Drake, szalejący na plaży, zaatakowałby Zila i ci dwaj wykończyliby się nawzajem.

Dekka chętnie by to zobaczyła i to najlepiej już teraz, zanim pójdzie dalej drogą do Clifftop.

– Tak, byłoby super – powiedziała do siebie.

Ludzie Zila tracili cierpliwość. Przemieszczali się ku niej poboczami drogi. Z pałkami. Kijami bejsbolowymi. Łomami. Strzelbami.

Mogła puścić się biegiem. Przeżyć. Uciec. Znaleźć Briannę i pogadać z nią.

– Bryzo, pewnie nie czujesz tego samego, pewnie cię to oburzy i będziesz mnie nienawidziła, że to powiedziałam, ale... Kocham cię.

Ogarnął ją lęk. Po jej ciele przechodziły ciarki. Na sekundę zamknęła oczy i w tej chwilowej ciemności poczuła śmierć. A przecież tak naprawdę śmierci nie można poczuć.

Mogła uciec. Być z Brianną. Ale nie, to się nigdy nie zdarzy. Będzie żyła dalej, Kochając Briannę na odległość. Pewnie nigdy jej nie powie, co naprawdę czuje.

Kątem oka dostrzegła Edilia, zachodzącego Drake'a od tyłu. Dalej, poruszając się stanowczo zbyt wolno, nadciągał Orc. Edilio mógł zdecydować, że zwolni, poczeka na Orka. Może czekałby zbyt długo, podczas gdy Drake okładał przerażone dzieci. Tak czy owak, nie podjął takiej decyzji. Nie czekał na Orka.

– A ja nie czekam na Sama – postanowiła Dekka.

Ruszyła przed siebie.

Rozbrzmiał pierwszy wystrzał. Ten gnojek Turka. Dźwięk był tak głośny, jakby świat miał się skończyć. Dekka zobaczyła, jak z lufy plunął ogień. Gorące ołowiane kule trafiły w beton przed nią. Niektóre podskoczyły i zagłębiły się w jej nogach.

Bolało. A później będzie gorzej.

Dekka nie mogła dosięgnąć Turka, Lance'a ani Zila swoją mocą. Nie z tej odległości.

Ale mogła sprawić, że bardzo trudno im będzie celować. Wysoko podniosła rękę. Grawitacja ustąpiła.

Szła naprzód, schowana za barierą ziemi, pyłu i wirujących kaktusów.

Sam stał właśnie przy powyginanej metalowej bramie elektrowni jądrowej, gdy usłyszał szum powietrza i zobaczył barwną plamę. Po chwili plama przestała wibrować i stała się Brianną. Coś trzymała. Dwie rzeczy.

Popatrzył na przedmioty w jej dłoniach. Potem na nią. Potem znów na przedmioty. Poczekał, aż przestanie kaszleć, zgięta w pół.

– Nie – powiedział.

– Sam, oni cię potrzebują. I nie mogą czekać, aż wrócisz w swoim żółtym tempie.

– Kto mnie potrzebuje? – spytał z powątpiewaniem.

– Astrid prosiła, żebym cię sprowadziła. Bez względu na wszystko.

Sam nie mógł nic na to poradzić, ale poczuł się mile polechtany.

– Aha. Astrid mnie potrzebuje.

Brianna przewróciła oczami.

– Tak, Sam, nadal jesteś potrzebny. Jesteś jak bóstwo dla nas, zwykłych śmiertelników. Nie możemy bez ciebie żyć. Świątynię zbudujemy później. Zadowolony?

Sam skinął głową, potwierdzając nie fakt, że się zgadza, ale jedynie że rozumiał.

– Czy to Drake?

– Zdaje się, że między innymi Drake – odparła. – Astrid była przerażona. Myślę, że twoja dziewczyna miała naprawdę bardzo zły dzień.

Brianna rzuciła mu pod nogi deskorolkę.

– Nie martw się. Nie pozwolę ci spaść.

– Tak? To po co przyniosłaś kask?

Rzuciła mu nakrycie głowy.

– Na wypadek, gdybyś jednak spadł.

Edilio miał kłopot z bieganiem po piasku. Ale to nie z tego powodu nie mógł dogonić Drake'a.

Sprawiał wrażenie, jakby nie chciał go dogonić, jakby śmiertelnie się go bał. Orc raz walczył z Drake'iem i walka pozostała nierozstrzygnięta. Sam też walczył i został pokonany. Caine wprawdzie go zabił. A jednak znów widział przed sobą Drake'a żywego. Zgodnie z

tym, co mówił Sam. Zgodnie z tym, czego się obawiał. Potwór żył.

Edilio potknął się i runął na piasek. Jego karabin automatyczny uderzył lufą w podłoże i strzelił, BAM BAM BAM, prosto w piach, gdy Edilio przypadkiem nacisnął spust.

Podniósł się na kolana. Wstań, powiedział sobie. Wstań, musisz to zrobić. Wstań.

Wstał. Znowu zaczął biec. Serce waliło mu tak, jakby chciało wyrwać się na wolność.

Drake był już blisko, jakieś trzydzieści metrów od niego, nie dalej. Okładał pejczem jakiegoś dzieciaka, który biegł zbyt wolno.

Edilio widział ślady po tym straszliwym pejczu. Ból po jego uderzeniach sprawił, że w Samie coś pękło.

Podszedł jednak bliżej. Cała sztuka polegała na tym, by podejść wystarczająco blisko... ale nie nazbyt blisko.

Drake ciągle go nie widział. Edilio uniósł karabin do strzału. Piętnaście metrów. Mógł go stąd trafić, ale tuż za nim, w zasięgu strzału było kilkanaście innych osób. Pociski nie zawsze leciały dokładnie tam, gdzie się celowało. Mógł zabić Drake'a. Mógł też zabić uciekające dzieci.

Musiał odczekać, aż znajdą się poza zasięgiem.

Trzymał Drake'a na muszce. Ciężko się celowało bronią w trybie automatycznym. Odrzut był bardzo silny. Można było wymierzyć pierwszy strzał, ale kolejne przypominały raczej pryskanie strażacką sikawką.

Musiał sprawić, że Drake się zatrzyma. Musiał pozwolić dzieciakom uciec.

– Drake – powiedział. Ale jego usta były równie suche, jak piasek. Dobyło się z nich jedynie ledwie słyszalne chrypienie.

– Drake! – wrzasnął powtórnie. – Drake!

Drake zamarł. Odwrócił się, bez pośpiechu, powoli, leniwie.

Wyszczrzył się w swoim dzikim uśmiechu. Oczy miał niebieskie i pozbawione jakiegokolwiek wyrazu, może z wyjątkiem rozbawienia. Jego ciemne włosy były zmierzwione i brudne. Skóra zdawała się umazana błotem. Między zębami tkwiły maleńkie grudki ziemi.

– No, Edilio – odezwał się. – Kopę lat, Meksykańcu.

– Drake – powiedział Edilio, lecz głos znowu go zawiódł.

– Tak, Edilio? – spytał tamten z przesadną uprzejmością.

– Chciałeś coś powiedzieć?

Żołądek Edilia skureczył się. Drake był przecież martwy. Martwy.

– Jesteś... aresztowany.

Drake, zaskoczony, parsknął śmiechem.

– Aresztowany?

– Zgadza się – potwierdził Edilio.

Tamten zrobił krok w jego stronę.

– Stój! Nie ruszaj się! – ostrzegł Edilio.

Drake nie zatrzymał się.

– Przecież idę się poddać. Załóż mi kajdanki, panie policjancie.

– Stój! Stój, bo strzelam!

Dzieciaki za Drake'iem ciągle uciekały. Czy były wystarczająco daleko? Musiał dać im tyle czasu, ile to tylko możliwe.

Drake skinął ze zrozumieniem głową.

– Aha. Taki z ciebie dobry chłopak, Edilio. Upewniasz się, czy dzieciaki nie są na linii strzału, zanim mnie zdejmiesz.

Edilio oceniał zasięg bicia Drake'a na cztery, może pięć metrów. Teraz dzielił ich dystans najwyżej dwa razy większy. Edilio mierzył w środek ciała tamtego, największy cel – czytał, że tak należy.

Jeszcze jeden krok. I jeszcze jeden. Drake szedł naprzód. Edilio cofnął się o krok. I kolejny.

– Oj, to nie fair – zadrwił Drake. – Tak mnie trzymać na odległość.

I nagle ruszył z oszałamiającą prędkością.

BAM!

Klik!

Pierwszy pocisk trafił go w pierś. Ale następne już nie poleciały. Zaciął się! Karabin się zaciął. Piasek dostał się do zamka. Edilio szarpnął rygiel...

Za późno.

Drake smagnął go, owinął bicz wokół jego nóg i nagle Edilio leżał na plecach, z trudem chwytając powietrze, Drake zaś stał nad nim.

Wężowata ręka zaczęła okręcać się na szyi Edilia. Chłopak zaczął się miotać. Próbował zamachnąć się karabinem jak pałką, lecz Drake z łatwością zablokował cios wolną ręką.

– Chętnie bym cię oćwiczył, Edilio, ale nie mam czasu na zabawę – powiedział Drake.

Umysł Edilia wirował, oszalały, gasnący. Nabiegłymi krwią oczami ujrzał o centymetry od swojej twarzy uśmiech Drake'a, który napawał się obserwowaniem jego śmierci z bliska.

Drake uśmiechnął się. I wtedy, gdy Edilio tracił już przytomność, gdy spadał w czarną otchłań, zobaczył nagle metalowe druciki, wyrastające z ubrudzonych ziemią zębów tamtego.

Rozdział 41

12 minut

Sanjit zapomniał wszystko, czego – jak mu się zdawało – dowiedział się o lataniu śmigłowcem. Niby czytał coś o dźwigni, która zmieniała nachylenie łopat wirnika. Coś o kacie natarcia.

Przełącznik. Pedaly. Zawór. Gdzie to było?

Spróbował pedałów. Ogon helikoptera przesunął się gwałtownie w lewo. Cofnął stopy. Śmigłowiec omal nie zsunął się z pokładu jachtu.

– Dobra, pedały działają! – wykrzyknął, rozpaczliwie próbując dodać odwagi pozostałym.

– Chyba powinieneś się wznieść, zanim spróbujesz skręcać! – krzyknął Virtue.

– Myślisz?

Teraz coś sobie przypomniał. Należało coś przekręcić, by śmiało uniośł maszynę w powietrze. Co tu można było przekręcić?

Lewa ręka. Przełącznik. A może zawór? Licho wie! Nic innego nie dało się przekręcić.

Obrócił go. Delikatnie. I rzeczywiście, odgłos silnika wzmógł się i zmienił ton. A śmigłowiec wystartował. Potem zaczął wirować. Zmierzał w kierunku dzioba i nadbudówki, podczas gdy ogon obracał śmigłowcem niczym bączkiem, zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

Zupełnie jak na karuzeli.

Pedały. Musiał ich użyć, żeby...

Wtem śmigłowiec przestał się kręcić. Zawahał się. A potem zaczął się obracać w przeciwnym kierunku.

Sanjit jak z oddali słyszał kilka krzyczących głosów. Pięcioro dzieci w śmigłowcu. Pięć krzyków, wliczając jego własny.

Znowu pedały. Maszyna przestała się obracać. Wciąż przesuwiała się w kierunku nadbudówki jachtu, teraz jednak tyłem.

Przekręcił gałkę do końca i helikopter wystrzelił w górę, jak górską kolejka, na której był kiedyś w Vegas. Można było odnieść wrażenie, że wisi na sznurku i ktoś podciąga go ku chmurom.

W górę, ponad nadbudówkę. Sanjit zobaczył, jak jacht przesuwają się pod nimi.

TRACH! TRACH! TRACH!

Śmigło uderzyło w coś. Kawałki drutu i metalowych rurek fruwały nad pokładem. Resztki anteny radiowej jachtu.

Helikopter nadal się wznosił i nadal cofał się w kierunku klifu.

Kolejna trudność. Jak to się nazywało, taki kijek przy jego prawej dłoni, złapać to, złapać, coś zrobić, pchnąć to naprzód. Znowu obrót! Zapomniał o pedałach, głupich pedałach, i teraz jego nogi nie mogły w nie trafić, a maszyna obróciła się o 180 stopni i przy drążku przesuniętym w przód leciał prosto na skalną ścianę. Była ze trzydzieści metrów od nich. Piętnaście.

Za ułamek sekundy zginą. A on nie zdoła zrobić nic, żeby to powstrzymać.

Diana biegła przez zachwaszczony trawnik. Caine wciąż ją wyprzedzał. Musiała go złapać. Odgłos silnika śmigłowca był coraz głośniejszy i bliższy.

Caine zatrzymał się na skraju urwiska. Diana też tam dotarła, zdyszana. W mgnieniu oka zrozumiała, co ukrywał Sanjit. Daleko w dole leżał rozbity o skały biały jacht. W powietrzu wisiał śmigłowiec, który kręcił się jak szalony to tu, to tam.

Twarz Caine'a wykrzywiła się w złośliwym uśmiechu.

Penny właśnie zbliżała się do nich z tyłu. Robał, cóż, może też tam był. Nie dało się tego stwierdzić.

Diana podbiegła do Caine'a.

– Nie rób tego! – krzyknęła.

Obrócił ku niej pełną wściekłości twarz.

– Zamknij się.

Na ich oczach helikopter obrócił się znowu i ruszył w kierunku klifu. Caine unióśł ręce i maszyna przestała lecieć do przodu. Była tak blisko, że śmigło rozcięło krzew, uczepiony skalnej ściany.

– Nie rób tego – błagała Diana.

– A co się to obchodzi? – spytał, szczerze zdziwiony.

– Popatrz! Popatrz na nich. Mają tam małe dzieci. Małe dzieci.

Baniasta osłona kokpitu znajdowała się o rzut kamieniem od nich. Sanjit zmagął się z przyrządami. Przy nim siedział Virtue, ściskając pokrycie swojego fotela. Troje mniejszych dzieci kulilo się na tylnych siedzeniach. Krzyczały, zasłaniając oczy. Były wystarczająco duże, by wiedzieć, że od śmierci dzielą je ułamki sekundy.

– Chyba Sanjit pomyślał o tym, zanim mnie okłamał – stwierdził Caine.

Diana złapała go za ramię, potem wpadła na lepszy pomysł i sięgnęła do jego twarzy. Położyła mu dłoń na policzku.

– Nie rób tego. Błagam.

– Ja to zrobię – powiedziała Penny, pojawiając się z drugiej strony Caine'a. – Zobaczymy, jak będą latać z kabiną pełną skorpionów!

To był błąd, Diana o tym wiedziała.

– Nie ważysz się, Penny – warknął Caine. – Ja tu podejmuję decyzje.

– Nie. Robisz to, co ona ci każe – odparła. Właściwie wypluwała te słowa w stronę Diany. – Ta wiedźma! No chodź, ślicznotko.

– Cofnij się, Penny! – ostrzegł.

– Nie boję się ciebie, Caine! – wykrzyknęła. – Próbowала cię zabić, kiedy byłeś nieprzytomny. Ona...

Zanim zdążyła dokończyć to oskarżenie, wzbila się w górę. Unosiła się z krzykiem nad mlójącymi powietrze łopatami śmigła.

– No dalej! – ryknął Caine. – Postrasż mnie swoją mocą! Zdekoncentruj mnie!

Penny wrzeszczała histerycznie, dziko machała rękami i nogami, spoglądając z przerażeniem na przemykające pod nią łopaty.

– Wypuść ich – poprosiła Diana.

– Dlaczego, Diana? Dlaczego mnie zdradzasz?

– Zdradzam cię? – parsknęła śmiechem. – Zdradzam cię? Byłam przy tobie każdego dnia, w każdej godzinie, od samego początku tego koszmaru!

Popatrzył na nią.

– Ale i tak mnie nienawidzisz.

– Nie, ty pokręcony, głupi palancie, kocham cię. Nie powinnam. Naprawdę. Jesteś chory, chory! Ale kocham cię.

Uniósł brwi.

– W takim razie musisz też kochać to, co robię. To, kim jestem.

Uśmiechnął się i wiedziała, że przegrała tę dyskusję. Widziała to w jego oczach. Odsunęła się od niego. Cofnęła się w stronę klifu. Stopami wyczuła krawędź urwiska, wytrzymując jego spojrzenie.

– Pomagałam ci, jak mogłam. Robiłam wszystko. Utrzymywałam cię przy życiu i zmieniałam ci brudne, zasrane prześcieradła, kiedy ogarnęła cię Ciemność. Zdradziłam dla ciebie Jacka. Zdradziłam wszystkich. Jadłam... Boże, przebac, jadłam ludzkie mięso, żeby

tylko być z tobą.

Coś błysnęło w jego zimnym spojrzeniu.

– Ale jeśli to zrobisz, nie zostanę z tobą – oświadczyła.

Zrobiła jeszcze jeden krok w tył. To miała być tylko groźba. Było to jednak o jeden krok za dużo. Dianę ogarnęło nagle przerażenie. Wiedziała już, że spadnie. Jej ręce zakręciły się jak wiatrak. Czuła jednak, że jest za daleko, za daleko. Ale w końcu, pomyślała, czy tak nie będzie lepiej?

Czy to nie przyniesie mi ulgi?

Przestała walczyć i runęła z urwiska.

Astrid biegła, ciągnąc za sobą małego Pete'a.

Skąd miałam wiedzieć, powtarzała sobie. Dyszała, zipała, a serce waliło jej ze strachu na myśl o tym, co zobaczy, gdy dotrze do Clifftop.

Nie mogła wiedzieć, że gra przestała być zabawą, że stała się rzeczywistością, gdy wyczerpała się ostatnia bateria. I że przeciwnikiem małego Pete'a w tej grze nie jest żaden program ani układ scalony, tylko gaiaphage.

Ciemność dotarła do małego Pete'a. Nie pierwszy raz. W jakiś sposób, którego być może nigdy nie zdoła pojąć, dwie największe potęgi ETAP-u były ze sobą połączone.

Gaiaphage oszukał chłopca. Użył jego mocy, by dać życie swojemu awatarowi, Nerezcie.

Orsay też przeniknęła raz do umysłu gaiaphage. Przypominało to zakażenie – jeśli ktoś raz miał kontakt z tym niespokojnym, złym umysłem, mógł znaleźć się pod jego kontrolą.

Sam powiedział, że Lana wciąż czuje w sobie gaiaphage. Nadal nie była od niego wolna. Lana jednak zdawała sobie z tego sprawę. Może to właśnie pozwalało jej się bronić. A może mroczna istota już jej po prostu nie potrzebowała.

Dotarli na drogę do Clifftop. Przejście jednak blokowało coś, co wyglądało jak tornado. Tornado o imieniu Dekka.

Dekka unosiła przed sobą trąbę powietrzną, idąc jednostajnym krokiem.

BAM!

Ledwie widoczny ognisty sztylet wśród fruujących, wirujących odłamków.

– Dorwijcie ją! Dorwijcie odmieńca! – krzyczał Zil.

Dekka posuwała się naprzód, nie zważając na ból w nogach, nic sobie nie robiąc z krwi, wypełniającej jej buty.

Ktoś biegł za nią. Nie oglądając się za siebie, krzyknęła do tej osoby:

– Cofnij się, idioto!

– Dekka! – Głos Astrid.

Podbiegła do niej, ciągnąc za sobą swojego dziwnego braciszka.

– To zły moment, żeby na mnie krzyczeć, Astrid!

– Dekka, musimy się dostać do klifu.

– Pójdę tam, gdzie jest Zil – odparła Dekka. – Mam prawo się bronić. On zaczął tę walkę.

– Posłuchaj mnie – powiedziała z naciskiem Astrid. – Nie próbuję cię zatrzymać. Mówię, żebyś się pospieszyła. Musimy tam iść! Teraz!

– Co? Co się dzieje?

– Chodźmy! No już! Może dojść do morderstwa.

Ktoś nadbiegł z boku. Znalazł się zbyt blisko obszaru bez grawitacji i pofrunął w powietrze, do góry nogami, obracając się powoli.

W locie strzelał. Pociski latały we wszystkie strony.

Teraz zaczęli ją okrążać. Poruszali się ostrożnie, daleko poza jej zasięgiem. Widziała, jak przemykają za krzakami, pagórkami, kaktusami.

Pocisk świsnął tuż przy jej uchu i przez chwilę zdawało jej się, że ją trafi.

– Cofnij się, Astrid! – zawołała Dekka. – Robię, co mogę.

– Zrób, co trzeba – odparła Astrid.

– Jeśli sprzątnę Zila, reszta ucieknie.

– No to go sprzątnij.

– Tak jest, proszę pani – rzuciła Dekka. – A teraz spadaj!

Ostatnio widziała Zila przy drodze po swojej prawej stronie, z przodu, nieco poza zasięgiem.

Opuściła ręce. Tysiące kilogramów ziemi i kamieni, które wzbijało się wcześniej ku niebu, teraz spadło z powrotem. Wbiegła prosto w tę burzę, z zamkniętymi oczami i dłońią na ustach.

Omam nie wpadła na Zila. Wyłoniła się zza słupa opadającej ziemi i niemal go staranowała. Zil, zaskoczony, obrócił lufę w jej stronę, ale była już zbyt blisko. Lufa uderzyła ją niczym pałka, trafiając w bok głowy, nie dość jednak mocno, by ogłuszyć Dekkę. Próbował się wycofać, by mieć więcej miejsca na strzał, ale ona wyciągnęła rękę, złapała go za ucho i

pociągnęła w swoją stronę. Zdołał wbić jej lufę w podbródek, na tyle mocno, by zacisnęła zęby. Szarpnęła się w tył, a on nacisnął spust.

Wystrzał przypominał bombę, która wybuchnęła jej w twarz. Nie rozluźniła jednak uścisku. Przyciągnęła go jeszcze bliżej, podczas gdy skamlał z bólu i strachu. Potem wyciągnęła wolną rękę ku ziemi. Siła ciężenia po prostu zniknęła.

Zwarci w gorączkowym, zapaśniczym uchwycie, oboje pofrunęli w górę. Wraz z nimi poderwały się grudy ziemi i gruzu. Stali się walczącym okiem cyklonu. Zil wyszarpnął się Dekce, ale za cenę naderwanego, krwawiącego ucha.

Uderzyła go pięścią. Jej kłykcie trafiły prosto w jego nos. Zadała następny cios, lecz tym razem spudłowała, bo po pierwszym uderzeniu oddalił się trochę od niego. Zil próbował obrócić strzelbę, lecz podobnie jak ona miał problem z poruszaniem się i walką przy zerowej grawitacji.

Oczy Dekki zamykały się, zasypywane unoszącym się wokół piaskiem. Nie wiedziała, jak wysoko się unieśli. Nie mogła mieć pewności, czy to wystarczy.

Nagle Zil obrócił się i wydał z siebie triumfalny okrzyk. Lufa strzelby znalazła się o centymetry od niej.

Dekka kopnęła jak szalona. Jej but trafił go w udo. Siła uderzenia rozdzieliła ich i unosili się teraz o trzy metry od siebie. Zil wciąż do niej celował. A dzieliła ich zbyt mała odległość, by mogła go zrzucić na ziemię, nie spadając przy tym. Jeszcze nie.

– Popatrz w dół, geniuszu – warknęła.

Zil, mrużąc oczy, zerknął w stronę ziemi.

– Zastrzel mnie, a spadniesz! – krzyknęła.

– Ohydny odmieniec! – wrzasnął w odpowiedzi.

Nacisnął spust. Huk był ogłuszający. Poczula podmuch śrutu, przelatującego obok jej szyi. Coś uderzyło ją niczym pięść. Odrzut strzelby odepchnął Zila na półtora metra.

– Tak. Wystarczy – powiedziała Dekka.

Wrzasnął z przerażenia. Jedna, przeciągła samogłoska dobywała się z jego gardła przez dziesięć sekund, których potrzebował, by spaść i uderzyć w ziemię.

Dekka otarła kurz z jednego oka i przez zmrużoną powiekę spojrzała w dół.

– Wyżej, niż myślałam – stwierdziła.

Rozdział 42

06 minut

Mary Terrafino zerknęła na zegarek. Jeszcze tylko kilka minut. Nadchodził już czas.

– Dzieci, chcę, byście wiedziały, że was kocham – powiedziała. – Alice, odejdz od urwiska. Musimy poczekać, żebyście mogły pójść ze mną.

– A dokąd idziemy? – spytał Justin.

– Do domu – odparła Mary. – Do naszych prawdziwych domów. Do rodziców.

– Jak to zrobimy? – zdziwił się Justin.

– Oni czekają – wyjaśniła. – Tuż za murem. Prorokini pokazała nam drogę.

– Do mojej mamusi? – spytała Alice.

– Tak, Alice. Do każdej mamusi.

– Czy Roger też może iść? – spytał Justin.

– O ile się pospieszy – powiedziała Mary.

– Ale on jest chory. Bola go płuca.

– W takim razie przyjdzie innym razem – odparła. Jej cierpliwość się wyczerpywała.

Jak długo jeszcze musi być Mateczką Mary?

Inne dzieci podchodziły teraz bliżej. Toczące się na dole walki zagnały je na górę, pod sam mur ETAP-u. Drake, Zil. Źli ludzie, gotowi krzywdzić i zabijać. Skrzywdzić i zabić te dzieci, o ile Mary ich nie uratuje.

– Niedługo – bąknęła.

– Nie chcę iść bez Rogera – oznajmił Justin.

– Nie masz wyboru – odrzekła.

Mocno pokręcił głową.

– Idę po niego.

– Nie – zabroniła.

– Tak. Idę – przeciwstawił się jej uparcie.

– Zamknij się! Powiedziałam: nie! – wykrzyknęła. Złapała Justina i pociągnęła go w górę za rękę. Łzy napłynęły mu do oczu. Potrząsała nim, nie przestając krzyczeć.

– Nie! Zrobisz, co mówię!

Puściła go. Upadł na ziemię. Mary cofnęła się, z przerażeniem popatrzyła przed siebie.

Co właśnie zrobiła?

Jak mogła?

Będzie dobrze, wszystko będzie dobrze. Niech tylko przyjdzie czas. Opuści to miejsce. Opuści je na zawsze, a wszystkie dzieci pójdą razem z nią, tak jak zawsze z nią szły, i będą wolne. Chodzi przecież o ich dobro.

– Mary! – To był John.

Nie miała pojęcia, w jaki sposób ominął bitwę na dole i dotarł tu. Tak czy owak, był z nią.

– Dzieci – powiedział. – Chodźcie ze mną.

– Nikt nie odchodzi – nakazała.

– Mary... – Głos mu się łamał. – Mary...

Sanjit był rozdarty. Nie wiedział, czy patrzeć w niemym przerażeniu na ścianę klifu, odległą ledwie o centymetry od końców kręcących się łopat śmigła, czy też na tę dziewczynę, Penny, wiszącą w powietrzu nad tymi samymi łopatami. I jeden, i drugi widok był bowiem potworny.

Caine stał na szczycie klifu, nie obawiając się upadku. Sanjit uświadomił sobie, że on nie może spaść. Caine mógł wyjść poza krawędź i niczym Struś Pędziwiatr po prostu zawisnąć w powietrzu, zrobić „bip bip”, po czym pomknąć z powrotem na twarde podłoże.

Ta dziewczyna, Penny, nie potrafiła tego.

Ta druga, Diana, o coś go prosiła. Co mówiła? Zrzuć dziewczynę? Rozbij śmigłowiec? Sanjit przypuszczał, że nie. W ciemnych oczach Diany dostrzegł wcześniej coś bardzo złego, ale nie morderstwo.

Morderstwo kryło się w oczach Caine'a.

Sanjit do końca obrócił gałkę w drugą stronę. Śmigło odpychało helikopter od ściany klifu, lecz Caine nie puszczał.

Diana cofnęła się. Małymi kroczkami zbliżała się do krawędzi.

– Nie! – krzyknął Sanjit, ale ona już spadała.

Wszystko wydarzyło się w mgnieniu oka. Diana zatrzymała się w powietrzu.

Helikopter został uwolniony z rąk Caine. Z nagłym szarpnięciem ruszył w tył.

Penny zaczęła spadać, już poza zasięgiem śmigła. Bezpiecznie minęła jego łopaty. Diana wciąż unosiła się, śmigłowiec zaś z rykiem pomknął w tył, jakby znajdował się na końcu naprężonej liny do bungee.

Diana została raczej ciśnięta niż uniesiona na trawę. Przeturlała się, spojrzała w górę i przez ułamek sekundy patrzyła Sanjitowi w oczy, zanim ten znów zaczął mieć pełne ręce

roboty.

Helikopter leciał w tył, ale opadał, jakby zamierzał uderzyć śmigłem ogonowym prosto w pokład jachtu.

Ta druga dźwignia, szybko, podnieść ją, podnieść, przekręcić... i śmigłowiec poleciał w górę. Zakręcił się dziko dookoła, bo Sanjit znowu zapomniał o pedałach, ale się wznosił. Wznosił się i kręcił, kręcił coraz szybciej i szybciej, a Sanjitem rzucało, gdy z trudem próbował znaleźć pedały. W prawo, wolniej, wolniej, stop, w lewo, szybciej, szybciej, wolniej, stop.

Śmigłowiec zawisł w górze, ale na szczęście już daleko od klifu. Nad morzem. I dwa razy wyżej niż wierzchołek urwiska.

Sanjit był kłębkiem nerwów, zęby mu dzwoniły. Virtue dalej się modlił, dość bełkotliwie i wcale nie po angielsku. Dzieci z tyłu krzyczały.

Ale przynajmniej przez kilka chwil śmigłowiec nie spadał ani nie wirował. Nabierał wysokości.

– Po kolei – powiedział do siebie Sanjit. – Przestań się wznosić. – Zwolnił nieco uchwyt i gałka przekręciła się z powrotem w położenie neutralne. Puścił pedały. Nie ruszał też dźwigiemek.

Helikopter skierował się stronę lądu. Może nie wprost ku Perdido Beach, ale w stronę lądu.

Virtue przestał się modlić. Popatrzył na Sanjita szeroko otwartymi oczami.

– Chyba trochę popuściłem.

– Tylko trochę? – powiedział Sanjit. – W takim razie masz nerwy ze stali, Choo.

Wymierzył i pchnął drążek naprzód. Śmigłowiec poleciał w kierunku stałego lądu.

Brittney wbiła wzrok w Edilia. Leżał twarzą w dół w piasku. Na jego skórze widniał ślad bicia. Szyję miał poszarpaną i skrwawioną, jakby padł ofiarą linczu.

Tanner też tam był i patrzył na niego z góry.

– Nie żyje? – spytała Brittney z przestraszeniem. Tanner nie odpowiedział. Dziewczyna uklękła przy Ediliu. Zobaczyła, że ziarenka piasku poruszają się, gdy wydychał powietrze.

Jednak żył. Dzięki łasce Boga.

Dotknęła jego twarzy. Jej palce zostawiły błotniste smugi. Wstała.

– Demon – odezwała się. – Zły.

– Tak – odrzekł Tanner.

– Co powinnam zrobić?

– Czynić dobro – powiedział. – Musisz służyć Bogu i opierać się złu.

Popatrzyła na niego oczami pełnymi łez.

– Nie wiem jak.

Tanner nie patrzył na nią. Spojrzenie jego błyszczących oczu było utkwione we wzgórze, które wznosiło się nad Brittney.

Odwróciła się od Edilia. Zobaczyła, jak Zil spada na ziemię. Zobaczyła też Dekkę, opadającą powoli w słupie pyłu. A potem Astrid i jej braciszka. Dzieci, biegnące pod górę, wciąż w panice.

– Kalwaria – powiedział Tanner. – Golgota.

– Nie – odparła.

– Musisz zrobić to, czego chce Bóg – ciągnął.

Brittney stała bez ruchu. Jej stopy nie czuły ciepła piasku, na którym stały. Jej skóra nie czuła lekkiej bryzy znad oceanu. Nie docierał do niej słony zapach.

– Wejdź na wzgórze, Brittney. Wejdź na miejsce śmierci.

– Wejść – powiedziała.

Zaczęła iść. Była sama, wszyscy inni ją wyprzedzali. Wspinająca się na wzgórze jako ostatnia.

Dekka właśnie wracała na ziemię. Astrid gnała naprzód, ciągnąc za sobą Nemezis.

Skąd jej przyszło do głowy, żeby tak go nazywać? Znała małego Pete'a w dawnych czasach. Wiedziała, jak ma na imię. Lecz w jej umyśle na jego widok pojawiała się teraz słowo Nemezis. I fala czystego gniewu.

Czy to on jest złym, panie? Zatrzymała się, przez chwilę zagubiona, podczas gdy Astrid i mały Pete biegli przed siebie.

Ręka jej zadrgała. Wydłużyła się. To było takie dziwne.

A jej klamerki zmieniły się w ciecz, pozostawiając tylko metaliczną, śliską warstwę na ostrych zębach.

Zil leżał z nogami wygiętymi pod jakimś niemożliwym kątem i jęczał.

Brittney minęła go.

Spotka złego, gdy dotrze na szczyt. I wtedy dojdzie do bitwy.

– Niech wszyscy złapią się za ręce – poleciła Mary.

Dzieci reagowały powoli. Ale potem, jedno po drugim, zwracając buzie ku

zachodzącemu słońcu, podały sobie ręce.

Pomocnicy Mary, niosący niemowlęta, stanęli w szeregu z pozostałymi.

– Już niedługo, dzieci – powiedziała Mary. – Trzymajcie się blisko siebie...

– Bądźcie gotowe. Gotowe do skoku. Musicie skoczyć wysoko, żeby znaleźć się w ramionach mamusi...

Czuła, że coś zaczyna się. Czas nadszedł.

Piętnaście lat wcześniej, o tej samej godzinie i w tej samej minucie, Mary Terrafino przyszła na świat...

Sam nie słyszał nic z wyjątkiem huraganowego wiatru w uszach. Czuł tylko szaleńcze wibracje deskorolki pod swoimi stopami, przenoszące się na wszystkie kości w jego ciele, a także dłonie Brianny na swoich plecach. Pchała go, raz po raz łapała, prostowała, prowadziła podczas tej jazdy, przy której najszybsza kolejka górską, jaką kiedykolwiek jechał, zdawała się tylko spacerkiem.

Pędzili w dół drogą z elektrowni. Potem autostradą, slalomem między porzuconymi i rozbitymi samochodami.

A później kilka porażających sekund pędu przez miasto. Zakręt tak ostry, że siła odśrodkowa wyrzuciła go w powietrze.

Brianna skoczyła do przodu, chwyciła go za wierzgające nogi i postawiła z powrotem na deskorolce, jakby był workiem cementu. Nie mógł uwierzyć, że nie złamał obu nóg, tak silne było uderzenie. Ale ręce dziewczyny trzymały go mocno, znowu go pchały, kierowały nim.

A potem rozmazana plama i nagle, wstrząsające, wykręcające wnętrzności hamowanie.

Był niemal pewien, że cały czas krzyczał.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiła Brianna.

Dla Mary czas stanął w miejscu. Ludzie wokół niej zamarli w bezruchu. Zdawało się, że nawet cząsteczki powietrza przestały drgać. Wyglądało to dokładnie tak, jak opisywali to inni. Puf. Wielka piętnastka.

A tam, o Boże, jej matka. Matka Mateczki Mary, pomyślała. W rzeczywistości może nie taka piękna, jaką stała się we wspomnieniach. Ale Mary pamiętała, że zawsze była ciepła i otwarta...

- Chodź, kochanie – powiedziała kobieta. – Czas już porzucić brzemię.
 - Mamo... Tak się za tobą stęskniłam.
- Matka wyciągnęła ręce, by ją przytulić. Czekala. Uśmiechała się przez łzy.
- Mamo... boję się... – powiedziała Mary.
 - Chodź do mnie, córeczko. Trzymaj je mocno za ręce i chodź do mnie.
 - Te maluchy... moje dzieci...
 - Ich mamy są ze mną. Wyprowadź je z tego straszego miejsca, Mary. Uwolnij je.
- Mary zrobiła krok naprzód.

Rozdział 43

0 minut

Astrid krzyknęła.

– Łapcie dzieci! Łapcie je!

Skoczyła, by pochwycić najbliższego z malców. Inni tylko patrzyli. Dzieci szeroko otwierały buzie, oszołomione, gdy Mary jak we śnie wyszła za krawędź urwiska.

Zniknęła z pola widzenia. Spadając, wciąż próbowała stawiać kroki.

Jej uścisk był mocny. Dzieci spadały wraz z nią. Reakcja łańcuchowa. Jedno pociągało następne i tak dalej. Kostki domina, lecące w dół z klifu.

Justin próbował się wyrwać, gdy Mary pociągnęła go za krawędź. Nie miał jednak dość siły, by uwolnić się z jej żelaznego uchwytu. Spadał. Mała dziewczynka, która trzymała go za rękę, spadała za nim.

Justin nie krzyknął. Nie było czasu. Skały pędziły ku niemu. Tak szybko jak wtedy, gdy dostał w twarz piłką podczas gry w zbijaka. Wiedział jednak, że w przeciwieństwie do piłki, skały się od niego nie odbijają.

Skalny potwór otworzył paszczę, by go pochwycić. Poszczerbione kamienne zęby przeżują go na kawałki.

Uchwyt Astrid był zbyt słaby. Dziecko, które złapała, siła ciężenia wyrwała z jej dłoni.

Zniknęło za krawędzią.

Odwróciła się z oczami rozszerzonymi grozą.

Brittney stała tuż obok i patrzyła na nią. Jej twarz jednak zmieniała się, wykrzywiała, niczym straszliwa maska z topiących się mięśni.

I Sam! Sam, patrzący na to wszystko.

Brianna, która nagle zmieniła się w barwną mgiełkę i skoczyła z urwiska.

Mary poczuła, że uścisk dzieci słabnie. Nie spadały, tylko leciały. Leciały na wolność.

Jej matka wyciągnęła ręce i Mary, nareszcie wolna, pofrunęła ku niej.

Justin poczuł, że dłoń Mateczki Mary po prostu znika. W jednej chwili mocno go trzymała, w następnej już jej nie było.

Justin spadał. Za nim jednak coś spadało jeszcze szybciej, wiatr, podmuch, rakietka... Był w połowie drogi do skał, gdy to coś uderzyło go, aż mu zapało dech.

Poleciał w bok jak piłka bejsbolowa, mocno uderzona przez pałkarza. Turlał się teraz po piasku plaży, jakby miał się nigdy nie zatrzymać.

Uderzył o piasek przed innymi, którzy, nie mając prędkości Brianny, po prostu spadali ku skałom.

– Proszę, proszę, kogo ja widzę... Astrid – przemówiła Brittney głosem Drake'a. – I przyprowadziłaś ze sobą małego Petyna.

Brittney, teraz z ręką wydłużoną, mającą kształt węża i z uśmiechem rekina zamiast klamerek ortodontycznych, parsknęła śmiechem.

– Niespodzianka! – powiedział stwór, który nie był Brittney.

– Drake. – Astrid zatkało.

– Ty będziesz następna, ślicznotko. Ty i twój głupi brat. W przepaść! Skacz!

Smagnął ją biczem. Astrid zatoczyła się w tył. Wyciągnęła rękę do małego Pete'a. Chwyliła jego dłoń. Ta jednak wysliznęła się z jej uścisku. Zamiast niej trzymała grę. Wbiła w nią spojrzenie, nic nie rozumiejąc.

Zrobiła w powietrzu krok do tyłu, szaleńczo zamachała rękami próbując odzyskać równowagę. Ale wiedziała już: była zbyt daleko.

I wtedy, gdy już się poddała, gdy pogodziła się ze śmiercią i prosiła Boga, by ratował jej brata, coś uderzyło ją mocno w plecy.

Poleciała w przód. Obie stopy stanęły na twardym gruncie.

– Nie ma za co – powiedziała Brianna.

Siła uderzenia wytrąciła jej grę z dłoni. Zabawka zawirowała w powietrzu i uderzyła o skałę. Rozbiła się.

Drake cofnął biczowatą rękę.

– Czekałam na to – powiedziała Brianna.

– Nie, Bryzo – odezwał się Sam. – To moje zadanie.

Drake obrócił się na pięcie, dopiero teraz widząc Sama.

Błotnisty uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Sam! – powiedział. – Naprawdę jesteś gotowy na następną rundę?

Bicz trzasnął.

Sam uniósł rękę i wyprostował dłoń. Błysnęło oślepiające, zielone światło. Pejcz Drake'a jednak trafił w przedramię Sama. Jednak zanim wypalił dziurę w samym środku jego ciała, promień trafił Drake'a w stopę.

Drake zawył ze wściekłości. Próbował zrobić krok naprzód, ale jego stopa nie była tylko poparzona – ona po prostu zniknęła. Oparł ciężar ciała na zwęglonym kikucie.

Sam znowu wycelował i strzelił. Drake runął na plecy. Teraz nie miał już obu stóp.

Ale na oczach Sama nogi zaczęły się regenerować, odrastać.

– Widzisz? – wycedził tamten przez zęby, zaciśnięte bardziej w gniewie i triumfie niż z bólu. – Nie da się mnie zabić, Sam. Zawsze będę z tobą.

Sam podniósł obie ręce. Snopy zielonego światła spaliły odrośnięte kończyny. Sam powoli przesunął promienie w górę nóg tamtego. Łydki. Kolana. Bicz świstał i trzaskał, lecz nie mógł go dosięgnąć. Drake krzyczał. Palily się uda. Biodra. Ale Drake ciągle żył, krzyczał i śmiał się.

– Nie możesz mnie zabić!

– Dobra, przekonamy się, czy to prawda – powiedział Sam.

W tej jednak chwili rozległ się głośny okrzyk.

– Śpiewaj, Jill! Śpiewaj!

To była Nerezza, której twarz pokrywało już nie ciało, lecz – jak się zdawało – miliardy pelzających komórek, jaśniejących zielonym blaskiem, całkiem podobnym do zabójczego światła Sama.

– Śpiewaaaaj, Syreno! – darła się. – Śpiewaaaaj!

Jill wiedziała, jaką piosenkę powinna zaśpiewać. Tę, której nauczył ją John.

Zacząła bać się Nerezzы. Właściwie bała się jej niemal od początku. Potem jednak nadeszła chwila, gdy Orsay kazała Nerezcie odejść.

Ostatnie słowa, które wyrzekła.

– Nie mogę iść tą drogą – tak powiedziała.

– Co masz na myśli? – spytała Nerezza.

– Ty... musisz odejść, Nerezzo. Nie mogę iść tą drogą. Właśnie wtedy Nerezza zrobiła Orsay coś strasznego. Zaplotła jej dłonie na szyi i ścisnęła. Orsay niemal się nie broniła, jakby przyjęła ten los.

Nerezza wlokła ją do skały, a potem dalej na szczyt.

– Nic jej nie będzie – skłamała, zwracając się do Jill. – A jeśli i ty będziesz robiła dokładnie to, co ci powiem, tobie też nic się nie stanie.

Teraz Orsay patrzyła tępymi, pustymi oczami. Nie widziała, jak Mary prowadzi dzieci na urwisko. Nie widziała, jak ciągnie je w przepaść. Nie widziała, jak spadają. Ale Jill widziała.

I zaśpiewała.

*Choć jak wędrowiec
sam idę poprzez noc,
w Tobie niech siłę mam
i w Tobie moc.
Gdy czuwam i wśród snu,
czy słońce jest, czy mrok
niechaj mnie strzeże
Twój, o Panie, wzrok!*

Śmiercionośne światło Sama zgasło. Brianna stała zupełnie nieruchomo. Astrid zamarała w krzyku. Dzieciaki z Perdido Beach, wszystkie w zasięgu głosu Jill, przystanęły i odwróciły się w stronę dziewczynki. Poza trojgiem. Mały Pete ruszył, potykając się, w stronę swojej gry. Nerezza śmiała się i wyciągała rękę w dół, by pomóc Drake'owi, któremu błyskawicznie odrastały utracone części ciała.

– Śpiewaj, Syreno! – wołała Nerezza, upojona triumfem.

Sam jak przez mgłę widział, co się dzieje. Jego umysł wciąż pracował, choć dziesięć razy wolniej niż zwykle.

Drake mógł już niemal wstać. Za chwilę ruszy na Sama. Skończy to, co zaczął.

Wspomnienie bólu zaczęło powoli wzbierać w Samie. Brakowało mu jednak siły, by się ruszać, by działać. Mógł się tylko bezradnie przyglądać. Tak jak wcześniej. Czuł się bezsilny.

Wtedy jednak kątem oka Sam dostrzegł coś bardzo dziwnego. Coś leciało bardzo szybko nad oceanem.

Usłyszał odległy warkot. Dźwięk narastał, gdy śmigłowiec – bo już było go widać – pędził nad oceanem.

Głośny.

Głośniejszy.

Wystarczająco głośny.

Sam spróbował się ruszyć i przekonał się, że może.

– Nie! – krzyknęła Nerezza.

Strzelił raz. Promienie trafiły ją w klatkę piersiową. Wystarczyłoby, by zabić każdego. Przecież to światło wypalało dziury we wszystkich żywych istotach.

Lecz Nerezza nie spłonęła. Po prostu popatrzyła na Sama wzrokiem pełnym zimnej nienawiści. Jej oczy jaśniały zielonym blaskiem, tak jasnym, że niemal dorównywało jego ognistym promieniom. A potem po prostu zniknęła.

Drake patrzył, jak odrastają mu stopy. Działo się to jednak zbyt wolno.

– No, Drake – powiedział Sam. – Na czym to stanęliśmy?

Poczuł Astrid u swojego boku.

– Zrób to – poleciła ponuro.

– Tak jest.

Sanjit opanował sztukę latania na wprost.

Umiał też utrzymywać kurs w jednym, wybranym kierunku. Można to było zrobić za pomocą pedałów. Pilot musiał jedynie bardzo ostrożnie i delikatnie je naciskać.

Nie był jednak pewien, czy wie, jak się ląduje.

Teraz gnał w stronę lądu z oszałamiającą prędkością. I przypuszczał, że jest w stanie to robić jeszcze przez jakiś czas, zwłaszcza że nie wiedział, jak się zatrzymać. No właśnie.

Wtedy jednak Virtue krzyknął.

– Stój!

– Co?

Virtue wyciągnął rękę, chwycił drążek i pchnął go mocno w lewo.

Maszyna przechyliła się gwałtownie, ostro, i w tym momencie Sanjit zauważył, że niebo przed nimi nie jest tak naprawdę niebem. Gdy spojrzano się na nie pod właściwym kątem, przypominało ścianę.

Śmigłowiec z rykiem przeleciał nad głowami grupki dzieciaków, które najwyraźniej oglądały zachód słońca z wierzchołka klifu. Leciał teraz, leżąc na boku. Płozy zaskrzyptały o coś, co z całą pewnością nie było niebem. Po chwili znowu znalazł się na otwartej przestrzeni, ale zachowywał tę samą pozycję i szybko opadał ku ziemi. Pusty basen, kort tenisowy, dachy, wszystko to przemykało w ułamkach sekund.

Sanjit przesunął drążek z powrotem w prawo, ale zupełnie zapomniał o pedałach. Helikopter obrócił się w powietrzu o 360 stopni, zwolnił, wzniósł się z wysiłkiem i zawisł w powietrzu.

– Chyba wyląduję – powiedział Sanjit.

Śmigłowiec opadł z hukiem na ziemię. Plastikowa osłona kabiny zatrzeszczała i popękała. Sanjit poczuł się tak, jakby ktoś uderzył go w kręgosłup młotem.

Virtue patrzył na niego, trzęsąc się na całym ciele i chyba mruczał coś pod nosem.

Sanjit odwrócił się w fotelu.

– Nic wam nie jest? Bowie? Pixie? Peace?

W odpowiedzi ujrzał trzy niepewne kiwnięcia głowami.

Roześmiał się i spróbował przybić piątkę z Virtue, ale ich ręce minęły się. Roześmiał się znowu.

– No – powiedział. – Chcecie lecieć jeszcze raz?

Drake wył ze strachu i bólu, gdy zielone światło nieustępliwie pożerało kolejne części jego ciała.

Od pasa w dół zmienił się już w dym, gdy z jego ust dobył się głos Brittney. Wśród jego zębów połyskiwał metal. Szczupła, okrutna twarz psychopaty stopiła się od własnego, wewnętrznego ognia. Pojawiło się pełne, pryszczate oblicze Brittney.

– Nie przestawaj, Sam! – krzyknęła. – Musisz to zniszczyć, do ostatniego kawałka.

– Nie mogę – odparł.

– Musisz! – wydusiła wśród krzyków. – Zabij! Zabij złego!

– Brittney... – zaczął bezradnie.

– Zabij! Zabij! – wołała Brittney.

Pokręcił głową. Spojrzał na Astrid. Jej mina była lustrzanym odbiciem jego własnej.

– Bryzo – powiedział. – Lina. Łańcuchy. Dużo. Cokolwiek znajdziesz. Już!

Astrid zauważyła małego Pete'a. Był bezpieczny. Rozglądał się za swoją grą. Szukał, ale nie przy skraju klifu, na szczęście.

Zmusiła się, by podejść do urwiska. Musiała zobaczyć. Wychyliła się za krawędź.

Dekka leżała na plecach na zakrwawionym piasku. Obie ręce miała wyciągnięte w stronę klifu.

Chłopczyk o imieniu Justin kuśtykał, wychodząc z morza. Trzymał się za brzuch.

Uratowała go Brianna. Resztę ocaliła Dekka.

Astrid, która spodziewała się, że zobaczy małe, powykręcane ciała, ujrzała dzieci, kulące się razem na skałach. Ze łzami w oczach pomachała Dekce. Tamta nie zauważyła jej i nie zareagowała. Powoli opuściła ręce i leżała tak, doszczętnie wyczerpana.

Mary nigdzie nie było widać. Nadeszły jej piętnaste urodziny i zniknęła. Astrid przeżegnała się i pomodliła bez słów o to, by Mary zgodnie z tym, w co wierzyła i czego pragnęła, znalazła się w ramionach matki.

– Petey? – zawołała.

– Tam jest – ktoś odpowiedział.

Mały Pete zatrzymał się przy murze ETAP-u. Właśnie się pochylał.

– Petey – powtórzyła.

Chłopczyk stał trzymając swoją grę, a z jego dłoni spadały drobinki szkła ze strzaskanego ekranu. Odnalazł wzrokiem Astrid, po czym zawył nieprawdopodobnie donośnym, dzikim głosem – jak zwierzę, jak szaleniec:

– Aaaaaaaa!

Wygiął się w odwróconą literę C i wył.

Nagle mur ETAP-u zniknął.

Astrid patrzyła ze zdumieniem na wozy transmisyjne i samochody, na motel, tłum ludzi, zwykłych ludzi, dorosłych, ustawionych za odgradzającym sznurem.

Mały Pete przewrócił się na plecy.

I w mgnieniu oka to wszystko zniknęło. Mur wrócił.

Chłopczyk zaś umilkł.

Rozdział 44

3 dni później

– Jak idzie? – zwrócił się Sam do Howarda.

Ten zerknął na Orka w poszukiwaniu odpowiedzi.

Orc wzruszył ramionami.

– Dobrze. Chyba.

Howarda i Orka przeniesiono, dostali nowy dom. Jeden z nielicznych w Perdido Beach domów z piwnicą. Piwnica nie miała okien. Nie było też oczywiście prądu, więc Sam zostawił tam własne światelko.

Jedynie wyjście z piwnicy stanowiły schody, prowadzące z kuchni na dół. Tam, u ich podstawy, zbili gwoździami gęstą kratę z belek. Przerwy między belkami miały tylko pięć centymetrów. Aby wzmocnić drzwi u szczytu schodów, Orc zastawił je ciężką szafą. Dwa razy dziennie odpychał szafę na bok. Człapał po schodach w dół i zaglądał do środka. Potem wracał na górę i przesuwał mebel na miejsce.

– Jak ostatnio zszedłeś, to była Brittney czy Drake? – spytał Sam.

– Dziewczyna – odparł Orc.

– Powiedziała coś?

Wzruszył ramionami.

– To samo, co zwykle. Zabij to. Zabij mnie.

– Tak – powiedział Sam.

– Jak myślisz, jak długo możemy to ciągnąć? – zwrócił się do niego Howard.

Nie było to najlepsze rozwiązanie, trzymać nieumarłą istotę w piwnicy pod strażą Orka. Lecz alternatywą było jej zniszczenie. Jego. Jej. A to za bardzo kojarzyło się Samowi z morderstwem.

Astrid i Edilio przez kilka długich dni starali się zrozumieć katastrofę, która spadła na ETAP. Wszyscy, którzy mieli bezpośredni kontakt z Ciemnością, którzy dotknęli umysłu gaiaphage, stali się figurami w partii szachów.

Moc Orsay została wykorzystana. Jej empatia i dobroć zostały wykorzystane przeciwko niej, gdy gaiaphage wypełnił jej sny obrazami wydobytymi z jej własnej wyobraźni. Wskazała dzieciom drogę, która zdawała się prowadzić do wolności, gdy tymczasem wiodła w istocie do śmierci.

Mały Pete został oszukany. Uwierzył, że wciąż gra. Dzięki temu użyto jego własnej

mocy do stworzenia Nerezy, głównego gracza gaiaphage.

Nerezza sterowała Orsay, a gdy tego ostatniego, strasznego wieczoru nadarzyła się okazja, nakłoniła Zila do ataku.

Lana ciągle nie chciała przyznać, że gaiaphage zdołał sięgnąć do jej mocy uzdrawiania, by przywrócić życie Brittney i Drake'owi.

Drake, Biczoręki, był w pewnym sensie jej dziełem. Ciemność wykorzystała ją, by dać Drake'owi drugie życie. Nic dziwnego, myślał Sam, że Lana nie chce się z tym pogodzić.

Całymi dniami leczyła rannych. A potem razem z Patrickiem opuściła miasto. Od tamtej pory nikt jej nie widział.

Sam i Astrid szczerze porozmawiali o swoich błędach. Astrid miała do siebie pretensje o arogancję i nieszczerłość, a także o to, że zbyt późno zrozumiała, co się dzieje.

Sam aż za dobrze wiedział, że zawiódł. Przeraził się własnej słabości i wpadł w panikę. Odrzucił pomoc przyjaciół. W końcu zaś uciekł, uzalając się nad sobą. Porzucił swoje stanowisko.

Gaiaphage jednak nie docenił Brittney. Potrzebował jej mocy, jej nieśmiertelności, podobnie jak mocy uzdrawiania Lany, by przywrócić Drake'a z grobu.

Brittney walczyła z nim na każdym kroku. Nie wiedząc, z czym się zмага, i tak opierała mu się, gdy przejmował ciało, które dzielili. Nawet gdy gaiaphage wypełnił jej zdruzgotany umysł wizjami nieżyjącego brata, wiara i siła woli dziewczyny nie pozwalały demonowi, którego wyczuwała w środku, na całkowicie swobodne działanie.

Gaiaphage chciał złamać wolę dzieciaków z Perdido Beach. Chciał, by się poddały, by porzuciły nadzieję. Tylko wtedy mieszkańcy ETAP-u staliby się jego niewolnikami.

W końcu przegrał. Ale zdecydowały ułamki sekund. Gdyby Zil zdołał zatrzymać Dekkę nieco dłużej albo gdyby bohaterska postawa Edilia nie powstrzymała pochodu Drake'a, dzieci, które skoczyły z Mary, poniosłyby śmierć. Byłby to straszliwy cios dla walczącej o przetrwanie, małej społeczności Perdido Beach.

Wszyscy przeżyli, choć do tragedii brakowało tak niewiele.

Dokonali nawet czegoś więcej: prawa Astrid ciągle obowiązywały. Dzieciaki zebrały się i przegłosowały wszystkie punkty dzień po Wielkim Skoku Mary, jak nazwał to wydarzenie Howard.

To smutne, myślał Sam, że po tym wszystkim, czego dokonała Mateczka Mary, zostanie zapamiętana głównie przez pryzmat ostatniego szalonego czynu. Miał nadzieję, że jakoś jednak przeżyła i jest na zewnątrz.

Mary nie miała grobu na placu. Miała go za to Orsay.

Być może nigdy się nie dowiedzą, czy ten krótkotrwały widok świata poza ETAP-em był rzeczywistością, czy też ostatnią sztuczką Ciemności. Jedyna osoba, która mogła coś na ten temat powiedzieć, mówiła jeszcze mniej niż zwykle: mały Pete, odkąd zniszczył swoją grę, popadł w stan przypominający niemal śpiączkę. Owszem, jadł. Ale nie robił nic więcej.

Gdyby mały Pete zginął, Bóg jeden wie, co by się stało z tym stworzonym przez niego światem. A gdyby dzieciaki kiedykolwiek się dowiedziały, jak potężny jest ten chłopiec, a przy tym jak wrażliwy, ile życia by mu pozostało?

– Pytałem, jak długo możemy to ciągnąć? – powtórzył Howard.

– Nie wiem, chłopie – odparł Sam. – Chyba trzeba z tym żyć z dnia na dzień.

– Jak ze wszystkim – zgodził się Howard.

Dobiegł ich słaby głos Drake'a. Stłumione, wściekłe wycie.

– Robi tak, kiedy przejmie kontrolę – oznajmił Howard. – I jeszcze grozi. Głównie: „Zabiję was wszystkich” i takie tam. Zaczynam się przyzwyczajać.

– Chce, żebyśmy się bali. Żebyśmy się poddali – stwierdził Sam.

Na twarzy Howarda pojawił się charakterystyczny, chytry uśmiech.

– No, ale my tego nie zrobimy, co?

– Nie. Nie zrobimy.

Ale ten szalony wrzask, nawet tak przytłumiony, wciąż wywoływał ciarki na plecach Sama.

– Potrzebujecie czegoś? – spytał. Odpowiedział mu Howard.

– To znaczy, oprócz hamburgera, ciasta z brzoskwiniami, wiaderka lodów, DVD, telewizora, telefonu, komputera i biletu w jedną stronę z tego miasta wariatów?

Sam prawie się uśmiechnął.

– Tak. Oprócz tego.

Wyszedł na zewnątrz. Ulica była pusta. Nierzeczywiste słońce jasno świeciło w górze. Zgiął się w pół i zakaszłał. Krążąca po mieście grypa dopadła w końcu i jego.

Ale żył. A to wszystko, czego można było oczekiwać w ETAP-ie.